nr 10
zima 1996

Rok IV
ISSN 1231-5451

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik
uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

Lublin

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik
uczniów i nauczycieli
oraz ich Przyjaciół

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego.

Redakcja: Sławomir Żurek – redaktor naczelny, opiekun działu literackiego; Grzegorz Żuk – zastępca redaktora naczelnego, opiekun działu edukacyjnego; Łukasz Garbal – sekretarz redakcji, kierownik działu literackiego; dział filozoficzny: Paweł Ziemba – kierownik, Jan Gałkowski; Jacek Wojtysiak – opiekun; dział filologii obcych: Stanisław Żebrowski – kierownik, Kamila Chwesiuk – opiekun; dział kulturalny: Przemysław Więczkowski – kierownik, Danuta Kurczab – opiekun, Marzena Tarasińska, Mateusz Kokoszka, teatr: Anna Barć, Gerard Staniecki; dział historyczny: Katarzyna Grzybowska – kierownik, Wojciech Stanek – opiekun; Joanna Malarczyk – kierownik działu edukacyjnego; Adrian Lesiakowski – kierownik działu artystycznego.
Współpraca: Michał Falenta, Paweł Furmanek.
Redaktorzy prowadzący: Jacek Wojtysiak, Stanisław K. Żebrowski, Sławomir Żurek.

Projekt okładki: Adrian Lesiakowski.
Ilustracje: Ewa Busse, Dominika Kaczmarek, Adrian Lesiakowski.
Korekta: Witold Waszczuk.

Adres redakcji i wydawcy: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", Stowarzyszenie „Brama Grodzka", ul. Grodzka 34, 20-112 Lublin, tel./fax (0-81) 258-67

Pismo nagrodzone w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej.
Kwartalnik *„Scriptores Scholarum"* może być wykorzystywany jako materiał pomocniczy w nauczaniu szkolnym. Kuratorium Oświaty w Lublinie.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiustacji, redagowania i zmiany tytułów nadsyłanych tekstów.

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN"

ISSN 1231-5451

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają placówki „Ruchu" na terenie całego kraju.

Pismo ukazało się dzięki pomocy następujących instytucji i firm: • Urząd Miejski w Lublinie • Fundacja Kultury • Banku Depozytowo-Kredytowego w Lublinie • Wydawnictwa „Norbertinum" • **Dziękujemy!**

Numer zamknięto w lutym 1996. Oddano do druku w marcu 1996.
Skład komputerowy: Wydawnictwo „Sic et Non" Sp. z o.o., Lublin.
Druk: Drukarnia NORBERTINUM. Nakład 1000 egz.

Spis treści

Słowo wstępne 5

Spotkania kultur – rozmowy akademickie

• *rozmowy akademickie*

Europejczyk musi się zrodzić w każdym z nas – rozmowa z ks. prof. Wacławem Hryniewiczem (KUL) 8
Kultura jest nieustannie w stanie kryzysu – rozmowa z prof. Zygmuntem Baumanem (University of Leeds) 16

Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego

Jacek Maj
Lubelskie – zanim do Lublina 24

Spotkania kultur – religie

Ireneusz Ziemiński
Mordechaj Rogoz (szkice) 34

• ***Spotkania religii: judaizm***

Szalom! – spotkanie redakcji „Scriptores Scholarum" z rabinem Michaelem Shudrichem w Synagodze Nożykach w Warszawie 37

Dialog chrześcijańsko-żydowski

Stanisław Krajewski
Problem dialogu chrześcijańsko-żydowskiego 43
„Jestem Żydem od Jezusa" – rozmowa z księdzem dr. Romualdem Jakubem Weksler-Waszkinelem 61

• ***Spotkania religii: katolicyzm***

„Przyszłością Kościoła są ruchy religijne" – rozmowa z księdzem Arcybiskupem Metropolitą Lubelskim Bolesławem Pylakiem 62

Ignacy Chwesiuk, Gerard Stanlecki
Ksiądz Gostyński egzaminuje i czyta 69

Prasa katolicka-dwa oblicza

Kościół dialogu i otwarcia – rozmowa z Jerzym Turowiczem redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego" 71
„Jesteśmy znakiem sprzeciwu" – Sobota z „Niedzielą", czyli spotkanie redakcji „Scriptores Scholarum" z Karolem Klauzą redaktorem katolickiego tygodnika „Niedziela" 79

Wielogłos o polskim katolicyzmie

Paweł Skrzydlewski
Jakie zadania stoją przed inteligencją katolicką? (na marginesie poglądów profesora Feliksa Koneczngo) 86

Sławomir Żurek
Ecclesia Polona ... utrum Tridentum an Vaticanum II ? 91

Jacek Wojtysiak
Katolicyzm, Polskość, „Filosemityzm" 96

• ***Spotkania religii: prawosławie***

Drugie płuco Kościoła Powszechnego – rozmowa z Biskupem Abelem (Popławskim) Ordynariuszem Kościoła Prawosławnego Diecezji Lubelsko-Chełmskiej 103

ks. Henryk Paprocki
Patrząc na sztukę Jerzego Nowosielskiego (Esej o istocie sztuki) 108

Grzegorz Linkowski
„Spotkania z Prawosławiem" w Teatrze NN 112

• ***Spotkania religii: protestantyzm***

Ad fontes Sola Scriptura – rozmowa z Romanem Prackim – Sługą Słowa Bożego w parafii przy kościele św. Trójcy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Lublinie oraz Pawłem Irgą – członkiem tej parafii 116

• *Spotkania religii: Daleki Wschód*

„Materialista żyje, aby umrzeć, a wielbiciel Boga umiera, aby żyć" – rozmowa z Ragavardanem das – członkiem Ruchu Hare Krysznа, osobistym sługą mistrza duchowego Innadrayumny Swamiego 124

Michał Świdziński

W stronę źródła kultur: Wedyjski hymn o kosmicznym Pra-Mężu i jego warianty w mitologii indoeuropejskiej 126

Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego

Katarzyna Grzybowska, Agnieszka Walko

Spotkanie w synagodze 138

Spotkania kultur: Małe Ojczyzny

Zbigniew Charytanowicz

Pochwała prowincjonalizmu 146

• *Białorusini, Rosjanie, Rusini, Ukraińcy...*

Barbara Góra

Białoruskie w lubelskich pismach kulturalno-literackich w latach 1990–1994 150

Mariusz Pitura

Asar Eppel – tłumacz, literat, badacz kultury żydowskiej 159

Janusz Kowalczyk

Karpaccy potomkowie Białych Chorwatów 162

Tomasz Panek

Polska – Ukraina: Trzy mity i stereotyp 170

Paweł Bobołowicz

Polsko-Ukraińskie Forum Młodych – sąsiedzi i przyjaciele 178

• *Czesi*

Leszek Engelking

Między wiarą a zwątpieniem, słów kilka o poezji Petra Mikeša 181

Spotkanie z Petrem Mikešem, poetą czeskim, prowadzone przez Leszka Engelkinga, czyli monologi dublowane 183

Petr Mikeš przełożył Leszek Engelking

JEDNÁ VĚTA, JEDNO ZDANIE. *** To zrcadlo. *** To lustro. DOMŮ. DO DOMU 187

• *Niemcy*

Kamilla Chwesiuk, Ignacy Chwesiuk

Münster (1.07. – 9.07.1996) 189

Dominika Wojtysiak

Nietzsche a muzyka rockowa 195

Cyprian Norwid

XX. SPECJALNOŚCI, FACHGEBIETE, XXIV. SIEROCTWO, WAISENSTAND, KRÓLESTWO, HERRSCHAFT 203

• *Żydzi*

Powroty **Janiny Bauman** Spotkanie z Janiną Bauman odbyło się w zaciszniej i kameralnej atmosferze czytelni Teatru NN 208

„Im więcej wiedzy, tym mniej uprzedzeń ." – spotkanie redakcji „Słowa Żydowskiego" z redakcją „Scriptores Scholarum" w Żydowskim Instytucie Historycznym 213

Łukasz Garbal

„Dzieje Żydów w Polsce" – zupełnie koszerne 220

Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego

Katarzyna Świerszcz

„Moja Kozłówka" 222

Przez wieki swojej tysiącletniej historii Polska była państwem wielu narodów i wielu wyznań chrześcijańskich i nie tylko chrześcijańskich. Tradycja ta sprawiła i chyba nadal sprawia, że właściwa umysłowości Polaków jest raczej tolerancja i otwartość *na ludzi inaczej myślących, mówiących innymi językami, czy też inaczej wierzących i inaczej modlących się, inaczej sprawujących te same tajemnice wiary. Przez dzieje Polski przebiegają też konkretne* inicjatywy unijne [...].

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

Słowo wstępne

Lublin – miejsce spotkania kultur: Zachodu ze Wschodem, chrześcijaństwa z judaizmem, katolicyzmu z prawosławiem... Tu mieszkali razem Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Ormianie, Niemcy... Lublin – miasto polsko-litewskiej Unii Lubelskiej – jest symbolem Rzeczypospolitej Wielu Narodów: wielu narodów, kultur i religii.

„Scriptores Scholarum", pismo powstałe w środowisku lubelskich (zwłaszcza katolickich) szkół i uniwersytetów, nie mogło więc nie poświęcić Spotkaniom Kultur specjalnego numeru. Ponieważ religia jest sercem kultury, stąd tak wiele piszemy o głównych wyznaniach chrześcijańskich. Odwiedziliśmy obu urzędujących w naszym mieście biskupów: Kościoła Rzymsko-Katolickiego – ks. abpa Bolesława Pylaka oraz Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego – bpa Abla (Popławskiego). Spotkaliśmy się także z lubelską wspólnotą Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, której dzieje na Lubelszczyźnie sięgają XVI wieku. Nie zapomnieliśmy przy tym o korzeniach chrześcijaństwa – o judaizmie. Niestety, w (ongiś polsko-żydowskim) Lublinie po Holocauście nie zbiera się, jak niegdyś, w każdy piątkowy wieczór *minjan*, by wspólnie celebrować Liturgię Szabatu... Dlatego też musieliśmy pojechać aż do Warszawy, by w Synagodze Nożyków porozmawiać z rabinem Michaelem Schudrichem.

Czas powstania poszczególnych religii i wyznań (choć wiemy, że ustalenie chronologii bywa niekiedy kontrowersyjne) wyznacza kolejność ich prezentacji na naszych łamach. W sposób szczególny akcentujemy problemy kontaktów międzywyznaniowych w duchu ekumenizmu, a zwłaszcza zagadnienie dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Dokonujemy też, z różnych punktów widzenia, namysłu nad naszą, katolicką i polską, religijnością. Jest ona pluralistyczna, a nawet niekiedy wewnętrznie dyskutująca, co pokazują (w sposób wyostrzony, choć nie w pełni reprezentatywny) części: *Prasa katolicka – dwa oblicza* i *Wielogłos o polskim katolicyzmie*. Inspiracją dla naszych działań stały się postanowienia Soboru Watykańskiego II, a szczególnie Konstytucja Dogmatyczna o Kościele *Lumen gentium* oraz Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich *Nostra aetate*.

Jesteśmy świadomi, jak wielkie znaczenie dla kultury światowej mają hinduizm, buddyzm i inne religie Dalekiego Wschodu, stąd w zeszycie znajduje się w odrębnym miejscu także materiał o niektórych religiach wyrosłych z tego kręgu kulturowego. Ich obecność w naszym kraju – nie zawsze w pierwotnej i naprawdę religijnej postaci – powinna stanowić nowe wyzwanie dla chrześcijan, a także zachętę do głębszego poznania własnych korzeni i podstaw oraz wspólnych, uniwersalnych archetypów kulturowych, w których ukryte są *semina Verbi*.

Obszerną część tego numeru naszego kwartalnika zajmują – uzyskane m.in. na (zorganizowanej przez naszego Wydawcę – Teatr NN) sesji „Spotkania kultur" – wiersze, szkice, sprawozdania i rozmowy ukazujące próbki różnych działów, szeroko rozumianej kultury rozmaitych – mieszkających wśród nas, sąsiadujących z nami lub bliskich naszemu sercu – narodowości i grup etnicznych. Są wśród nich (porządkując alfabetycznie) Białorusini i pozostali Słowianie Wschodni, Czesi, Niemcy, Żydzi i... Niestety, nie zdążyliśmy nawiązać kontaktu na przykład z Cyganami, Litwinami, Słowakami, a także z polskimi Tatarami – wyznawcami islamu, znaczącej wielkiej religii monoteistycznej. Mamy nadzieję, że przedstawiciele tych narodów i religii odezwą się do nas, gdy wpadnie im w rękę nasze pismo... Chcemy w kolejnych zeszytach kontynuować Spotkania Kultur! Tym bardziej, że z powodu niespodziewanych trudności finansowych nie mogliśmy w tym numerze opublikować całego zgromadzonego materiału, a więc wystarczająco poświęcić wszystkim należne im miejsce.

Wyjątkowe w tym wydaniu „Scriptores..." jest to, że poszczególne jego działy przedzielają prace nagrodzone w – ogłoszonym przez nas – konkursie „Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego". Natomiast jak zwykle rozpoczynamy rozmowami akademickimi. Tym razem naszymi Rozmówcami są: ks. prof. Wacław Hryniewicz i prof. Zygmunt Bauman – autorytety (odpowiednio) w dziedzinie religii i ekumenizmu oraz teorii (zwłaszcza ponowoczesnej) kultury. Zapraszamy więc do lektury, spodziewając się, że wywoła ona liczne głosy dyskusyjne, które ukażą się na łamach naszego i innych pism...

Redaktorzy prowadzący z Zespołem

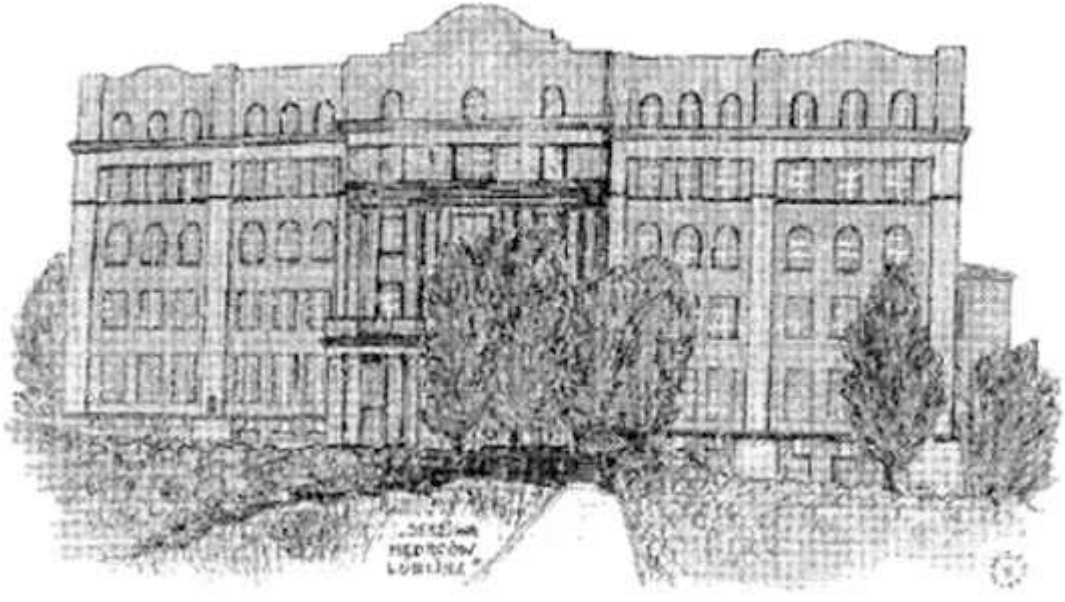

Spotkania kultur – rozmowy akademickie

Ekumenizm musi się zacząć w każdym z nas!

– rozmowa z ks. prof. Wacławem Hryniewiczem (KUL)

Ks. prof. Wacław Hryniewicz – ur. 1936, teolog, ekumenista, profesor KUL, członek Komisji do Dialogu między Kościołami katolickim i prawosławnym Episkopatu Polski. Autor prac z zakresu chrystologii i licznych książek, między innymi: *Nadzieja zbawienia dla wszystkich. Od eschatologii lęku do eschatologii nadziei*, Warszawa 1989. Do najnowszych publikacji ks. Hryniewicza należą: *Chrystus zmartwychwstał. Motywy paschalne w pismach metropolity Hariona (XI w.). Przekład pism z oryginału cerkiewnosłowiańskiego*, Warszawa 1995 oraz *Przeszłość zostawić Bogu. Unia i unityzm w perspektywie ekumenicznej*, Opole 1995.

Łukasz Turczyński: *Od kiedy Ksiądz Profesor zajmuje się ekumenizmem?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Na pewno nie od urodzenia. W 1968 r. wyjechałem za granicę na stypendium do Belgii. Tam przebywałem przez dwa lata. Równocześnie miałem sposobność zetknięcia się ze środowiskami prawosławnymi. W Paryżu, gdzie działa prężny Instytut św. Sergiusza, zapoznawałem się z prawosławną twórczą myślą emigracyjną. Miałem także okazję być w Anglii, gdzie spotkałem niektóre osobistości świata prawosławnego. Już w tamtym czasie myślałem o zajęciu się myślą i duchowością chrześcijańskiego Wschodu. To był początek mojego ekumenizmu.

Stanisław Konrad Żebrowski: *Co to jest ekumenizm?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Samo słowo ekumenizm bardzo łatwo zaszeregować do ideologii. Tymczasem to nie jest ideologia. To jest wielka mobilizująca idea, a może raczej ruch dążący do zbliżenia Chrześcijan, pojednania Kościołów i przezwyciężenia podziałów. W sensie szerszym ekumenizmem nazywa się czasem dialog chrześcijaństwa z judaizmem oraz innymi religiami. W moim odczuciu ekumenizm jest przede wszystkim pewną formą odzyskiwania wrażliwości na drugich, potężnym czynnikiem przezwyciężania barier, otwierania oczu i serca; zdolnością rozumienia tego co powstało w kręgu innej kultury duchowej, co stanowi bogactwo innych kultur i religii. Ekumenizm jest szkołą uczenia się od siebie nawzajem, szkołą tolerancji i wza-

jemnego szacunku. Dążenia ekumeniczne skłaniają ludzi do otwierania się na drugich i przezwyciężania obcości. W ten sposób zmniejszyć można agresję i uwrażliwić się na bogactwo kultury we wszystkich postaciach. Z tego punktu widzenia ekumenizm jako zjawisko XX wieku jest czymś bardzo pozytywnym i mającym przyszłość. Nie ma przyszłości dla tej Ziemi, jeśli nie będziemy rozumieli jedni drugich. To jest sprawa dotycząca całej ludzkości. Chrześcijanie ponoszą szczególną odpowiedzialność za jej losy.

Adrian Lesiakowski: *Co jest najważniejsze w idei ekumenizmu? Z Księdza publikacji wynika, iż ekumenizm powinien się zacząć we wnętrzu każdego człowieka.*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: To bardzo ważne! Ekumenizm musi się zacząć w każdym z nas! Same struktury są bezradne. One są ważne, ale mają tylko charakter pomocniczy. Służą jako punkt zaczepienia, ale to co najbardziej istotne zaczyna się w samym człowieku, który potrafi zmienić swoje spojrzenie na innych. Dostrzega coś, czego do tej pory nie widział. Uczy się szacunku dla drugich. Uwrażliwia się, staje się zdolny do rozumienia światopoglądu i wiary drugiego człowieka. Ta przemiana od wewnątrz, przemiana serca jest najważniejsza. Nie można mówić o ekumenizmie jako mobilizującej idei, jeżeli nie jest ona przetwarzana wewnątrz nas samych, jeżeli nie poszerza i nie pogłębia sposobu naszego myślenia. To najtrudniej osiągnąć. Najtrudniej uczynić człowieka otwartym na innych i na dialog. Otwartość, szacunek, wrażliwość – to kategorie istotne, a tego nie da się zaszczepić i przekazać inaczej jak tylko poprzez człowieka, który się sam przejął tą ideą. W pewnym sensie potrzebne jest nawrócenie, zmiana swojego dotychczasowego, ciasnego sposobu myślenia. Nie będę traktował wszystkiego co inne jako czegoś wrogiego lecz jako szansę wzajemnego ubogacenia. W tym miejscu dochodzimy do samego sedna ekumenizmu. Jeżeli zrozumiem, że muszę pozostać otwarty, wówczas potrafię wejść w dialog z kimś inaczej myślącym. Możemy dyskutować. Nie muszę od razu przyjmować wszystkich jego poglądów, ale możemy razem dochodzić do bardzo interesujących wniosków. Możemy zastanawiać się czego da się uniknąć, a co będziemy mogli uczynić razem. „Oikumene", słowo greckie, oznacza cały zamieszkany świat. Otwierać się trzeba na całość. Nie tylko na to co jest szczegółowe, partykularne, ale także na coś szerszego, co sprzyja spotkaniu kultur, tworzeniu kultury szacunku i życzliwości.

S.K.Ż.: *Jak Ksiądz Profesor ocenia szanse na zbliżenie się katolików i ewangelików? Ostatnia wspólna Msza podczas wizyty papieża w Skoczowie daje, moim zdaniem, poważne szanse.*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Trudno z tak krótkiej perspektywy robić wielkie oceny. To są małe kroki w celu przezwyciężenia narosłych w ciągu wieków uprzedzeń. Wiadomo, że spotkanie papieża Jana Pawła II w Skoczowie z ewangelikami odbywało się na tle pewnych nieporozumień. Ewangelicy nie kanonizują świętych. Oprócz tego, sama postać św. Jana Sarkandra jest kontrowersyjna. To postać z bardzo trudnego czasu. Druga strona ma sporo zarzutów dotyczących tego w jaki sposób on myślał o protestantach. To są uwarunkowania historyczne. Samo spotkanie

było tylko jednym z kroków. Trudno dzisiaj określić wagę tego zdarzenia. Przypuszczam, że najważniejsze było to, że Papież już wcześniej, w Ołomuńcu, prosił w imieniu wszystkich katolików o wybaczenie win i krzywd wyrządzonym niekatolikom. Tak czy inaczej spotkanie było pewną formą przenikania się świadomości jednych i drugich, uczenia się wrażliwości jednych na drugich. Ekumenia uczy wrażliwości. Jest procesem uczenia się.

S.K.Ż.: *Jaką Ksiądz Profesor widzi rolę Kościoła greckokatolickiego w dialogu? To jest taki Kościół, który wywołuje pewne kontrowersje. Mamy tu elementy liturgii prawosławnej i katolickiej. W szkole organizowaliśmy wigilię ekumeniczną. Zaprosiliśmy na nią księdza prawosławnego i greckokatolickiego. Niby było wszystko w porządku, ale był pewien taki zgrzyt, wyczuwalny w relacji między prawosławnymi i grekokatolikami.*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Dotykacie bardzo trudnego problemu, „obrosłego" emocjami. Jest to problem w dużej mierze historyczny. Wiadomo, chodzi o Unię Brzeską z 1596 r. – o tych prawosławnych Rusinów, którzy uznali prymat papieża, zachowując swoje zwyczaje religijne. Przechodząc pod jurysdykcję Stolicy Rzymskiej zerwali w ten sposób łączność ze swoim Kościołem macierzystym, prawosławnym. Od razu widać, że tego rodzaju akt pozostaje czymś bardzo trudnym do zaakceptowania dla drugiej strony. Unia Brzeska nie została przygotowana przez świadomość ogółu wierzących. Przygotowywało ją kilku biskupów. Odbywało się to w tajemnicy. Książę Konstanty Ostrogski, który początkowo sprzyjał samej idei zjednoczenia z Rzymem, został pominięty. Jego wizja zjednoczenia została zlekceważona. Stanął na czele opozycji wobec Uni Brzeskiej. Tak zaczął się trwający przez stulecia proces trudnych relacji Kościoła katolickiego i prawosławnego – z powodu grekokatolików, którzy zerwali jedność z prawosławiem. Problem trwa do dziś. Wiadomo, że po II wojnie światowej Cerkiew Rosyjska wcieliła wielu ukraińskich unitów do swojego Kościoła. Zostali oni do tego zmuszeni przez Stalina i reżim komunistyczny. Chciano, żeby wyparli się Uni Brzeskiej. Ci, którzy się na to nie zgodzili, zeszli do podziemia i tam przez kilkadziesiąt lat bardzo trudnej egzystencji trwali niejako w katakumbach. Wycierpieli wiele prześladowań i teraz, po Jesieni Ludów 1989 r., po odzyskaniu wolności stary problem odżył. Niektórzy wrócili do grekokatolików, inni zdecydowali zostać przy Kościele prawosławnym. Zaczęły się konflikty, spory o cerkwie, zajścia niegodne chrześcijan. Ten problem jest bardzo bolesny dla prawosławnych i dla grekokatolików, których często nazywamy unitami. W dialogu ekumenicznym międzynarodowa komisja mieszana, katolicko-prawosławna, wydała w 1993 r. dokument poświęcony uniatyzmowi. Stwierdza on, że zawarte w przeszłości unie częściowe, nie zdołały przezwyciężyć rozdarcia. Zaogniły one jeszcze bardziej podział pomiędzy prawosławiem, a katolicyzmem rzymskim. Dokument z Balamand w Libanie próbuje wskazać na pewne reguły postępowania, zachęca do większego otwarcia ekumenicznego po obu stronach; zaleca rozwiązywać konflikty w duchu dialogu. Mówi, że nie należy nawracać z jednego Kościoła do drugiego. Taka metoda powinna nale-

żeć już do przeszłości, gdyż powoduje tylko rozdarcie. Niestety, ten dokument nie uspokoił nastrojów. Wiele konfliktów trwa do dzisiaj. W 1996 r. przypada 400-lecie istnienia Unii Brzeskiej, a konflikty trwają nadal. Ciągle pojawiają się wzajemne oskarżenia. To smutne dziedzictwo przeszłości, które czeka na ekumeniczne rozwiązanie w duchu nauki o „Kościołach siostrzanych".

A.L.: *Czy mógłby Ksiądz Profesor przybliżyć ową ideę Kościołów siostrzanych?*

Ks. Prof. Wacław Hryniewicz: Idea Kościołów siostrzanych jest bardzo starą ideą. Można szukać jej w Nowym Testamencie. Mowa jest o braterstwie między chrześcijanami. Apostoł Jan w zakończeniu II Listu mówi o „Wybranej Siostrze", a ma na myśli Kościół. Jest to piękne określenie. Nasz język skłaniałby raczej do mówienia o Kościołach bratnich, ale w większości języków słowo „Kościół" jest rodzaju żeńskiego. Dlatego utarło się ekumeniczne określenie „Kościoły siostrzane" i my mówimy czasem, łamiąc reguły gramatyki, że Kościół jest „Matką naszą". Idea „Kościołów siostrzanych" zaczęła zanikać po Wielkiej Schizmie. Zauważcie, nie używam terminu „Schizma Wschodnia", który tak często pojawia się jeszcze w publikacjach. Wtedy od razu zakładamy winę prawosławnych, że to oni od nas odeszli, oderwali się. Jeśli mamy być sprawiedliwi, mówmy „Wielka Schizma". Nigdy nie dzieje się tak, że tylko jedna strona jest winna. Wrogość Kościołów zaostrzyła się w wyniku wypraw krzyżowych i złupienia Konstantynopola w 1204 r. Tego rodzaju wydarzenia doprowadziły do dewaluacji określenia „Kościół siostrzany". Dopiero w wieku XX pomiędzy patriarchą Konstantynopola, Atenagorasem i papieżem Pawłem VI to określenie zaczęło funkcjonować jako wyraz uznania drugiego Kościoła i jego prawdziwości. Określenie „Kościoły siostrzane" mówi o więzach pokrewieństwa, bardzo bliskich i ścisłych, które każą nam odkrywać wzajemnie w sobie to samo bogactwo duchowe, te same tajemnice zbawienia, te same sakramenty. To określenie wyraża uznanie dla drugiej strony. Podyktowane jest wrażliwością na drugi Kościół. Znowu jesteśmy w tej samej logice wrażliwości i otwartości.

Sławomir Żurek: *A czy Kościół polski jest Kościołem ekumenicznym? Bo odnosi się wrażenie, że idea ekumenizmu funkcjonuje wśród członków Komisji Episkopatu, wśród osób takich jak Ksiądz Profesor, które zajmują się ekumenizmem. Natomiast obserwuje się, moim zdaniem, totalny brak jakichś oddolnych inicjatyw względem ekumenizmu.*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Tak, ma pan rację. Wiem, że my jesteśmy dyżurnymi ekumenistami, którzy niejako zawodowo poświęcają się dziełu zbliżania chrześcijan. Kościół polski otwarł się na ekumenizm. Kiedy mówimy „Kościół polski" mamy na myśli przede wszystkim Kościół katolicki. Ale mamy przecież także w Polsce Kościoły mniejszościowe. To prawda, że Kościoły otwarły się na ekumenizm, ale we wzajemnych relacjach sporo jest jeszcze do zrobienia. Nie można jeszcze w pełni mówić o odzyskanym braterstwie i przyjaźni Kościołów. Wciąż jesteśmy w fazie początkowej. Jest dużo gestów dobrej woli po jednej i po drugiej stronie. Są komisje, które się dogadują, a zarazem gdzieś w praktyce, we wspólnotach podstawowych, jest jeszcze dużo nieprze-

jednania, a może przede wszystkim ignorancji. Nie znamy się po prostu. Nie wiemy w co ten drugi wierzy. Natychmiast przypisujemy mu, że nie czci Matki Boskiej, że jest przeciwny papieżowi. Przyklejamy etykietkę, że jest nieprzychylnie lub wrogo do nas usposobiony. Tymczasem zapominamy, że Kościół większościowy w Polsce, rzymskokatolicki, ze względu na swoją liczebność, jest bardziej zobowiązany do mnożenia gestów zrozumienia i przyjaźni, do wychowywania wiernych w duchu otwarcia i poszanowania. Mniejszości muszą się często zmagać z własnym kompleksem mniejszościowym. Z tej racji powinno być więcej ekumenicznej aktywności ze strony parafii i oddolnych ruchów religijnych. I tu chyba więcej trzeba liczyć na młodych. Trudno jest zmienić mentalność człowieka starszego, który został już wychowany w pewnej mentalności religijnej. Łatwiej jest otworzyć człowieka młodego – poprzez formację i szkolnictwo. Jeżeli tam młody człowiek będzie wchodził w atmosferę większego zrozumienia dla inaczej wierzących, jeżeli tam będzie się dowiadywał o historii tych Kościołów, o ich duchowości – wówczas będzie się tworzyło pokolenie, któremu łatwiej będzie budować pomosty. W ten sposób tworzy się lepsze jutro i kształtują się lepsze wzajemne odniesienia. Tego się nie da zrobić nakazem. Wiem, że w Polsce nie wszystko zostało zrobione. To, co już zrobiono jest zobowiązaniem, aby robić jeszcze więcej, i aby więcej inicjatyw wychodziło od samych wierzących. Nie można tylko czekać na to, co mówi papież. Zbyt łatwo zapomina się o encyklikach, o listach apostolskich. Tymczasem w miejscu, w którym jesteśmy trzeba realizować ekumenizm. Trudniej robić to tam gdzie nie ma tego partnera, gdzie trzeba szukać wyznawców innego Kościoła. W samym Lublinie i na Lubelszczyźnie mamy na szczęście sporą różnorodność wyznaniową. To pole naszego działania.

A.L.: *Mówił Ksiądz o kontekście zagrożenia Kościoła mniejszościowego. Czy nie ma obawy ze strony Kościołów mniejszościowych, aby się otworzyć na ekumenizm w stopniu takim jak katolicy? Czy Kościoły mniejszościowe nie boją się na przykład wchłonięcia ich przez większą wspólnotę?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Zawsze istnieje obawa wchłonięcia. Kościoły nieliczne obawiają się przede wszystkim utraty młodego pokolenia. Młodzi łatwiej odchodzą. W pewnych środowiskach przyznanie się do Kościoła mniejszościowego stawia człowieka pod presją wiernych Kościoła większościowego. Młody człowiek ukrywa, boi się być ośmieszonym, nie chce wdawać się w polemiki. Ale Kościoły mniejszościowe na terenie Polski już od lat rozwijają współpracę. Istnieje Polska Rada Ekumeniczna, która skupia Kościoły mniejszościowe. Istnieje Chrześcijańska Akademia Teologiczna, gdzie kształci się młodzież Kościołów mniejszościowych. W czasach komunizmu te Kościoły były często faworyzowane. To utrudniało relacje szczerości. Tam, gdzie jest jeszcze trzeci partner, który chce dzielić, sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej. Dzisiaj jesteśmy w innej sytuacji. Wiele spraw można inaczej rozumieć, więcej rzeczy czynić wspólnie. Poczucie Kościołów mniejszościowych, że są w pewnej izolacji nie zostało jeszcze przezwyciężone. Kiedy jednak widzą dobrą wolę i szcze-

rość ze strony Kościoła katolickiego, wtedy także się otwierają. Pomagamy sobie nawzajem w otwieraniu się, w uczeniu się wzajemnego szacunku. Jeżeli brakuje tego z jednej strony, to i druga strona się zamyka. Większy obowiązek ciąży na Kościele silniejszym. Stać go na więcej, nie powinien mieć obaw takich, jakie mają Kościoły mniejszościowe. Ze szczerą chęcią i życzliwością powinien dopomagać tym Kościołom.

Ł.T.: *W homiliach Księdza Profesora widoczna jest przyjaźń do stworzenia i do przyrody. Na przykład rozpoczynając liturgię Ksiądz mówi o cudzie rozkwitania, o cudzie budzenia się przyrody do życia. Czy bliska jest Księdzu postać św. Franciszka. Skąd czerpie Ksiądz miłość do przyrody?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Trzeba mieć wrażliwość na przyrodę. Ja ją mam z dzieciństwa. Wychowywałem się wśród zielonych łąk, lasów, pól. Trudno człowiekowi wpoić wrażliwość w wieku dojrzałym. Trzeba ją nosić w sobie. Rzecz jasna, że są mi bardzo drogie takie postacie jak św. Franciszek z Asyżu, czy w Kościele prawosławnym św. Serafin z Szarowa. To są ludzie, którzy potrafili żyć z przyrodą w sposób braterski, dostrzegać jej piękno, widzieć wspaniały hymn przyrody ku czci Stwórcy. Byłem niedawno w Asyżu. Twoje zapytanie przywołuje mi to piękne miasto na zboczu gór. Kiedy wybrałem się na prywatną pielgrzymkę z Santa Maria (tam mieszkaliśmy i tam było spotkanie międzywyznaniowe) do klasztoru św. Franciszka, po drodze spotkałem na środku drogi wielką dżdżownicę. Było to po deszczu. Wówczas pomyślałem, że być może tylko po to szedłem do Asyżu, aby uratować to stworzenie i zanieść je w trawę. Może trochę ze względu na św. Franciszka... To jest przecież stworzenie Boże! Ono jest bezradne. Trzeba mu czasem pomóc. Przykro mi często, że po deszczu tyle tych robaków jest rozdeptywanych na chodniku. Miłość do przyrody jest piękną cechą. Wrażliwość na przyrodę pomaga człowiekowi być wrażliwym na drugiego człowieka. Jest taka wzajemna zależność. Kto nie jest wrażliwy na innego człowieka, nie będzie wrażliwy również na przyrodę. Twoje pytanie jest mi bardzo bliskie. Usiłuję, na ile to możliwe, upominać się o wrażliwość na przyrodę.

Ł.T.: *Kto był mistrzem duchowym Księdza?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Chyba przede wszystkim był nim rektor KUL, ksiądz Wincenty Granat. Byłem jego uczniem, asystentem i adiunktem. Humanista, personalista. Człowiek, który wiele stronic poświęcił kulturze ludzkiej, personalizmowi, wrażliwości na drugiego człowieka. To się jakoś udziela. Jego postać pomogła mi odnaleźć drogę, na którą wszedłem. To on doradził mi, abym zajął się Kościołem Wschodnim. Początkowo byłem systematykiem, dogmatykiem. Zajmowałem się teologią rzymskokatolicką. Podczas jednej z przechadzek zapytał mnie: „Czy ksiądz Wacław nie zająłby się Wschodem chrześcijańskim? Tak bardzo nam tego trzeba zarówno w Polsce jak i tu na KUL-u". I tak z małego pytania zrodziło się nowe nastawienie w życiu, nowa pasja, nowa droga. Nieraz tak mało potrzeba, aby skierować człowieka w stronę tego, co może stać się później odpowiedzią na wielką potrzebę naszych czasów.

A.L.: *Ja chciałbym jeszcze na chwilę powrócić do idei ekumenizmu. Czy Ksiądz jest zwolennikiem połączenia Kościołów w jedno, czy niech raczej pozostaną osobno?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Dotykasz czegoś istotnego. Nie chodzi o zjednoczenie, które oznaczałoby uniformizm, które kazałoby komuś wyrzec się własnej specyfiki, własnego bogactwa. W pierwszym tysiącleciu chrześcijanie szanowali własne odrębności kulturowe. Dopiero później staliśmy się bardziej zaborczy. Każdy myślał, że jego sposób tworzenia kultury chrześcijańskiej jest jedyny i już żadnych innych dróg do Pana Boga nie ma. Wczesne chrześcijaństwo miało poczucie pluralizmu. Wierzę w możliwość przezwyciężenia wielkich podziałów. Nie znamy kształtu przyszłej jedności. Nikt z nas nie wie kiedy to nastąpi. Nawet data 2000 jest tylko datą mobilizującą. Tego się nie da uczynić na rozkaz, pod presją pewnej daty. Zjednoczenie nie wyklucza różnorodności. Potrzebne jest wzajemne uznanie. Niech każdy Kościół zachowa w sobie bogactwo form, myślenia i duchowości. Jedność trzeba traktować jako wspólnotę wielu Kościołów. Nie chodzi o chrześcijaństwo, które wygasi różnorodność i specyfikę każdego z Kościołów. Ekumenizm wychowuje nas powoli do takiej jedności w wielości. Podział trwał wieki. Nie chciejmy odwrócić sytuacji w ciągu kilku pokoleń. Ten proces musi wniknąć głęboko w mentalność ludzi. Zjednoczenie w różnorodności wymaga wzajemnego zrozumienia i szacunku. To pytanie uważam za bardzo ważne. Dotyka ono tego co dziś nazywamy w ekumenizmie modelami jedności. Nie chodzi o uniformizm lecz o jedność w różnorodności. Formy wyrazu naszej wiary mogą być przecież różne.

S.K.Ż.: *Jakby Ksiądz Profesor widział judaizm w tym kontekście. Czy nie byłby on dobrym miejscem spotkania prawosławia i katolicyzmu?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Jeden i drugi Kościół próbuje prowadzić dialog z judaizmem. To są nasze wspólne korzenie. Uświadomienie sobie tych korzeni jest pomocne. Wieki uprzedzeń w stosunku do judaizmu ciążą na obydwu Kościołach. Dzisiaj ten stosunek się zmienia. Uważam, że judaizm jest ustawicznym partnerem dla chrześcijaństwa. Nie można powiedzieć, że religia mojżeszowa jest tylko podprowadzeniem do chrześcijaństwa, że po nadejściu Nowego Testamentu, Stare Przymierze traci ważność. Nie! Judaizm ma swoje wielkie doświadczenie Boga, doświadczenie monoteistyczne, które wskutek chrześcijańskiej wiary w Trójcę Św. zostaje w relacji pewnego antagonizmu do chrześcijaństwa. Z jednej strony ścisły monoteizm, a z drugiej Trójca Osób Boskich. Trzeba dostrzec to, co wspólne. Judaizm stawia nam bardzo poważne pytania o przemianę jaką niesie chrześcijaństwo. Co przyniósł Jezus Chrystus Zbawiciel, skoro tyle zła jest na świecie? Żydzi ciągle oczekują na Zbawiciela. Myślę, że odkrycie korzeni żydowskich, odkrycie judaistycznego doświadczenia Boga obecnego w życiu narodu i człowieka jest lekarstwem na nasze doktrynerstwo. Odkrycie starotestamentalnego objawienia może być wyzwaniem dla katolików i dla prawosławnych. Kieruje ono nas do wiary Abrahama, do umiejętności zaufania Panu Bogu, wyruszenia w nieznane. Zaufanie Bogu

jest rzeczą najważniejszą. Wszyscy wierzący są ludźmi zaufania. I ci z religii mojżeszowej, i katolicy, i prawosławni. To jest nasza wspólna dola. Wiara jest zaufaniem Bogu.

Ł.T.: *Czym zajmuje się Zakon Oblatów do którego Ksiądz należy?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Oblaci to zgromadzenie zakonne, powstałe po rewolucji francuskiej we Francji. Założycielem był biskup Marsylii, Eugeniusz de Mazenod, kanonizowany w grudniu 1995 roku. Jest to zgromadzenie misyjne. Zajmuje się głoszeniem misji, między innymi w Kanadzie wśród Eskimosów, w Afryce i na Dalekim Wschodzie.

S.Ż.: *A jak taka misja wyrusza do Rosji? Bo mówi się, że Kościół polski pełni rolę misyjną w stosunku do zateizowanej Rosji.*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Bądźmy bardzo ostrożni w stosunku do Rosji. Ostatnio sporo pisałem o wielowiekowej iluzji nawracania Rosji na katolicyzm. Należy rozstać się z tą iluzją. Owszem opiekujmy się katolikami, którzy tam żyją. Trzeba to czynić w taki sposób, aby nie szkodzić sprawie pojednania Kościołów. Prawosławni często zarzucali ostatnio katolikom, iż werbują oni dla swego Kościoła zateizowanych mieszkańców dawnego ZSRR. Jest to bardzo delikatny problem, wymagający rozpatrzenia w perspektywie ekumenicznej. Ewangelizacji nie można oderwać od troski o jedność chrześcijan. Jeżeli głosi się Ewangelię w taki sposób, że staje się to przyczyną nowych konfliktów, wówczas mamy do czynienia z niewłaściwym sposobem ewangelizacji. Jest to eksport naszych podziałów do tamtych ludzi, którzy wyszli z tak długiego okresu zniewolenia. Znowu stają się ofiarami, tym razem naszych rywalizacji wyznaniowych. Wróćmy jednak do pytania o oblatów. Niedawno młodzi mieli ekumeniczne spotkanie w klasztorze kodeńskim. Byli tam młodzi różnych wyznań. Zgromadzenia zakonne powinny dzisiaj być ekumeniczne. Niech szerzą ducha nie tylko tolerancji, ale także dialogu. Wielkie podziały często przezwyciężą się małymi krokami.

Ł.T.: *Kiedy i w jakich okolicznościach Ksiądz odczuł powołanie? Czy nastąpiło to nagle, czy dojrzewało stopniowo?*

Ks. prof. Wacław Hryniewicz: Nie nagle. Jestem rodem z Łomaz, które są oddalone od Kodnia nad Bugiem o 25 km. Pamiętam swoje pielgrzymki z babcią do Kodnia. Pamiętam jak się zgubiłem w czasie wielkiego odpustu w Kodniu, ku desperacji babci szukającej mnie wszędzie. A ja sobie wszedłem na podwyższenie, gdzie się odprawiała Msza. Moje powołanie dojrzewało powoli, stopniowo. Wcześnie poszedłem do niższego seminarium duchownego, zaraz po szkole podstawowej. Był to tak zwany juniorat w Lublińcu, na Górnym Śląsku. Po dwóch latach zostaliśmy rozwiązani dekretem władz komunistycznych. Seminarium przekształcono w dom opieki dla chorych. Wtedy zdecydowałem się wstąpić do nowicjatu. Stopniowo dochodziłem do przekonania, że to jest moja droga, którą mam iść. Wielu moich kolegów odeszło. Uznali, że to nie jest droga dla nich. Ja pozostałem, przekonany do dzisiaj, że wybrałem słuszną drogę.

Ł.T.: *Dziękujemy Księdzu Profesorowi za rozmowę!*

Opracował: **Łukasz Turczyński**

Kultura jest nieustannie w stanie kryzysu

– rozmowy o ponowoczesności z profesorem Zygmuntem Baumanem (University of Leeds)

Zygmunt Bauman – socjolog („hermeneuta socjologiczny"), filozof, antropolog, znawca ponowoczesności; emerytowany profesor Uniwersytetu w Leeds (Wielka Brytania). Urodzony w 1925 roku w Poznaniu. Studia i stopnie naukowe: Akademia Nauk Społecznych i Uniwersytet Warszawski. W latach 50-tych i 60-tych czołowy polski socjolog marksistowski (najpierw ortodoksyjny, później rewizjonistyczny, nawiązujący do myśli zachodniej). W 1968 r. występuje z PZPR i po atakach na jego osobę wyjeżdża do Izraela, a następnie do Wielkiej Brytanii. Wykładał na uniwersytetach w Anglii, Niemczech, Austrii, krajach skandynawskich, USA, Kanadzie i Australii. Najważniejsze książki: *Z zagadnień współczesnej socjologii amerykańskiej* (1961), *Zarys socjologii* (1962), *Zarys marksistowskiej teorii społeczeństwa* (1964), *Wizje ludzkiego świata* (1964), *Kultura a społeczeństwo* (1966), *Hermeneutics and Social Science* (1978), *Legislators and Interpreters* (1987), *Freedom* (1988) [wyd. pol. *Wolność* (1995)], *Modernity and the Holocaust* (1989) [wyd. pol. *Nowoczesność i Zagłada* (1992)], *Modernity and Ambivalence* (1991) [wyd. pol. *Wieloznaczność nowoczesna, nowoczesność wieloznaczna* (1995)], *Postmodern Ethics* (1993), *Dwa szkice o moralności ponowoczesnej* (1994), *Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności* (1995).

Przemysław Więczkowski: *Co zdaniem Pana Profesora jest destruktywnego w dzisiejszej kulturze? Co jest dla niej niebezpieczne? Czy dzisiaj przeżywamy kryzys kultury?*

Prof. Zygmunt Bauman: Nie przyjmuję poglądu, że dzisiaj mamy kryzys kultury, gdyż kultura jest nieustannie w stanie kryzysu. Na tym właśnie polega kultura, że kwestionuje zastaną rzeczywistość, i zawsze na tym polegała od czasów, kiedy ją wymyślono, a wymyślono ją bardzo dawno temu. Tutaj się nic nie zmieniło. Natomiast jeżeli chodzi o pierwsze pytanie to socjologia odpowiada na nie w ten sposób, że każda kultura, jaką w historii znamy próbuje wprowadzić pewien typ ładu społecznego jakimś kosztem, chodzi mi o to, że nie jestem pewny, czy istnieje kultura bez kosztów, tak jak chyba nie istnieje produkcja bez odrzutów. Nie istnieje żaden sposób wyprostowania różnorodności życiowej bez powodowania jakiś ofiar, upośledzeń. Tak jest także w odniesieniu do dzisiejszej kultury, kultury, którą nazywam ponowoczesną. Nie jest to ter-

min ogólnie przyjęty, niektórzy współcześni socjologowie nie uważają, że nowoczesność się skończyła i wolą mówić o późnej nowoczesności, refleksyjnej nowoczesności, czy surnowoczesności. Terminy są różne, ale wszystkie wskazują, że coś w kulturze się zmieniło.

Jakie są koszta dzisiejszej kultury? Na ten temat należałoby wygłosić tutaj kurs wykładowy. Ale żeby sprowadzić zagadnienie do istoty, to można by orzec, że kultura dzisiejsza propaguje autonomię i wolność jednostki, uznaje wolność wyboru za centralną wartość kulturową i to nawet nie wolność konkretnego wyboru między A a B, tylko wolność wyboru jako wolność wyboru, jako naturalną możliwość wybierania, a ceną jaką trzeba za tę wartość zapłacić jest bardzo daleko posunięte zagubienie, podważenie lub odrzucenie autorytetów, które jednostkę zarazem uwalniały od niepewności ale i od odpowiedzialności. Jeżeli człowiek się uwalnia od niepewności, to wtedy składa odpowiedzialność za swoje czyny na instytucję mężniejszą od siebie. Jeżeli chce się przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny, to wtedy trzeba skazać się na niepewność. Kultura nowoczesna chciała osiągnąć pewność kosztem ograniczenia wolności człowieka, a ponowoczesna stawia na wolność, ale płaci za to torturą niepewności, zagubienia, niejasności sytuacji. To taka krótka i uproszczona odpowiedź na bardzo skomplikowane pytanie.

Łukasz Garbal: *Chciałbym zapytać, czy istnieje w ogóle taka rzeczywistość jak kryzys wartości, wartości jako wartości? Czy można zanegować wartości jako takie? Czy było już coś takiego w kulturze, a może będzie?*

Prof. Zygmunt Bauman: Nie wierzę, żeby istnieli ludzie nie hołdujący żadnym wartościom. Ale wartości, tak samo jak kultura, są w stanie ciągłej zmiany. Szczególnie na dzisiejszej scenie kulturalnej, mody, upodobania, pragnienia zmieniają się z zawrotną szybkością. Wybitny badacz kultury współczesnej George Steimer powiedział, że wszystkie dzisiejsze propozycje kulturowe nastawione są na wywołanie maksymalnego wrażenia i natychmiastowe starzenie się. To co wielu ludzi nazywa, moim zdaniem błędnie, kryzysem wartości jest tym, że liczne wartości ze sobą dziś współzawodniczą i żadna wartość nie jest w tych warunkach całkiem bezpieczna. Są wartości bardziej ulotne, które zmieniają się bardzo szybko, są i takie, które trwają znacznie dłużej, ostają się jak np. wartość ludzkiego życia. Nie sądzę żeby ta wartość przeżywała większy kryzys niż kiedyś w przeszłości, zawsze była ona częściowo przestrzegana, ale nie do końca, nie sądzę żeby jako wartość straciła ona swój sens, a takich wartości z pewnością jest więcej. Moda mówienia o kryzysie wartości wynika po prostu z kalejdoskopicznej zmiany, tego co ja bym nazwał nie „wartościami", ale „modami kulturowymi, upodobaniami kulturowymi". Gospodarka dzisiejsza funkcjonuje poprzez wytwarzanie nowych potrzeb. Ekonomiści mówią, że głównym produktem dzisiejszej produkcji jest konsument, produkcja jest nastawiona głównie na produkcję konsumenta. Nagle ja czy Pan odkrywamy w sobie potrzebę, o której wcześniej nie mieliśmy pojęcia. Dwadzieścia lat temu nigdy nie marzyłem o video, a teraz jest przecież magnetowid i ktokolwiek magnetowidu nie posiada uważa

się za upośledzonego. Ale tu nie mówimy o kryzysie wartości.

Ł.G.: *Może w takim razie należy powiedzieć o inflacji wartości?*

Prof. Zygmunt Bauman: Powiedziałbym raczej o ich natłoku i wzajemnym zagryzaniu się, żeby zrobić miejsce dla nowych. Bernard Shaw kiedyś mówił o fotografii, że fotograf tak jak dorsz musi znieść milion jaj, żeby jeden młody dorsz dożył dojrzałego wieku.

P.W.: *Chciałbym wrócić jednak do samego – zasygnalizowanego tu – tematu ponowoczesności. Ciekawi mnie, jak Pan Profesor definiuje słowo „ponowoczesność"?*

Prof. Zygmunt Bauman: Nie uważam, iż ponowoczesność oznacza koniec nowoczesności; uważam, że nowoczesność mniej więcej zaczęła się gdzieś w XVII stuleciu i do tej pory jesteśmy nowoczesnymi ludźmi, członkami tej cywilizacji. Zaś ponowoczesność jest etapem, stadium nowoczesności. Ponowoczesność jest to taka nowoczesność, co niektóre akty wiary postrzega jako iluzje. Nie wszystko, co widzi podoba jej się, rozprasza pewne zasłony dymne, zrywa pewne „maski dymne". Taką chyba najważniejszą iluzją, która odpadła w kulturze ponowoczesnej jest myślenie utopijne, myślenie o porządku absolutnym, porządku skończonym raz na zawsze.

Nie wiem, czy Państwo czytali jakiekolwiek klasyczne utopie, choćby Tomasza Morusa. Tam opisywano światy doskonałe, gdzie nic nie musiało się zmieniać i nie powinno, bo wszelka zmiana mogła być jedynie zmianą na gorsze. We wszystkich utopiach jest bardzo dużo mowy o architekturze, urbanistyce. Uważano, że przez drobiazgowe rozplanowanie przestrzeni, przyznanie każdemu jej skrawkowi dokładnie skodyfikowanych funkcji osiągnie się idealny porządek społeczny, czyli usunie zgrzyty, tarcia – a w końcu – potrzebę zmian. Pomysł, że można zorganizować życie ludzkie w sposób uwolniony od tarć i zgrzytów, mało przemawia dziś do wyobraźni. Jeremi Bentham – bardzo skądinąd na swe czasy postępowy człowiek – stworzył w XVIII w. architektoniczną wizję „Panopticum". Struktura była bardzo prosta. Była to wieża i na wszystkie strony tej wieży odchodziły odnogi. Z wieży można było widzieć, co się w tych odnogach dzieje, ale w odwrotnym kierunku nie było nic widać. Pomysł był taki, żeby w wieży siedzieli obserwatorzy, a w odnogach – kto? I tutaj Jeremi Bentham z wyjątkową przenikliwością wyraził ambicje nowoczesności. Powiedział, że wszystko jedno kto, że schemat równie dobrze nadaje się dla szkoły, dla szpitala, dla fabryki, dla więzienia, bo wszędzie tam idzie o utrzymanie porządku. Niezależnie od funkcji wszystkie te instytucje mają ten sam cel – zaprowadzenie porządku w chaosie. A Panopticum pozwala zaprowadzić porządek; jeżeli posadzi się obserwatorów w wieży, to ludzie znajdujący się w odnogach nigdy nie będą pewni, czy ich się obserwuje i w związku z tym przez cały czas będą musieli zachowywać się tak, jakby ich obserwowano. Nie były to czcze ani bezkarne marzenia; zaowocowały one potem komunizmem, faszyzmem – ustrojami totalitarnymi. Tego typu utopii totalitarnych ludzie teraz się boją.

Jacek Wojtysiak: *Według Pana Profesora ponowoczesność jest etapem nowoczesności, ale jakim: schyłkowym czy też nie?*

Prof. Zygmunt Bauman: Tutaj Pan pragnie, abym funkcjonował na fałszywych papierach i udawał proroka. Nie uważam, że humanistyka, jeżeli jest uczciwa, może udawać, że potrafi przewidywać przyszłość, czyli zamykać historię, zanim się dokonała. Hegel jest autorem mądrego powiedzenia, że „sowa Minerwy rozwija skrzydła o zmierzchu", odkrywa się trendy w podsumowaniach tego, co się już dokonało. Na pytanie czy ponowoczesność jest epoką schyłkową, ja odpowiedzieć nie mogę. Wiem, że jest czymś nowym, że bardzo wiele narzędzi, które służyły dobrze opisowi społeczeństwa nowoczesnego nie chwyta tego, co jest istotne w ponowoczesności. Ale czy to jest schyłek, tego nie wiem, może to jest początek czegoś, o czym pojęcia nie mamy.

J.W.: *Chciałem po prostu zwrócić uwagę, że wobec tego należałoby nadać omawianemu zjawisku nazwę, która byłaby neutralna. Jeżeli mówi się „ponowoczesność", to przynajmniej w potocznym rozumieniu sugeruje to pewien koniec.*

Prof. Zygmunt Bauman: Sądzę, że można wyboru terminu bronić wskazując na to, że wszystkie opisy społeczeństwa nowoczesnego do niedawna były opisami „od wewnątrz" tzn. przyjmowały wartości samej nowoczesności i mierzyły to co się działo w kategoriach tych wartości. Ponowoczesność jest pierwszym spojrzeniem od zewnątrz, z jakiegoś innego punktu widzenia. Po raz pierwszy możemy obejrzeć zamysł nowoczesny niejako z zewnątrz i w całości.

P.W.: *A może ponowoczesność jest efektem wymieszania się różnych cywilizacji i wartości jakie przedstawiają?*

Prof. Zygmunt Bauman: Ponowoczesność jest efektem bardzo wielu rzeczy. Jest przede wszystkim produktem kompromitacji pewnych założeń nowoczesnych. Myślę, że upadek faszyzmu i komunizmu, to bardzo istotny cios, właściwie śmiertelny dla nowoczesnych ambicji. Dowiedzieliśmy się, czym pachnie zaprowadzenie wszędzie porządku. Po drugie zmieniła się sytuacja tych realnych władz ziemskich, które mogły posiadać ambicje porządkowania, chodzi tutaj przede wszystkim o państwo – wynalazek nowoczesny, obdarzony całkowitą suwerennością nad terenem jemu podległym, stanowiącym prawa dla tego terenu itd. Taki organ władzy mógł mieć ambicje globalnego porządku. Suwerenność państwowa w dzisiejszym świecie została podważona. Wspierała się ta suwerenność na trójnogu trzech suwerenności: gospodarczej, militarnej i kulturowej. Jeśli chodzi o militarną, to dzisiaj mało które państwo potrafi bronić się na własną rękę i obrona suwerenności państwowej polega na zrzekaniu się jej części na rzecz organów państwowych. Państwo ma nikły wpływ na gospodarkę krajową – polityka gospodarcza państwa polega na tym, żeby czynić kraj jak najbardziej atrakcyjnym dla kapitału międzynarodowego. Bardzo ciekawe wydarzenie, całkiem niedawno miało miejsce w Szwecji: partia socjal-demokratyczna, która rządziła Szwecją przez ponad 50 lat została odepchnięta od władzy, ale po kilku latach rządów niesocjaldemokratycznych, naród się zbuntował i wybrał znowu socjaldemokratów, a ich szef zwyciężył pod hasłem „nie damy ruszyć państwa dobrobytu". Po upływie pół roku nastąpił radykalny zwrot, premier

Szwecji wystąpił z mową do narodu, w której powiedział, że nie da się tego zrobić, bo na światowej giełdzie korona szwedzka spadła i załamuje się gospodarka. Jedyny argument, jakiego użył, to było to, że trzeba uczynić Szwecję atrakcyjną dla kapitału zagranicznego. A jak można bronić kultury lokalnej, w obliczu „superautostrady informacyjnej"? Informacja nie liczy się z żadnymi granicami, z żadną polityką kulturalną. Jeżeli się uda Ministerstwu Kultury stworzyć instytucję, która rzeczywiście zdobędzie sobie publiczność, momentalnie przyjdzie jakaś firma zagraniczna, która ją wykupi. I to będzie jej sukces! Otóż kiedy te trzy nogi trójnogu się chwieją, nie bardzo wiadomo, kto miałby realizować te ambicje globalnego ładu.

P.W.: *W związku z tym zapotrzebowanie na utopie też jest znacznie mniejsze...*

Prof. Zygmunt Bauman: Tak, ale chciałbym wrócić do „wymieszania". To co Pan powiedział, ta największa od czasów wędrówki ludów migracja ludności, to przemieszczanie się wpływów też jest bardzo istotne. Kiedyś socjolog niemiecki Georg Siebel dał taką definicję obcego: „obcy to ktoś, kto dziś przychodzi, a jutro nie chce odejść". Tym niemniej uważano przez cały okres nowoczesności obecność obcych, odmieńców, cudzoziemców za zjawisko przejściowe. Za przykrość, która ustąpi wcześniej czy później. Były dwie metody na ustąpienie obcych, które francuski antropolog Piotr Legistrou nazwał antropofemiczną i antropofagiczną. W antropofagicznej chodzi o pożeranie człowieka: obcy był pożerany przez likwidację jego odmienności kulturowej, przez asymilację kulturową. Nie zawsze to funkcjonowało i wówczas była druga metoda pod ręką – antropofemiczna: np. przez deportację, czyszczenie etniczne, tzw. obozy koncentracyjne i tym podobne sposoby. W każdym razie obcy musiał być zjawiskiem tymczasowym.

Dzisiaj po raz pierwszy w większej części świata widać, że z obcymi trzeba będzie żyć na stałe, ponieważ ani się ich nie zasymiluje, bo uważa się dziś, że każda kultura ma swoją samoistną wartość i zanik jakiejkolwiek z kultur jest stratą dla ludzkości, ani też obcy się nie wyniosą. Jeżeli Polska wstąpi do Wspólnoty Europejskiej, to tutaj będzie bardzo dużo cudzoziemców. Polacy też będą w roli cudzoziemców, rozproszeni po całej Europie. Można będzie bowiem przenosić się z kraju do kraju, z miasta do miasta i wszędzie pracować itd., nie tracąc przy tym swoich osobliwości kulturowych, bo niby dlaczego? Z tym zjawiskiem prawdopodobnie będzie trzeba nauczyć się żyć, a nie przezwyciężać go jak starała się to robić nowoczesność, ale bez skutku.

J.W.: *Ja jeszcze raz chciałbym wrócić do samego terminu „postmodernizmu". Z wcześniejszych wypowiedzi zrozumiałem, że Pan Profesor używa terminu „ponowoczesność" w kategoriach opisowych, to jest opisu pewnych zjawisk kulturowych, czy sytuacji społeczeństw. Natomiast termin „postmodernizm" występuje często jako kategoria wartościująca. Niektórzy filozofowie propagują postmodernizm. Wypowiedzi Pana Profesora można zinterpretować, jakby tkwiła w nich nuta sympatii do ponowoczesnych zjawisk kulturowych. Zatem jak Pan Profesor się do tego odnosi: czy „ponowoczesność" i „postmoder-*

nizm" to są normatywne kategorie filozoficzne czy opisowe, socjologiczne?
Prof. Zygmunt Bauman: Panaceum jak wiadomo jest pomysłem alchemików, nieznane jest jak dotąd lekarstwo bez skutków ubocznych. Coraz częstsze są „choroby jatrogenne" – choroby spowodowane leczeniem innych chorób. Otóż pomysł, że można rozwiązać problem nie stwarzając zarazem innych problemów jest pomysłem naiwnym. Ponowoczesność okazała się środkiem skutecznym na niektóre, bardzo przykre aspekty nowoczesnych ambicji, aspekty totalitarne. Ale kuracja nie jest bez kosztów. Wolność jest niewątpliwie wartością cudowną, ale o tę wartość można ubiegać się tylko kosztem innych rzeczy. Kiedykolwiek mówię o ponowoczesności, to zawsze powiadam o szansach i zagrożeniach. Nie wierzę, żeby można było szanse odciąć od zagrożeń. Wspomniany już przeze mnie socjolog niemiecki Urlich Beck twierdzi w książce, że każde rozwiązanie jest zarazem podejmowaniem ryzyka. Możemy tylko starać się poprawnie skalkulować ryzyko zawarte w każdej decyzji. Działać trzeba wiedząc, że każda decyzja ponosi za sobą jakieś koszta, decydować trzeba, które koszta są mniej bolesne od pozostałych. Idzie o to, aby świadomie dokonywać wyborów, nie na ślepo. Jest w socjologii kategoria następstw nieantycypowanych, nieprzewidywalnych, one są często najbardziej przykre. Przy nastawieniu się na kalkulację ryzyka można unikać nieantycypowanych, przykrych konsekwencji, ale przykrych konsekwencji całkowicie uniknąć się nie da.
J.W.: *Ale jeżeli już tę relatywizację założymy, to w ocenie Pana Profesora oferta postmodernistyczna daje mniej szkód, niż ewentualnie jakaś inna oferta?...*
Prof. Zygmunt Bauman: Każde lekarstwo, które pobieramy, leczy tę chorobę, która najbardziej doskwierała wcześniej. Myślę, że ludzie którzy przeszli doświadczenia totalitarne, a mało kto je tak przeżył, jak Polacy, bo doświadczyli obu totalitaryzmów (i komunistycznego – wschodni, i faszystowskiego – niemiecki) potrzebują bardziej niż czegokolwiek innego, tej autonomii, jaką obiecuje ponowoczesność.
J.W.: *Ale czy wcześniej przeciwko tej chorobie nie było pewnych propozycji? Np. antytotalitarne tendencje indywidualistyczne w kulturze. Np. romantyzm albo lepiej egzystencjalizm... Także różne odmiany liberalizmu, tendencje demokratyczne...*
Prof. Zygmunt Bauman: Demokracje takie, jakie kształtowały się w XIX i XX w., – jak wskazała historia – nie okazały się wystarczającym środkiem zapobiegawczym na ten podskórny nurt tendencji totalitarnych jaki był w nowoczesności obecny cały czas, na te przerośnięte ambicje globalnego porządku. Mówi się ciągle o Niemczech, o Rosji, ale tendencje totalitarne, w latach 30-tych były przemożne w Europie, państw faszyzujących było co niemiara i wszędzie ruchy nazistowskie lub komunistyczne były bardzo potężne. Póki się nie podważy samej tendencji totalitarnej, póki się nie sięgnie do korzenia, póki się jej całkowicie nie zdyskredytuje, tak długo świat nie może stać się bezpieczny wobec tego totalitarnego zagrożenia. Ale nie jest to do końca pewne...
Sławomir Żurek: *Ja mam pytanie dotyczące samej metodologii opisu post-*

nowoczesności. Ponieważ są to zjawiska, jak Pan Profesor sam to sformuował, aktualne, bieżące, w których dopiero uczestniczymy, to czy jest w ogóle możliwy opis? Czy nie ma takiego niebezpieczeństwa, że przy tym opisie, ten który opisuje jest zmuszony do wyznaczania tych idei, które opisuje?

Prof. Zygmunt Bauman: Nie. Prawdą jest, że jest skazany na niejaką krótkowzroczność, która jest wielką dolegliwością, że mu braku zewnętrznej perspektywy, która pozwoliłaby objąć wzrokiem całość zjawiska. Dlatego często można się mylić w ocenach. Z drugiej strony – według psychiatrów można zajmować się chorobami umysłowymi samemu nie popadając w chorobę umysłową. Niektórym wydaje się to może niemożliwe, ale ja ciągle jeszcze ufam, że niektórzy psychiatrzy zachowują ciągle zdrowie psychiczne. Oczywiście istnieje zawsze niebezpieczeństwo skrzywienia sądów kiedy znajdujemy się wewnątrz badanego społeczeństwa, gdy brak nam wobec niego dystansu.

J.W.: *Jeszcze jeden wątek. Jak Pan Profesor widzi sytuację religii w społeczeństwie ponowoczesnym? Ja rozumiem, że nowoczesność – według jej zwolenników – niosła ze sobą tendencje laickie i sekularyzacyjne, rozwój społeczeństwa polegał częściowo na „uwalnianiu" się od religii. Czy w ponowoczesności coś się zmienia w tym względzie, czy raczej jest to kontynuacja tej tendencji?*

Prof. Zygmunt Bauman: Moim zdaniem nowoczesność przyniosła separację życia: gospodarczego, politycznego, kulturalnego i religijnego. Religia poddana została ogólnonowoczesnemu procesowi podziału pracy, specjalizacji, to jest nieustannemu rozdrabnianiu funkcji, zadań, zainteresowań. Religia, która w czasach przednowoczesnych była światopoglądem całościowym, ogranicza się coraz bardziej do zaspokajania potrzeb wyspecjalizowanych. Liczne sfery życia ludzkiego „zadiaforyzowały" się w ten sposób w czasach nowoczesnych (stały się niejako religijnie indyferentne). Proces rozdrobnienia trwa chyba nadal. Z drugiej strony dla ponowoczesności charakterystyczne jest pojawienie się obok tendencji atomizujących i indywidualizujących także tendencji fundamentalistycznych, które niekoniecznie muszą przybrać formę religijną. Ale w każdym fundamentalizmie objawia się marzenie o tym, żeby w chaosie nieskoordynowanych doznań, doświadczeń, zdarzeń, znaleźć jakiś sens centralny, przewodni, który to wszystko uzasadnia, wszystkiemu nadaje logikę i cel, ukazuje powiązania których zwykle się nie zauważa. Zdaje mi się, że duże szanse mają te religie fundamentalistyczne, które proponują to, czego społeczeństwo ponowoczesne nie jest w stanie zaproponować, mianowicie jakieś całościowe wyjaśnienie świata.

J.W.: *Czy tutaj będzie konflikt tego fundamentalizmu z tendencjami ponowoczesnymi?*

Prof. Zygmunt Bauman: Im więcej jest automizacji społeczeństwa, tym większy jest głód całościowego sensu. Tendencje się nawzajem podsycają: zrodzone w indywidualistycznym społeczeństwie fundamentalizmy (szczególnie w Ameryce) skłonne są do nabierania tendencji totalitarnych, co z kolei skłania do buntu i ucieczki od fundamentalizmu.

J.W.: *Niestety, rozmawiamy już blisko dwie godziny i musimy już kończyć.*

Ale tak jak po nowoczesności przychodzi po-nowoczesność, tak po rozmowie będzie po-rozmowa... Dziękujemy bardzo!

Materiał z taśmy magnetofonowej spisali i przygotowali:
Przemysław Więczkowski i Cezary Krawczyk.

Opracował: **Jacek Wojtysiak.**

W monograficznym numerze „Scriptores Scholarum": „Wybory i decyzje" zamieścimy drugą część rozmowy z prof. Zygmuntem Baumanem (dotyczącą jego drogi naukowej, metodologii socjologii oraz aktualnych problemów społecznych), a także różne opinie poświęcone jego twórczości. Redakcja dziękuje Panu doktorowi Janowi P. Hudzikowi za pomoc w przeprowadzeniu rozmowy.

Jacek Maj

Tabulatura Ioannis de Lyublyn*

...oddalony od Krakowa o trzydzieści sześć mil w kierunku letniego wschodu słońca leży Lublin. Nie jest to wprawdzie miasto wielkie obszarem, ale pięknie zabudowane i słynne z wymiany handlowej, w której uczestniczą obce narody chrześcijańskie na równi z pogańskimi.

Marcin Kromer *Polonia*, Kraków 1578

***

Ad eas ex remotissimis regionibus negotiatores Turcae, Armeni, Graeci, Germani, Moschoviatae, Lithuani et caeteri ex circumiacentibus regionibus solent.

Alexander Guagnini
Sarmatiae Europeae descriptio, Basilea 1592

***

Z organów brzmiały offetoria najwznioślejsze, przez flandryjskich, gallickich a italskich komponistów tworzone, na użytek magistrów atrium organorum i chórów chłopięcych. Wprowadził je także Jan Lubelczyk na koncerty swe, tedy słuchano z uwagą, libo dla mody dzieł niektórych Guillaume'a de Machaut, Josquina des Prés Verdelota, Stalze obok najpiękniejszych i sercu najbliższych utworów Mikołaja z Krakowa, Jakuba z Lublina, Władysława z Gielniowa, Gregoriusa z Legnicy, wielkiego Jagiellońskiej Wszechnicy uczonego, jak również Jana z Kępa.

Hanna Platta *Archanielskie chóry Jana*

W XV wieku przenikają do Polski pierwsze nowinki renesansowego humanizmu. Źródłem ich są – oczywiście – Włochy, przeżywające wówczas swój chyba najświetniejszy okres renesansu – Quattrocento. Z ojczyzny odrodzenia przybywają na polskie ziemie uczeni, artyści i rzemieślnicy. Docierają oni także do Lublina; szczególnie licz-

* Praca nagrodzona (pierwsze miejsce) w konkursie „Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego".

nie w wieku XVI. Ówczesny lubelski cech „mularzy" jest na tyle zdominowany przez budowniczych z Italii, iż na zebraniach jego członków używa się języka włoskiego. Włosi – protestanci emigrują z rodzinnego kraju z powodu prześladowań religijnych ze strony Kościoła. Lublin – miasto podówczas tolerancyjne – daje im bezpieczne schronienie i „zajęcie". Włoscy murarze wznoszą „pięknie i wymyślnie" domy lubelskich mieszczan, dokonują także przebudowy zamku. Sam król Zygmunt I Stary przysyła z Krakowa malarza Błażeja, a następnie swego architekta Bartłomieja Berecciego, aby przyozdobili i przebudowali zamek w nowym, renesansowym duchu. Zainteresowanie monarchy lubelskim zamkiem tłumaczy m.in. fakt, że w latach 1473–76 budowla ta była stałą rezydencją dworu królewskiego. Z synami Kazimierza IV Jagiellończyka (a więc także z małym Zygmuntem) przebywał tutaj Jan Długosz. W Lublinie także złożył młodym królewiczom wizytę poseł wenecki – Ambroży Contarini.

Zamek, po przebudowie, staje się pierwszą prawdziwie renesansową budowlą w mieście. Do gotyckich murów przyzamkowej kaplicy p.w. Św. Trójcy, wnętrza której pokrywają wspaniałe rusko-bizantyjskie freski, dobudowuje się wczesnorenesansowy, italianizujący portal. To niezwykłe wymieszanie epok, kręgów kulturowych świadczy o wyjątkowym znaczeniu Lublina w owym czasie; jest on miejscem, gdzie spotykają się dwie wielkie kultury: Wschodu i Zachodu.

Na lata panowania Zygmunta I Starego przypada wspaniały rozwój polskiej kultury. Dokonuje się swoisty awans cywilizacyjny kraju, który czynnie uczestniczy w kulturowej integracji Europy. Dzisiaj – patrząc z perspektywy XX wieku – można stwierdzić, iż nigdy już takiej łączności z Europą Polska nie zdołała osiągnąć.

Złoty okres kultury polskiej – to także czas, w którym ma miejsce szybki rozwój dużych ośrodków miejskich, wśród nich Lublina. Staje się on jednym z najważniejszych miast Rzeczypospolitej. W Lublinie – dużym centrum wymiany handlowej, której towarzyszy wymiana kulturowa – styka się wiele narodowości: „Moskale, Tatarzy, Turcy, Wołochy, Żydzi, Niemcy, Węgrzy, oprócz Ormianów, Litwinów i innych krajowców" – jak pisze poseł wenecki Hieronim Lippomano, odwiedzający Lublin w 1575 roku. Obraz XVI-wiecznego nadbystrzyckiego grodu utrwalił także w swym *Sarmatiae Europeae descriptio* Aleksander Guagnini: *Lublin – miasto murowane, przekopą i stawami bagnistemi wkoło obtoczone. Zamek na górze wysokiej nad jeziorem wielkim zmurowany, nad głęboką przekopą okazałą leży. W tem właśnie mieście trzy razy do roku jarmarki bywają, przez cztery niedziele trwające: pierwszy na Świątki, drugi na śś. Szymona i Judy apostołów, trzeci na Oczyszczenia P. Maryi, święto Gromnicami pospolicie zowią. Na te jarmarki kupcy ze stron dalekich Turcy, Ormianie, Grekowie, Niemcy, Litwa i Moskwa, i inszy z okolicznych i dalekich krain obywatele zjeżdżają się. Żydzi niemal wszystko podzamcze na przedmieściu sami osiedli, tamże i synagogę albo bożnicę swą mają kosztowną.* Główny jarmark odbywa się na Rynku, który jest wówczas reprezentacyjną częścią miasta. Handluje się na nim – o czym wspomina w swym poemacie Roxolania Jan Sebastian Klonowic (rodowity lublinianin) – „skórami sobolimi, wilczymi, z kun, królików", „wiewiórczymi kitami", „łasicami miękkimi jak woda lecona", „wschodnimi bogatymi jedwabiami", „sabelskimi kadzidłami i wońmi", „sokami z winnicy Węgrzyna i Greka". Ściągają do Lublina kupcy z całego kontynentu i nie tylko: od Francji po Persję, od Anglii po Italię.

Z Lublina wywodzą się znakomici poeci, pisarze i medycy, by wymienić choćby Biernata z Lublina – „pierwszego autora książek polskich, męża bardzo uczonego i bardzo biegłego w języku polskim", czy Jakuba Lubelczyka, który dokona pierwszego przekładu „Psałterza" na język polski. Z wydanego przezeń *Psałterza Dawida, onego świętego króla i proroka, teraz na nowo pioseneczkami przełożonego*, korzystać będzie później przy swym przekładzie Jan Kochanowski. Z lubelskich medyków największą sławę zdobył Wojciech Oczko, nadworny lekarz królów polskich; nie ustępował mu Walenty Sierpiński z Lublina, który – po odbyciu studiów w Krakowie i Padwie – zasłynie w Europie wydając w roku 1554 dzieła swego paderewskiego profesora – Jana Montany. W tymże samym roku powstaje w Lublinie pierwsza drukarnia. Zakładają ją Józef ben Jakub i Izzak ben Chaim – zięć i syn drukarza Chaima Schwarza z Pragi czeskiej. Lublin jest w owym czasie dużym ogniskiem żydowskiego życia literackiego i naukowego. W 1567 roku powstaje tu słynna akademia talmudyczna. Kolejnymi jej rektorami są znakomici znawcy Talmudu: Salomon Luria, Mordechaj Jaffe, Rabbi Mair ben Gedalia, Maharszaj. Przybywają do lubelskiego jeszybotu – znanego z wysokiego poziomu nauczania – rabini i uczeni z całego świata. Lublin odwiedzają także najwybitniejsze polskie umysły tego okresu: Joachim Bielski, Jan Kochanowski, Szymon Starowolski, Szymon Szymonowic, Hieronim Morsztyn. Miasto odgrywa wówczas ważną rolę polityczną. W roku 1569 dochodzi tu do zawarcia unii polsko-litewskiej, od 1587 roku gród staje się siedzibą Trybunału Koronnego dla Małopolski.

W tak niesłychanie różnorodnej kulturowo atmosferze miasta powstaje w latach 1537–1548 jeden z najwspanialszych zabytków kultury polskiego odrodzenia, a z pewnością najświetniejszy dokument kultury muzycznej I połowy XVI wieku – Tabulatura Jana z Lublina.

***

Mieczysława Demska-Trębaczowa – badaczka dziejów muzyki na terenie Lubelszczyzny, tak oto rozpoczyna swój szkic poświęcony Janowi z Lublina: *Nie wiadomo kim był naprawdę: kopistą, spisującym utwory w tabulaturze zakonnikiem, bakałarzem, organistą, kolekcjonerem, teoretykiem czy kompozytorem?* Do słów tych mogę jedynie dodać własne wątpliwości. Wszystko, co napisano o tej postaci w ciągu ostatnich dziesięcioleci, opiera się na domysłach i przypuszczeniach.

Jan z Lublina był prawdopodobnie zakonnikiem klasztoru kanoników regularnych w Kraśniku – świadczy o tym napis na oprawie Tabulatury. Prawdopodobnie, gdyż jego imię nie figuruje w obejmującym I połowę XVI wieku spisie członków tegoż klasztoru. Jako ślad służyć mogą wzmianki w wykazach wychowanków Akademii Krakowskiej z przełomu XV i XVI wieku. Imię Ioannis de Lyublyn wymieniane jest dwukrotnie: po raz pierwszy obok tytułu „magisterium in artibus et philosophia", powtórnie przy określeniu „baccalariatus in artibus". Kuszącym byłoby utożsamianie „naszego" Jana z jednym z owych Janów... Kuszącym, lecz jednocześnie bardzo niepewnym – w Akademii Kazimierzowskiej w XV wieku studiuje 46 lublinian, a w wieku XVI – 64. Czy wśród nich był kraśnicki zakonnik, pozostanie niewiadomą na zawsze.

W roku 1907, gdy przejmowano zbiory biblioteczne po zmarłym kilka miesięcy wcześniej nieocenionym regionaliście – Hieronimie Łopacińskim – dużą, rękopiśmienną księgę z wytłoczonym na skórzanej oprawie napisem:

TABULATURA IOANNIS DE LYUBLYN
CANONICORUM REGULARUM
DE CRASNYC, 1540

zdecydowano się przekazać do zbiorów krakowskiej Akademii Umiejętności. Tam zajął się tym zbiorem doskonały polski muzykolog – Adolf Chybiński. Kilka lat później umieszcza on w „Kwartalniku Muzycznym" pierwszych sześć rozdziałów swej pracy o Tabulaturze Jana z Lublina. Dalsze rozdziały nie ukazały się już nigdy i pomimo iż od tamtego faktu minęło już ponad osiemdziesiąt lat – te kilkadziesiąt stron stanowi wciąż najpełniejsze źródło o Tabulaturze. Sama Tabulatura pozostawała nadal dziełem nieznanym. W czasach nam współczesnych czerpało z niej kilku kompozytorów, m.in. Andrzej Panufnik i Jan Krenz. Dopiero dzięki Jackowi Urbaniakowi i jego Zespołowi Muzyki Dawnej „Ars Nova" Tabulatura stała się ponownie obecna w świadomości odbiorców i twórców muzyki końca XX wieku. Gdy wysłucha się przepięknych instrumentalnych opracowań tańców z „przesławnej Tabulatury Janowej" wykonywanych przez zespół Jacka Urbaniaka – można wyobrazić sobie jak niepowtarzalna atmosfera panowała w renesansowym Lublinie.

Tabulatura Jana z Lublina jest najobszerniejszą (ok. 520 stron) tabulaturą organową XVI-wiecznej Europy. Zawiera ona ok. 300 utworów muzycznych. Spotykamy wśród nich kompozycje pochodzenia polskiego, francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego. Ten szalenie zróżnicowany, wręcz przebogaty zbiór to niezwykłe świadectwo ówczesnej kultury muzycznej nie tylko Lubelszczyzny, ale także całej Rzeczypospolitej.

Na ulicach renesansowego Lublina można było zapewne spotkać igrców (zwanych z łac. *clerici-vagantes*), którzy śpiewali wesołe, frywolne piosenki znajdując posłuch pośród klienteli karczmy i szynku. Odwiedzali również Lublin wałęsający się po miastach całej Europy żebracy, czeladnicy, czy po prostu zwykli włóczędzy. W mieszczańskich domach śpiewano – oprócz polskich piosenek – niemieckie Lieder, sentymetnalne francuskie chansons, włoskie frottole i krótkie, prościutkie „wilaneczki". Studiujący we Włoszech lublinianie przywozili „wołoskie piosnki", a przybywający do miasta kupcy z Zachodu, Południa i Wschodu – swe rodzime pieśni i tańce. Wielu z obcych przybyszów osiedlało się w Lublinie na stałe.

Zapisane przez Jana z Lublina w Tabulaturze pieśni świeckie są nielicznymi, jakie zachowały się do naszych czasów. Zwalczane były zajadle przez duchowieństwo, gdyż „jak morskie syreny głaszczą uszy pańskie" i „nie służą moralnemu doskonaleniu", lecz „ku wielkiemu zwłaszcza młodych ludzi zgorszeniu a skażeniu". Dlatego też objęte były kościelnym zakazem notacji. Dzięki nieposłusznemu skryptorowi z Kraśnika możemy zapoznać się z wieloma utworami o niepodważalnym pięknie. Jako przykład może tu posłużyć pieśń „Oczy me miłe". Do zachowanego w lubelskiej Tabulaturze zapisu nutowego uczeni odnaleźli w innej tabulaturze z XVI wieku tekst:

Oczy me miłe, dokąd nie ujrzycie
Wesela swego, nie chciejcie się smęcić,
Nie chciejcie mię w żałości mej wydawać.

Serca w tej mierze hamować nie mogę,
Które w tej jednej wszystko swe wesele,
wszystkę nadzieję swoję położyło.

I tak rozumiem, iż ciężko przychodzi
w serdecznym żalu, w utrapionej myśli
Na wesołą się postawę zdobywać.

Wszakoż nadzieja niech was smutne cieszy
W waszej żałości, a za pewne wiedzcie,
Iż w rychle swoję miłą oglądacie.

Ona, jeśli tak, jako okazuje
Postawą swoją, wiernie mię miłuje,
Wierzę, iż czeka przyjechania mego.

I o to stoi, aby mię w zdrowiu
Oględać mogła, w czym ją, mocny Boże,
Pociesz, a dla niej racz i mnie zachować.

Utwór ten – jeden z pierwszych polskich madrygałów – świadczy o niezwykle wysokim kunszcie warsztatowym jego twórcy, który nawiązywał do włoskich petrarkistów.

Drugi madrygał zapisany w Tabulaturze, już może o nie tak wyrafinowanej formie jak poprzedni, nosi tytuł „Ależ nade mną Venus". Autorem jego jest Mikołaj z Krakowa (Nicolaus Cracoviensis). Najcelniej utwór „o Venusie a zdradnej miłości" scharakteryzowała Ewa Obniska – znakomita znawczyni muzyki dawnej: *Prosty, choć pełen naiwnego uroku tekst mówi o porzuconej dziewczynie, która skarży się: „mniemałam, iż sama Wenus mieszka z nama". Pieśń Mikołaja z Krakowa* [...] *nie operuje na ogół zbyt skomplikowanymi środkami technicznymi, odznacza się jednak niezwykle piękną, bogatą i płynną melodyką. Ta muzyka o wyraźnie świeckim obliczu wyrasta z urzeczenia zmysłowymi walorami dźwięku. Głęboko osobisty ton pieśni wzrusza nas pod dziś dzień zawartym w niej szczerym, niekłamanym przeżyciem.* Madrygał – jako wytwór włoskiej kultury muzycznej – cechuje wytworność i elegancja. Wykonywany on był w patrycjuszowskich domach lub na magnackich dworach, a więc dla elitarnego słuchacza.

Niezwykłą wartość przedstawiają zawarte w Tabulaturze tańce. Zapisał ich Jan Lubelczyk aż trzydzieści sześć. Niezwykle trudne jest jednoznaczne określenie pochodzenia każdego z nich, np. taniec „Jeszcze Marcinie" wydawałby się polskim, lecz jednocześnie pierwsze słowa tekstu stanowią początek popularnej francuskiej piosenki. Bardzo ciekawym jest taniec o przepięknym staropolskim tytule: „Zakłułam się tharniem na jeden skok". Adolf Chybiński dopisał dalsze słowa: *Zakłułam się tarniem... skaleczyłam*

nogę, kiedy inni tańczą, ja tańczyć nie mogę. – Zakłułam się tarniem, jakże mogę skakać, w kącie mnie postawią, gorzko będę płakać. Utwór ten, jak i inne z Tabulatury, zdradza wpływy rodzimego folkloru. Lubelska Tabulatura jest więc nie tylko miejscem gdzie spotykały się tradycje wielu narodów, lecz także kultura dworska z kulturą ludową, plebejską.

O tym, iż taniec „Zakłułam się cierniem" był znany poza granicami Polski, świadczy zanotowanie go w wielu Tabulaturach zachodniej Europy: francuskiej P. Attaingnanta (1530), holenderskiej T. Susato'a (1531), niemieckich H. Newsidlera (1554), W. Heckela (1562) i E. N. Ammerbacha (1571). Równie popularnym w Europie był polski taniec pochodzenia węgierskiego – „Hayducki". Zachował się on do dzisiaj także w tradycji ustnej mieszkańców Podhala i Małopolski.

W czasach Janów – z Lublina, z Czarnolasu, z Ludziska – wiele tańców stanowiło dobro kulturalne całej Europy; stąd obecność w Tabulaturze kraśnickiego zakonnika przeróbek tańców zachodnioeuropejskich. Tańczono wówczas niemieckie: „Conradus", „Ferdinando" czy „Paur Thancz", włoskie „Italikę" i „Rocal fusa" oraz „Bona cat". Kopista przekręcał często melodykę, a także same tytuły, np. „Rocal fusa" to właściwie „La rocha'l fuso", jak odnotowują go tabulatury włoskie i niemieckie. Ostatnimi tańcami w Tabulaturze są taniec hiszpański („Hispanicum") oraz kilka francuskich.

Renesans to czas, w którym kształtuje się dopiero muzyka czysto instrumentalna. W Tabulaturze Jana z Lublina jest wiele transkrypcji organowych utworów wokalnych mistrzów europejskiej polifonii o charakterze religijnym oraz utworów wyłącznie instrumentalnych (np. preludia organowe). Większość zapisów jest anonimowa. Po żmudnych pracach udało się zidentyfikować autorstwo trzech polskich twórców: Mikołaja z Krakowa, Mikołaja z Chrzanowa i Seweryna Konia. Tabulatura zawiera w przeważającej części repertuar zachodnioeuropejski – utwory ok. 20 kompozytorów, wśród których spotykamy znakomite nazwiska: Clément Janneguin, Josquin des Prés, Constanzo Festa, Claude de Sermisy, Philippe Verdelot, Ludwik Senfl, Heinrich Finck. Kompozycje tych najwspanialszych twórców ówczesnej Europy grywano w lubelskich kościołach, co stanowi dowód niezwykle ożywionych kontaktów kulturalnych Lubelszczyzny z całym kontynentem.

Tabulaturę z Kraśnika poprzedza uczony wstęp pt. „Ad faciendum cantum coralem in discanto tenore et basso sex sunt niecessaria quibus debet uti omnis organisator..." Jest to rodzaj teoretycznego traktatu muzycznego, w którym w sposób bardzo twórczy uwzględniono, popierając licznymi przykładami, najnowsze osiągnięcia techniki kompozytorskiej (m.in. sztukę kontrapunktu, imitacji). Zbiór zamyka także dzieło teoretyczne, traktujące z kolei o praktyce wykonawczej muzyki organowej. Należy tutaj stwierdzić, iż dwa traktaty z Tabulatury Jana z Lublina stanowią istotny wkład w rozwój myśli muzycznej.

Nie zachowały się, niestety, do naszych czasów (nie licząc kilku zdawkowych wzmianek) informacje o życiu muzycznym renesansowego Lublina. Oprócz kościołów, gdzie kultywowano muzykę religijną, muzyka towarzyszyła uroczystościom państwowym (miasto opłacało zespół trębaczy) oraz (co oczywiste) rodzinnym. Na dworach muzykę wykonywano nawet podczas trwania dłuższych posiłków. Wiadomo także o grywaniu – w celach zarobkowych – muzyków żydowskich, włoskich i niemieckich. Zawód muzy-

ka nie należał do profesji przynoszącej duże zarobki. Biernat z Lublina w swej zabawnej bajce o muzyku pisze:

Komór zimie, kiedy umarzł
i co by jadł, już nie nalazł
do pczół się nędznik pokusił,
zaby żywność uprosił;
a za to im obiecywał
jeśliby u nich przemieszkał,
ich dzieci uczyć piskania
gędźby i wszego śpiewania.
Tedy mu rzekła jedna pczoła
„Złać, komorze, twoja szkoła,
wszyscy twoi uczniowie
muszą być nędznikowie.
Myć swoje dzieci uczymy,
co im pożyteczne wiemy
Prace, miary, aby miały,
indzi chleba nie żebrały.

***

W zachodniej pierzei lubleskiego rynku, na elewacji kamienicy pod numerem 16, widnieją dwa medaliony: Henryka Wieniawskiego i Jana z Lublina. O ile postać pierwszego muzyka jest raczej znana, to wiedza o Janie Lubelczyku jest bardzo znikoma i posiadają ją nieliczni. A jest przecież Jan z Lublina twórcą wspaniałego świadectwa ogromnej różnorodności kulturowej – największego bogactwa lubelskiej ziemi.

Bibliografia (ważniejsze pozycje):

1. M. Bałaban, *Żydowskie Miasto w Lublinie*, przekł. J. Doktór, Lublin 1991.
2. K. Budzyk, *Szkice i materiały do dziejów literatury staropolskiej*, Warszawa 1955.
3. A. Chybiński, *Słownik muzyków dawnej Polski do roku 1800*, Kraków 1949.
4. M. Demska-Trębaczowa, *Sławni, znani, zapomniani. Szkice o muzykach Lubelszczyzny*, Lublin 1983.
5. *Dzieje Lublina* [zbior.], t. I, Lublin 1965.
6. H. Feicht, *Musikalische Beziehungen zwischen Österreich und Altpolen und Grazer Beiträge zur polnischen Musikgeschichte* [w:] *Opera Musicologica Hieronymi Feicht*, t. III, *Studia nad muzyką polskiego renesansu i baroku*, Kraków 1980.
7. H. Gawarecki, Cz. Gawdzik, *Ulicami Lublina*, Lublin 1976.
8. H. Gawarecki, M. Stankowa, *Trybunał Koronny lubelski* [w:] *Kalendarz Lubelski 1970*, Lublin 1970.
9. A. Grychowski, *Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich. Od średniowiecza do 1918 r.*, Lublin 1974.
10. A. Grychowski, *Udział mieszczan lubelskich w życiu kulturalnym Polski XV i XVI w.* [w:] *Kultura i Życie* nr 3, 1954.
11. S. Grzeszczuk, *Z problemów ludowości* [w:] *Problemy Literatury Staropolskiej. Seria Trzecia*, pod red. J. Pelca, Wrocław 1972.

12. A. Gwagnin, *Kronika Sarmacyjej Europejskiej...*, Warszawa 1611.
13. Cz. Hernas, *Staropolska pieśń ludowa (problemy źródeł i metodologii)* [w:] *Z polskich studiów slawistycznych, Seria 2., T. 2. Nauka o literaturze. Prace na V Międzynarodowy Kongres Slawistów w Sofii 1963*, Warszawa 1963.
14. Z. Jachimecki, *Muzyka polska w rozwoju historycznym*, T. I, Kraków 1948.
15. A. Kossowski, *Protestantyzm w Lublinie i w Lubelskiem w XVI–XVII w.*, Lublin 1933.
16. M. Kromer, *Polska czyli o położeniu, ludności, obyczajach, urzędach...*, przekł. S. Kazikowski, Olsztyn 1984.
17. J. Krzyżanowski, *Paralele. Studia porównawcze z pogranicza literatury i folkloru*, Warszawa 1977.
18. M. Kurzątkowski, *Zamek lubelski i początki renesansu na Lubelszczyźnie*, *Studia i Materiały Lubelskie*, t. 7, Lublin 1976.
19. Z. Lissa, J. Chomiński, *Muzyka polskiego Odrodzenia*, Warszawa 1953.
20. *Lublin w dokumencie 1317–1967*, wybór i oprac. F. Cieślak, H. Gawarecki, M. Stankowa, Lublin 1976.
21. S. Łempicki, *Renesans i humanizm w Polsce. Materiały do studiów*, Warszawa 1952.
22. H. Łopaciński, *Z dziejów cechu mularskiego i kamieniarskiego w Lublinie*, Kraków 1899.
23. B. Mandelsburżanka, *Z dziejów Żydów w Lublinie w XVI i XVII w.*" [w:] *Przegląd Krajoznawczy* nr 9, 1928.
24. *Muzyka staropolska*, pod red. H. Feicht, Kraków 1966.
25. B. Nowak, *Pozycja majątkowa rzemieślników lubelskich w I połowie XVI wieku* [w:] *Nędza i dostatek na ziemiach polskich od średniowiecza po wiek XX. Materiały sesji zorganizowanej przez IHKM PAN 20–20 maja 1991 r. w Warszawie*, Warszawa 1992.
26. B. Obnińska, *Muzyka dawna*" [w:] *Dzieje muzyki polskiej w zarysie* [zbior.], Warszawa 1983.
27. *Patrzę na rozmaite światа tego sprawy. Antologia polskiej poezji renesansowej* oprac. J. Sokołowska, Warszawa 1984.
28. J. Pelc, *Europejskość i polskość literatury naszego renesansu*, Warszawa 1984.
29. J. Pelc, *Renesans w literaturze polskiej. Początki i rozwój* [w:] *Problemy Literatury Staropolskiej. Seria pierwsza*, pod red. J. Pelca, Wrocław 1972.
30. H. Plutta, *Interludia lubelskie. Wieki*, Lublin 1962.
31. J. Polańska, *Lublin XV i XVI wieku w opinii współczesnych* [w:] *Studia i Materiały Lubelskie*, t. II, Lublin 1986.
32. P. Rybicki, *Odrodzenie* [w:] *Historia nauki polskiej*, T. I, pod red. B. Suchodolskiego, Wrocław 1970.
33. H. Samsonowicz, *Handel Lublina na przełomie XV i XVI w.* [w:] „Przegląd Historyczny", R. 1968 (LIX), z. 4.
34. I. Strzelnikowa, *Drukarstwo lubelskie w XVI i XVII wieku* [w:] „Bibliotekarz Lubelski", R. 1971, nr 3–4 (62–63).
35. R. Szczygieł, *Zmiany centrum handlowego Lublina od XIV do XVII wieku* [w:] *Kwartalnik Historii Kultury Materialnej*, R. 1992 (XL), nr 3.
36. Z. M. Szweykowski, *Kultura wokalna XVI-wiecznej Polski*, Kraków 1957.
37. J. Szotc, *Tabulatura Jana z Lublina* [w:] *Kalendarz Lubelski. 1976*, Lublin 1976.
38. J. Ślaski, *Humanizm w Polsce doby renesansu oraz pogranicza baroku. Szkic problematyki* [w:] *Problemy Literatury Staropolskiej. Seria trzecia*, pod red. J. Pelca, Wrocław 1978.
39. J. Tazbir, *Polski renesans wobec przeszłości* [w:] *Jan Kochanowski i kultura Odrodzenia*, zbior pod red. Z. Libery i M. Żurowskiego, Warszawa 1985.
40. J. Tazbir, *Spotkania z historią*, Warszawa 1979.
41. *36 tańców z tabulatury organowej Jana z Lublina (ca 1540) (na klawesyn lub fortepian)*, oprac. A. Chybiński, Kraków 1948.
42. [J.] Woroniecki, *Pobyt Długosza na zamku Lubelskim 1473–1476*, Lublin 1913.

TEATR NN
„SCRIPTORES SCHOLARUM"
ul. Grodzka 34
20-112 LUBLIN

Ogłoszenie wyników konkursu pod hasłem:

„Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego"

Teatr NN oraz redakcja kwartalnika uczniów i nauczycieli „Scriptores Scholarum" ogłaszają wyniki konkursu literacko-dziennikarskiego dla młodzieży szkolnej pod hasłem „Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego". Na konkurs zgłoszonych zostało siedemnaście prac prezentujących różne gatunki literackie i publicystyczne.

Komisja konkursowa w składzie: Sławomir Żurek – redaktor naczelny „Scriptores Scholarum", Tomasz Pietrasiewicz – dyrektor Teatru NN oraz Grzegorz Żuk – z-ca redaktora naczelnego „Scriptores Scholarum", pracownik Teatru NN, postanowiła na posiedzeniu w dniu 28 listopada 1995 przyznać nagrody następującym autorom:

1. pierwszą nagrodę i sumę pięciuset nowych złotych Jackowi Maj godło „Lub" uczniowi trzeciej klasy Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie za szkic muzykologiczny „Tabulatora Ioannis de Lyublyn".
2. drugą nagrodę i sumę trzystu nowych złotych Agnieszce Walko i Katarzynie Grzybowskiej godło „Fileo" za esej „Spotkanie w synagodze."
3. trzecią nagrodę i sumę stu nowych złotych Katarzynie Świerszcz godło „Kamionka" uczennicy trzeci klasy Liceum Ogólnokształcącego w Lubartowie za reportaż historyczny „Moja Kozłówka".

Wszystkie prace zostaną opublikowane w dziesiątym zeszycie „Scriptores Scholarum" – Spotkania kultur. Jednocześnie organizatorzy dziękują wszystkim autorom nadesłanych prac za udział w konkursie.

Sławomir Żurek
Tomasz Pietrasiewicz
Grzegorz Żuk

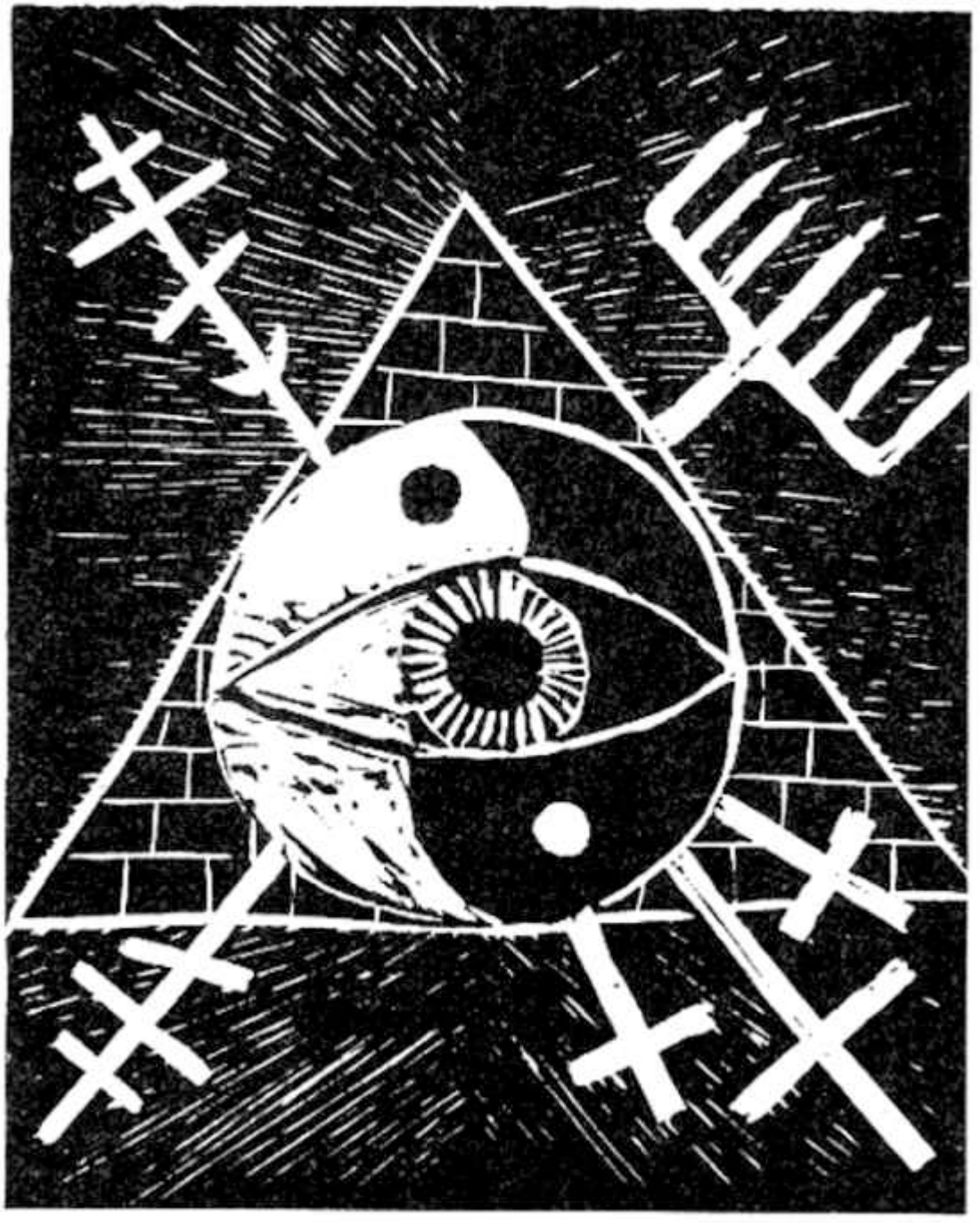

Spotkania kultur – religie

Ireneusz Ziemiński

Monolog Boga
(scenka)

Wszedł Bóg późną nocą do celi klasztornej i usiadł w kąciku. Obserwował zapracowanego mnicha, skrobiącego piórem po papierze przy słabym blasku dogasającej świecy. Jakby zawstydzony odezwał się ciepło:

– Ciężko pracujesz, sługo mój wierny. Twoja biblioteka większa jest nad moje zbiory niebiańskie. Muszę się pochwalić, że czasami czytam zapisane przez ciebie foliały; przyznaję, że wiele w nich mądrości. Niekiedy zwołuję nawet konsylium anielskie, by zaczerpnąć wyjaśnień co do pewnych kwestii. A bywa, że i po Lucyfera samego poselstwo wysyłam, wszak on najbardziej jest biegły w świętej nauce. Ciężka twa praca, przyznaję otwarcie. Budzi moje uznanie i wielki szacunek. Podziwiam twoją wytrwałość w zgłębianiu tajemnic. Choć przyznam szczerze, że nie myślałem nigdy, iż moja osoba tak jest tajemnicza i skomplikowana. Na początku trochę mi nawet schlebiało – uśmiechnął się lekko – gdy przeczytałem, że nieskończone są me atrybuty i niepojęta istota, której w ludzkie słowa nikt ująć nie zdoła. Dziś jednak nachodzi mnie smutek i melancholia, gdy zrozumiałem z twych uczonych ksiąg, że ja tylko sam siebie zrozumieć potrafię. Bo muszę wyznać, że wielki na mnie wysiłek włożyłeś tym zdaniem – siebie zrozumieć, którym jest istotą nieskończoną i wieczną, jedną naturą pośród trojga osób, jedną substancją, w której mimo nieskończoności cech i właściwości nie masz podziału ani zróżnicowań. Takąż więc byłbym istotą, która jedno z istnieniem i takimże istnieniem, które jednym jest z istotą? Zaiste, przyznam, piękne to są słowa, ciąg twoich dowodów jak anielskie poematy zniewala koniecznością nieodpartych wniosków. Tym niemniej...

Zapadł w milczenie, jakby o czymś intensywnie myślał.

– Czy masz może odrobinę tytoniu i reńskiego wina? – zapytał po chwili. – Widzisz, czasami lubię tak sobie fajkę zapalić i przy kominku posiedzieć. Tytoń i wino to wielkie wynalazki człowieka. Rozjaśniają umysł, rozweselają serce... Kiedy mam rozwiązać jakiś problem, który nasuwają mi twoje księgi, siadam przy kominku paląc fajkę i sącząc szklaneczkę wina...

Delektował się przez chwilę winem. Potem zapalił fajkę i wypuszczając z ust kółka dymu wpatrywał się w nie w milczeniu. Po chwili zaczął znowu:

– Czasami lubię popatrzeć na świat, który stworzyłem. Zwłaszcza rano, kiedy ludzie biegną na pola oddać pokłon stworzeniu a kochankowie całują się czule, przytuleni do

siebie po rozkoszach nocy. Wydaje mi się wtedy, że świat, który stworzyłem, choć może nie jest najdoskonalszy z możliwych wbrew próbom usprawiedliwienia mnie, jakie podjąłeś w bodajże siódmym tomie twoich dzieł – uśmiechnął się – to jednak na tyle znośny a przede wszystkim prosty, że ludzie potrafią go zrozumieć. Kiedy widzę, jak dzieci radośnie ganiają motyle albo jak wesoły staruszek rzuca okruchy chleba łabędziom w sadzawce, ogarnia mnie myśl, że jestem prosty i nieskomplikowany, obecny w radości dzieci, wesołości staruszka czy uścisku kochanków.

Popił trochę wina.

– W gruncie rzeczy mam zrozumienie dla ludzkich słabości, dlatego nie miałbym nic przeciwko, gdybyś czasami porzucił księgi i zwrócił swe zmęczone oczy ku jakiejś łani, której ciepłe łono kryje więcej tajemnic i piękna, niż spopielałe pergaminy świętej nauki. Nie żądam bynajmniej od ciebie abyś spędzał dnie bijąc czołem o posadzkę świątyń a nocami studiował przekaz apostolski...

Popatrzył w ogień błyszczącymi oczyma.

– Nie wiem, może się mylę, ale tak właśnie siebie rozumiem. – Pogładził swą brodę. – Pewnie nudzę ciebie, gdy zajęty jesteś budowaniem kolejnego sylogizmu i sprawdzasz, czy termin średni nie został użyty ekwiwokatywnie – chyba dobrze powiedziałem, prawda? – ale tak właściwie przyszedłem do ciebie po naukę. Sądziłem, że ty będziesz najbardziej kompetentny, wyłączając oczywiście Lucyfera, który tak jest przebiegły, że ilekroć z nim rozmawiam, myśli mi mąci i wolę oślepia. Stąd przyszedłem do ciebie, ażeby zapytać, czy dobrze siebie rozumiem, to znaczy, czy nie popadłem przypadkiem w herezję, którą udowodniłeś ostatnio w sposób tak niezbity choćby Kasjanowi... Trochę się przeraziłem, bo spalili go tak skutecznie, że ledwo strzępy jego duszy dotarły do nieba a istniała nawet obawa, że cała jego nieśmiertelna istota z dymem uleci... Przyznać trzeba – dodał z gniewem i urazą w głosie – że dobrze was ten grecki Lucyfer, Prometeusz, wyszkolił... Ale wracając do rzeczy – chciałbym zdobyć pewność, czy przypadkiem nie jestem w niezgodzie z ustaleniami ostatnich soborów... Rozumiesz, byłoby chyba trochę nie w porządku, gdybym to ja w niebie herezje rozgłaszał, więc przyszedłem zapytać, czy aby nie błądzę...

Patrzył niepewnym wzrokiem na mnicha siedzącego obok. Ten wstał i sięgnąwszy po obszerny tom z półki zaczął go wertować. Po chwili odłożył go zakreśliwszy coś piórem w trzech miejscach i sięgnął po tom następny. Znowu coś zakreślił i przeglądał dalsze woluminy.

Bóg patrzył z podziwem i lękiem. Wreszcie powiedział:

– Przepraszam, nie chciałem ci sprawić kłopotu. Może przyjdę innym razem, to widać ciężki problem nie tylko dla mnie. Miałeś rację – dodał po chwili – że żaden język tego ująć nie zdoła, kim jestem naprawdę...

Wstał, podziękował za wino, oczyścił fajeczkę i schowawszy ją do kieszeni pożegnał się z mnichem. Płomień dogasał w kominku. Jeszcze przez krótką chwilę słychać było odgłos powolnych, zmęczonych, oddalających się kroków.

(1992)

• Spotkania religii:

Ewa Busse

judaizm

Szalom!

Spotkanie redakcji „Scriptores Scholarum" z rabinem Michaelem Shudrichem w Synagodze Nożyków w Warszawie

„Scriptores Scholarum": *Jaka jest struktura wewnętrzna synagogi?*

Rabin Michael Shudrich: To, co widzicie przed sobą to „aron ha-kodesz" – święta szafa, gdzie znajduje się Tora. „Aron ha-kodesz" zawsze pokazuje kierunek Jerozolimy, co w Europie oznacza kierunek wschodni, ponieważ Jerozolima jest świętym miejscem dla Żydów. Oprócz tego zwyczaj ten jest zawarty w cytacie z ks. Daniela, który stwierdza, że Daniel modlił się stojąc twarzą w kierunku Jerozolimy. To miejsce tutaj nazywa się „bimą", usytuowane jest ono w centrum synagogi i jest to miejsce, na którym leży Tora czytana podczas nabożeństw. W tradycyjnej synagodze mężczyźni siedzą w miejscu oddzielnym niż kobiety, są oddzieleni. Na przykład tutaj sekcja męska jest na dole, natomiast żeńska na górze. Oczywiście teraz kobiety mogą siedzieć z mężczyznami z tego powodu, że obecnie nie odbywa się modlitwa. To wszystko co widzicie tutaj w górnych partiach synagogi na balustradzie, to są wyłącznie dekoracje. Dekoracje te nie posiadają żadnego specjalnego, mistycznego znaczenia. Ich jedyną funkcją jest upiększenie synagogi. Jedyną rzeczą, która została ze Świątyni Jerozolimskiej jest światło, które znajduje się nad „aron ha-kodesz" nazywane „ner tamid" – co znaczy wieczne światło. Światło to posiada swoje znaczenie symboliczne. Mianowicie tym światłem jest Tora.

„Scriptores Scholarum": *Jaka jest historia tej synagogi, w której się znajdujemy?*

Rabin Michael Shudrich: Została ona zbudowana na początku XX wieku. Była ona całkiem dużą synagogą, ale nie należała do największych. Największa synagoga w Warszawie stała na placu Bankowym, znajdowała się po drugiej stronie Ratusza. Obecnie miejsce synagogi zajmowane jest przez tzw. „błękitny wieżowiec". Synagoga ta była rzeczywiście bardzo duża i była znana w całym żydowskim świecie. Wielka synagoga w Warszawie została zni-

szczona przez nazistów w roku 1943. Naziści potraktowali zburzenie synagogi jako symbol ostatecznego stłumienia powstania w getcie. Fundatorem synagogi był człowiek o nazwisku Nożyk. W ciągu żydowskiej historii przyjął się taki zwyczaj, że jeśli ktoś chciał przekazać jakiś datek na rzecz synagogi to najlepszym wyjściem było zbudowanie synagogi. W żydowskiej tradycji nie istniał zwyczaj budowania dużych synagog. Ograniczano się raczej do budynków, które mogły pomieścić trzydziestu, czterdziestu modlących się. Za to były one częściej rozmieszczane. Te małe synagogi były nazywane „sztiblami". Zwyczaj budowania małych synagog wywodzi się z tradycji chasydzkiej. Żydzi wywodzący się z Europy Środkowej i Wschodniej budowali zazwyczaj małe synagogi, natomiast zwyczaj budowania dużych synagog pojawił się wśród Żydów niemieckich. W czasie wojny naziści przeznaczyli tą synagogę na skład, a również jako stajnię dla koni. Innym powodem, dla którego ta synagoga przetrwała był fakt, że getto warszawskie było podzielone na dwie części: duże getto i małe. (Obecnie znajdujemy się w najbardziej południowej części małego getta.) Do końca 1943 roku małe getto zostało opuszczone przez Żydów. W 1943 roku, podczas powstania w getcie żadne walki tutaj się w zasadzie nie toczyły, gdyż nie było powodu. Ponieważ w kwietniu 1943 roku w czasie powstania w getcie nie toczyły się tutaj żadne walki, nie istniał też żaden powód aby zburzyć tę część miasta. Synagoga zaczęła być powtórnie użytkowana natychmiast po wyzwoleniu Warszawy. Już w połowie 1945 roku zaczęto się tutaj modlić. Modliły się tu osoby, które właśnie wyszły z kryjówek, lub też wróciły z obozów koncentracyjnych. Oczywiście synagoga była w bardzo złym stanie. Została odrestaurowana dopiero we wczesnych latach 80-tych. Jeszcze za czasów stanu wojennego, co zakrawa na ironię, ponieważ było to jedno z przedsięwzięć Wojciecha Jaruzelskiego, mające na celu tworzenie jego pozytywnego obrazu na Zachodzie. Odnowienie synagogi było jedną z największych niespodzianek, które przydarzyły się w gminie warszawskiej.

„Scriptores Scholarum": *Kto przewodniczy liturgii w synagodze?*

Rabin Michael Shudrich: Liturgii w synagodze przewodniczy „hazzan". Wydaje się rzeczą interesującą w żydowskiej tradycji, że nie potrzeba żadnego specjalnego przygotowania aby zostać „hazzanem" (kantorem) przewodniczącym liturgii. Innymi słowy, każdy kto zna język hebrajski i potrafi czytać modlitwy może nim zostać. Oczywiście są specjalni, uczeni, przygotowywani „hazzani" w celu prowadzenia wyjątkowo ważnych modlitw lub też prowadzenia nabożeństw w czasie) szabatu" itp. Tak więc w zasadzie każdy Żyd może prowadzić nabożeństwo. Jednakże w tradycji przyjęło się, że w czasie świąt lub szabatu robi to osoba, która dysponuje głosem silniejszym niż większość głosów w społeczności.

„Scriptores Scholarum": *Co oznacza w synagodze Gwiazda Dawida?*

Rabin Michael Shudrich: Gwiazda Dawida znana wszystkim, w rzeczywistości nie ma bardzo starego rodowodu. Zaczęła być używana jako popularny symbol żydowski dopiero niecałe sto lat temu. Oczywiście była znana i używana jako symbol żydowski o wiele wcześniej, ale swoją obecną pozycję

zdobyła kilkadziesiąt lat temu. Wcześniejszym żydowskim symbolem była „menora" (siedmioramienny świecznik). Nie wiem dlaczego Gwiazda Dawida przejęła funkcję menory, która była pierwotnym symbolem świątyni. Jedno z wytłumaczeń jest następujące: Gwiazda Dawida jest łatwiejsza do narysowania.

„Scriptores Scholarum": *Dlaczego zajął się Pan historią Żydów?*

Rabin Michael Shudrich: W czasie kiedy studiowałem historię Żydów na uniwersytecie, ktoś mnie zapytał: „Dlaczego właśnie się tym zajmuję?" Cztery tysiące lat historii, to zbyt dużo, żeby się nauczyć. Lepiej zająć się historią hippisów w Ameryce, która jest o wiele krótsza bo tylko dziesięć lat. Poza tym Żydzi słyną z posiadania wielu praw. Wierzymy, że Bóg dał nam 613 przykazań, które są oczywiście zawarte w Torze. Kwestią, która mnie interesowała było to, jaki jest związek pomiędzy prawem a duchowością? W wielu kulturach prawo jest bardzo często postrzegane jako coś wręcz przeciwnego do duchowości. Filozofia judaizmu pojmuje tę kwestię zgoła inaczej. W judaizmie dusza i ciało są ze sobą połączone. Duch a w zasadzie koncepcje, idee, pomysły, również powinny znaleźć swoje połączenie ze światem materii. Stąd, skoro już istnieje idea, nie wystarczy ją posiadać by myśleć, nie wystarczy w nią wierzyć, trzeba ją również wprowadzić w życie. Idea pozostająca w sferze teorii ma bardzo ograniczoną wartość. Tak więc jeśli wierzymy, że powinien być w naszym kalendarzu dzień odpoczynku, to nikt nie powinien decydować samodzielnie o tym, jak ten dzień spędzić. Musi istnieć ogólny obowiązujący wzór. Stąd też mamy prawa, które wyliczają, co jest zabronione w szabat. Ponieważ istnienie prawa jest warunkiem przejścia teorii w praktykę. Następny przykład. Żydom wolno jeść tylko niektóre gatunki zwierząt, a co więcej muszą być one zabite w określony sposób. To również nie wystarczy, mięso musi być jeszcze pozbawione krwi poprzez nasolenie i namoczenie. A to z tego względu, że Żydom nie wolno spożywać krwi.

„Scriptores Scholarum": *Czy istnieje dzisiaj życie religijne Żydów w Polsce?*

Rabin Micheal Shudrich: W 1939 roku przed wybuchem II wojny światowej, zgodnie ze spisem ludności społeczność żydowska w Polsce stanowiła 10 % całej jej populacji. Oczywiście nie chcę się teraz tutaj wgłębiać w rozważania czym naprawdę jest Polska. 90 % wszystkich Żydów w Polsce było zabitych podczas wojny. Ale to oznacza, że 10 % przeżyło. Czyli 300–350 tysięcy. Z tych 300 tysięcy około 250 tysięcy schroniło się podczas wojny w Związku Radzieckim. Reszta, czyli 50 tysięcy przetrwała albo w ukryciu, albo w obozach koncentracyjnych. Po wojnie przeważająca większość ocalałych Żydów zdecydowała się opuścić Polskę. Istniało całe mnóstwo powodów. Pierwszym i w zasadzie chyba najważniejszym był fakt, że Polska była miejscem gdzie zginęły rodziny wielu Żydów. Oczywiście nie chodziło o to, kto zabił tych ludzi. Faktem pozostało jednak to, co zdarzyło się na tej ziemi. Drugim powodem było to, że większość Żydów nie chciała żyć pod rządami komunistycznymi. Oczywiście część Żydów była komunistami, ale nie znaczy to, że wszyscy Żydzi byli nimi. Jestem przekonany, że w 1945 roku większość ocalałych Żydów z holokaustu była jednak przeciwna

komunizmowi. Nie z powodu holokaustu jako takiego, tylko z powodu tego co Stalin wyczyniał w latach 30-tych. Trzecim powodem był fakt, że istniała część populacji polskiej, która była niechętna Żydom, i która nie chciała ich powrotu do miejsc zamieszkania sprzed wojny. Różne źródła szacują, że tuż po zakończeniu II wojny światowej z rąk Polaków zginęło 1200 Żydów. Wyobraźmy sobie taką sytuację. Jesteście Żydami i wracacie do swojego miasteczka po wojnie, które liczy około 200 tysięcy mieszkańców. Ale 150 tysięcy z nich nie chce waszego powrotu. Chcą was po prostu zabić. Prawdopodobnie zdecydowalibyście się na wyjazd. Tak więc większość ocalałych opuściła Polskę tuż po wojnie. Generalnie sprowadzało się to również do stwierdzenia, że trudno było prowadzić życie w Polsce. Teraz zaczynam odpowiadać na pytanie. Większość Żydów która zaczęła prowadzić religijne życie opuściła Polskę. Żydów którzy pozostali w Polsce można się było doliczyć na palcach obu rąk. Była to zaledwie garstka. Była również druga strona medalu. Byli Żydzi, którzy postanowili zerwać z judaizmem i pozostać w Polsce. W związku z tym nigdy nie powiedzieli swoim dzieciom ani swoim wnukom o swoim rodowodzie. Z tego powodu wiele dzieci z takich rodzin w ciągu ostatnich 40–50 lat było bez żadnej świadomości swoich korzeni. Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero jakieś kilka lat temu, po upadku komunizmu w Polsce. Tak więc mamy obecnie taką sytuację, że do synagogi przychodzi o wiele więcej młodych Żydów niż było to dwa, czy trzy lata temu. To jest oczywiście początek procesu. Nie znamy jeszcze zakończenia.

„Scriptores Scholarum": *Czy rytuał chasydzki mógł być odprawiany w synagodze takiej jak ta? Czy mieli oni jakby swoje miejsca osobne?*

Rabin Michael Shudrich: To bardzo ciekawe pytanie. Najprostszą odpowiedzią jest to ilu Żydów żyje w danym mieście. Jeśli w mieście jest np. trzydziestu Żydów, to jasną sprawą jest, że cała ta trzydziestka chodzi do jednej synagogi. Istnieje jeszcze drugi powód. Różnica w rytuale liturgii pomiędzy liturgią chasydzką, a liturgią Żydów niemieckich nie jest na tyle duża, aby uniemożliwiać wspólne modły. Inaczej sprawa ma się np. pomiędzy rytuałem europejskim, a rytuałem Żydów chociażby z Jemenu. Ale nawet porównując ze zwyczajami jemeńskimi różnica sięga 3–4 % ogólnej ilości modlitw. Tak więc każdy Żyd może się modlić w każdej synagodze, jaką sobie tylko wybierze. Nie jest to problemem. Istnieje znacznie ważniejsza i głębsza granica podziału, nie pomiędzy Żydami sefardyjskimi a aszkenazyjskimi a natomiast pomiędzy Żydami ortodoksyjnymi i liberalnymi. No i oczywiście tutaj występują dość poważne, różnice które czasami mogą uniemożliwić wspólne modły, zwłaszcza kiedy chcemy sobie wyobrazić ortodoksa modlącego się w liberalnej synagodze.

„Scriptores Scholarum": *Jaka jest różnica pomiędzy rytuałem ślubnym w kościele katolickim a synagogą?*

Rabin Michael Shudrich: Po pierwsze nie wiem jak wygląda ślub w kościele katolickim. Co prawda bywałem na ślubach w kościele katolickim w Ameryce, jednak nie czuję się na tyle kompetentny, żeby o tym mówić. Żeby odbył się ślub potrzebne są cztery osoby. Panna młoda, pan młody – jest

to warunek, który musi być spełniony w każdej kulturze. Reszta ludzi to po prostu świadkowie. Są oni potrzebni do tego, żeby zobaczyć jak mężczyzna wkłada pierścień na rękę kobiety. Co jest symbolicznym znakiem zawarcia małżeństwa. Są oczywiście inne sposoby na zawarcie małżeństwa, ale ten stosuje się dziś. Tak więc kiedy rabin włożył obrączkę na palec kobiety i powiedział słowa: „Teraz oto biorę cię za żonę" i gdyby zostało to jeszcze poświadczone przez świadków to małżeństwo jest zawarte. Ale oczywiście cała ceremonia ślubna jest o wiele bardziej skomplikowana niż to przedstawiłem. Warto tutaj zauważyć coś tak ważnego, fundamentalnego dla całego naszego życia, jak małżeństwo da się w zasadzie sprowadzić do tak prostych reguł. Ceremonia ślubu odbywa się pod „hupą", która jest po prostu sztuką materiału, reprezentuje symboliczny dom, w którym będą żyli państwo młodzi. Tuż przed ceremonią ślubu przyszły mąż posiada już spisany dokument ślubu w którym stwierdza, że będzie traktował swoją żonę poprawnie. Ten dokument to „ketuba". Tradycja dzisiaj wymaga przeprowadzenia ślubu pod przewodnictwem rabina. Jest w zwyczaju, że rabin wygłasza pod „hupą" krótkie kazanie, które powinno być lekcją życia dla młodej pary. Jednym z interesujących szczegółów jest to, że pierścień ślubny zakłada się właśnie na mały palec, podczas ceremonii. Dlaczego? Ponieważ według bardzo starej tradycji przez ten palec przebiega żyła biegnąca wprost do serca. Jeśli spojrzycie na bardzo znany obraz Rembrandta przedstawiający żydowską parę młodą to zobaczycie, że ten pierścień znajduje się na tym właśnie palcu. Ostatnią częścią ceremonii ślubnej jest rozbicie kieliszka, które symbolizuje zburzenie świątyni przez Rzymian a także destrukcję świata, która trwa przez cały czas. Jest to oczywiście paradoks, że w momencie tak szczęśliwym dla obojga ludzi trzeba pamiętać o tak smutnym dla Żydów fakcie. Ale taka jest tradycja.

„Scriptores Scholarum": *Czy zdarzają się dziś konwersje na judaizm?*

Rabin Michael Shudrich: Tak. Aby stać się Żydem trzeba przyjąć na siebie wszystkie 613 przykazań zawarte w Torze. Trzeba też umieć się ich uczyć. Mężczyźni muszą się poddać obrzezaniu. Zarówno mężczyźni jak i kobiety – nie razem, każde z osobna – muszą iść do mykwy, w której dokonują czegoś w rodzaju rytualnej kąpieli.

„Scriptores Scholarum": *Co to jest Bar Micwa?*

Rabin Micheal Shudrich: „Bar Micwa" jest takim symbolicznym przyjęciem młodego chłopca w świat mężczyzn w momencie kiedy tenże kończy trzynaście lat. Odpowiednia ceremonia dla dziewczyn nazywa się „Bat Micwa", i ma ona miejsce gdy dziewczynka ma dwanaście lat. Bycie dorosłym Żydem lub Żydówką oznacza przyjęcie na siebie odpowiedzialności wobec nauki zawartej w Torze. Innymi słowy przed „Bar Micwą" człowiek nie jest odpowiedzialny za swoje czyny i grzechy. Odpowiedzialni są rodzice.

Tak więc dziewczynka w wieku dwunastu lat i jednego dnia, a chłopiec w wieku trzynastu lat i jednego dnia stają się dorośli. No, a zaczęło się to najprawdopodobniej w ten sposób, że kiedyś uznano, że tak specjalny dzień nie może przejść niezauważony. Tradycja nakazuje chłopcom wykonanie czegoś

rytualnego na terenie synagogi, ponieważ oczywiście w świetle prawa nie mogli tego robić przed ukończeniem trzynastu lat i jednego dnia. A jeśli chodzi o powinności dziewcząt to są one różne w zależności od społeczności. O ile się nie mylę robienie czegoś specjalnego w czasie „Bar Micwy" liczy sobie około tysiąca lat. Na to mamy pisane dowody. Ale oczywiście opierając się na logice możemy wywnioskować, że tradycję pisemną potwierdziła tradycja nie zapisywana.

„Scriptores Scholarum": *Co tak naprawdę stało się z Arką Przymierza?*

Rabin Michael Shudrich: My nie wiemy, co się z nią stało. Nie wiemy gdzie się obecnie znajduje. Arka była i pozostaje wciąż bardzo ważna, ale to, co znajdowało się w niej, było jeszcze ważniejsze, a więc Tora, a Torę wciąż mamy...

Opracował: **Paweł Furmanek, Krzysztof Szczęsnowicz**
(Tekst nie jest autoryzowany)

Pamiętam naprzód szkołę podstawową w Wadowicach, gdzie w klasie co najmniej jedną czwartą uczniów stanowili chłopcy żydowscy. Trzeba by tutaj wspomnieć o mojej koleżeńskiej przyjaani z jednym z nich, to znaczy z Jerzym Klugerem. Trwa ona od ławy szkolnej do dnia dzisiejszego. Mam żywo przed oczyma obraz Żydów podążających w dzień sobotni do synagogi, która znajdowała się na zapleczu naszego gimnazjum. Obie grupy religijne, katolików i żydów, łączyła - jak przypuszczam - świadomość, że modlą się do tego samego Boga. Mimo różnicy języka, modlitwy w kościele i w synagodze w znacznej mierze opierały się na tych samych tekstach.

Jan Paweł II, Przekroczyć próg nadziei

Stanisław Krajewski

Problem dialogu chrześcijańsko-żydowskiego

Przedstawiam uniwersalny problem dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, bez uwzględniania polskiej specyfiki, a także bez kroniki wydarzeń. Mowa jest nie o współżyciu, nie o kontaktach między ludźmi, ani nawet społecznościami, ale o spotkaniach między chrześcijanami *jako* chrześcijanami a Żydami *jako* Żydami.

1. Tło

Chrześcijaństwo zaczęło jako żydowska sekta w okresie, gdy na judaizm składało się wiele nurtów. Po kilku pokoleniach przetrwał tylko judaizm rabiniczny, a chrześcijaństwo stało się odrzuconą przez Żydów religią dla pogan. Od IV wieku chrześcijaństwo stało się religią panującą, a judaizm coraz bardziej stawał się religią rozproszonych i zagrożonych społeczności żydowskich.

W owych czasach stosunki teologiczne miały charakter polemiczny, choć stosunki osobiste bywały najróżniejsze. W literaturze żydowskiej tego okresu bardzo mało mówi się o chrześcijaństwie. Umieszcza się je pośród herezji. W literaturze chrześcijańskiej bardzo wiele mówi się o Żydach i Izraelu, ponieważ ustanowienie nowej religii wymagało oderwania się do judaizmu. Celem było stanięcie nas własnych nogach, a zatem mówienie o Żydach było z zasady polemiczne: chodziło o pokazanie, że chrześcijanie przejęli rolę Żydów, a Kościół jest nowym Izraelem.

W średniowieczu powstało sporo literatury polemicznej. We wczesnym średniowieczu chrześcijanie chcieli umocnić wiarę i przezwyciężyć tendencje do judaizowania. Żydowscy autorzy chcieli zniechęcić Żydów do nawrócenia się na chrześcijaństwo. Uczynienie tego dawało lepsze możliwości życiowe i dlatego mogło być atrakcyjne dla mało zaangażowanych religijnie Żydów. Tak więc obie strony podkreślały różnice między judaizmem a chrześcijaństwem. Trudno tu mówić o dialogu.

W późniejszym średniowieczu dochodziło do wymuszonych debat teologicznych, w których stroną były władze kościelne lub związane z nimi władze świeckie. Nie było w tym partnerstwa, nie było więc miejsca na dialog.

Przez stulecia prawie nikt nie był zainteresowany podkreślaniem tego co łączy. Choć zdarzały się wyjątki, obcość teologiczna i podporządkowanie Żydów były wspólnym założeniem, oczywistym dla wszystkich.

Tak pozostało w zasadzie aż do naszego stulecia. Interpretacje stosowane podczas wspólnych przechadzek teologów starożytnych, argumenty wymyślane w czasie średniowiecznych debat chrześcijańsko-żydowskich w biskupich i królewskich pałacach, cytaty biblijne przytaczane dla wykazania swojej racji i wyższości – wszystkie były potem powielane tysiące razy. Zresztą i dzisiaj nic nowego nie wymyślą ani ewangelizujący Żydów chrześcijanie, ani Żydzi odpierający ich wprost lub w tekstach pisanych na użytek współwyznawców.

2. Problem

Czy możliwy jest inny stosunek między chrześcijanami a Żydami niż polemika, wszystko jedno dobrowolna czy wymuszona? Oczywiście stosunki osobiste mogą być poprawne, dobre, a także bliskie i przyjazne. Jest to częste w obecnych czasach, gdy żyjemy w ramach społeczeństwa otwartego, ale bywało tak i dawniej, na przykład w średniowiecznej Prowansji. Problem nie polega na tym, czy Żydzi i chrześcijanie mogą współpracować w dziedzinach pozareligijnych, które obecnie stanowią większość życia społecznego. Oczywiście, że mogą. Nauka, sztuka, nawet polityka, są obecnie w dużej mierze religijnie neutralne i tworzą wspólnotę kulturową, która łączy chrześcijan i Żydów. Nie ma też wątpliwości, że możliwe są bliskie stosunki i przyjaźń między chrześcijanami a Żydami jako ludźmi. Pytanie, czy współpraca i bliskość jest możliwa między nimi jako właśnie chrześcijanami i Żydami.

Jest faktem, że taka bliskość pojawiła się w ostatnich dziesięcioleciach między innymi przy okazji dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Wiele osób ma jednak wątpliwości. Czy ten dialog jest rzetelny? Słyszałem nieraz: współdziałanie – tak, w każdej sferze, z wyjątkiem jednej – religii! Przecież sprzeczności między tezami teologicznymi obu stron nie zanikły. W tej dziedzinie nic nie zmieniło się z nadejściem nowoczesności. O czym tu dialogować? Czy nie chodzi o manipulację drugą stroną? A może o naiwną dobrą wolę bez dostatecznej znajomości rzeczy? Czy naprawdę możliwy jest dialog, gdy każda strona uważa, że posiadła całą prawdę? Czy może spotykają się ludzie słabej wiary, którzy dążą do jakiegoś wygodnego wspólnego mianownika?

Należy bardzo poważnie traktować wszystkie te zastrzeżenia. Mimo to uważam jednak, że na wszystkie powyższe pytania odpowiedź jest negatywna.

3. Asymetria

Dość oczywisty jest brak symetrii we wzajemnych stosunkach chrześcijan i Żydów. Po pierwsze, jeśli idzie o liczebność. Kościół był potęgą wszędzie w obrębie cywilizacji zachodniej, a i teraz kościoły są wielką siłą. Co ważniejsze, chrześcijańskie pojęcia leżą u podstaw naszej cywilizacji. Żydzi byli i są mniejszością, zwykle małą, czasem bywali jedyną mniejszością religijną, niejako mniejszością *par excelence*. Dopiero ostatnio pojawił się nowy element: państwo Izraela, w którym Żydzi dominują.

Po drugie, chrześcijaństwo jest zasadniczo wspólnotą wiary, natomiast Żydem się jest z racji urodzenia. Co prawda dzieci chrześcijan przejmują zazwyczaj religię rodziców,

a z drugiej strony na judaizm też można się nawrócić i wejść do wspólnoty Izraela, ale rozróżnienie „wiara a urodzenie" ma skutki dotyczące kwestii kto z kim miałby prowadzić dialog? Stronę chrześcijańską reprezentują często teologowie, księża i pastorzy, a więc profesjonaliści od spraw wiary. W wypadku katolików księża mają też często pewien mandat od swojej hierarchii. Żydów reprezentują zaś zwykle działacze żydowskich organizacji. Czasem są to rabini, ale rabin i tak nie jest odpowiednikiem księdza. Czasem są to osoby kompetentne, ale czasem mogą to wręcz być biurokraci bez szczególnych kwalifikacji. Jakkolwiek brak kompetencji jest niedobry, brak symetrii jest nieunikniony. Powody są nie tyle polityczne co zasadnicze. Z żydowskiego religijnego punktu widzenia wszyscy Żydzi są na równi partnerami w przymierzu z Bogiem. Wiara jest w dialogu chrześcijańsko-żydowskim rzeczą ważną, ale Żydom, którzy mają kłopoty z wiarą nie można odmówić prawa udziału.

Po trzecie, nie ma symetrii w widzeniu ważności teologicznej drugiej strony. Dla chrześcijan Żydzi są zasadniczym punktem odniesienia, częścią chrześcijańskiego samookreślenia. Z punktu widzenia Żydów chrześcijaństwo mogłoby nie istnieć. O ile chrześcijaństwo definiowało się w pewnym sensie w przeciwstawieniu do judaizmu, o tyle judaizm nigdy się nie określał jako antychrześcijaństwo. Można doceniać ważność chrześcijaństwa, a także uznawać, że chrześcijaństwo wpłynęło na rozwój religii żydowskiej. Pozostaje mimo to brak fundamentalnej potrzeby odnoszenia się do chrześcijaństwa. W tym samym sensie dla chrześcijaństwa mógłby nie istnieć islam, a dla katolicyzmu – protestantyzm.

4. Dysproporcja motywów

W kontaktach chrześcijan z Żydami – tzn. z Żydami jako Żydami, a nie po prostu z ludźmi, z którymi mają wspólne sprawy, a ci okazują się być Żydami – najczęściej pojawiają się oczekiwania teologiczne. Nawet, gdy celem nie jest już chęć okazania wyższości własnej wiary – co przez wieki było zasadniczym motywem debat – dalej chrześcijanie oczekują czegoś na płaszczyźnie religijnej. Żydzi natomiast – również wtedy, gdy spotykają się z chrześcijanami jako chrześcijanami – znacznie częściej chcą podejmować kwestie historyczne i społeczne. Chrześcijanie oczekują wyjaśnienia własnych korzeni religijnych, Żydzi – ujawnienia roli Kościoła w propagowaniu antysemityzmu. Chrześcijanie oczekują wspólnego celebrowania wiary, Żydzi – raczej polepszenia swojej doli w społeczeństwach chrześcijańskich. Również wtedy, gdy nie dążą do nawracania, chrześcijanie pragną zrozumieć tajemnicę odrzucenia Jezusa przez Żydów. Żydzi usiłują uzyskać wyjaśnienie swoich doświadczeń życia w świecie zdominowanym przez chrześcijaństwo.

Powyższe przeciwstawienia nie zawsze są tak ostre. Stanowią jednak tło obecnego dialogu. Nawet ci chrześcijanie, którzy nie chcą pamiętać przeszłości, muszą przyznać, że nad obecnymi kontaktami wciąż dominuje historia, bolesna często historia relacji chrześcijańsko-żydowskich.

5. Kościół wobec Żydów

Przez stulecia Kościół chciał nawrócić Żydów. Zarazem oskarżał ich o zatwardziałość i trwanie przy Bogobójstwie, o które winiono wszystkich „zatwardziałych" Żydów.

Decydować miał stosunek do Jezusa, co dla Żydów zawsze brzmiało niezrozumiale, bo osoba Jezusa z punktu widzenia judaizmu jest czymś zdecydowanie drugorzędnym. Porównać to można z oczywistym faktem, że prorok Mahomet, postać najzupełniej zasadnicza dla muzułmanów, jest nieistotny dla chrześcijan i Żydów.

Praktyczny stosunek rządzących chrześcijan do Żydów wynikał z tradycyjnego nauczania Kościoła sformułowanego m.in. przez św. Augustyna. Wedle niego Żydzi zasługują na śmierć, bo odrzucili Jezusa. Mają jednak jak Kain wędrować po świecie jako „świadek swego grzechu i naszej prawdy", tzn. prawdy chrześcijaństwa. Stąd wywodzi się zapewne obraz Żyda wiecznego tułacza. Żydzi byli więc potrzebni, byli żywymi świadkami autentyczności wydarzeń biblijnych, a zarazem im gorzej się im wiodło tym bardziej widoczny miał być ich błąd. Prześladowania Żydów miały więc podbudowę teologiczną. Nie miały jednak prowadzić do wyeliminowania Żydów, a jedynie do stałego przypominania wszystkim, gdzie jest ich miejsce. Żydzi podlegali ochronie przed zbytnimi prześladowaniami. Nie oznaczało to jednak nigdy jakiegokolwiek uznania teologicznego, tzn. dopuszczenia myśli o prawomocności żydowskiej religii.

Kościół wyłącznie w sobie upatrywał dziedzica Bożych obietnic. Żydzi odrzucając Jezusa zostali odrzuceni przez Boga. Więcej – zostali przez Boga przeklęci.

6. Zmiana teologicznego obrazu Żydów

Zmiana chrześcijańskiego obrazu Żydów nastąpiła po drugiej wojnie światowej. Wydaje się, że głównym bodźcem była właśnie wojna, a raczej wojenna Zagłada Żydów. Wywołała ona wstrząs u przewodników Kościołów i u rzesz wiernych na Zachodzie Europy i w Ameryce. Trzeba dodać, że w Polsce czy nas wschód od Polski ten szok nie miał miejsca. Krajobraz się zmienił, bo Żydzi zniknęli właśnie tu, ale refleksja nad tym nie przyszła prędko. Choć niektóre środowiska katolickie podjęły zadanie przewartościowania stosunku do Żydów, większość oraz hierarchia zajęła się raczej ustalaniem stosunku do komunizmu, w tym do „Żydokomuny". Gdy teologowie protestanccy i katoliccy rozpoczęli proces przemyślenia stosunku do Żydów, nie było w tym oficjalnego znaczącego wkładu polskiego. Dokumenty przedstawicieli kościołów protestanckich a potem oświadczenia episkopatów USA, Austrii, Holandii, Francji i innych krajów zachodnich nie miały odpowiednika w Polsce aż do czasów Jana Pawła II. Kościoły prawosławne niewiele uczyniły aż do dziś.

Przełom został wyrażony przez II Sobór Watykański. Rozpoczęło to proces, który wciąż nabiera rozpędu. Po 30 latach atmosfera jest zupełnie inna niż przed wojną. Antysemityzmem nie wypada się już szczycić. Nawet ludzie, którzy postrzegają świat w czysto antysemickich kategoriach uważają, że powinni przeczyć, że są antysemitami. (Dobrym przykładem jest ks. Jankowski z Gdańska).

Antysemityzm ma oczywiście różne źródła. Rzecz w tym, że teologiczne źródła antysemityzmu zostały podważone lub całkowicie usunięte. Ogólny sens zmian można streścić tak: Żydzi są nadal mili Bogu.

Żydzi nie są już uznawani za winnych Bogobójstwa. Wbrew dawniejszemu poglądowi, że krew Jezusa spada na wszystkie pokolenia Żydów, aż do końca świata (Oryge-

nes), winę za ukrzyżowanie widzi się w niektórych Żydach ówczesnych, a także, zgodnie z dawną tradycją i sformułowaniem Soboru Trydenckiego – we wszystkich grzesznikach, też chrześcijanach.

Po drugie, Żydzi nie są widziani jako przeklęci, ścigani Bożym gniewem. Antysemityzm jest potępiony i wręcz nazwany grzechem.

Po trzecie, uznaje się, że judaizm jest żywą wiarą, a nie przeżytkiem, wynikiem niepotrzebnego uporu. Wierność Żydów jest godna szacunku, bo Żydzi pozostają narodem wybranym. Wybrani na zawsze, bo wieczne i nieodwołane jest przymierze z Bogiem. Odchodzi się od teologii opisującej zastąpienie Żydów przez Kościół. Widzenie Kościoła jako ludu Bożego nie niweluje żydowskiego przymierza.

Dla katolików najbardziej znaczącym dokumentem jest deklaracja soborowa *Nostra Aetate*, pkt 4. Zawiera ona główne tezy nowej teologii. Choć nie jest szeroko znana wśród zwykłych katolików, jej wpływ jest widoczny wszędzie, również w Polsce. Była naprawdę przełomem. Nowa teologia jest zaprzeczeniem starej.

Powrót do żydowskich źródeł oznacza też odkrycie, że Jezus był Żydem, podobnie jak prawie wszystkie postaci Ewangelii. Daleko jeszcze do pełnego ujawnienia się konsekwencji teologicznych takiej postawy. To budzi zainteresowanie judaizmem w duchu szacunku, a nie polemiki. Według słów Jana Pawła II: „Spotykając Jezusa, spotyka się judaizm." Oraz, że – jak powiedział w rzymskiej synagodze w 1986 – Żydzi to „starsi bracia" w wierze.

7. Żydzi wobec chrześcijaństwa

Żydzi nigdy nie mieli szczególnej potrzeby mówienia o chrześcijanach. Gdy okazało się, że Kościół z sekty mesjanistycznej stał się zasadniczo instytucją pozażydowską, Żydzi zaczęli nań patrzeć tak jak na inne religie pogańskie. Nie dziwiły elementy oceniane jako bałwochwalcze (Jezus jako Bóg) i politeistyczne (Trójca). Żydzi, którzy przyłączali się do Kościoła byli uznawani za heretyków. Jednak chrześcijanie niezydowskiego pochodzenia nie byli heretykami. Bałwochwalstwo było grzechem tylko dla Żydów. Żydom było łatwiej o tolerancyjność, bo chociaż tradycja żydowska nie mniej niż chrześcijańska przypisuje sobie posiadanie pełni objawienia, to jednak nie wymaga od wszystkich nawrócenia. Upraszczając można powiedzieć, że judaizm wymaga wiele od Żydów, a od innych tylko tego, by byli porządnymi ludźmi.

W dawnych czasach Żydzi nie myśleli pochlebnie o chrześcijaństwie i wyśmiewali jego dogmaty (np. poczęcie z dziewicy, zmartwychwstanie). To nie uległo zasadniczej zmianie, choć coraz więcej jest Żydów, którzy dobrze znają chrześcijaństwo i traktują je z szacunkiem. Brak uznania nigdy nie oznaczał jednak, że Żydzi musieli widzieć chrześcijan jako skazanych na potępienie wieczne.

Już w średniowieczu, w okresie, gdy chrześcijańska teologia trzymała się zasady, że poza Kościołem nie ma zbawienia, wybitne żydowskie autorytety doceniały chrześcijaństwo jako krok poza pogaństwo, podstawę do uzyskania życia wiecznego. Niektórzy rabini szli dalej. Rabbenu Tam w XII w. nauczał, że chrześcijanie i Żydzi czczą tego samego Boga, każdy na właściwy sobie sposób. Rozstrzygnął więc, wbrew Majmonide-

sowi, że chrześcijanie nie są bałwochwalcami. Sam Majmonides, który czystszy monoteizm widział w islamie, cenił jednak szczególnie właśnie chrześcijaństwo: pozwalał na studiowanie Tory razem z chrześcijanami, ale nie z muzułmanami. Jeszcze dalej poszedł Menachem Hameiri, który żył na przełomie XIII i XIV w. w Prowansji. Nie jest zapewne przypadkiem, że rozwinął on swoje nauki w otoczeniu, w którym panowały dobre stosunki pomiędzy różnymi grupami społecznymi. Według niego i chrześcijanie, i muzułmanie to „narody podległe zasadom religii", tzn. prawdziwej religii. I jedni, i drudzy zaliczają się do monoteistów, którzy mogą należeć do sprawiedliwych pośród narodów. Jeszcze bardziej inkluzywistyczne podejście proponowali niektórzy rabini w późniejszych stuleciach.

Istnieje więc argumentacja nakazująca podejście z szacunkiem do drugiej strony nawet w pismach z kręgu tradycyjnej ortodoksji żydowskiej z dawnych stuleci. Nie da się tego powiedzieć o dawnych autorach chrześcijańskich. Jednak obecnie, gdy dialog z Żydami zyskuje coraz poważniejszych rzeczników po stronie chrześcijańskiej, tradycyjni Żydzi nie są skłonni do dialogu z Kościołem. Nie są do tego skłonni również bardzo liczni Żydzi nietradycyjni. Dlaczego?

8. Powody rezerwy Żydów wobec dialogu

Bardzo tradycyjni Żydzi, na przykład chasydzi, uważają często, że w sferze teologii nic się nie zmieniło od czasów średniowiecza. Pomijając wspomniane już wyżej opinie takie jak Rabbenu Tama, uważają że chrześcijaństwo zawiera elementy bałwochwalcze a kult świętych obrazów przeczy przykazaniu o nieoddawaniu czci podobiznom. Dlatego kontakty wchodzące w sferę religii są dla nich niedopuszczalne.

Żydowscy rzecznicy dialogu nie negują przytoczonych zarzutów. Proponują zamiast tego ich pominięcie. Jeśli chrześcijanie wierzą w prawdziwego Boga, tzn. Boga Izraela, praktykując to w sobie właściwy sposób, to należy się z tego cieszyć nawet, jeżeli czynią przy okazji coś, co dla Żydów jest nie do przyjęcia. Tezy sprzeczne z teologią żydowską potraktować można jako niezrozumiałe dla Żydów prywatne przekonania chrześcijan, o których się nie dyskutuje. Tak można rozumieć postulat lidera nowoczesnej ortodoksji r. Dowa Sołowiejczyka, który jednak zakazywał wszelkich kontaktów teologicznych. Dla mnie oznacza to tylko tyle, że należy powstrzymywać się od dyskusji na temat osoby Jezusa, tzn. jego metafizycznego statusu.

Jednym z najpowszechniejszych powodów niechęci Żydów do dialogu jest uraz z powodu antysemityzmu. Jest faktem, że chrześcijaństwo stworzyło żyzną glebę dla antysemityzmu. Przez wieki nauczano pogardy wobec Żydów. Żydzi byli utożsamieni ze zdrajcą Judaszem, natomiast inni apostołowie jakoś nie byli Żydami – tak właśnie przedstawiani są nieraz w dekoracjach kościelnych. Podobnie było w przedstawieniach pasyjnych; jest nadal w niektórych nam współczesnych. Żydzi stają się nie tylko złoczyńcami, ale wręcz wcielonym diabłem.

Przez stulecia zarzucano Żydom mordowanie dzieci na macę. To nie tylko nieprawda, ale i z perspektywy judaizmu zupełna bzdura. Mimo to wierzono w to powszechnie. Oskarżenie o mord rytualny też sięga czasów pogańskich, ale jego uporczywość wynika

chyba z funkcjonowania wyobraźni ukształtowanej przez sceny ewangeliczne: zabijanie dzieci miałoby być zastępczym powtarzaniem mordu, który nie udał się Herodowi, i to akurat na Wielkanoc, kiedy Jezus zginął, i to właśnie przez spadkobierców tych, którzy mieli krzyczeć: „krew jego na nas i na dzieci nasze".

Nie da się więc uniknąć pytania o antysemityzm chrześcijański. Nieraz się mówi, że antysemityzm jest z istoty swej niechrześcijański. Miło to słyszeć. Wiem, że wyraża to dobrą wolę. Wiem, że stoją za tym poglądem poważne racje. Trudno jest jednak przezwyciężyć fakt (zauważony przez Emila Fackenheima), że wśród antysemitów są chrześcijańscy święci. To dlatego nie jest pewne, że antysemityzm chrześcijan nie był antysemityzmem chrześcijańskim.

Niezależnie od dokonujących się niezmiernie pozytywnych przemian jest faktem, że historyczny bilans antysemityzmu chrześcijan jest jednoznaczny. Obecni Żydzi są potomkami ofiar, chrześcijanie – potomkami prześladowców. Nie zaczyna się dialogu z równych pozycji.

Żydowski zwolennik dialogu odpowiedzieć może, że wie jak poważne i szczere są chrześcijańskie wysiłki, aby przezwyciężyć tradycję pogardy wobec Żydów. Dla wielu młodych ludzi, również w Polsce, szacunek dla Żydów i judaizmu jest czymś oczywistym. Jest to kolosalna zmiana, której mogą nie dostrzegać Żydzi odizolowani od przemian świadomości chrześcijan – jak na przykład w Izraelu – albo Żydzi zbyt obolali, żeby to przyjąć. Zastrzeżenia wynikłe z urazu z powodu triumfalizmu chrześcijan i krzywd Żydów nie mogą decydować. Za łatwo przekształcają się bowiem w to, co r. Leon Klenicki określa jako „triumfalizm bólu".

Najpowszechniejsze zastrzeżenie Żydów wobec dialogu to podejrzenie, że prawdziwym ukrytym celem chrześcijan jest nawrócenie Żydów. Nadal spotyka się odłamy protestanckie, które aktywnie nawracają Żydów. Dla części z nich jest to wręcz naczelny motyw działania. Niektóre ukrywają się pod maską „Żydów mesjańskich".

Uniknięcie choćby cienia zagrożenia prozelityzmem jest rzeczą najzupełniej podstawową dla praktycznie wszystkich Żydów poczuwających się do żydostwa, tak religijnego jak i którejś ze świeckich wersji żydowskiej tożsamości.

Żydowski zwolennik dialogu nie jest jednak zrażony. Trudno mu wyrokować jakie będą cele Kościołów w przyszłości. Wie jednak z doświadczenia, że chrześcijanie, którzy chcą dialogu, całkowicie porzucili myśl o nawracaniu Żydów, a nawet są przekonani, że i dawniej było to niesłuszne. Ja nie mam wątpliwości, że moi chrześcijańscy przyjaciele są szczerzy.

9. Cele dialogu

Chrześcijaństwo nie jest może potrzebne nam, Żydom, ale jest przecież rozgłaszaniem po krańce świata pojęć zawartych w żydowskim Piśmie: prawd o Stwórcy, o Jego Przymierzu z Izraelem, o Jego trosce o ludzi, o Jego wymaganiu posłuszeństwa przykazaniom, o Jego obietnicy odkupienia, które objąć ma cały świat, gdy „Pan będzie jeden i Imię Jego jedno." Dlatego z perspektywy teologii żydowskiej chrześcijaństwo może być widziane jako potrzebne światu. Jako misja nie wobec Żydów, ale wobec świata.

Co jest celem dialogu? Nie chodzi o uzgodnienie wszystkich tez, szczególnie tych, które dotyczą statusu Jezusa. Na pewno nie chodzi o stworzenie nowej religii.

Celem ogólnym jest stworzenie przez chrześcijan teologii judaizmu, a przez Żydów teologicznej wizji chrześcijaństwa tak, aby było to zgodne z własną tradycją a zarazem, by druga strona nie widziała swojego obrazu jako płaskiej karykatury.

Dla tych, którzy uczestniczą w dialogu chrześcijańsko-żydowskim jasne jest też, że prowadzi on do tego, by Żydzi stali się lepszymi Żydami, a chrześcijanie lepszymi chrześcijanami.

Przymierze Nowe odnajduje w Starym swoje korzenie. O ile zaś Stare może odnaleźć w Nowym swoje spełnienie, to jest oczywiście sprawa Ducha Świętego. My, ludzie, staramy się temu tylko nie przeszkadzać.

*

Ten niezwykły naród w dalszym ciągu nosi w sobie znamiona owego Bożego wybrania. Kiedyś powiedziałem o tym w rozmowie z pewnym politykiem izraelskim, który chętnie się ze mną zgodził. Dodał tylko: „Gdyby to mogło mniej kosztować" ... Istotnie, Izrael zapłacił wysoką cenę za swoje „wybranie". Może stał się przez to bardziej podobny do Syna Człowieczego, który według ciała był również synem Izraela, a dwutysięczna rocznica Jego przyjścia na świat będzie także świętem dla Żydów.

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

„Jestem Żydem od Jezusa"

– rozmowa z księdzem dr. Romualdem Jakubem Weksler-Waszkinelem.

Ks. dr Romuald Jakub Weksler-Waszkinel – ur. w 1943 r. w rodzinie żydowskiej, ocalony przed Holocaustem, wychowany w polskiej rodzinie katolickiej, orędownik dialogu między Polakami a Żydami oraz chrześcijaństwa z judaizmem; pracownik naukowy Katedry Metafizyki KUL, autor *Genezy pozytywnej metafizyki Bergsona* (Lublin 1986) oraz artykułów w czasopismach filozoficznych i pozafilozoficznych, znawca filozofii arystotelesowsko-scholastycznej, filozofii francuskiej (H. Bergson) oraz filozofii żydowskiej, wykładowca antropologii filozoficznej.

Jacek Wojtysiak: *Zacznijmy od problemu genezy chrześcijaństwa. Mówi się, że schizmy były niejako „skandalami" wewnątrz chrześcijaństwa. Czy chrześcijaństwo więc nie jest skandalem wewnątrz judaizmu? Jaki jest stosunek do siebie tych dwóch wielkich monoteizmów w czasach początków chrześcijaństwa?*

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: Wolałbym przywołać wprzódy termin „zgorszenie". Św. Paweł, w jednym ze swoich listów pisze, iż Jezus Chrystus jest „zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan"; dodajmy – zwłaszcza Chrystus ukrzyżowany!

Przymierze Boga z Abrahamem i jego potomstwem, a potem dzieje owego potomstwa, Ludu Wybranego, prowadzonego przez Patriarchów, Mojżesza, wreszcie nauczanie Proroków, to wszystko, zgodnie z optyką chrześcijańską, znalazło swoje wypełnienie w Jezusie z Nazaretu, który wyraźnie mówił, iż nie przyszedł znieść Prawa, ani Proroków; przyszedł *wypełnić*. Otóż takie *wypełnienie*, którego niejako zwieńczeniem stało się ukrzyżowanie, zgorszyło Synagogę; i poniekąd nie mogło nie zgorszyć. Jan Paweł II w *Przekroczyć próg nadziei* pięknie o tym pisze, iż Bóg w Jezusie Chrystusie tak bardzo zbliżył się do człowieka, że człowiek tej bliskości już nie wytrzymał, zaczął protestować. To było właśnie zgorszenie Synagogi: Bóg ukrzyżowany, sponiewierany, umierający; tego Synagoga przyjąć nie mogła; Bóg nie ma żadnego syna; On jest jeden i jedyny, najświętszy, najdoskonalszy.

O Bogu jedynym, naświętszym i najdoskonalszym, nauczali również uczniowie Jezusa, ale oni – za sprawą Ducha Świętego – uwierzyli w Jezusa. Po Jego Zmartwychwstaniu i po Zesłaniu Ducha Świętego nauczali w synagogach, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, Odkupicielem. Powstał konflikt, rozdarcie. Rozdarcie stawało się skandalem, gdy rozpoczęło się prześladowanie uczniów Jezusa ze strony Synagogi – ukamienowanie św. Szczepana, potem taki sam los spotkał św. Jakuba Apostoła, pierwszego biskupa Jerozolimy.

Nie sposób nie napomknąć przynajmniej, o dwóch wojnach żydowskich. Postawa jaką zajęli w czasie tych wojen ci, których w Antiochii po raz pierwszy nazwano chrześcijanami – a więc wyznawcy Jezusa Chrystusa – już bardzo wyraźnie oddalała od siebie Synagogę i Kościół. Kiedy z kolei chrześcijaństwo stało się – od czasów cesarza Konstantyna – oficjalną religią cesarstwa, chrześcijanie odpłacili z nawiązką wrogością do judaizmu. Kres temu skandalowi kładzie, mam nadzieję, nauka II Soboru Watykańskiego.

Jaki stąd wniosek? Jeżeli czegoś nie możesz zrozumieć, jeżeli coś cię nawet gorszy w tym, co drugi naucza, w co wierzy, to trzeba z nim rozmawiać, spierać się, ale nie wolno ci podnosić na niego ręki. Prorok Izajasz naucza, że drogi Boga nie są ludzkimi drogami, ani myśli Boga – ludzkimi myślami. Wobec Boga trzeba stanąć w pokorze. Nigdy pomiędzy ludzkim rozumem a Bogiem nie będzie adekwacji, zrównania. Bóg pozostaje Tajemnicą. „Co dla zmysłów niepojęte niech dopełni wiara w nas" – to słowa jednego z największych nauczycieli Kościoła, św. Tomasza z Akwinu. W modlitwie, której uczy się dziecko przystępujące do Pierwszej Komunii św., a uczy się jej nie tylko na tę jedną okoliczność, mówimy: „Boże, choć Cię nie pojmuję, jednak nad wszystko miłuję".

Rozdarcia, schizmy, herezje rodzą zgorszenia i stają się skandalem, gdy człowiek mówi: „ja mam prawdę, ty jej nie masz". Rozpoczyna się nienawiść, wojny, wzajemne mordowanie i to wszystko ponoć w imię Boga. W rzeczywistości postawa wzajemnej nienawiści, czy jeszcze gorzej – wzajemnego mordowania, z Bogiem Abrahama, Izaaka, Jakuba – z Jezusem Chrystusem, jednorodzonym Synem Boga – nie ma nic wspólnego. Są to zawsze skutki ludzkiej zarozumiałości, braku pokory wobec Prawdy.

J.W.: *Czy w stwierdzeniu, że Żydzi nie mogli rozpoznać Jezusa, nie ma determinizmu?*

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: W relacji człowieka z Bogiem – każdego człowieka – nigdy nie ma żadnego determinizmu. Nie było go też w relacji Boga z jego Ludem. Abraham został wezwany, aby wyszedł z ziemi swego ojca i poszedł tam, gdzie wskaże mu Bóg. Nie musiał posłuchać. A jednak posłuchał i zawierzył Bogu. Jakub mocuje się z Bogiem, wychodzi z tego ze zwichniętym biodrem, otrzymuje imię Izrael, co znaczy – *walczył z Bogiem*. Nie było zatem również żadnego determinizmu w tym, że większość Żydów nie uwierzyła w Jezusa. Natomiast stwierdzenie, że Żydzi nie mogli rozpoznać Jezusa jest absolutnie fałszywe, albowiem to przecież właśnie Żydzi Go rozpoznali. Inną kwestią jest, czy ci, którzy rozpoznali, uczynili to za pomocą swoich własnych sił? W każdym

razie zarówno 12 Apostołów, jak i innych 72 uczniów, których wybrał Jezus i wysłał, aby nauczali, byli to wyłącznie Żydzi. W wieczerniku, podczas Ostatniej Wieczerzy, nie było nikogo oprócz Żydów; dokładnie tak samo było podczas Zesłania Ducha Świętego. Żydem był Apostoł Narodów – św. Paweł! To Żydzi zanieśli naukę Jezusa do pogan. Właśnie Piotr i Paweł nieśli Ewangelię do pogańskiego Rzymu. Kościół stawał się powoli *Ecclesia ex gentibus*; pierwszy Kościół – ten w Jerozolimie – był wyłącznie *Ecclesia ex circumcisione*.

Natomiast jest prawdą, że ci wszyscy Żydzi, którzy uwierzyli w Jezusa, musieli w sobie samych przejść głęboką transformację. Wiara w Jezusa stawiała ich poza judaizmem; chociaż oni sami nie byli w pełni tego świadomi, przynajmniej na początku. Jezus swoim nauczaniem budził sprzeciw; był i jest, „znakiem sprzeciwu". Posłannictwem Izraela było głoszenie prawdy o jedynym Bogu, stwórcy nieba i ziemi. Wiara i tradycja judaizmu nie mogła więc przyjąć Jezusa-Mesjasza: Jednorodzonego Syna Bożego. Cały dramatyzm sytuacji przedstawił chyba najpełniej w swojej Ewangelii św. Mateusz. Pojmany Jezus staje przed najwyższym kapłanem, Kajfaszem i ten stawia pytanie: „Poprzysięgam Cię na Boga Żywego, powiedz nam: Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży?" A kiedy Chrystus udzielił odpowiedzi twierdzącej, Kajfasz na znak oburzenia rozdarł swoje szaty i rzekł: „Zbluźnił. Na cóż nam jeszcze potrzeba świadków? Oto teraz słyszeliście bluźnierstwo". Wypowiedziane przed Kajfaszem słowa Jezusa wydawały się jeszcze większym bluźnierstwem, kiedy sponiewierany konał na krzyżu; kiedy z wysokości krzyża wypowiedział słowa: *Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?* To rzeczywiście dla wyznawców judaizmu było, i jest, bardzo trudne do zaakceptowania. Mesjasz, który miał wybawić Izraela, umierający na krzyżu? Jak niewolnik? Umierający Bóg? Nie, to niemożliwe! Ale, chociaż przepędzano Apostołów, wsadzano ich do więzień, to przecież i wśród nauczycieli judaizmu byli i są ludzie otwarci na Tajemnicę, którą jest Bóg. W Dziejach Apostolskich mamy opis zdarzenia, kiedy to uwięziono Apostołów, i wówczas Gamaliel, faryzeusz, uczony w Prawie, apelował przed Senhedrynem, aby Ich wypuścić; mówił: „Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie ich zniszczyć i może się czasem okazać, że walczycie z Bogiem". I Autor Dziejów Apostolskich dodaje: „Usłuchali go".

Wspaniała, piękna postawa. Uszanować drugiego w jego odmienności, w jego innej wierze, mając świadomość, że Bóg pozostaje Tajemnicą.

Bóg szanuje ludzką wolność. Gdy poniewieram drugiego człowieka, nie szanuję jego wolności, nie szanuję Boga. Wszelkie fundamentalizmy, postawy integrystyczne są wielkim złem. Jezus ratuje i przemienia życie niewiasty przyłapanej na grzechu. Nikogo nie zabija, umiera z miłości do człowieka. Być świadkiem Jezusa, to najpierw i przede wszystkim kochać drugiego człowieka; nie tylko swoich przyjaciół, również wrogów: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze. Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą".

J. W.: *Gdyby spróbować wczuć się w psychikę takiego zwykłego wyznawcy*

judaizmu, jakim był Piotr – prosty rybak... Taki człowiek był rozdarty, choć próbował sobie wytłumaczyć w jakiś sposób to, co widzi. Staje przed nim syn cieśli i mówi, że jest Mesjaszem, Synem Bożym. Przecież to dla zwykłego Żyda było bluźnierstwo.

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: Psychiczny portret św. Piotra Apostoła jest w Ewangelii dosyć wyraźnie zarysowany. Słyszymy Jego wyznania, których do końca – jak się okazuje – nie rozumie; składa przyrzeczenia, które w konfrontacji z rzeczywistością przerastają Jego siły.

Proszę jednakże zauważyć, że Pan Jezus nigdy nie powiedział swoim uczniom, czy komukolwiek: musicie uwierzyć, że jestem Mesjaszem, Synem Bożym! Takiej wypowiedzi nie zanotowali Ewangeliści. Jezus pytał swoich uczniów, co ludzie o Nim sądzą; zapytał też wprost Apostołów: „A wy za kogo Mnie uważacie?" I wówczas to Piotr wyrwał się: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego." Czy Piotr rozumiał w pełni to, co mówił? Prawie niczego nie rozumiał! Mesjasz, według Piotra – tak myślał każdy Żyd – miał wyzwolić Izraela, wypędzić rzymskiego okupanta, przywrócić świetność swojemu ludowi. I dlatego gdy Jezus zaczął mówić o zbliżającym się cierpieniu, o swoim własnym poniżeniu i śmierci, tenże Piotr, myśląc pewnie, że to jakaś pomyłka, bierze Jezus na bok, i poczyna Mu robić wyrzuty: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie." A Jezus? Bardzo mocne słowa usłyszał w odpowiedzi Piotr: „Zejdź mi z oczu, szatanie! Jesteś mi zawadą, bo nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie." Ostro strofowany Piotr mógł poczuć się urażony. Mógł odejść. Nie odszedł. Najprawdopodobniej dopiero wtedy zrozumiał, że wyznając w Jezusie Mesjasza, wypowiedział coś, czego do końca nie rozumiał. Dopiero przeżywając gorycz tak ostrego upomnienia zdał sobie chyba sprawę ze słów Jezusa skierowanych do niego, gdy wyznał w Jezusie Mesjasza, Syna Bożego: „Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie". Kiedy te słowa słyszał po raz pierwszy, pewnie był tak dumny i szczęśliwy zarazem, że nie wszystko dotarło do jego świadomości. Niejednokrotnie zresztą Piotrowi wyrywały się słowa, których ciężaru nie potrafił potem unieść. Doświadczył tego chyba najbardziej boleśnie, gdy już po pojmaniu Jezusa, wyparł się Go na dziedzińcu Arcykapłana, chociaż przedtem zapewniał: „Choćby się wszyscy Ciebie zaparli, ja się Ciebie nie zaprę". Ale, w moim osobistym odbiorze, najwięcej powiedział o sobie Piotr, gdy już zmartwychwstały Chrystus aż trzykrotnie postawił mu pytanie, czy miłuje Go bardziej niż inni. Odpowiedział wówczas: „Panie ty *wszystko* wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham". Cóż kryło w sobie to – *wszystko*? Na pewno żar autentycznej miłości, ale i żal, i wstyd z powodu własnej miałkości.

Pokora wobec Prawdy! Św. Piotr nie rozumie do końca, ale wyznaje. To, co wyznaje, jest darem, łaską. Do tego nie doszedł Piotr swoim rozumem, to już było dotknięcie Bożej Miłości. Podobnie jest z każdym z nas. Uczciwość wobec siebie samego wymaga, aby naszą wiarę przepuścić przez filtr rozumu. Tam gdzie nadal nie rozumiemy, *możemy – nie musimy* – powiedzieć: wierzę. Jeżeli *chcemy* i wyzna-

jemy wiarę, bez Bożej łaski byłoby to niemożliwe.

Byli więc tacy Żydzi, którzy przyjęli łaskę wiary, uwierzyli w Jezusa, Jemu poświęcili swoje życie. Chociaż niejednokrotnie owa wiara była twardym kamieniem, na którym trzeba było oprzeć swoją głowę. Byli i tacy – i tych była, i jest większość – którzy nie uwierzyli. Dlaczego? Nie otrzymali łaski, wzgardzili nią? Tajniki ludzkich sumień pozostawmy Temu, Który Jest! Tylko On – Pan ludzkich sumień – zna je najlepiej.

W pewnym momencie historii chrześcijaństwo znalazło się poza Synagogą. Ale, kiedy Jezus głosił Kazanie na Górze, nikt z zasłuchanego tłumu Żydów nie przerwał; nie krzyczał, że to nie tak. Chłonęli Jego słowa wypływające z serca Biblii: „Nie sądźcie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić". Czy my, chrześcijanie, którzy właśnie w treść tegoż Kazania powinniśmy być szczególnie wsłuchani, nie mamy w tym właśnie punkcie niczego sobie do wyrzucenia?

Sławomir Żurek: *Odnoszę wrażenie, że cały problem związany z dialogiem chrześcijańsko-żydowskim leży w tym, że pojęcie chrześcijan na tamat judaizmu kończy się wraz z Ewangelią. Problem antyjudaizmu jest chyba problemem ignorancji związanym z tym, iż nie ma powszechnej świadomości, że pewne wątki, jak miłość nieprzyjaciół, pojawiają się również w refleksji kabalistycznej i talmudycznej.*

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: Miłość bliźniego jest przykazaniem Dekalogu, zapisanym w żydowskiej Torze. Dekalog – mówimy potocznie: *Dziesięć Przykazań Bożych* – otrzymał, jak wszyscy wiemy, Mojżesz od Boga na górze Synaj i przekazał Żydom, których prowadził przez pustynię do Ziemi Obiecanej. Z tegoż Ludu, Ludu Przymierza, czy jak kto woli – Pierwszego Przymierza – pochodził Jezus Chrystus. Życie i nauczanie Jezusa, a potem nauczanie Apostołów oraz Ich listy składają się na księgę, którą nazywamy Nowym Testamentem, czy Drugim Testamentem. Nowy bez Starego – Drugi bez Pierwszego – jest niezrozumiały. Faktem jest rozdarcie pomiędzy judaizmem i chrześcijaństwem, ale nie ma przecież rozdarcia w Bogu, nie ma rozdarcia w objawionym Słowie Boga, a więc w Biblii. Nie ma, dla chrześcijanina, rozdarcia między Starym i Nowym – pomiędzy Pierwszym i Drugim Przemierzem. Św. Paweł pisał w liście do Rzymian: „Pamiętaj, że nie ty podtrzymujesz korzeń, ale korzeń ciebie."

Niewątpliwie, ma pan rację, jedną z przyczyn konfliktów jest brak wiedzy, a przede wszystkim, co podkreślałem – brak pokory; zresztą, najczęściej zarozumiałość ma swoje źródło w braku wiedzy. Ośmielam się twierdzić, że to chrześcijanie, od czasów cesarza Konstantyna, poczuli się zbyt pewni w dziedzinie, która nie powinna była ich zbytnio interesować. Papieże namaszczali i koronowali królów i cesarzy; sami – w pewnym okresie dziejów, przecież jeszcze nie tak odległym – nosili tiarę (potrójną koronę). Antyjudaizm zaczął uchodzić za postawę słuszną. Żydzi – powiadano – mieli się nawrócić; dlaczego są wciąż tacy oporni? Nowy Testament kończy dzieje Starego. Chrześcijaństwo jest nowym Izraelem. Pojawiła się teoria zastępstwa. Zamiast wypełnienia Prawa i Proroków, o którym mówił Pan Jezus, pojawił się koniec.

Przecież, aż do II Soboru Watykańskiego, w Wielki Piątek, kiedy Żyd umierał na krzyżu, a umierając modlił się „Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią", my, chrześcijanie, modliliśmy się za wciąż „przewrotnych Żydów" (*pro perfidis Judeis*) powtarzając wkoło, że to Żydzi zamordowali Jezusa. Jakże głęboko antyjudaizm tkwił w doktrynie Kościoła, skoro ksiądz, chrzcząc Żyda, wymawiał słowa: «Horresce Judaicam perfidiam, respue Hebraicam superstitionem.» *Hebraica superstitio* – hebrajski przesąd! Doprawdy nie mam pojęcia, o co tu mogło chodzić? Na temat Talmudu napisano wiele bzdur. Jego zawartości, a więc tego, co Żydzi nazywają Torą ustną – spisane nauczanie najwybitniejszych rabinów – chrześcijanin nie musiał znać. Ale tym bardziej nie powinien był tym pogardzać. Najcenniejszą jednak dla wyznawców judaizmu była, i jest, hebrajska Bibilia, a więc to, co nazywamy Starym Testamentem. Czyżby ów hebrajski przesąd to Prawo, albo Prorocy? Bo przecież nie Psałterz, codzienna modlitwa Kościoła!

Nienawiść do Żydów, której objawem najkrwawszym był hitlerowski rasizm, nie miała już nic wspólnego z chrześcijaństwem. Niestety, ta nienawiść była starsza od hitleryzmu. To nie znaczy, że nie było chrześcijan napominających, że owa wrogość, nienawiść do Żydów jest czymś bardzo niedobrym. Np. św. Bernard z Clairvuax, podczas wypraw krzyżowych, wyraźnie mówił: „Kto uderza w Żyda, uderza w Jezusa". Nie było, niestety, tych głosów zbyt wiele. Antyjudaizm w chrześcijaństwie był czymś bardzo złym. Najlepszym tego dowodem jest żal, skrucha, jaką wyraził Kościół na II Soborze Watykańskim. W Deklaracji Soborowej, *Nostra aetate*, czytamy: „Kościół [...] pomnąc na wspólne z Żydami dziedzictwo, opłakuje – nie z powodu pobudek politycznych, ale pod wpływem religijnej miłości ewangelicznej – akty nienawiści, prześladowania, przejawy antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom". Dla mnie zacytowane słowa są bardzo cenne. Bardzo bym pragnął, aby stały się czymś więcej niż deklaracją. Jestem Żydem; dzieckiem, a właściwie – niemowlęciem Holocaustu, bo urodziłem się w 1943 r. Od 1966 r. jestem katolickim księdzem i dziś wiem, że idąc do Seminarium Duchownego, a potem przyjmując sakrament Kapłaństwa, spełniłem coś, z czego ani na moment nie zdawałem sobie sprawy. Kiedy byłem małym chłopcem, przezywano mnie: „Żyd", „żydowski podrzutek". Bardzo się tym przejmowałem. Płakałem po kątach. Zupełnie nie byłem podobny do swoich polskich Rodziców. W głowie roiły się przeróżne myśli. Ponieważ jednak byłem bardzo kochany przez tych, którzy uratowali mi życie, nie wierzyłem, że mogą nie być moimi Rodzicami. Myśl, że mógłbym być Żydem, odrzucałem od siebie. W Seminarium Duchownym uświadomiłem sobie w pełni, że Jezus jest Żydem, że Żydami byli wszyscy Apostołowie. Idąc do święceń kapłańskich, myślałem sobie: byłoby cudownie gdybym naprawdę był Żydem! O tym, że nim faktycznie jestem – pełną prawdę o moim pochodzeniu – wyjawiła mi moja wspaniała polska Matka dopiero w 1978 r. Wówczas dowiedziałem się znacznie więcej, niż prawdę o swoim pochodzeniu. Okazało się, że argumentem, który skłonił moją polską Matkę, aby podjąć

ryzyko ratowania mi życia, były słowa mojej rodzonej Matki; to moja rodzona żydowska Matka – Batia miała na imię – pewnego dnia powiedziała do mojej Matki polskiej: „Jest pani chrześcijanką, wierzy pani w Jezusa. Przecież On był Żydem. Niech więc pani ratuje to żydowskie niemowlę w imię tego Żyda, w Którego pani wierzy. Kiedy ten mały wyrośnie, zobaczy pani, on będzie księdzem; będzie nauczał ludzi". Dla mojej polskiej Matki, słowa mojej Matki żydowskiej, były apelem do Jej wiary. Ona rzeczywiście wierzyła w Jezusa i zaryzykowała. Dowiedziałem się o tym, kiedy byłem już 12 lat księdzem; miałem 35 lat. Zupełnie nic o tym nie wiedząc, dotrzymałem obietnicy złożonej przez moją rodzoną Matkę; wypełniłem niejako Jej testament. To dla mnie jest niesłychanie ważne. Jestem Żydem od Jezusa. On uratował mi życie.

J.W.: *Może wróćmy jeszcze do wątku genezy chrześcijaństwa. Jeślibyśmy spojrzeli na płaszczyźnie czysto teologicznej. Jakby ksiądz odparł tego rodzaju argument, który się pojawia. Mówi on, że istotą chrześcijaństwa jest to, co przynosi Chrystus. Chrystus musiał przyjść w jakiejś konkretnej kulturze, przyszedł jako wyznawca judaizmu. Miał więc za sobą pewien sposób mówienia, pewien język, pewną obyczajowość itd. Natomiast jego przesłanie jest przesłaniem uniwersalnym, ponadkulturowym. To, że chrześcijaństwo narodziło się wewnątrz judaizmu, jest sprawą czysto przypadłościową. To jest problem, na ile Objawienie chrześcijańskie jest wpisane w kulturę konkretnego narodu.*

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: Bardzo ważna kwestia. Oczywiście, że istotą chrześcijaństwa jest to, co przynosi Chrystus, więcej – jest żyjący w Kościele Chrystus. Sądzę jednak, iż geneza chrześcijaństwa z judaizmu nie jest sprawą, jak pan to sformułował „czysto przypadłościową". Św. Jan w swojej Ewangelii pisze, iż „Bóg tak umiłował świat, że Syna Swego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie umarł, ale miał życie wieczne." Czy Syn Boga mógł przyjść w jakiejś innej kulturze, np. – Dalekiego Wschodu, albo w kulturze Inków? Pewnie tak, ale to nie byłby już Jezus z Nazaretu, urodzony w Betlejem – Chrystus – co znaczy Mesjasz. Jego uczniów nie nazwano by więc chrześcijanami. Proszę zauważyć, że ci wszyscy, którzy chcieliby odizolować chrześcijaństwo od judaizmu, izolują je od całego dziedzictwa – od wiary Abrahama. Tymczasem, w Nowym Testamencie Bóg objawia się poganom, trzem mędrcom (królom), właśnie w tym dziedzictwie – jako „Król żydowski". Tenże napis – i to znowu nie przypadek – pojawia się na krzyżu. Są to – jeżeli kto chce – „Boże przypadki". Ów „żydowski Król", to właśnie Jezus Chrystus. I to przez Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, Syna Maryi – młodej Żydówki z Nazaretu – Przedwieczne Słowo Ojca zostało objawione poganom. Ci ostatni, zanurzeni przez Sakrament Chrztu w życie i śmierć Chrystusa, zostali wszczepieni w korzeń szlachetnej oliwki – Izraela. Chrześcijaństwo nie jest judaizmem, ale „Religia żydowska – naucza Jan Paweł II – nie jest dla naszej religii rzeczywistością zewnętrzną, lecz czymś wewnętrznym". Dla wszystkich chrześcijan Żydzi są „starszymi braćmi w wierze", ponieważ Abraham – o tym przypomina św. Paweł – jest naszym *ojcem w wierze*.

Ja nie wiem, dlaczego Bóg powołał właśnie Abrahama, powierzając Jemu i Jego potomstwu głoszenie prawdy o jedynym Bógu, Stwórcy nieba i ziemi? Tak chciał! Ale ponad wszelką wątpliwość Jezus Chrystus objawia Siebie światu jako Jednorodzony Syn Tegoż Boga, Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba. To przecież sam Jezus powiedział: „zbawienie bierze początek od Żydów". Całe życie, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa, całe Jego nauczanie, bez Abrahamowego dziedzictwa jest niezrozumiałe. Niezrozumiałą Księgą jest Nowy Testament bez Starego. Jan Paweł II mówi: „Kto spotyka Jezusa, spotyka judaizm". To nie są literackie ozdobniki.

A więc to, że chrześcijaństwo narodziło się wewnątrz judaizmu, nie jest sprawą przypadłościową. Chrześcijaństwo gardzące judaizmem, wyrzucające Żydów, wyrzuca samego Jezusa, Jego Matkę, wszystkich Apostołów, ze św. Pawłem włącznie. A wówczas – przestaje być chrześcijaństwem. Dziedzictwo Jezusa, Syna Bożego – ale również Syna Maryi – jest w religijnym dziedzictwie Izraela. Tak chciał Bóg.

J. W.: *Ja rozumiem, ale w takim razie pojawia się pytanie: jeżeli Objawienie judeo-chrześcijańskie osadzone jest tak mocno w jakiejś kulturze, to jak bronić jego uniwersalności? Czy ono jest również skierowane do ludzi Dalekiego Wschodu, do mieszkańców Afryki? Żeby oni zrozumieli to objawienie, muszą zrozumieć pewną kulturę...*

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: Nie ulega wątpliwości, że Objawienie judeo-chrześcijańskie jest skierowane do całego świata. Gdy Bóg powołuje Abrahama, opisuje to Księga Rodzaju, czytamy słowa: „Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi". Pan Jezus mówi do Apostołów: „Idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego". O tym, co w tym nauczaniu jest uniwersalne, Pan Jezus powiedział bardzo wyraźnie odpowiadając na pytanie o najważniejsze przykazanie, postawione Mu przez uczonego w Prawie: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest najważniejsze i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się cało Prawo i Prorocy." I właśnie to Prawo i Proroków – przypominam chyba już po raz trzeci – przyszedł Jezus wypełnić. Wypełnił przez Swoją śmierć na krzyżu i zmartwychwstanie. Obecny – przez Ducha Świętego – w Kościele, głoszony jest przez tych którzy w Niego wierzą, którzy są Kościołem, wszystkim ludom i narodom, całemu światu. Sprawą najważniejszą jest, aby nic z tego, co najważniejsze nie spaczać, nie zmieniać.

J.W.: *Tylko zawsze jest dyskusja, co należy do tego jądra, którego zmienić nam nie wolno...*

Ks. R. J. Weksler-Waszkinel: Dyskusja jest zawsze sprawą bardzo cenną. Proszę zauważyć, że w konfrontacji z obrzędowością judaizmu pierwotny Kościół poradził sobie już na pierwszym Soborze Jerozolimskim. Tam zapadły istotne decyzje odnośnie do obrzezania, czy koszerności potraw. Resztę kształtowały dzieje. I gdybyśmy tym dziejom dokładnie się przyglądnęli, to, jak sądzę, problemem na dziś nie jest nadmierne zjudaizowanie Kościoła. Problemem dla inkulturacji Kościoła w Afryce, czy Azji,

pośród Indian, czy Aborygenów, jest raczej nadmierne Jego zeuropeizowanie; jeszcze dokładniej – Kościół, a wydaje się, iż Sobór Watykański II dostrzegł to bardzo wyraźnie, był bardziej rzymski niż katolicki (powszechny), i to zarówno w artykułowaniu doktryny jak i w obrzędach. Nie sądzę, aby w Bombaju, Limie lub Pekinie nie rozumiano słów Jezusa: „Byłem głodny, a daliście mi jeść. Byłem spragniony, a daliście mi pić. Byłem w więzieniu, a odwiedziliście mnie. Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, to uczyniliście Mnie." I na pewno nie trzeba specjalnych zabiegów, aby zrozumiałymi uczynić słowa proroka Izajasza: „Dziel swój chleb z głodnym, wprowadź do domu biednych tułaczy, nagiego, którego ujrzysz, przyodziej,...". Natomiast niejedno z dzieł najwybitniejszych teologów – Doktorów Kościoła – jest dla wymienionych ludów zupełnie niezrozumiałe. To nie jest zarzut skierowany w stronę tych wybitnych umysłów. Tak właśnie toczą się dzieje. „Usycha trawa, więdnie kwiat, a Słowo Pana trwa na wieki" (to również Izajasz).

Słowo Pana jest światłem, ożywczym strumieniem. Nie jest Ono własnością Żydów, chociaż, z woli Boga, im najpierw zostało przekazane. Przez Chrystusa i w Chrystusie otrzymali je chrześcijanie – wyrażam się skrótowo – ale nie jest też Ono własnością chrześcijan. Wszyscy, wyznawcy judaizmu i chrześcijanie, niesiemy skarb w naczyniach glinianych.

Niosąc ów skarb – światło, ożywczy strumień – do wszystkich ludów i narodów, winniśmy pamiętać o ich bogactwie, co dla nas jest innością (odmiennością); o ich zwyczajach i tradycji. Zasadniczy zatem wysiłek winien być skierowany na przekazanie sensu, który jak wiemy, może być przekazany za pomocą różnych znaków – symboli. Przy czym – jedno pragnę zastrzec: są pewne znaki, których, w moim przekonaniu, w obrębie chrześcijaństwa zmienić nie można. A mianowicie: chleb i wino – gdy chodzi o Eucharystię oraz wodę – gdy chodzi o chrzest. Z wodą, chyba nie ma większego problemu; obmywa ona brud na równiku i na obu biegunach; Sakrament chrztu zanurza nas w Chrystusa i Jego mocą oczyszcza z grzechu – zwłaszcza – pierworodnego oraz wszystkich innych (nie będę tego bliżej wyjaśniał, chyba ten elementarz rozumiemy). Gdy chodzi natomiast o Eucharystię – chleb i wino – nie można tego objaśnić bez Żydowskiej Paschy. Bez Żydów i judaizmu się nie obejdzie... To właśnie jest szczególne! Wszystko inne, to co uniwersalne, jest, powinno być, przetłumaczalne.

Jedno jest pewne. Słowo Boga skierowane do ludzi nazwałem światłem i ożywczym strumieniem. Otóż, ów „strumień" ma gasić pragnienie, „światło" – umożliwiać wzrost. Jezus Chrystus jest „Redemptor Hominis" – Odkupicielem każdego człowieka. Na pewno więc nikogo nie wolno poniżać, poniewierać lub zabijać. A więc tak ostatecznie: najważniejszym zadaniem dla chrześcijan – a wydaje mi się, że i dla wyznawców judaizmu – winno być to, aby wszyscy ludzie kochali się wzajemnie i wielbili jednego Boga. Właśnie do tego zachęcają nas, chrześcijan, słowa pieśni śpiewanej niejednokrotnie w czasie naszych nabożeństw:

„Aby ludzie widzieli dobre czyny w nas
i wielbili Ojca, który w niebie jest".

Aby widzieli, a nie tylko słyszeli, jak się wymądrzamy...

***

W wielogodzinnym spotkaniu (odbytym 28 listopada 1995 r.) z ks. dr. Romualdem Jakubem Weksler-Waszkinelem uczestniczyli: Jan Gałkowski, Marcin Knap, Mateusz Kokoszka, Jacek Wojtysiak, Stanisław Żebrowski, Sławomir Żurek.

W jednym z najbliższych numerów „Scriptores Scholarum" zamieścimy drugą część rozmowy, poświęconą m.in. społecznym aspektom antysemityzmu.

W konsultacji z Rozmówcą opracował: **Jan Gałkowski**.

Czekanie Żydów na Mesjasza ma pełny sens dla chrześcijanina, który spodziewa się powrotu swego Zbawiciela, który czeka na Paruzję. Nie wszystko się więc dokonało, nawet dla chrześcijan. I Żydzi są niezbędnie potrzebni dla przyszłości tej ludzkości, która wiedząc, że została zbawiona, jakoby już nie ma na co czekać. Obecność Żydów przypomina konformistom wszelkiej maści, że nie wszystko ma się najlepiej na tym najlepszym ze światów.

Emmanuel Levinas, *Przyjaźń judeo-chrześcijańska*

Oświęcim, będący chyba najbardziej wymownym symbolem „Holocaustu narodu żydowskiego", mówi, jak daleko może się posunąć system zbudowany na przesłankach nienawiści rasowej i żądzy panowania jednego narodu. Oświęcim nie przestaje ostrzegać także i dzisiaj. Oświęcim mówi, iż „antysemityzm jest wielkim grzechem przeciw ludzkości". Mówi, że wielkim grzechem przeciw ludzkości jest wszelka nienawiść rasowa, która niechybnie prowadzi do podeptania człowieczeństwa.

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

- Spotkania religii:

katolicyzm

„Przyszłością Kościoła są ruchy religijne"

– rozmowa z księdzem Arcybiskupem Metropolitą Lubelskim Bolesławem Pylakiem

Bolesław Pylak - ur. 1921 r., Arcybiskup Metropolita Lubelski, członek Rady Głównej, Rady Naukowej oraz Komisji Maryjnej Episkopatu Polski; Wielki Kanclerz KUL, prof. dr hab. teologii, zatrudniony przy Katedrze Teologii Dogmatycznej na Wydziale Teologii KUL.

Stanisław Żebrowski: *Jak Ksiądz Arcybiskup postrzega problemy współczesnej młodzieży?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Młodzież dzisiaj – raczej pozostawiona sama sobie. Nikt się nie interesuje, nie spieszy jej z pomocą. Odczuwa się też brak organizacji młodzieżowych w szkole. Kiedyś ważną formacyjną rolę spełniało harcerstwo. Organizacja ta wychowała wielu wspaniałych ludzi. Uczyła samowychowania drogą radosnej zabawy. Osobiście dużo zawdzięczam harcerstwu. Czy dzisiejsze harcerstwo spełnia tę rolę? Owszem są grupy, które usiłują kontynuować model dawnego harcerstwa. Mam na myśli ZHR – Związek Harcerstwa Rzeczpospolitej, POH – Polską Organizację Harcerską i naszych „Zawiszaków". Grupy te trzymają się raczej parafii. Natomiast pozostałe harcerstwo w ramach szkół powoli się odradza, ale jeszcze daleko mu do autentycznego harcerstwa. Przed wojną w szkołach pięknie pracowała Sodalicja Mariańska. Jeszcze 1948 roku prowadziłem ją jako wikariusz w Nałęczowie. Później wszystkie organizacje musieliśmy rozwiązać. Dopiero w ostatnich latach zrodziły się różne ruchy, także młodzieżowe pod dachem Kościoła. W szkołach natomiast widzę nadal pustkę. A jednak młodzież potrzebuje wspólnoty, fermentu intelektualnego i wychowawczego. Zwłaszcza okres szkoły średniej – to czas ogromnego rozwoju i ważną jest rzeczą, aby go nie przespać.

Katarzyna Grzybowska: *Ale przecież młodzież wcale nie jest mało aktywna, właśnie teraz odbywa się europejskie spotkanie młodzieży ruchu Taizé we Wrocławiu, na które przypuszcza się, że przyjedzie około stu tysięcy młodych z całej Europy.*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Tak, oczywiście są takie „zrywy" i ma to swój walor, ale są one jednorazowe. A mnie

chodzi o to, żeby stworzyć jakiś trwały związek młodzieży.

Jacek Wojtysiak: *Co więc należałoby w takim razie czynić, mając na celu kształtowanie młodzieży: tworzyć nowe struktury dydaktyczne, czy też odtwarzać stare?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Trzeba szukać coś nowego, na miarę czasów, ale korzystając z dorobku minionego, a także z doświadczeń Zachodu. Są tam różne inicjatywy, nie wszystkie mądre, ale wiele można się nauczyć. Oryginalny polski ruch młodzieżowy stworzył u nas Ks. Franciszek Blachnicki, tzw. „oazy". Korzysta z niego wielu młodych, myślę, że z wielkim pożytkiem dla siebie.

K.G.: *Uwzględniając zatem trudną sytuację kraju, młodzieży i Kościoła, o której mówił Ksiądz Arcybiskup, gdzie w takim razie szukać rozwiązań, czy jest jakaś recepta?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Ruchy, ruchy, i jeszcze raz ruchy religijne! W ruchach tkwi nadzieja Kościoła! Pamiętajmy o tym, że właśnie w małych grupach, w małych wspólnotach tworzy się człowiek. Tak jest na przykład we wspólnotach neokatechumenalnych: jest tam sporo ludzi o różnym doświadczeniu życiowym, zarówno starszych, jak i młodych. Wnoszą oni pewne wartości, dzielą się nimi; powstaje autentyczna wspólnota wiary i miłości.

Jest rzeczą charakterystyczną, że dzisiejszy człowiek nie lubi organizacji, nie chce być skrępowany, chce być wolny. Może więc organizacje już się przeżyły? Natomiast cieszą się wzięciem różne stowarzyszenia i ruchy, które gromadzą ludzi wokół jakiejś idei, bez ścisłych ram organizacyjnych. Są to więc struktury mobilne. Jedni ludzie dołączają, inni odchodzą. W naszej diecezji naliczyłem 35 różnych stowarzyszeń i ruchów religijnych, między innymi: Dzieci Maryi, Krucjata Eucharystyczna, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Stowarzyszenie Rodzin Katolickich, Rodzina Rodzin (Światło-Życie), Focolarini, Droga Neokatechumenalna, Legion Maryi, Rycerstwo Niepokalanej, Pomocnicy Maryi Matki Kościoła, Oaza młodzieży i dorosłych, Odnowa w Duchu Świętym, Bractwo Trzeźwości, Zespoły charytatywne, Wspólnota Krwi Chrystysowej, różne wspólnoty modlitewne, Żywy Różaniec itd. Ruchy te są bogactwem parafii. Świadczą o jej żywotności. Są znakiem, że człowiek nie jest samotną wyspą; jest natomiast istotą społeczną, która potrzebuje wspólnoty do swojego rozwoju. Oczywiście pierwszą i najważniejszą wspólnotą jest rodzina.

Wiele parafii w naszej diecezji jest naprawdę aktywnych. Oprócz ruchów religijnych tworzą różne instytucje przyparafialne, gazetki. Dla przykładu wymienię: „Ku Wspólnocie" – pisemko w parafii św. Józefa, „Ku Świętej Rodzinie" w parafii pod wezwaniem Świętej Rodziny. Wszystko to świaczy, że Kościół był, jest i będzie istniał i pracował w różnych warunkach, również trudnych.

J. W.: *Czy Księdzu Arcybiskupowi chodzi tylko o ruchy ściśle religijne, apolityczne, czy także o ruchy zaangażowane społecznie i politycznie?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Moim zdaniem członkowie różnych grup i wspólnot religijnych, po kilku latach swojej formacji, powinni działać także politycznie. Myślę, że politycy się tam jeszcze ukażą. Stara generacja polityków polskich już się wykrusza. Obyśmy mieli mądrych polityków! Wielu z

nich wymordowano w czasie II wojny światowej. Wielu też mądrych ludzi żyje dziś – spotykamy ich – ale jakoś nie chcą podejmować działalności politycznej.

Adrian Lesiakowski: *Żyjemy dziś w epoce postmodernizmu, w którym widoczna jest atomizacja wszelkich zjawisk w kulturze, mam więc wrażenie, że chyba stworzenie takiego ruchu o charakterze ogólnonarodowym jest po prostu niemożliwe. Ta sytuacja widoczna jest również w Kościele posoborowym. Mimo to hierarchia kościelna w Polsce wychodzi obecnie z propozycją stworzenia tzw. „Akcji Katolickiej", czy nie wydaje się księdzu, że tego typu inicjatywa jest dzisiaj po prostu niemożliwa do zrealizowania?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Postulaty tworzenia jakiejś organizacji na wzór przedwojennej Akcji Katolickiej wysuwały od pewnego czasu pewne kręgi katolików świeckich. Wychodząc im naprzeciw powołaliśmy ją do istnienia. Na razie jest ona w stadium rodzenia się. Okazuje się, że dobre wzorce przedwojenne są nie do odtworzenia. Szukamy jakiegoś nowego modelu. Nie może to być nowy ruch religijny. Ma być organizacją katolików świeckich. Ksiądz pełni w niej rolę tylko asystenta kościelnego. Może ci świeccy liderzy, twórcy Akcji Katolickiej, pojawią się w ramach aktualnie działających ruchów religijnych? Pamiętajmy, że ta organizacja dopiero zaczęła się tworzyć. Kieruje nią ksiądz, który zna dobrze świeckich i umie z nimi pracować. Wiele zależy od świeckich, bo Akcja Katolicka ma być przede wszystkim ich dziełem.

J.W.: *Niektórzy mówią, że 19 listopada był dniem prawdy, kiedy można było zobaczyć, jakie jest oblicze społeczeństwa polskiego, niektórzy ludzie, również publicyści katoliccy zastanawiają się wprost, czy Polska jest jeszcze krajem katolickim?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Wielu ludzi ma po wyborach wyrzuty sumienia, a to już dobry znak. *Errare humanum est* – zbłądzić jest rzeczą ludzką. Ważna była motywacja wyborów. Myślę, że wielu głosujących nie odrzucało światopoglądu chrześcijańskiego. Chcieli tylko zmiany wiążąc z tym nadzieję na polepszenie warunków bytu materialnego. Ponadto wyborcy nie mieli wielkiego wyboru, jeśli chodzi o kandydata na prezydenta. Zwróćmy jeszcze uwagę na fakt, że jesteśmy narodem, w którym emocje biorą nieraz górę nad myśleniem. A to myślenie czasem zawodzi, zwłaszcza gdy jesteśmy straszliwie sterowani i manipulowani przez mass media. Dlatego moim zdaniem – *nil desperandum* – nie rozpaczać! Polska po wyborach nie stała się krajem antykatolickim. Dostrzegaliśmy tylko przy okazji wyborów, że nasz katolicyzm w pewnych grupach jest za mało przemyślany; grzeszy płyciznę mentalną. Dlatego ruchy religijne mają tu szerokie pole i ważne zadanie do spełnienia. Chodzi o pogłębienie naszej wiary.

A.L.: *Jest więc chyba tragedią Kościoła w Polsce, to o czym mówił Ksiądz Arcybiskup, że liczba chodzących do Kościoła i korzystających z sakramentów wzrasta, a jednocześnie mamy taki wynik wyborów. Czy Kościół w Polsce nie idzie w kierunku, jak Ksiądz Biskup określił „płyciźny"?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Raduje mnie fakt powolnego ale ustawicznego wzrostu liczby uczestniczących we mszy św. niedzielnej i w komunii

św. Jest to dobry znak, że idziemy we właściwym kierunku i zmierzamy ku głębi. Część ludzi, którzy w okresie komunizmu chroniła się pod dach Kościoła, szukając tam odrobiny wolności, w nowej sytuacji społecznej odeszła. Myślę, że nie jest to faktyczna strata. Można mówić tylko o procesie pewnej polaryzacji stanowisk w sprawach wiary.

Czy przez to pomniejszył się autorytet Kościoła? Jeśli będziemy patrzyli i oceniali Kościół jako partię polityczną – to tak. Ale wiemy, że Pan Jezus nie chciał być ziemskim królem i politykiem; nie zakładał też partii politycznej. Kościół – to my wszyscy, zjednoczeni z Chrystusem, zmierzający z Nim do pełni życia w wieczności. Życie to jest darem Bożym, ale też naszą zasługą. Realizujemy ją na tej ziemi. Dlatego nie jest dla nas rzeczą obojętną jakość tego życia ziemskiego. Może ono ułatwiać albo utrudniać realizację ostatecznego celu życia ludzkiego. Inaczej mówiąc ziemskie życie, oparte o prawdę, sprawiedliwość i miłość, czyli przeniknięte Ewangelią stwarza korzystne warunki dla rozwoju i dojrzewania naszej osobowości na miarę myśli Bożej. Dlatego naszym zadaniem i obowiązkiem jest budowanie struktur społecznych i politycznych w oparciu o te właśnie wartości chrześcijańskie, które są wartościami jak najbardziej ludzkimi. Inaczej mówiąc i polityka podlega prawu moralnemu. Kościół o tym przypomina i zachęca do budowania dobrych struktur życia państwowego. Jeśli zbudujemy złe struktury, poniesiemy tego konsekwencje. Myślę, że może i lepiej, iż stało się tak jak się stało. Przynajmniej teraz, jeśli się coś nie uda, nie będzie się tego spisywać na konto Kościoła hierarchicznego. Dlatego błędne jest twierdzenie, że Kościół przegrał. Kościół jako nauczyciel prawdy Chrystusowej, nie może przegrywać. Przegrać może człowiek, który odrzuca tę prawdę i ponosi konsekwencje swojego czynu.

K.G.: *Ostatnio dzieje się dużo dobrego w Kościele. Np. ruch ekumeniczny. Poczynając już od Jana XXIII, poprzez inicjatywy Pawła VI, a teraz Jana Pawła II, widzimy, jak na świecie budzi się idea ekumenizmu. Wiem, że w naszym Kościele lokalnym, te inicjatywy też mają swoje odniesienie.*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Jedność chrześcijaństwa jest nakazem Chrystusa i naszym zadaniem: „aby wszyscy byli jedno, jak my, Ojcze, jedno jesteśmy". Do tej pełnej jedności, patrząc i oceniając ludzką miarą, jest jeszcze daleko. Jesteśmy jednak już na drodze ku tej jedności. Modlimy się razem, zwłaszcza w tygodniu modlitw o jedność Kościoła. Urządzamy wówczas nabożeństwa ekumeniczne, na które zapraszamy wszystkich wyznawców Kościołów i wspólnot chrześcijańskich. Na KUL-u istnieje Instytut Ekumeniczny, który robi dużo dobrego na rzecz ekumenizmu.

S.Ż.: *Czy dzisiaj Kościół jest instytucją kulturotwórczą?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Kościół był, jest i będzie instytucją kulturotwórczą, gdyż pomaga być człowiekowi w pełni człowiekiem. A taki tylko człowiek tworzy autentyczną kulturę. Mam na myśli kulturę prawdy, dobra moralnego i piękna. Może najbardziej widoczny jest wpływ Kościoła na kulturę piękna. Wszak nowe kościoły choćby w Lublinie są ozdobą architektoniczną naszego miasta. Czasem dzisiejsza

kultura odchodzi od Ewangelii i staje się wówczas antykulturą. Ojciec Święty Paweł VI nazwał to odejście największym dramatem naszych czasów. Jan Paweł II robi wszystko, by na nowo powiązać kulturę z Ewangelią, ubogacić ją wartościami chrześcijańskimi. Wówczas taka kultura będzie ubogacać człowieka, który jest jej twórcą, ale równocześnie także odbiorcą.

S.Ż.: *Jakie zadania stoją dzisiaj przed inteligencją katolicką?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Inteligencja jest głową narodu, jego mózgiem. Dlatego wrogowie nasi tępili przede wszystkim inteligencję polską. Mówią o tym choćby dzieje okupacji niemieckiej i sowieckiej. Dzisiaj inteligencja powoli się odradza. Z dziedzin bardzo ważnych jako pole działania dla inteligencji katolickiej stawiam na pierwszym miejscu środki społecznego przekazu. Nie mamy dobrych piór. Zlaicyzowane mass media szerzą ogromne spustoszenie w głowach i sercach wielu ludzi, zwłaszcza młodych. Dlatego troska o dobre programy radia katolickiego, o prasę katolicką jest sprawą bardzo ważną. Myślimy o telewizji katolickiej, choć wydatki związane z tym przedsięwzięciem są ogromne. Wielką rolę do spełnienia ma nasz Katolicki Uniwersytet Lubelski jako kuźnia katolickiej myśli. Niepokoi zanik czytelnictwa wśród ludzi. Tak samo jest problem z wyższymi uczelniami. Braki materialne uniemożliwiają ich rozwój. Cierpi na tym polska nauka. Procent ludzi z wyższym wykształceniem w naszym kraju jest stosunkowo niski. Miejmy nadzieję, że sytuacja będzie zmieniać się na lepsze. Jednym z zadań, jakie stają przed dzisiejszą inteligencją, jest tworzenie rzeczywistych, trwałych dóbr kultury. Właśnie takie inicjatywy jak „Scriptores" mogą być zarzewiem kulturalnego fermentu, bo przecież poruszacie różne problemy i społeczne, i kulturalne, pokoleniowe. Wszystkie one są ważne dla młodzieży. Pismo jest zawsze ośrodkiem, wokół którego gromadzą się ludzie, bo jest to dla nich jakiś punkt odniesienia. W Polsce mamy dużo młodzieży myślącej, szukającej, ale często także zagubionej. W „Scriptores" macie poważne artykuły. Przeglądając je, zastanawiałem się, czy macie dużo czytelników. Życzę owocnej pracy.

A.L.: *Czy nie boi się Ksiądz Arcybiskup tej sytuacji, która miała miejsce we Francji i w Austrii, gdzie powstały ruchy alternatywne w samym łonie Kościoła, na przykład „Wszyscy jesteśmy Kościołem", które tak naprawdę nigdy nie uczestniczyły w życiu Kościoła i nie mają nic wspólnego z jego nauką, ale chcą narzucić Kościołowi swoją zlaicyzowaną wizję społeczeństwa? Czy w Polsce nie może zdarzyć się podobna sytuacja?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Owszem, taka sytuacja może zaistnieć także i u nas, tym bardziej, że w moim przekonaniu jest to akcja sterowana przez pewne ośrodki wrogie Kościołowi. A Kościół w Polsce jest ostatnio przedmiotem wzmożonych ataków z różnych stron. Warto wiedzieć, że istnieje antykościół, który pragnie zniszczyć wszystkie narodowości, wszystkie religie, zwłaszcza Kościół katolicki i stworzyć jedno ogólnoświatowe państwo ateistyczne. Ten antykościół dysponuje wielkimi środkami materialnymi; opanował w dużej części mass media. A imię jego – masoneria!

Postulaty owych działaczy pseudokatolickich we Francji i Austrii, o których

jest mowa – to między innymi zniesienie celibatu księży, święcenia kapłańskie dla kobiet i tym podobne nonsensy. Myślę, że wśród naszych katolików tego rodzaju hasła nie znajdą oddźwięku i aprobaty.

J. W.: *Kościół ma funkcję uświęcającą, nauczającą i świadczącą pomoc innym, czyli charytatywną. Jak wygląda kwestia działalności charytatywnej Kościoła? Spotyka się czasem opinię, że siły dalekie od Kościoła angażują się w działalność charytatywną więcej niż Kościół.*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Troska o każdego obywatela jest zasadniczym obowiązkiem państwa, a zatem także troska o obywatela w potrzebie. Płacimy na ten cel podatki. Celem Kościoła jest głoszenie Ewnagelii – radosnej nowiny zbawienia, która ukazuje transcedentny wymiar życia ludzkiego. Oczywiście nie jest obojętny Kościołowi los człowieka i jego warunki bytu na ziemi. Pan Jezus głosił Królestwo Boże i równocześnie spieszył z pomocą człowiekowi w potrzebie. Taka postawa obowiązuje nas wszystkich. Czynimy to indywidualnie i zbiorowo w ramach różnych wspólnot charytatywnych i organizacji kościelnej „Caritas". Tuż po wojnie Kościół rozwinął szeroką działalność charytatywną przy pomocy środków z zagranicy. Po paru latach odebrano mu tę możliwość pracy. Zlikwidowano kościelny „Caritas". Zabrano Kościołowi ponad 300 zakładów opiekuńczo-charytatywnych. Wyrzucono siostry zakonne ze szpitali. Po 50 latach i całkowitej dewastacji tychże zakładów zaoferowano Kościołowi ich zwrot. Pytanie, czy Kościół będzie miał środki na ich renowację? Nasi bracia ateiści gotowi są umożliwić Kościołowi pracę charytatywną. Niech wyręcza państwo w jego obowiązkach. Kościół nie odmawia; podejmuje się troski o człowieka w potrzebie; traktuje ten obowiązek jako swoje ewangeliczne prawo i przywilej. Nie zawsze ma ku temu stosowne środki materialne. Wszak nie ma zakładów produkcyjnych, kopalni, sklepów itd. Kościół żyje z ofiarności wiernych. Jest skazany na ich hojność. Jeśli to źródło ubożeje, to instytucje charytatywne Kościoła działają w mniejszym zakresie. Myślę jednak, że robimy, co w naszej mocy. Dla przykładu wspomnę, że nasza apteka diecezjalna w ostatnim roku zrealizowała gratisowo pół miliona recept. W przeliczeniu na złotówki jest to poważna suma pieniędzy zaoszczędzona przez ubogich rencistów i emerytów, bo oni najwięcej korzystają z bezpłatnych leków. Jak oceniać działalność charytatywną ludzi stojących poza Kościołem? Można się tylko cieszyć z tego rodzaju inicjatyw. Z pewnością mają one znaczenie także wychowawcze, jeśli mobilizuje się do takiej akcji dzieci i młodzież. Myślę, że czasem robi się wokół takiej imprezy zbyt wiele szumu i krzyku. Natomiast byłoby rzeczą interesującą wiedzieć, ile procent z zebranych pieniędzy poszło faktycznie na głoszony cel. Inaczej mówiąc, rodzi się pytanie: komu pomagamy?

J. W.: *Żyjemy w czasach laicyzacji, wielu ludzi odchodzi od Kościoła, czy my, Kościół Rzymsko-Katolicki – duchowni i świeccy dajemy odpowiednie świadectwo, takie które może przyciągać tych ludzi na nowo do Kościoła?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Chrześcijaństwo jest darem Boga, nie wymysłem ludzi. Jest z pewnością doktryną. Dlatego chrześcijaństwa się uczymy.

Jest także z moralnością; dyktuje pewne zasady postępowania. Wyraża się także w formie praktyk religijnych. Ale wspólnym mianownikiem dla tych elementów składowych chrześcijaństwa jest fakt, że jest ono życiem. A życie może przekazywać tylko istota żyjąca. Dlatego świadectwo życia jest w chrześcijaństwie sprawą bardzo ważną. Dotyczy to wszystkich w Kościele: duchownych i świeckich. My jesteśmy dla wielu nowoczesnych pogan jedynie czytelną i żywą ewangelią. Stąd nasza odpowiedzialność za Chrystusa w naszych czasach.

Zwrócę specjalną uwagę na tę sprawę w życiu rodziców. Ich postawa chrześcijańska ma zasadnicze znaczenie dla ich dzieci. Szczęśliwe dziecko, które posiada autentycznie chrześcijańskich rodziców. Pytanie, czy jest ich wielu? Owszem, są i tacy i dziękować za to Bogu, gdyż oni wychowują dobre dzieci; zapowiadają lepszą przyszłość narodowi. Ale wiemy, że jest także wiele chorych rodzin. Z nich wyrosną chorzy ludzie. Na stare lata spłacą dług wdzięczności swoim rodzicom, oby tylko nie w formie eutanazji. Patrząc w przyszłość i śledząc kierunek, w jakim zmierza współczesna cywilizacja, określana mianem cywilizacji śmierci, nie można tego wykluczyć. Oby moje obawy pozostały tylko w sferze myślenia.

S. Ż.: *Czy Ksiądz Arcybiskup mógłby powiedzieć jakieś słowo do tych młodych ludzi, którzy są poza Kościołem, którzy są zlaicyzowani. Jak Ksiądz Arcybiskup by ich zachęcił do powrotu na łono Kościoła?*

Arcybiskup Bolesław Pylak: Ateistów, którzy by negowali istnienie jakiejś siły ponadnaturalnej, tłumaczącej widzialny świat, w moim życiu nie spotkałem. O istnieniu Boga mówi rozum, byleby człowiek chciał uczciwie myśleć. Nawet ateiści walczący otwarcie z Bogiem, świadczą o Jego istnieniu. Natomiast chrześcijaństwo, wiara – jest to coś więcej, niż przyjęcie ponadświatowej siły tłumaczącej świat. Jest to osobista więź z Bogiem osobowym, który pozwala mówić do siebie: Ojcze! Ten ojciec mnie kocha bezinteresownie, pragnie mojego szczęścia. Otwierając się na Jego miłość, ubogacam moją osobowość, staję się większym człowiekiem. Pięknie to wyraziła bł. Urszula Ledóchowska: „Jak w promieniach słońca rozwijają się kwiaty, tak w promieniach miłości rozkwitają ludzie". Rezygnować z tego Słońca? Przecież byłby to mój największy dramat, nawet tragedia, kiedy myślę o wieczności bez Boga.

Kiedyś w młodości oglądałem piękny młodzieżowy film „Droga w słońcu". Myślę, że każdy z nas tworzy własny film życia. Jesteśmy w nim głównym aktorem. Jaki nadamy mu tytuł? Czy „Droga w słońcu", czy Żeromskiego „Dzieje grzechu?" Wybór zależy od każdego z nas. Ale także jego następstwa.

S. Ż.: *We współczesnym, posoborowym Kościele wielu jego członków szuka swojego charyzmatu, czyni to również „Scriptores", a może jest to właśnie charyzmat dialogu?*

Dziękujemy księdzu Arcybiskupowi za rozmowę.

Opracowali: **Jacek Wojtysiak i Sławomir Żurek**

Ignacy Chwesiuk,
Gerard Staniecki

Ksiądz Gostyński wczoraj i dziś

1. WCZORAJ czyli Gostyński

Kazimierz Gostyński urodził się 8 kwietnia 1884 r. w Warszawie. Tam też w Gimnazjum Ronatlera, odbywa studia średnie. Po ich ukończeniu, w roku 1904, wstępuje do Seminarium Duchownego w Lublinie. Święcenia kapłańskie przyjmuje z rąk biskupa lubelskiego Franciszka Jaczewskiego dnia 14 czerwca 1908 roku. W tymże roku wyjeżdża do Insbrucku, by studiować tam teologię moralną. Cztery lata później powraca do kraju i natychmiast zostaje mianowany rektorem kościoła św. Piotra w Lublinie, dźwiga ten kościół ze zniszczeń wojennych i po zakończeniu odbudowy, przekazuje go w 1917 roku w ręce Ojców Jezuitów. W latach 1912–1914 ks. Kazimierz Gostyński pełni także funkcję prefekta gimnazjum im. Stanisława Staszica, gdzie uczy religii, języka niemieckiego a w razie potrzeby zastępuje również dyrektora. Od 1913 roku jest profesorem w Seminarium Duchownym, gdzie naucza języka łacińskiego.

Ważną datą w życiu księdza Gostyńskiego staje się rok 1915. Wtedy to, wspólnie ze zrzeszeniem nauczycieli, zakłada on męskie gimnazjum realne im. Hetmana Jana Zamoyskiego, po czym zostaje wybrany jego dyrektorem i prezesem Polskiej Macierzy Szkolnej. Praca ta okazuje się życiowym posłannictwem Gostyńskiego – okazuje się on świetnym pedagogiem, organizatorem i administratorem, zyskuje wielką popularność w Lublinie. By lepiej wypełniać swoją szkolną pracę, rezygnuje w 1918 roku z prowadzenia wykładów w Seminarium. Gimnazjum Gostyńskiego w krótkim czasie staje się pierwszorzędną uczelnią z pełnymi prawami i własnym, nowoczesnym gmachem. W szkole działają też: orkiestra oraz czwarta Lubelska Drużyna Harcerska. Warto zaznaczyć, iż w okresie dyrektorstwa księdza Gostyńskiego wszelkie nabożeństwa odbywały się w gimnazjum. W roku 1921 szkoła im. Jana Zamoyskiego zostaje upaństwowiona. Mimo tego, Gostyński jeszcze przez dwanaście lat pozostaje dyrektorem, by w 1933 roku zostać pozbawionym tej funkcji przez władze oświatowe.

Wyrazem uznania dla księdza Gostyńskiego było mianowanie go w 1922 r. szambelanem przez papieża Piusa XI. Trzy lata później biskup lubelski przyznaje mu godność kanonika Kapituły Katedralnej. W latach 1933–1935 pracuje Gostyński jako dyrektor Gimnazjum Biskupiego na Czwartku w Lublinie. Otrzymawszy nominację na rektora kościoła po-Wizytkowskiego, osiada przy nim i pracuje, otoczony powszechnym szacunkiem i sławą weterana szkolnictwa lubelskiego oraz ofiarnego społecznika. Gromadzi

tu inteligencję katolicką miasta, szczególnie młodzież gimnazjów im. Stefana Batorego i Jana Zamoyskiego.

Po wybuchu wojny, w Święto Niepodległości 11 listopada 1939 roku, ksiądz Gostyński odprawia mszę za Ojczyznę i wygłasza kazanie o tematyce patriotycznej. Po czterech miesiącach zostaje aresztowany i poprzez więzienie w Zamku Lubelskim, obóz koncentracyjny w Oranienburgu trafia do Dachau. Tam, umęczony katuszami obozu, zostaje uznany za niezdolnego do pracy i dnia 15 VI 1942 roku ginie męczeńską śmiercią w komorze gazowej. Od kilku lat trwa proces beatyfikacji ks. Kazimierza Gostyńskiego...

II. DZIŚ czyli Bobrzyński

Jak widać, życie księdza Kazimierza Gostyńskiego zostało zdominowane przez dwie przenikające się wzajemnie sfery: pracę duszpasterską i pedagogiczną. Jako ksiądz, nauczyciel i wychowawca młodzieży zapisał on piękną kartę w historii lubelskiego szkolnictwa. Gimnazja, z którymi współpracował, rozwijały się prężnie w wielu dziedzinach. Gostyński dbał nie tylko o stronę naukową – szczególną uwagę zwracał on na rozwój kulturalny i duchowy swoich uczniów. Świadczy to o patriotyzmie księdza, który w okresie II Rzeczypospolitej dostarczał Polsce elit intelektualnych, tak bardzo potrzebnych młodemu państwu. Podczas okupacji Gostyński dał dowody swojej wiary i odpowiedzialności za utrzymanie świadomości narodowej wśród Polaków, przepłacając to niestety własną śmiercią.

Jednak praca rozpoczęta przez niego nie powinna pójść na marne. Szczególnie dziś, w sprzyjających warunkach, jest szansa na ponowne podjęcie i kontynuację jego dzieła. Próbą nawiązania do tradycji przedwojennej szkoły i do myśli ks. Gostyńskiego jest powstałe w 1991 r. PKLO jego imienia. Inicjatywy dyrektora **Michała Bobrzyńskiego** są – można rzec – wiernym odbiciem działań jego przedwojennego poprzednika: organizowane w szkole msze, własna drużyna harcerska, nacisk na wychowanie duchowe – to tylko sztandarowe założenia. Pewnie znalazłoby się jeszcze kilka wspólnych cech, ale nie chodzi tu przecież o szczegóły. Co prawda własnej orkiestry liceum nie posiada, ale chyba nic straconego?

Teraz już tylko od dobrej współpracy uczniów, nauczycieli i dyrekcji zależeć będzie realizacja myśli pedagogicznej szacownego tandemu Gostyński – Bobrzyński. Tak więc, by nie hańbić czcigodnego imienia patrona naszej szkoły, dobrze by było tę szansę wykorzystać.

Kościół dialogu i otwarcia

– rozmowa z Jerzym Turowiczem redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego" (Kraków 8.01.1996, ulica Wiślna 12, godzina 12.00)

Jerzy Turowicz – ur. 1912 r., publicysta katolicki, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego" (od 1945 r., z przerwą w latach 1953–1956), wieloletni członek Komisji Episkopatu Polski d/s Apostolstwa Świeckich i prezes Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak", członek zespołu redakcji miesięcznika „Znak", działacz Klubów Inteligencji Katolickiej, *doctor honoris causa* Yale University, odznaczony m.in. Komandorią Orderu św. Grzegorza z Gwiazdą; w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zaangażowany politycznie po stronie opozycyjno-solidarnościowej oraz środowisk obecnej Unii Wolności.

TYGODNIK POWSZECHNY
KATOLICKIE PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

Sławomir Żurek: *Co to znaczy, że „Tygodnik Powszechny" jest pismem katolickim?*

Jerzy Turowicz: „Tygodnik Powszechny" powstał w roku 1945, w sytuacji, kiedy w wyniku wojny oraz konferencji w Jałcie został narzucony Polsce ustrój komunistyczny. Ja i moi przyjaciele uważaliśmy, że jest miejsce w Polsce na pismo katolickie, które by wyrażało oraz kształtowało opinie katolików. Tygodnik musiał być pismem apolitycznym ze względu na fakt, że od początku między Kościołem, a władzą komunistyczną istniało napięcie. Wyrażanie więc opinii politycznych nie było praktycznie możliwe, ze względu na cenzurę. Uważaliśmy, że ważniejsze jest kształtowanie poglądów i postaw naszych czytelników. Pismo początkowo wydawała Krakowska Kuria Diecezjalna pod patronatem Księdza Arcybiskupa Sapiehy, późniejszego kardynała. Z tym, że nie był to oficjalny organ Kościoła. Pismo redagowane było przez grupę katoliów świeckich, ale nie tylko, bo księża również byli w redakcji. Ksiądz Piwowarczyk, publicysta, z którym pracowałem przed wojną, był początkowo redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego", ale nie podawaliśmy tego faktu w stopce. W połowie 1945 roku władze zażądały ujawnienia, kto jest redakto-

rem naczelnym. Ksiądz Piwowarczyk nie chciał się podpisywać, powiedział: – „ Niech Pan podpisuje!". I w ten oto sposób zostałem redaktorem naczelnym Tygodnika.

S. Ż.: *To było w 1945 roku, a czym jest dla Tygodnika katolicyzm dzisiaj?*

Jerzy Turowicz: To znaczy to samo: Tygodnik jest redagowany przez grupę świeckich, na własną odpowiedzialność, a nie w imieniu Kościoła. Wyrażamy opinię katolików świeckich, próbujemy kształtować poglądy i postawy. Dziś jest to pismo także polityczne. Ponieważ nie ma cenzury, możemy mówić to, co naprawdę myślimy. Polska znajduje się obecnie w sytuacji przejściowej, więc nie można od polityki abstrahować. Równocześnie pismo nasze zajmuje się sprawami wiary, religii oraz życiem i nauką Kościoła. Piszemy o kulturze w najszerszym tego słowa znaczeniu, o sprawach społecznych, a nawet ekonomicznych. Jest to pismo, które obejmuje całokształt problemów życia współczesnego człowieka z punktu widzenia światopoglądu katolickiego.

Gerard Staniecki: *Do kogo pismo jest adresowane? Czy Tygodnik szuka nowego kręgu odbiorców?*

Jerzy Turowicz: Po pierwsze Tygodnik jest adresowany do inteligencji, dlatego że dla szerokich mas jest za trudny. Oczywiście w pierwszym rzędzie do inteligencji katolickiej, także do duchowieństwa, które niestety nie zawsze czyta Tygodnik. Kiedyś czytało częściej, gdyż Tygodnik był jedynym tego rodzaju pismem. Dzisiaj mamy wiele pism, wiele orientacji. Pismo skierowane jest także do młodzieży, gdyż ona jest odbiorcą ważnym i wymagającym. Tygodnik redagujemy oczywiście nie tylko dla katolików. Od samego początku mieliśmy formułę pisma otwartego. Zawsze byliśmy gotowi drukować chrześcijan niekatolików, prawosławnych, protestantów, liberałów, ludzi niewierzących, pod warunkiem, że uważaliśmy ich za ludzi uczciwych i mających coś do powiedzenia. Ta otwarta formuła sprawiła, że z czasem coraz więcej ludzi z zewnątrz przychodziło do Tygodnika. W czasach komuny wielu członków partii czytało Tygodnik. Czy to dlatego, że chcieli wiedzieć co katolicy myślą, czy czasami może nawet z sympatii do niezależności? Tygodnik był pismem niezależnym. Wprawdzie wychodził pod cenzurą i nie mogliśmy pisać wszystkiego, co chcieliśmy, ale nigdy nie kłamaliśmy. Dzięki temu pismo zachowało wiarygodność. W okresie ostatnim, czyli przed 1989 rokiem, Tygodnik był praktycznie organem opozycji demokratycznej w Polsce.

Pan pyta czy chcemy pozyskać nowych czytelników? Oczywiście, że chcemy. Musimy jednak pamiętać, że „Tygodnik Powszechny" nie jest pismem komercyjnym.

Przemysław Więczkowski: *Powiedział Pan na początku, że odbiorcą pisma jest inteligencja katolicka. Chciałbym zapytać jak się odnosi do tego słowo „Powszechny" w tytule?*

Jerzy Turowicz: Słowo „powszechny" etymologicznie znaczy – katolicki, uniwersalny. Oznacza to chęć obejmowania całokształtu życia społecznego, duchowego, religijnego, kulturalnego, politycznego. Każde pismo ze względu na swój poziom jest adresowane do jakiejś grupy czytelniczej. Tygodnik nie jest popularnym pismem diecezjalnym jak „Gość Niedzielny" czy „Niedziela". Nasze pismo jest adresowane do inteligencji. Należymy do tego typu

pism jak na przykład przedwojenne „Wiadomości Literackie", czy „Prosto z mostu"; jak dzisiaj „Polityka", czy „Wprost". Właściwie nie ma już dzisiaj takich pism kulturalno-literackich, jak kiedyś „Życie Literackie" czy „Przegląd Kulturalny". To była kategoria pism, które były adresowane właśnie do inteligencji.

P. W.: *Tygodnik ma dzisiaj więcej przyjaciół czy wrogów?*

Jerzy Turowicz: Do 1989 roku Tygodnik był jedynym niezależnym pismem przeznaczonym dla inteligencji. Mimo, że był pod naciskiem cenzury, mimo że po śmierci Stalina był przez trzy lata zamknięty, przekazany PAX-owi, mimo, że istniały inne pisma katolickie wydawane przez proreżimowy PAX, mimo że władze kościelne odnosiły się z rezerwą i nieufnością, „Tygodnik Powszechny" był do 1989 roku właściwie pismem jedynym. Na początku, po 1945 roku był jeszcze „Tygodnik Warszawski", dużo bardziej polityczny, związany ze środowiskami polskiej chadecji. Pismo to istniało dwa, czy trzy lata, w końcu jednak zostało zamknięte przez władze, a redaktorzy poszli do więzienia. Nasz Tygodnik był mniej polityczny i dlatego jakoś przetrwał, był zresztą pod parasolem ochronnym Kościoła. „Tygodnik Powszechny" stanowił jedyne pismo niezależne na obszarze całego bloku państw socjalistycznych, od Łaby do Szanghaju. Czesi i Słowacy, jeżeli mogli to go czytali, bo dzięki Tygodnikowi mogli się dowiedzieć co się dzieje w Kościele, i w ogóle na Zachodzie, szczególnie w dziedzinie kultury. W okresie „Solidarności", Tygodnik był organem opozycji demokratycznej i wtedy czytywała go cała postępowa inteligencja, również laicka. Nakład, który był ograniczony przez władzę, najpierw wynosił trzydzieści tysięcy egzemplarzy, potem pięćdziesiąt, jeszcze później obcięto nam za karę nakład do czterdziestu, a potem nawet do trzydziestu tysięcy. W tych czasach „Tygodnik" był praktycznie nie do dostania. Zawsze popyt na Tygodnik był większy niż podaż. Tak było do końca okresu „Solidarności". Nakład wtedy osiągnął liczbę stu tysięcy egzemplarzy, co stanowiło niesłychanie dużo, jak na pismo adresowane do inteligencji. Mimo to popyt był ciągle większy. Wtedy mieliśmy bardzo wielu przyjaciół, szczególnie wśród inteligencji katolickiej i laickiej, a także wśród duchowieństwa.

Po 89 roku to się zmieniło, dlatego, że pojawiły się wówczas w Polsce różne opcje polityczne, które nie mogły się wcześniej ujawnić. Powstały nowe pisma. Pojawiły się podziały w Kościele: opcje centrowe, bardziej prawicowe, czy wręcz fundamentalistyczne, które prezentuje dzisiaj na przykład „Radio Maryja", czy tygodnik „Niedziela". Na skutek tych podziałów i my mamy dzisiaj wielu nieprzyjaciół.

W okresie pierwszych wyborów prezydenckich opowiedzieliśmy się dosyć wyraźnie za Tadeuszem Mazowieckim, uważając, że jest lepszym kandydatem na prezydenta niż Lech Wałęsa, choć ten miał ogromne zasługi dla polskiej demokracji. Wtedy to wiele osób odwróciło się od nas, przede wszystkim zwolennicy Wałęsy. Nie potrafię powiedzieć, czy Tygodnik ma więcej wrogów czy przyjaciół. Jeśli mam już podać konkretną odpowiedź to myślę, że mamy więcej wrogów, ludzi niechętnych wśród tych, którzy dawniej czytali Tygodnik, a teraz po wydarzeniach 90 roku go nie czytają. Mamy jednak również wielu przyjaciół, wśród ludzi

świeckich, księży, a nawet biskupów i to jest dla nas cenne...

Łukasz Garbal: *Jak Pan myśli, dlaczego „Tygodnik Powszechny" jest utożsamiany z „Gazetą Wyborczą"? Słyszałem na KUL-u opinię, że Tygodnik jest wkładką niedzielną Gazety, skąd biorą się te sądy?*

Jerzy Turowicz: Zarzut ten jest demagogiczny i nieprawdziwy. „Gazeta Wyborcza" ma największy nakład w Polsce i jest pismem najbardziej rozpowszechnionym. Jest nam życzliwa, drukuje, nieregularnie co prawda, informacje co będzie w najbliższym numerze Tygodnika. Mamy przyjazne stosunki z Gazetą i uważamy, że jest to bardzo dobre pismo, niesłusznie atakowane jako wrogie Kościołowi. „Gazeta Wyborcza" nie jest pismem katolickim, nie ma więc obowiązku reprezentować stanowiska katolików. Jednak raz na tydzień w Gazecie jest Arka Noego, która daje nam podstawy do mówienia o tym piśmie, jako o sympatyzującym z katolicyzmem. „Gazeta Wyborcza" ma znakomitą publicystykę polityczną i kulturalną. Nie znaczy to, że zawsze się z redakcją Gazety zgadzamy. Na przykład pomysł opublikowania artykułu, wspólnie podpisanego przez Michnika i Cimoszewicza, uznaliśmy za wielki błąd. Z tego to powodu dość ostro skrytykowaliśmy w Tygodniku Adama Michnika.

Stanisław K. Żebrowski: *Czy nawrót do komunizmu to szansa, czy klęska dla współczesnego Kościoła?*

Jerzy Turowicz: Trudno dziś mówić o nawrocie do komunizmu po jego klęsce na całym świecie z wyjątkiem Chin, Korei Północnej czy Kuby, ale i tam ten komunizm się zmienia. Nawet w Rosji, gdzie partia komunistyczna zwyciężyła w tych wyborach, władzy raczej nie obejmie. Powrót do komunizmu w takiej formie jak przed 1989 rokiem jest moim zdaniem niemożliwy. SLD ogłosiła się socjaldemokracją, ale to nie jest prawdziwa socjaldemokracja. Wynik ostatnich wyborów prezydenckich jest – moim zdaniem – dla Polski nieszczęściem, tak że istotnie możemy stwierdzić, że pewne elementy PRL wracają.

Oczywiście dla Kościoła i dla Polski jest to niedobre. Chociaż sądzę, że nowa władza musi się liczyć z Kościołem. Paradoksem jest nieratyfikowanie Konkordatu z powodu politycznych oporów postkomunistów. Myślę, że Kwaśniewski, a nawet Oleksy bardzo chętnie ratyfikowaliby Konkordat, aby dać Kościołowi „prezent". Nie zrobią tego, zapewne, bo w kierownictwie swojej partii muszą się liczyć ze zdaniem większości. Ludzie ci są swego rodzaju niewolnikami układu, dzięki któremu doszli do władzy. Mimo to, sądzę że ze strony władzy Kościołowi nic nie grozi. Szansą dla Kościoła jest natomiast ta sytuacja, która powstała po 1989 roku.

S.Ż.: *Chcielibyśmy prosić Pana Redaktora o diagnozę współczesnego polskiego Kościoła. Czy Kościół Polski dzisiaj, na poziomie lokalnym, szczególnie w parafii, jest Kościołem przedsoborowym czy posoborowym? Czy przeciętny katolik ma świadomość tego, czym był Sobór Watykański II?*

Jerzy Turowicz: Obawiam się, że nie. To wynika z tego, że Sobór odbywał się czasach komuny, kiedy Polska była odcięta od świata. Biskupi polscy na szczęście brali udział w obradach, chociaż nie bez trudności. Była jedna sesja, na której nie było Prymasa Wy-

szyńskiego, bo nie dostał paszportu. W Polsce nastąpiła częściowa reforma liturgii, bez oporów ze strony społeczeństwa. W Polsce, poza wyjątkami nie ma dzisiaj zwolenników arcybiskupa Lefebvre'a. Wprawdzie na KUL-u podobno cieszy się popularnością Artur Zawisza, który kiedyś nawet w Tygodniku zdeklarował się jako sympatyk arcybiskupa Marcela Lefebvre'a, ale jest to wyjątkowe zjawisko. O ile litera Soboru została w Polsce przyjęta, to duch Soboru nie bardzo. Sobór był olbrzymim wydarzeniem w życiu Kościoła, był rewolucją, zwłaszcza jeśli chodzi o to, co się nazywa stosunkiem Kościoła do świata. Przed Soborem Kościół był albo w defensywie wobec świata, który był zsekularyzowany, antyklerykalny, albo w ofensywie. Natomiast Konstytucja Soborowa „O Kościele w świecie współczesnym" deklaruje otwarcie Kościoła na świat. Oznacza to dialog, a nawet tolerancję, oczywiście tolerancję nie dla zła, ale szacunek dla ludzi inaczej myślących. To otwarcie to także dialog ekumeniczny Kościoła Katolickiego z Kościołami Chrześcijańskimi – niekatolickimi. Dialog z religiami niechrześcijańskimi, dialog z ludźmi niewierzącymi, i wreszcie dialog ze światem. Świat jest taki jaki jest, Kościół go na siłę nie zmieni. Musi być w nim obecny, musi w nim działać, musi prowadzić z nim dialog, po to żeby ten świat zrozumieć, żeby mówić do niego językiem dla tego świata zrozumiałym. Kościół mówi czasem w listach, homiliach takim językiem, że dla ludzi z zewnątrz jest to niezrozumiałe. Świat musi zrozumieć, czym ten Kościół jest naprawdę. Postawy wrogie i niechęć do Kościoła płyną często z ignorancji, z niezrozumienia właśnie tego, czym jest Kościół naprawdę, jaka jest jego misja. Trzeba złamać te stereotypy antyklerykalne, które istnieją. Żeby przezwyciężyć te stereotypy trzeba dialogu i szacunku dla ludzi inaczej myślących. Nie odrzucajmy ich, tylko starajmy się ich zrozumieć, przekonać ich, jeżeli mają fałszywe wyobrażenie! Sobór to wielka zmiana, to jest historyczne otwarcie.

W Polsce mówi się czasem o katolicyzmie otwartym i zamkniętym. Trzeba jednak pamiętać, że wszystkich katolików dużo więcej łączy niż dzieli. Dużo zależy od tego, jaka jest formacja księży w seminariach duchownych. Wydaje się, że wielu księży wychodzi z seminarium nie bardzo przygotowanych do działalności w dzisiejszym świecie. Sytuacji tej jednak nie należy uogólniać. Jeżeli chodzi o znajomość Soboru to myślę, że ludzie świeccy w większości dokumentów tych nigdy nie mieli w ręce. W przypadku księży mam nadzieję, że sytuacja wygląda lepiej. Mentalność przedsoborowa jest w Polsce silna. Dużo jest w polskim Kościele postaw zamkniętych, defensywnych, a nawet wojowniczych, czasem wręcz fanatycznych. Wszystkich tych postaw nie można pogodzić z duchem Soboru.

S.K.Ż.: *Czy nie wydaje się czasem Panu, że Sobór w polskim Kościele jest wręcz czasami postrzegany jako zagrożenie?*

Jerzy Turowicz: Księża Biskupi na pewno tak nie myślą, ale niektórzy księża ze skrajnej prawicy katolickiej – owszem. Po Soborze ujawnił się w Kościele pewien kryzys. Znane są przypadki opuszczania kapłaństwa po Soborze przez księży, zakonnice i zakonników. Trwa także wewnątrz Kościoła po dziś dzień kontestacja, na

Zachodzie często mamy do czynienia z selektywnym stosunkiem do nauki Kościoła. Są tacy katolicy, którzy przyjmują tylko częściowo prawdy głoszone przez Kościół. Traktują poważnie takie normy moralne jak: nie wolno kraść, ani zabijać, ale jeżeli chodzi o moralność seksualną to mówią, że Kościół nie ma racji, albo że są to wymagania nieżyciowe. Wreszcie problem kontestacji w teologii. Wszystko to są objawy kryzysu, które są w pewnym sensie nieuniknione. Historycy Kościoła mówią, że każdy Sobór wywoływał pewne zakłócenia. Sobór dał jednak tak wielkie owoce, że trzeba teraz te owoce powoli konsumować, przyswajać. Cały Kościół musi więc nabrać mentalności posoborowej.

G. S.: *Czy istnieje dzisiaj takie pojęcie jak inteligencja katolicka?*

Jerzy Turowicz: To jest rzecz oczywista, że inteligencja katolicka istnieje. Istnieje warstwa ludzi z pewnym wykształceniem, z pewną kulturą. Wiemy, że inteligencja to nie tylko humaniści, ale także lekarze i inżynierowie, oczywiście jeżeli mają głowy otwarte, a nie zamknięte w ramach swojej specjalności. Inteligencja katolicka to ludzie wierzący, praktykujący, chodzący regularnie do kościoła. Oczywiście ta klasa ma różny stopień uświadomienia. Jest elita intelektualna (świadoma część inteligencji katolickiej), ludzie, którzy znają życie Kościoła, jego naukę i są zaangażowani w to życie na poziomie parafii, diecezji.

G.S.: *Jakie są jej podstawowe zadania?*

Jerzy Turowicz: Warunek podstawowy to ten, aby byli chrześcijanami, żeby wierzyli i żyli po chrześcijańsku. Secundo, powinni się poczuwać do odpowiedzialności za Kościół. Sobór mówił wyraźnie o roli katolików świeckich, jako powołanych do współodpowiedzialności, do udziału w misji ewangelizacyjnej Kościoła.

Ł.G.: *Jak Pan sądzi, jaka będzie przyszłość Kościoła polskiego, czy będzie to Kościół typu francuskiego (niewielki, lecz dający żywe świadectwo wiary), czy to będzie tradycyjny, Kościół „masowy"?*

Jerzy Turowicz: Nie potrafię powiedzieć. Myślę jednak, że Kościół polski będzie jednak jeszcze bardzo długo Kościołem masowym. W Polsce robotnicy i chłopi chodzą do kościoła masowo i jest to w kontekście światowym pewnym fenomenem. We Francji warstwa robotnicza to warstwa bardzo zdechrystianizowana. Grupa ta jest u nas do Kościoła bardzo przywiązana, jest mu wierna. Ona stanowi o sile Kościoła i stanowiła tę siłę także w czasach komuny. Kościół opierał się na tej masie wierzących. Myślę, że w przyszłości będzie następowała swego rodzaju erozja. Wiemy, że wśród inteligencji i wśród młodzieży następuje pewna sekularyzacja, laicyzacja pod wpływem tego, co przychodzi z Zachodu: kultura masowa, pornografia w filmach, w telewizji, w książkach. Następuje proces sekularyzacji. Wiemy, że jakaś część młodzieży, często również z winy Kościoła, oddala się od niego. Rośnie dziś antyklerykalizm, którego w czasch komuny nie było, ponieważ ludzie widzieli jaką rolę ten Kościół odgrywa, że jest źródłem oporu przeciw komunizmowi, doktrynie materialistycznej. Nawet ci, co byli niechętni Kościołowi tego nie manifestowali, ponieważ uważali, że to by było nie fair, w czasach gdy Kościół jest w trudnej sytuacji i nie ma

pełnej swobody wypowiedzi. Dzisiaj jest inaczej. Kościół jest wolny, ma swobodę działania, a antyklerykalizm rośnie. Sekularyzacja, dechrystianizacja następuje, to jednak jest to proces stosunkowo wolny. Z badań opinii publicznej wiemy, że ponad 90 % ludności polskiej deklaruje się jako katolicy. Procent ludzi chodzących do Kościoła jest oczywiście dużo niższy. Na wsi 80–90 % ludności, w mieście 40–50 %, ale to i tak są procenty dużo wyższe niż w świecie zachodnim.

S. K. Ż.: *Czy Pan Redaktor nie dostrzega we współczesnej polskiej rzeczywistości społecznej istnienia zorganizowanego programu ateizacji?*

Jerzy Turowicz: Moim zdaniem to jest jakieś tragiczne nieporozumienie. Ja nie widzę takiego spisku. Oczywiście są środowiska niechętne Kościołowi, wrogie Kościołowi, które chciałyby, aby wpływ Kościoła zmniejszył się. Prasa niechętna Kościołowi jest wszędzie: we Włoszech, w Niemczech, i jest to zjawisko normalne. Otóż to wszystko nie jest spiskiem, ale objawem kryzysu współczesnej cywilizacji zachodniej. Są to wyzwania dla Kościoła, a Kościół powinien odpowiedzieć ewangelizacją i świadectwem życia, pracą charytatywną, służbą, którą Kościół oddaje człowiekowi. Ewangelizacja to pokazywanie kim jest Chrystus i czym jest Ewangelia. Nie wojowniczość, nie triumfalizm, nie fanatyzm.

P.W.: *Gdyby Pan miał taką możliwość, to kogo zaprosiłby Pan na wspólną modlitwę: Jacka Kuronia czy Ojca Tadeusza Rydzyka, kogo by Pan wybrał?*

Jerzy Turowicz: Niestety, muszę powiedzieć, że Jacka Kuronia. Nie dlatego, że „Radio Maryja" często i kłamliwie atakuje „Tygodnik Powszechny". „Radio Maryja" w dziedzinie czysto religijnej na pewno jest pożyteczne i ludziom potrzebne, natomiast w warstwie światopoglądowej i społecznej odgrywa rolę szkodliwą. To nie jest dawanie świadectwa Ewangelii. Biskup Tadeusz Pieronek powiedział („Dziennik Polski" z Krakowa): „Episkopat ma z „Radiem Maryja" poważne kłopoty, trwa wojna między Ojcem Rydzykiem, a poszczególnymi Biskupami. W perspektywie takiego rozdźwięku między „Radiem Maryja" a episkopatem, grozi nam po prostu powstanie drugiego Kościoła, jest to bardzo realne. W tym radiu są programy, w których się używa języka walki i nienawiści, nie brakuje również pomówień i zwyczajnych kłamstw. Czasem pod pozorem radykalizmu ewangelicznego przemyca się po prostu nienawiść do ludzi". Tak wypowiedział się o „Radiu Maryja" Sekretarz Episkopatu Polski!

S.Ż.: *Istnieją dwa oblicza polskiego katolicyzmu: jedno reprezentowane przez „Tygodnik Powszechny", i drugie spod znaku: ZChN-u, „Niedzieli" czy „Radia Maryja". Czy różnice, które dzielą te dwie formacje, to różnice między braćmi czy między wrogami?*

Jerzy Turowicz: Myślę, że wszystkich katolików dużo więcej łączy niż dzieli. Niestety w stosunku między tymi formacjami manifestuje się nieraz wrogość, którą trudno pogodzić z duchem braterstwa. W szczególności wrogość do „Tygodnika Powszechnego" i jego formacji. W „Słowie – Dzienniku Katolickim" ukazał się nie tak dawno artykuł p. Petera Rainy, który napisał, że „Tygodnik Powszechny" w latach sześćdziesiątych przestał być pismem katolickim. Wobec tego rodzaju kłamliwych pomówień trudno mówić o braterstwie.

P.W.: *Skąd płynie ta niechęć do „Tygodnika Powszechnego"?*
Jerzy Turowicz: Z fanatyzmu, z przekonania, że „tylko my mamy rację", że Tygodnik to liberałowie, kosmopolici, filosemici, Żydzi, a może po prostu masoni. To są postawy fundamentalistyczne, integrystyczne, aroganckie. Jest to mentalność w 100% przedsoborowa.
G.S.: *Jak Pan ocenia Tygodnik z perspektywy 50 lat, w kontekście słów św. Pawła: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem."*
Jerzy Turowicz: Sądzę, że Tygodnik wystąpił w dobrych zawodach, wiary strzegł, ale biegu jeszcze nie ukończył!
S.Ż.: *Z czego my – redakcja „Scriptores", a jednocześnie stali czytelnicy „Tygodnika", bardzo się cieszymy! Dziękujemy za rozmowę!*

Materiał do druku przygotowali: **Gerard Staniecki i Łukasz Turczyński**

Opracował: **Sławomir Żurek**

Vaticanum II to pierwszy Sobór w historii, w którym nie było żadnego **anatema;** ***świadomie i celowo skreślone słowo*** **potępienie**

*

Są niestety tacy katolicy, zwłaszcza w Polsce, którzy zamiast działania Ducha Świętego wszędzie widzą machinacje masonerii. Tak więc, jeśli tylko ktoś - na przykład ja - nie patrzy dziś na Kościół w kategoriach walki religijnej i nie tkwi w oblężonej twierdzy, to niechybnie musi być masonem, chociaż sam o tym nie wie.

Prof. Stefan Swieżawski,
emerytowany profesor KUL,
audutor Soboru Watykańskiego II

„Jesteśmy znakiem sprzeciwu"

Sobota z „Niedzielą", czyli spotkanie redakcji „Scriptores Scholarum" z Karolem Klauzą redaktorem katolickiego tygodnika „Niedziela"

Karol Klauza – ur. 1947 r., doktor teologii, studia: Uniwersytet Gregoriański w Rzymie i KUL, b. sekretarz Instytutu Jana Pawła II KUL i redakcji „Ethosu", obecnie redaktor „Niedzieli", autor książek i artykułów z zakresu teologii dogmatycznej, mass-mediów, historii zakonów itp.

---

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI

Sławomir Żurek: *Kto jest adresatem „Niedzieli"?*

Karol Klauza: Odbiorcy Tygodnika Katolickiego „Niedziela" to ludzie z wykształceniem średnim. W prezentowanych artykułach eliminujemy pojęcia właściwe dla specjalistów, czy środowiska akademickiego, po to by w efekcie uzyskać tekst o charakterze popularnym, zrozumiałym dla przeciętnego absolwenta szkoły średniej. Dobór problematyki jest także właściwy dla kręgu zainteresowań takiego odbiorcy: problemy z kręgu religijno-społecznego, zwłaszcza te, które najbardziej bulwersują opinię publiczną. Jednocześnie podejmujemy problematykę oddziaływania ewangelicznego, czyli popularyzujemy naukę wiary i katolicką naukę społeczną. Trzeci aspekt to próba nawiązania kontaktów z różnymi kręgami, szczególnie z ludźmi młodymi. Chcemy rozmawiać z nimi o różnych sprawach. Wśród jedenastu edycji lokalnych „Niedzieli" pojawiła się również edycja młodzieżowa. Badania w kręgu czytelników, które przeprowadzono na zlecenie redakcji, przed pięcioma laty wykazały, że przeciętny odbiorca tygodnika pochodzi z przedziału wiekowego 40–50 lat. Wiązało to się z tym, że „Niedziela" oferowała bliską tej grupie wiekowej ocenę współczesnej historii Polski. Dzisiaj tę granicę wiekową pragniemy przesunąć w dół.

S. Ż.: *Czy Tygodnik trafia do środowisk jedynie katolickich, czy też również niekatolickich?*

Karol Klauza: Podejmujemy różnego rodzaju zabiegi organizacyjne oraz działania marketingowe pozwalające dotrzeć do różnych środowisk, a szczególnie do tych, do których docieramy jedynie w kontekście polemik. Właśnie polemiki z „Gazetą Wyborczą" i „Wprost" sprawiły, że tytuł „Niedziela" zaistniał także w obszarze publicystyki laickiej. W ten sposób „Niedziela" została odebrana przez tamte środowiska, jako pismo, które reprezentuje bardzo zachowawczy stosunek do autentyczności postaw katolickich i narodowych. Troszczymy się, aby polemiki teologiczne, które są toczone wśród specjalistów nie były przenoszone w warstwę popularyzacyjną, aby na łamach naszego pisma była raczej rzetelna doktryna potwierdzona i podyktowana troską Stolicy Apostolskiej. „Niedziela" w tym miejscu lansuje się jako „tuba" Stolicy Apostolskiej. Często przypomina nauczanie Jana Pawła II, ale także wracamy do wcześniejszych papieży: Pawła VI i Jana XXIII, pokazujemy na czym w praktyce polega misja Kościoła będącego dziś światłością dla świata. „Niedziela" chce bowiem pokazywać Kościół jako światło dla narodów poprzez realizację wskazań soborowych. W naszej pracy towarzyszy nam inspiracja związana z Dekretem o apostolskiej działalności ludzi świeckich.

Adrian Lesiakowski: *Kto wchodzi w skład redakcji „Niedzieli"?*

Karol Klauza: Gros zespołu to ludzie świeccy. Praca w „Niedzieli" jest jak gdyby naszym własnym sposobem realizowania katolicyzmu i swojego wkładu w kulturę. Skupiają się tutaj dziennikarze pracujący w obszarze historii sztuki, literatury, historii współczesnej, filozofii, teologii, polityki. Za edycje diecezjalne odpowiadają księża. Redaktorem naczelnym od chwili reaktywowania Tygodnika w 1981 roku jest ks. Ireneusz Skubiś.

Jacek Wojtysiak: *Jednak ze strony środowisk nie związanych z Kościołem wysuwana jest opinia, że „Niedziela" reprezentuje jedynie postawę zamkniętą i zachowawczą. Jak by Pan się do tych głosów ustosunkował?*

Karol Klauza: To jest opinia polemistów „Niedzieli", wyrażana mniej, lub bardziej agresywnie. Każde wskazanie na autentyczną interpretację encyklik zawartą w dokumentach Kościoła, powoływanie się na tradycyjną w Kościele interpretację dziedzictwa Ewangelii, staje się znakiem sprzeciwu. „Niedziela" nie idzie na kompromis w zakresie rozumienia norm moralnych. Stara się je przekazywać w jak najbardziej podstawowej interpretacji, jaką daje tradycyjna teologia moralna. Nie szuka kompromisów tam, gdzie nie są one możliwe, dlatego może być tak odbierana. Jesteśmy bowiem znakiem sprzeciwu.

J.W.: *Zarzuty z tamtej strony nie dotyczą jednak sfery moralnej, czy związanej z wiarą, tylko tych obszarów, gdzie kompromisy mogą być częste, a więc sfery społecznej i politycznej.*

Karol Klauza: Istnieje ścisły związek pomiędzy pryncypiami moralnymi, a ich zastosowaniem w życiu społecznym oraz w życiu indywidualnym. Bardzo często publicyści „rozrywają" ten związek mówiąc, że istnieje autonomia zdarzeń społecznych, bez odniesienia do norm moralnych, co nie jest prawdą. Jeżeli jednak przyjmiemy, że istnieje związek moralny wywodzący się z kultury Ewangelii przenoszony na życie społeczne, to „Niedziela" stara się pokazywać jak w konkretnych zdarzeniach,

np. w wyborach prezydenckich, realizowane są podstawowe zasady moralne. „Niedziela" może służyć ludziom jasnymi, czytelnymi wskazaniami, nawet jeśli się z nimi nie zgadzają. Może odgrywać rolę inspirującą.

A.L.: *Jak wygląda stosunek „Niedzieli" do ekumenizmu?*

Karol Klauza: Autentyczny ekumenizm polega na tym, że każda ze stron pragnie pozostać do końca sobą. Dialogi toczące się na najwyższych szczeblach, bardzo trudne, jako jedno z istotnych kryteriów mają zasadę zachowania tożsamości każdej z grup. Nie wolno nam zejść na płaszczyznę publikowania tekstów, które będą się podobać drugiej stronie w sposobie ujęcia dogmatu za cenę odejścia od autentycznej jego interpretacji. Musimy pozostawać autentycznymi katolikami, ale z pełnym szacunkiem dla innych wyznań. Na naszych łamach odnotowujemy ich święta religijne oraz najważniejsze wydarzenia. Unikamy krytyki innych wyznań, ich hierarchii czy teologii. Nie publikujemy czegoś, co mogłoby powodować konflikty. Tworzymy również „zdarzenia ekumeniczne". Niedawno w Toruniu miało miejsce *Colloquium charitativum*, które zgromadziło w jednej świątyni hierarchów protestanckich, katolickich, prawosławnych. „Niedziela" towarzyszyła tej imprezie, pokazując naocznie, że możliwe jest współdziałanie przy zachowaniu autentycznego związku z tożsamością wyznaniową. „Niedziela" nie tylko może być, ale i jest pismem, które może się przyczynić do zbliżenia ekumenicznego. Ekumenizm zakłada dobrą wolę wszystkich przystępujących do dialogu, otwarcie się na wzajemne poszukiwanie prawdy.

J.W.: *Czy „Niedziela" może użyczać swoich łam innym wyznaniom?*

Karol Klauza: Publikowali u nas swoje teksty ludzie związani z prawosławiem, także protestanci. Teksty te pozostawały w konwencji świadectwa. Było to pozytywnie odbierane nawet przez osoby, które postrzegają „Niedzielę" jedynie jako organ prasowy katolików.

Wyjątek stanowi oczywiście stosunek „Niedzieli" do sekt. Przestrzegamy na naszych łamach, zwłaszcza młodzież, przed zgubnymi skutkami ich działalności – także społecznymi. Idziemy tutaj za troską Kościoła, a także samozachowawczym zmysłem społeczeństwa.

S.Ż.: *Czy ideałom ekumenicznym służą również wypowiedzi broniące wystąpienia ks. Henryka Jankowskiego: Szkoda, że te same media z tą samą zapalczywością nie zaprotestowały przeciw oszczerczym oskarżeniom lansowanym przez Żydów, że to Polacy zorganizowali Oświęcim i wymordowali współwyznawców. Prawdą jest, że niektóre środowiska żydowskie przeczyły temu, ale znacznie głośniej brzmiały kłamstwa, a tych strasznych kłamstw jak dotąd nie rozpoznał żaden sąd i nie wydał orzeczenia również rabin z Nowego Jorku, który bezkarnie lżył Kościół w Polsce.* („Niedziela" 19.11.1995)

Czy nie mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju manipulacją, polegającą na zestawieniu takich dwóch spraw jak: wymordowanie kilku milionów Żydów, a więc kwestii najtragiczniejszej w relacjach chrześcijańsko-żydowskich, z jednym wybrykiem księdza Henryka Jankowskiego?

Karol Klauza: Zarówno same działania obu religii, jak i publikacje doty-

czące tych działań są naznaczone kontekstem historycznym. Oświęcim trzeba rozpatrywać w ponad-historycznym wymiarze, ale mającym swoje korzenie w totalitaryzmie nazistowskim. Problem polega na tym, że społeczność żydowska ogranicza zdarzenia, które miały miejsce w Oświęcimiu jedynie do tragedii swojego narodu. Pamiętajmy jednak, że tam zginęły całe rzesze innych mniejszości narodowych: Cyganów, Tatarów, etc. Co więcej, większość Żydów to przecież byli także obywatele Polski. Stąd też zawłaszczanie Oświęcimia tylko do wymiaru żydowskiego symbolu jest naruszeniem wymowy historycznej tego znaku.

Z kolei wypowiedź ks. Henryka Jankowskiego padła w konkretnej konfiguracji historycznej. Podobne metody zostały przyjęte przez rabina Waissa, a metody te na pewno nie są wykwitem kultury żydowskiej. Oba zdarzenia wywołują jednak niepomiernie odmienny rezonans, angażujący nie tylko same „postaci dramatu", ale przenoszą się na szczeble polityczne. W przypadku wypowiedzi ks. Jankowskiego nadano sprawie rozgłos, wychodząc od zdarzenia lokalnego, zaczęto budować stereotyp myślenia o Polaku, który wraz z mlekiem matki wysącza antysemityzm, a tak przecież nie jest. „Niedziela" nie chowa głowy w piasek. Podejmujemy ten bolesny temat, wskazując, że istnieje jeszcze margines interpretacji, którego strona laicka nie podnosi. To jest próba dostrzeżenia tego obszaru prawdy, który jest możliwy do zbadania.

S.Ż.: *Mam przed sobą tekst publicysty, który podpisuje się na łamach „Niedzieli" inicjałami A. L. Publicysta ten pisze: „Antykościół atakuje!" („Niedziela" 12.11.1995, s. 13). Spośród członków owego „Antykościoła" wymienia: Zbigniewa Mikołejko pracownika Instytutu Socjologii PAN, Tomasza Wołka redaktora naczelnego „Życia Warszawy", „Antykościołem" jest „Społeczeństwo Otwarte", jak pisze „Niedziela": Pismo poświęcone indoktrynacji w stylu masońskim. Sam tytuł mówi za siebie. (Na marginesie to nie wiem, co ten tytuł mówi za siebie?) Tego typu wypowiedzi znajdziemy bardzo wiele na łamach „Niedzieli". Czy to jest najlepszy sposób na prowadzenie dialogu ze światem?*

J.W.: *I druga sprawa, czy to już nie jest zaangażowanie polityczne, czy to jest obrona pryncypiów, czy coś więcej?*

Karol Klauza: Cytowany fragment artykułu ma z założenia charakter polemiczny, a więc wybiera środki, które temu założeniu towarzyszą. Jest on próbą ustosunkowania się do pewnej frazeologii „Gazety Wyborczej". Pan Mikołejko chce urastać do rangi eklezjologa polskiego, który doradza Kościołowi, co Kościół powinien robić, aby być Kościołem. Nawet gdybyśmy założyli maksymalnie posuniętą postawę dialogu, to musimy stać na stanowisku, że nie może on dotyczyć eklezjologii gazetowej. Wydaje mi się, że sformułowanie „Antykościół" oddaje istotę poruszanego zagadnienia, skoro to co propagują laiccy publicyści nie jest wizją społeczności zbawczej, a jest wyrazem zaatakowania wyznawców Jezusa Chrystusa jako członków zrzeszonych w partii zwanej „Kościołem".

Przemysław Więczkowski: *Ale czytelnik o średnim wykształceniu, kiedy czyta tekst „Antykościół atakuje", nie zastanawia się nad problemami eklezjologicznymi. Gdy są wymienione naz-*

wiska ma jednoznaczne skojarzenia, że nie chodzi tu o żadną polemikę, ale że ci konkretni ludzie są wrogami Kościoła!

Karol Klauza: Czytelnik o średnim wykształceniu lubi prostotę wypowiedzi, obrazowość wyrazu. Przejście z tej konwencji na złagodzoną w warstwie słownej mija się z celem polemiki. Gdy coś nazwie się „Antykościołem" to czytelnik wie, że tu zapala się czerwone światełko w świadomości i powinien podchodzić z rezerwą do publikacji tych osób, które tam są wymienione.

J.W.: *Czy to jest obrona pryncypiów, czy pewnej linii politycznej? Mówi się przecież w cytowanym fragmencie, że pismo „Społeczeństwo otwarte" ma jednoznaczną proweniencję masońską. Pismo zostało natomiast założone przez Ministerstwo Edukacji Narodowej po 1989 roku, kiedy weszli do niego ludzie demokratycznej opozycji. Czy to dyskutowanie z masonerią, czy raczej jednoznaczne atakowanie wizji społeczeństwa demokratycznego?*

Karol Klauza: Demokracja rzeczywiście daje możliwość pozytywnego rozwiązywania problemów społecznych. Z tej pozytywnej oceny wykluczone są tylko te opcje, które są inspirowane liberalizmem, gdyż przechodzi on w obszar ideologii i „stacza się" w totalitaryzm, bo takie zejście jest łatwe. „Niedziela" zdaje sobie z tego sprawę i dlatego w imię zasad Ewangelii przestrzega przed zgubnymi skutkami „głosowania nad Prawdą". Osobiście błąd upatruję w tym, że próbuje się zamknąć interpretacje „Niedzieli" tylko do sfery religijnej, bez prawa do wypowiadania się na tematy społeczne. Niektórzy mówią: „Bądźcie sobie pluralistyczni w sferze religijnej, ale nie tykajcie spraw społecznych!", bo zaraz zostaniecie posądzeni o zaangażowanie polityczne.

J.W.: *Chodzi mi tylko o to, żeby nazywać to co jest polityką – polityką, a nie pod płaszczykiem obrony wartości chrześcijańskich bronić opcji politycznej. Tam gdzie jest kwestia dogmatu dyskusji nie ma, ale tam gdzie są sprawy polityczne, tam dyskusja może zaistnieć!*

Karol Klauza: Nie traktujemy swoich publikacji jako elementu gry politycznej. Nie polityka służy decyzjom o publikacji. „Niedziela" nie jest organem żadnej opcji politycznej. Widząc wzajemne przenikanie opcji w ocenie zdarzeń mamy uzasadnione przekonanie, że nasza wizja jest najbliżej pryncypiów.

S.Ż.: *Mówił Pan o posoborowej linii pisma, natomiast ja odnoszę inne wrażenie. Czytając już tytuły artykułów z pierwszej strony: „Czy Polak to cham?" (12.11.1995), „Katolicki prezydent?" (5.11.1995), trudno dopatrzeć się inspiracji posoborowych, opartych na szeroko pojętej kulturze chrześcijańskiej, czy też katolicyzmie otwartym. Teksty te służą bardziej polaryzacji stanowisk w samym Kościele, niż jego jedności, pokazując, że główny problem Kościoła związany jest z nieprzychylnością świata, atakami z zewnątrz. Czy jednak główny problem Kościoła polskiego nie polega na tym, że Sobór Watykański II nie zaistniał na poziomie parafii? Obecny jest za to w prasie, w dyskusjach na uniwersytetach. Dlaczego „Niedziela" koncentruje się na polemikach politycznych, a nie na tym, tak ważkim problemie? Jaką naprawdę wizję Kościoła reprezentuje „Niedziela"?*

Karol Klauza: Poruszył Pan dwie kwestie. Pierwsza to wizja Kościoła jako zamkniętej twierdzy, a druga to problem przełożenia spraw Kościoła na wybory polityczne. Jeżeli sprzeciwiamy się Unii Wolności to nie dlatego, że nie podoba się nam Barbara Labuda, czy Jacek Kuroń, ale w imię zasad Ewangelii. Unia Wolności argumentuje w systemach wartości z pozycji liberalizmu, który towarzyszy jej działaniom. Atakując Kościół zarówno na łamach prasy, jak i w wystąpieniach publicznych zwolennicy Kościoła jako partii politycznej i „zamkniętej twierdzy" rozmijają się z autentyczną naturą Kościoła. Także wizja Kościoła w Pańskim oglądzie wydaje mi się być uproszczoną. Nie jest bowiem tak, że na łamach „Niedzieli" kontestujemy postanowienia Soboru Watykańskiego II, aby na przykład Kościół traktować jako wspólnotę.

Teologia wspólnoty zaowocowała wieloma rozwiązaniami duszpasterskimi, które są pewnie Panom znane, a których ślad znajduje się w naszych publikacjach. Śledzimy więc rozwój różnych ruchów religijnych we współczesnym Kościele. Gdybyśmy zestawili te publikacje z publikacjami na przykład „Gościa Niedzielnego" stwierdzilibyśmy, że to właśnie na łamach „Niedzieli" mamy szeroko rozumianą wizję Kościoła jako wspólnoty religijnej. W warstwie publikacji teologii duszpasterskiej opublikowaliśmy wiele tekstów wskazujących na nowy, posoborowy obraz parafii. Duszpasterstwo parafialne rozumiemy jako administrację wspólnot działających na terenie parafii oraz administrację sakramentów. Sprawa jest o tyle ważna, że w przekroju ogólnopolskim 40 % wiernych uczestniczy w niedzielnej mszy świętej, a nie ma innej formy wyrazu postawy religijnej jak właśnie udział w sakramentach. W katolicyzmie nie chodzi o to, abyśmy „czuli się" jako wspólnota, tworzyli federacje ludzi, którzy dlatego, że są katolikami dobrze sobie życzą, ale abyśmy poprzez swoje wybory uczestniczyli w sakramentach. Jeżeli więc tak jest ustalony cel życia chrześcijańskiego, no to właśnie korzystanie z sakramentów jest zewnętrznym wyrazem, że Kościół pozostaje wierny swemu powołaniu. Sztuka, jak to robić pod koniec drugiego tysiąclecia. Kościół jest otwarty na wszystkich. Jeżeli ten ideał otwarcia się Kościoła na wszystkich przekładamy teraz na nasz system działań praktycznych, to możemy słusznie oczekiwać kreatywnego działania osób, które w strukturze Kościoła lokalnego odpowiadają za coś, co się nazywa przygotowaniem do przyjęcia sakramentu. W tym przypadku „Niedziela" angażuje się zarówno stawiając trudne pytania, jak i dostarczając materiałów publicystycznych.

P.W.: *Na stronie „Z życia Kościoła lubelskiego" („Niedziela" 12.11.1995, s. 10) znajdujemy wypowiedź młodej dziewczyny, (Ania Brela): „Jak być chrześcijaninem we współczesnym świecie? To trudne pytanie [...]. Wielu od lat stara się odpowiedzieć na nie w mniej lub bardziej udany sposób. Tworzą się różne wspólnoty, które dość często, przekształcają się w zamknięte kółka wzajemnej adoracji. Jest to niewłaściwa postawa zwłaszcza w czasach, kiedy wartości chrześcijańskie przedstawiane są jako relikt minionych czasów, w żaden sposób nie pasujące do nowej rzeczywistości."*

Wyraźnie widzimy tu krytykę posoborowej koncepcji parafii jako wspólnoty

wspólnot. Czy nie uważa Pan, że aż się prosi o kilka słów komentarza?
Karol Klauza: Mam nadzieję, że każda publikacja „Niedzieli" nadaje się do wywołania polemiki i dialogu na łamach. Każdy z tygodników cieszy się, jeżeli uda mu się zainicjować dyskusję. Jeśli chodzi o ruchy posoborowe, to takie wspólnoty często tworząc się, doskonałą się jedynie w ramach idei swojego ruchu, wytwarzając pół- żargony, przez co ich członkowie, młodzi ludzie, coraz bardziej odchodzą od swojego przeciętnego rówieśnika, który w konfrontacji z nimi uważa, że jest laikiem. Dlatego zamknięcie na wspólnotę parafialną, które towarzyszy trosce Ani jest zasadne. Są takie grupy w ramach ruchu, które wykształcają mechanizmy zamykania się.
S.Ż.: *Dlaczego tak mało w „Niedzieli" piszecie o słowie, tzn. teatrze, literaturze czy sztuce ? Czy to znaczy, że katolik o średnim wykształceniu ma czytać tylko „Niedzielę", oglądać telewizję i nie chodzić w ogóle do teatru?*
Karol Klauza: „Niedziela" jest pismem o charakterze religijno-społecznym. Drukuje na swych łamach poezję religijną i sporadycznie omawia wydarzenia literackie i teatralne, nie posiada jednak rozbudowanego działu literackiego. Szliśmy bardziej w kierunku zagadnień społecznych. Dlatego dział literacki jest uboższy w stosunku do społecznego. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby w przyszłości ten dział zaistniał. Program TV drukowany jest, ponieważ „Niedziela" dla wielu rodzin jest jedynym kupowanym tygodnikiem.
P.W.: *A jak „Niedziela" rozumie kulturę?*
Karol Klauza: Kultura jest pojęciem szerokim. Da się ją „rozłożyć" na warstwę duchową, która z czasem dzięki edukacji przechodzi w cywilizację. Ważną rzeczą w kulturze jest struktura wzorcza, tworząca mechanizmy, które sprawiają, że sama kultura egzystując warunkuje swój dalszy rozwój. Sprawdza się to na przykład w mechanizmie kultury masowej wpływającej na sposób kształtowania opinii publicznej. Najważniejsze w analizie kultury jest postrzeganie wartości dobra, jako wartości naczelnej. To jest może banalne stwierdzenie, ale proszę zauważyć, jak dziś dokonuje się przewartościowanie w tym obszarze. Zło staje się dzisiaj w kulturze jakimś ideałem. Dlatego przypominanie tak banalnej rzeczy, że dobro jest ważniejsze niż zło, wydaje się być tu na miejscu. Podobną wartość naczelną w kulturze ma kategoria wolności. Wolność trzeba jednak postrzegać jako efekt prawdy, a nie odwrotnie. To prawda określa granicę wolności, a nie wolność decyduje o tym, co jest prawdą. Z tak rozłożonymi akcentami muszą sobie radzić wszyscy publicyści. W jakiś sposób dotyczy to również ambitnego Zespołu „Scriptores Scholarum". Życzę, by odkrycie dobra, prawdy i wolności na Waszych łamach było także wkładem w Kulturę naszego społeczeństwa.
S.Ż.: *W imieniu całego Zespołu kwartalnika dziękujemy Panu za życzenia i rozmowę!*

Materiał do druku przygotował: **Paweł Furmanek i Michał Falenta**
Opracował: **Sławomir Żurek**

Paweł Skrzydlewski

Jakie zadania stoją przed inteligencją katolicką?
(na marginesie poglądów profesora Feliksa Koneczngo)

Odpowiedź na postawione pytanie z całą pewnością nie należy do łatwych, niemniej jednak warto pokusić się o nią, bowiem problem wydaje się ze wszech miar aktualny, a nadto dodajmy „zaśmiecony" wieloma ideologiami na wskroś sprzecznymi z duchem Ewangelii. Piszący te słowa pragnie udzielić odpowiedzi na powyższe pytanie posiłkując się poglądami wybitnego polskiego historyka i filozofa historii Feliksa Koneczngo[1], którego poglądy w tej materii wydają się ważne i niestety, co należy z przykrością zauważyć, obecnie przemilczane.[2] Bogata, przeszło pięćdziesięcioletnia twórczość naukowa i publicystyczna wspomnianego autora zaowocowała setkami artykułów i kilkunastoma monografiami[3], co zostało zauważone przez tej klasy światowych naukowców jak Arnold Toynbee i Anton Hilickman[4], natomiast w kraju jest o niej cicho. Choćby właśnie z tego powodu warto przybliżyć niektóre wątki poglądów Koneczngo, które mogą okazać się niezwykle pomocne przy odpowiedzi na postawione wyżej pytanie.[5] Z uwagi na poruszaną problematykę, piszący te słowa, będzie raczej w sposób luźny referował stanowisko Koneczngo, niż poddawał je wieloaspektowej analizie krytycznej, co zdaniem piszącego jedynie zaciemniłoby, i tak zawikłany sam w sobie problem. Należy tu dodać, że niniejszy tekst nie pretenduje do pracy o charakterze naukowym, lecz jest jedynie próbą prostej odpowiedzi na niezwykle ważny dziś problem. Odpowiedź ta jest o tyle trudniejsza, że jesteśmy również świadkami wielkiego skomasowanego ataku na Kościół. Atak ten, choć nie zawsze jawny i bezpośrednio uderzający w Dobrą Nowinę, wydaje się mieć jeden wspólny mianownik: jest nim chęć wyrugowania podstawowego dziedzictwa katolicyzmu, dziedzictwa, które niósł i na którym się wspierał przez wieki Kościół Powszechny. Dziedzictwo to najogólniej można pojąć jako umiłowanie tego wszystkiego co człowiekowi służy i pomaga, co prowadzi go do spełnienienia ludzkich potencjalności, tak, by ostatecznie pomóc człowiekowi osiągnąć cel życia – wiekuiste szczęście, czyli oglądanie Pana Boga „twarzą w twarz". Dziedzictwo to bywa czasami nazywane kulturą chrześcijańską, lub trafniej za Feliksem Koneczngym, cywilizacją łacińską.[6] Jest ono obecnie z wielką siłą atakowane i niszczone, zatruwane wrogą mu ideologią niosącą ostatecznie zawsze pogardę i śmierć dla człowieka. Ów atak, o dziwo, może stać się nam niezwykle pomocny w odpowiedzi na pytanie o rolę i miejsce inteligencji katolickiej w życiu publicznym. Bowiem, jak można sądzić, to właśnie nie

kto inny jak inteligencja katolicka, tzn. ludzie świadomi swego dziedzictwa i odpowiedzialni za jego rozwój i trwanie, mają stać na straży powierzonego im skarbu jakim jest cywilizaja łacińska. Z całą pewnością można powiedzieć, że rezygnacja lub zaprzepaszczenie tego zadania, będzie klęską nie tylko tych, na których ono w sposób szczególny spoczywa, lecz przede wszystkim będzie klęską i upadkiem całej kultury i społeczności. By jednak do tego nie doszło, by nie utracono swej cywilizacyjnej tożsamości, należy dać odpór złu, tym co cywilizacja łacińska niosła od swego zarania, tym co pozwoliło wielu narodom żyć nie tylko dostatnio lecz i pięknie.[7] Zdaniem Konecznego żyły narody pięknie i dostatnio dzięki umiłowaniu prawdy, które z czasem przerodziło się w poznanie systematyczne, czyli naukę, dostępną dla wszystkich i dającą rozumienie świata zgodne z faktami.

Wzrastały narody w cywilizacji łańskiej, dzięki poszanowaniu ludzkiego zdrowia i życia, oraz tego wszystkiego co zdrowiu służy, co dodaje mu sił i prowadzi do doskonałości. Budowały swą potęgę narody pomnażając swój majątek, w przekonaniu, że jest on nieodzownym środkiem do godziwego życia, że stanowi on podstawę wolności człowieka, bez której narażony jest na głód i niedole. Szczególną rolę pełniła tu własność prywatna, ostoja wszelkiej wolności, bez której każdy popada w niewolę, nie mogąc stanowić o sobie i swych bliskich.

Wreszcie, jak zauważa Koneczny, by życie mogło osiągnąć właściwą sobie doskonałość i siłę, nie mogło zabraknąć narodom cywilizacji łacińskiej odpowiedniej proporcji – harmonii między uczynkami, rozwojem ludzkiego poznania, zdrowiem i majętnością, proporcji – ładu, które zwie się pięknem.[8] Tak więc pięć podstawowych wartości, pięć kategorii bytu ludzkiego, które przez Konecznego zostaną nazwane **quvincunx'em : dobro moralne, prawda, zdrowie, majątek i odpowiednia proporcja – czyli piękno**, były, są i będą fundamentem i źródłem sił witalnych cywilizacji łacińskiej, cywilizacji która swe soki witalne czerpie z rzymskiego prawa i Ewangelii Chrystusa.[9] Ci więc, którzy nienawidzą cywilizacji łacińskiej a i ostatecznie całego rodzaju ludzkiego, walczą z jej dziedzictwem, będącym podstawą i metodą życia zbiorowego. Dziś jesteśmy świadkami tej walki, bowiem to co leży u podstaw życia indywidualnego i społecznego (dobro, prawda, majątek, zdrowie i piękno) jest przedmiotem szczególnych ataków[10]. W obliczu zaistniałej sytuacji jakież może być miejsce i zadanie, tych którzy siebie uważają za inteligencję o rodowodzie katolickim, jeśli nie obrona moralności człowieka, moralności niepodzielnej i powszechnej, moralności w życiu publicznym i prywatnym nie zdeformowanej sceptycyzmem i agnostycyzmem. Jakież może być zadanie w obliczu rozpowszechnianych kłamstw i zwątpienia – jeśli nie głoszenie prawdy i wychowanie siebie i drugich w duchu prawdy? Jakie może być zadanie inteligencji katolickiej w obliczu zbrodni dzieciobójstwa i negacji naturalnego rozwoju życia człowieka – jeśli nie obrona integralności życia człowieka od jego naturalnego początku do naturalnej śmierci? Jakie może stać zadanie przed inteligencją, gdy obywatele są okradani przez nieludzkie systemy polityczne – jeśli nie budowa i wspieranie społeczności opartej na wolności, sprawiedliwości i własności prywatnej? Wreszcie, jaki mogą mieć cel ci, którzy doświadczają szerzącego się modelu życia opartego na dysharmonii, egoizmie i brzydocie – jeśli nie godziwe życie w duchu prawdy i piękna moralnego.[11]

Oto więc, za Konecznym możemy wyróżnić pięć zadań-celów, a każdy z nich nie może obejść się bez drugiego:

1. życie moralne na miarę człowieka i jego celu życia
2. umiłowanie prawdy, fundamentu życia duchowego
3. poszanowanie i obrona ludzkiego życia i zdrowia
4. pomnażanie i ochrona majątku prywatnego, opoki wolności
5. życie w duchu ładu-harmonii-proporcji, czyli piękna.

Jest rzeczą niemal oczywistą, że obok Ewangelii i Kościoła Powszechnego, nieodzowną pomocą w realizcji tych pięciu celów jest zdrowa filozofia, nie obciążona skazą apriorycznych założeń, filozofia skierowana na wyjaśnianie i rozumienie realnego świata. Dlatego też uprawianie i zaznajomienie się z taką filozofią jest ze wszech miar pożądane, a dla tych, którzy uważają się za obrońców cywilizacji lacińskiej nawet konieczne. Daje ona bowiem nie tylko intelektualne narzędzia służące do odporu fałszywych ideologii, ale nade wszystko jest dawczynią prawdy, kośćca całej cywilizacji łacińskiej.[12]

Cywilizacja łacińska nie jest jedyną. Jak twierdzi Koneczny historia zna ponad dwadzieścia sposobów – metod życia zbiorowego, z czego do dnia dzisiejszego aktywnymi są obok cywilizacji łacińskiej: bizantyńska (niemiecka), chińska, arabska, żydowska, bramińska, turańska (moskiewsko-kozacka).[13] Nie wdając się w bliższą charakterystykę każdej z osobna, należy zauważyć za Feliksem Konecznym, że wszystkie one jakoś odnoszą się, realizują wyżej wspomniane pięć celów, niemniej jednak czynią to w sposób kaleki, bądź nawet sprzeczny z naturą człowieka i jego podstawowymi dobrami, a przez co właściwie noszą znamię antyludzkie.[14] Stwierdzenie to może wydawać się dla wielu nazbyt ostrym, ale dla tych tylko, którzy nie chcą wiedzieć, lub nie wiedzą, że np. kobieta w cywilizacji arabskiej właściwie nie jest uważana za człowieka, a jej „wartość" jest równa wartości dwóch wielbłądów. Chińczyk natomiast może nie tylko okaleczyć swoje dziecko, co wcale nie uchodzi za zło moralne, ale może je zabić, gdy uzna to za stosowne. Wspomnijmy tu jeszcze o przymusowej aborcji u matek będących w ciąży z trzecim już dzieckiem, aborcji nakazanej przez prawo, wykonywanej do ósmego miesiąca ciąży włącznie. Ostatnia sprawa jest już nam dziś lepiej znana, gdyż bywa nagłaśniana przez katolicką prasę i radio.

Cywilizacja bramińska, co powszechnie wiadomo, pielęgnuje system kastowy, co jest przyczyną deprecjacji człowieka przez sam fakt jego narodzin. Biada temu kto narodził się w najniższej kaście – nigdy za życia z niej nie wyjdzie.

Nie do pozazdroszczenia jest też dola człowieka w turańszczyźnie (cywilizacji moskiewsko-kozackiej), gdzie w praktyce zwykły człowiek należy w całości do sprawującego władzę, nie posiadając nic czym mógłby się sprzeciwić. Nie trzeba chyba o tym przekonywać nikogo, kto poznał, chodźby w stopniu miernym historię Rosji ostatnich osiemdziesięciu lat. Zostało tam wszak wymordowanych kilkadziesiąt milionów istnień ludzkich. To są fakty, wielorako udokumentowane, nie budzące już dziś co do istnienia żadnych wątpliwości.

Cywilizacja bizantyńska mimo swych niewątpliwych zalet nie jest również wolna od istotnych wad, które sprowadzają się do omnipotencji państwa, wyrugowania z życia publicznego zasad moralnych, co w ostateczności zaowocowało w czasie ostatniej wojny światowej zbrodniami przeciwko ludzkości i obozami koncentracyjnymi. Są to fakty, których nikt przy zdrowych zmysłach nie podważa.

Natomiast w cywilizacji żydowskiej, niezwykle obecnie żywotnej, na skutek sakralnego jej charakteru, życie jednoski zostało zideologizowane religią, która zasadniczo jest rozumiana jako objawione prawo regulujące wszelkie poczynania, tak indywidualne jak i publiczne. Skutek tego jest taki, że prawo stanowione zostało zwolnione z moralności i samo rości sobie pretensje do wytwarzania jej. Praktycznym zaś tego skutkiem jest tworzone przez osoby wywodzące się z cywilizacji żydowskiej życie społeczne oparte na prawie, ekonomii, polityce oderwanej od moralności, co z całą pewnością nie służy osobie ludzkiej.[15]

Na tym tle łatwiej jest dojrzeć swoistość cywilizacji łacińskiej, jej podstawowe zalety niesione przez wieki. Powstała ona w wiekach średnich jako metoda życia zbiorowego tam, gdzie istniał Kościół Katolicki. Jest ona właściwie Jego córą. To co ją wyróżnia w sposób istotny od innych, a co nie jest obecne nigdzie indziej, to przede wszystkim dążność do budowy społeczności opartej na: małżeństwie monogamicznym, nierozerwalnym aż do śmierci, na sprawiedliwości wymierzanej przez sądy, zamiast powszechnie stosowanej u innych „zemsty rodowej", na szacunku do pracy fizycznej, co pociągnęło za sobą dążenie do zniesienia niewolnictwa, wreszcie oparcie życia społecznego na rozdziale władzy świeckiej od kościelnej.[16]

To wszystko pozwoliło na budowę społeczności zdolnej do życia w duchu personalizmu, objawiającego się odpowiedzialnością i wolnością osobistą, miast gromadności obecnej u innych.

Tak rozumiana cywilizacja ma charakter aposteriorycznv tzn. stara się urządzić życie w oparciu o doświadczenie, zgodnie z naturą, gdy inne w sposób jawny lub skryty, zmierzają do modelowania życia jednostki i społeczności według wcześniej przyjętych założeń, pochodzących z religi, tradycji, czy jakiegoś światopoglądu.

Jest też ona historyczna, tzn. ceni i twórczo rozwija dorobek minionych pokoleń w przekonaniu, że nie można żyć w duchowej próżni, bez fundamentów, gdy dla innych metod ustroju życia zbiorowego jest to obojętne, bądź nawet zbędne, a nawet czasami bywa uważane za przeszkodę, którą należy usunąć. Wreszcie, cywilizacja łacińska jako jedyna afirmuje rozdział prawa publicznego od prywatnego, a samo prawo stanowione jest w niej rozumiane jako rozumne rozporządzenie wydane przez legalną władzę dla dobra wspólnego (dobra osoby ludzkiej), rozporządzenie ogłoszone, które domaga się przyjęcia obywateli.[17]

Tak rozumiana cywilizacja łacińska jest cennym dziedzictwem, które należy znać, oraz twórzo rozwijać, szczególnie dziś, gdy bywa ona osłabiana przez inne cywilizacje. Na tym właśnie zadaniu skupiają się, zdaniem autora, zadania stojące przed inteligencją katolicką.

Przypisy

[1] Feliks Koneczny (1862–1949) historyk, historiozof, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, autor szeregu prac z dziedziny historii średniowiecznej i filozofii historii. Zob. *Polski Słownik Bibliograficzny*, zeszyt 59, Wrocław-Warszawa-Kraków 1968.

[2] Dorobek naukowy F. Konecznego nie został jeszcze dokładnie przebadany i systemowo przedstawiony. Wśród ważniejszych prac można wymienić: Z. Pucek, *Feliksa Konecznego nauka o cywilizacji*, „Zeszyty Na-

ukowe Akademi Ekonomicznej", Kraków 1973; M. Skoczyński, *Historia i historyzm w ujęciu F. Koneczne*go, „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej", 1989, nr 33; J. Skoczyński, *Trzecia droga (o metodzie historiozoficznej F. Koneczne*go, „Historyka. Studia Metodologiczne", 1988, t. XVIII; Tenże, *Idee historyczne F. Koneczne*go, Kraków 1991; W. Kurowska, *F. Koneczne*go *nauka o wielości cywilizacji*, „Przegląd Humanistyczny", 1978, nr 7/8; M. Nowiński, *Jeszcze o Feliksie Koneczny*m, „Kierunki", 1958, nr 22; J. Pajda, *Feliks Koneczny*, „Myśl Polska", 1–15 III 1993; K. Z. Sowa, *Szkice z historii socjologii polskiej*, Praca zbiorowa, Warszawa 1983, s. 45–46; Z. Pucek, *Pluralizm cywilizacyjny jako perspektywa myśli socjologicznej (Na przykładzie poglądów F. Koneczne*go *i F. Znanieckiego)*, „Akademia Ekonomiczna w Krakowie, Zeszyty Naukowe. Seria Specjalna: Monografie", nr 94, Kraków 1990; J. Giertych, *Odpowiedź*, „Dziennik Polski", Londyn 1975; S. Jedynak, *Aksjologiczne zagadnienia rozwoju cywilizacji wg F. Koneczne*go, Warszawa 1988.

[3] Zob., praca F. Koneczne*go*, *O ład w historii*, Warszawa-Struga 1991, tam odnaleźć można bogatą bibliografię prac tego autora.

[4] Zob. F. Koneczny, *On the Plurality of Civilizations*, Londyn 1963; oraz zob., cyt., wcześniej *O ład w historii* tam odnaleźć można artykuły profesora A. Hilickmana.

[5] Oryginalnym poglądem Koneczne*go* jest jego nauka o cywilizacji, a w szczególności o tym, czym jest cywilizacja łacińska. Cywilizację definiuje jako „metodę ustroju życia zbiorowego", zob. *O ład w historii*, s. 14.

[6] Koneczny pisze o tej problematyce w wielu swych pracach. Szczególnie ważne są tu: *Polski Logos i Ethos*, t. 1–2 Poznań 1921; *O wielości cywilizacji*, Kraków 1935.; *Rozwój moralności*, Lublin 1938; *Święci w dziejach narodu polskiego*, wyd. II, Michalineum, Warszawa 1985.

[7] O tej problematyce Koneczny pisał w swym dziele: *Prawa dziejowe*, Londyn 1983, zob. rozdział *Cywilizacja łacińska*, zob. tegoż *Państwo w cywilizacji łacińskiej. Zasady prawa w cywilizacji łacińskiej*, Londyn 1981.

[8] por. *O ład w historii*, s. 9–14.

[9] por. przypis 6 i 7.

[10] zob. *Państwo w cywilizarji łacińskiej*, s. 1–3.

[11] *Jeśli nie ma zginąć, runąć, przepaść marnie to wszystko, co zwykliśmy nazywać Europą, trzeba dokonać zwrotu radykalnego (póki nie za późno) i oczyścić cywilizację łacińską, strząsając z siebie niebezpieczne mieszanki. Jest to sprawa życia lub śmierci dla narodów europejskich.*, s. 2, jak wyżej.

[12] por. *Prawa dziejowe*, s. 7–46.

[13] por. *O ład w historii*, s. 16–25.

[14] jak wyżej, s. 29–40.

[15] Koneczny pisze *Każda cywilizacja ma swoją etykę* (moralność P.S.). *Ludy, które przeszły przez szkołę buddyjską, wyznają szczebel moralności, stosownie do stanowiska społecznego, a do całkowitej moralności wyznaczają tylko mnichów. Braminizm zna tylko etykę rodowo-kastową. Chińczykowi wolno własne dzieci kuleczyć, nawet zabijać. Żydzi posiadają etyki cztery: inne w Palestynie, inne w golusie, a tu i tam inne dla współwyznawców, a inne dla gojów. Bliźnim jest u nich tylko współwyznawca. O ład w historii*, s. 37.

[16] zob. trzy pierwsze rozdziały pracy F. Koneczne*go*, *Rozwój moralności*.

[17] por. przypis 6 i 7.

Sławomir Żurek

Ecclesia Polona – utrum Tridentum an Vaticanum II ?

Dlatego to Sobór Watykański II, po dogłębnym rozważaniu tajemnicy Kościoła, kieruje bez wahania swe słowa już nie tylko do samych synów Kościoła i wszystkich, którzy wzywają imienia Chrystusa, ale do wszystkich ludzi; pragnie on wszystkim wyjaśnić, w jaki sposób pojmuje obecność oraz działalność Kościoła w dzisiejszym świecie.

Konstytucja Duszpasterska o Kościele
w świecie współczesnym, ***Gaudium et spes***,
Soboru Watykańskiego II.

Uwagi wstępne

Kiedy pisze się tekst krytyczny, dotyczący spraw Kościoła w Polsce, autor stawia siebie w sytuacji nader trudnej i niezręcznej. Grozi mu bowiem kilka niebezpieczeństw, których istnienia, być może nawet nie przeczuwał, siadając przy biurku w zaciszu swojego gabinetu. Przede wszystkim staje on bowiem wobec rzeczywistości tak ogromnej i głębokiej, że trudno będzie mu objąć ją całościowo, tak by móc pretendować do obiektywizmu i bezstronności. Wszak Kościół w Polsce to tradycja wielu pokoleń, historia sięgająca wieku dziesiątego. Drugie niebezpieczeństwo związane jest z ogólnie przyjętym przekonaniem, obecnym w mentalności przeciętnego „Polaka-katolika", że Kościoła się nie krytykuje. Stąd nie należy źle o Nim myśleć, mówić, czy nie daj Boże pisać! Zapomina się jednak, że grecki termin *kritikos, kritike* oznacza «rozsądzać, dzielić», a więc upatrywać w danej rzeczywistości zarówno cech pozytywnych, jak i negatywnych, a skoro Kościół to Wspólnota Wiernych, jak głosi w swych dokumentach Sobór Watykański II, to i głos zwykłego członka tej wspólnoty, widzącego różne aspekty jej funkcjonowania, liczyć się może i powinien. Na szczęście Kościół Powszechny, w tym także i polski, ma w swej historii chlubną tradycję dysput teologicznych, w których krytyka, często nawet ostra i bolesna była jak najbardziej mile widziana, jeśli oczywiście dążyła ku Prawdzie.

Rzecz w tym jednak, że przeciętnego „Polaka-katolika", tak naprawdę losy Kościoła niewiele obchodzą. Instytucję tę traktuje raczej instrumentalnie, jako narzędzie potrzeb-

ne mu na przykład do zbawienia własnej duszy, lub celów doczesnych, najczęściej politycznych. W rozumieniu przeciętnego katolika lepiej się „nie wychylać", dlatego trzeba być ostrożnym z wszelką krytyką. Krytycyzm może zaważyć na losach człowieka w życiu wiecznym, a i w życiu doczesnym, przynajmniej nad Wisłą, można być uznanym za masona, Żyda, lub komunistę (wszystkie powyższe terminy funkcjonują w świadomości powszechnej jako synonimy oznaczające wroga narodu i Kościoła).

Piszący ten tekst jest świadomy wszystkich tych zasadzek, łącznie z niebezpieczeństwem przyjęcia postawy Judasza, najbardziej krytycznego z uczniów Jezusa...

Nie jest ambicją autora napisanie szkicu o charakterze teologicznym, czy historycznym, bo i nie czuje się on w tych obszarach kompetentny, nie będąc ani teologiem, ani historykiem Kościoła. Tekst ten jest jedynie próbą zasygnalizowania problemów, dotyczących stanu Kościoła w Polsce dzisiaj. Głos ten pada z wewnątrz Kościoła i ma na celu pobudzenie czytelników do refleksji, bo skoro Kościół jest naszą Matką, to sprawy Matki muszą i powinny interesować Jej dzieci, zwłaszcza po Soborze Watykańskim II.

Chrześcijanin – moralista czy latarnik?

Pytanie to należy postawić niezwłocznie, już na początku naszych rozważań. Dzisiaj dla wielu definicja chrześcijanina wydaje się prosta i z gruntu banalna: „chrześcijaninem jest każdy, kto jest ochrzczony". W ten oto sposób mamy w Polsce ponad 95 % chrześcijan. Sytuacja jest więc na pozór optymistyczna i zadowalająca. Z liczby tej, sięgającej prawie stu procent, regularnie na niedzielną Mszę przychodzi jednak przeciętnie 30 %, a są takie parafie, szczególnie w dużych, nowych aglomeracjach, gdzie procent ten nie sięga nawet pięciu. A przecież obowiązek uczestnictwa w niedzielnej Eucharystii jest podstawową powinnością chrześcijanina. Nie warto już nawet liczyć tych, którzy w czasie Mszy przystępują do komunii, bo wszyscy pogrążylibyśmy się w stanie powszechnego pesymizmu.

W obiegowym myśleniu, ukształtowanym zresztą w Kościele potrydenckim, aby zostać chrześcijaninem wystarczyło spełnić dwa warunki. Pierwszy – być jurydycznie członkiem Wspólnoty i drugi – wypełniać Prawo, to znaczy – być dobrym: nie kraść, nie zabijać, nie cudzołożyć, a więc po prostu nie grzeszyć! Ewangelia z całym jej radykalizmem: miłością do nieprzyjaciół, miłosierdziem względem grzesznika, nieopieraniem się złu, traktowana jest jako utopia, osiągalna jedynie przez grupę uprzywilejowaną: mniszki czy zakonników. Wizja chrześcijaństwa (przedstawiona w Kazaniu na Górze) w odniesieniu do ich prywatnego życia nazbyt ich frustruje, wydaje się nieżyciowa. Chrześcijanin ten jest więc zgorszony grzesznikami, ludźmi słabymi, którzy nie wypełniają Dekalogu, bo albo nie potrafią, albo tego nie chcą, uznając na przykład relatywizm, jako system etyczny dla nich wystarczający. W jego rozumieniu **Kościół jest enklawą ludzi pobożnych o umiarkowanie rozbudzonych potrzebach religijnych.** Nazwijmy ten typ chrześcijan umownie **„moralistami"**, gdyż ludzie ci, to zazwyczaj osobowości, które system moralny głoszony przez Kościół przyjmują *a priori*, traktując go jako monolityczny wzór do naśladowania, pragnąc narzucić go przede wszystkim innym. „Moraliści" w gruncie rzeczy zgorszeni są Panem Bogiem, trochę nadto liberalnym i tolerancyjnym dla grzesznika (Biblijna historia syna marnotrawnego jakoś ich

nie przekonuje, łatwiej im identyfikować się ze starszym bratem – „moralistą"!). Ten typ chrześcijanina postrzega innych jako zagrożenie dla swojego życia, świat jawi mu się jako niesprawiedliwy, zepsuty, pełen niebezpieczeństw. Dialog z tym światem jest więc z gruntu niemożliwy, bo jak można dogadać się z Nierządnicą i Demonem? Jedyną perspektywę dla swojego życia „moralista" upatruje w wieczności, gdyż życie tu na ziemi jest z „góry przegrane" i z woli Bożej nieszczęśliwe. „Moralista" to cierpiętnik, dla którego Kościół jest jedyną deską ratunku, (poza Kościołem nic ma zbawienia!). Kościół postrzega więc najczęściej w kategoriach walki politycznej. Jego zdaniem, głównym zagrożeniem dla „Mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa" jest dzisiaj masoneria i liberalizm. Kościół nie jest dziś dla niego obszarem działania Ducha Świętego.

Sobór Watykański II postrzega rzeczywistość Kościoła zgoła inaczej. **Kościół nazywany jest w dokumentach soborowych „Sakramentem Zbawienia", „Światłością dla Narodów". Misją chrześcijanina nie jest więc walka ze światem, ale dialog, czyli ukazanie temu światu drogi do Zbawienia (wcale nie jednoznacznej z obecnością w Kościele rzymsko-katolickim)**. Sobór Watykański deklaruje z całą ostrością, iż katolicy nie mają w tym świecie monopolu na Zbawienie, że Duch Święty działa również w Kościołach prawosławnych, we wspólnotach protestanckich, wśród żydów, mahometan, buddystów, a nawet w niewierzących, którzy swym sercem szukają Prawdy. Misją chrześcijanina nie jest więc bycie sędzią czy sumieniem świata, religijnym moralistą lecz światłem dla świata (*lumen gentium*), **„latarnikiem"**, który pokazuje swoim bliźnim ogromną miłość Boga do człowieka. Kto jest więc chrześcijaninem? Odpowiedź spisana na kartach Nowego Testamentu wydaje się być jasna i klarowna: chrześcijaninem jest ten, kto ma naturę Jezusa Chrystusa. Istotą natury Człowieka-Boga jest dialog i otwarcie (ot, na przykład spisane na kartach Ewangelii pełne miłosierdzia i przebaczenia wizyty w domach prostytutek czy kolaborantów), a więc tak naprawdę – miłość do nieprzyjaciela! A więc ilu mamy chrześcijan w Polsce i gdzie oni są? Pytanie staje się otwarte i aktualne...

Aby być chrześcijaninem trzeba mieć wiarę, trzeba być nieustannie katechizowanym. Dzisiaj formacja religijna przeciętnego „Polaka-katolika" jest płytka i niewystarczająca, gdyż kończy się na poziomie Pierwszej Komunii. Nic więc dziwnego, że wiara dziecięca, „sielska, anielska" później w „wieku męskim" jest po prostu nieużyteczna. Należy więc dziś, u progu Trzeciego Tysiąclecia uświadomić sobie jasno, że **wielu ludzi odchodzi od Kościoła nie tylko i wyłącznie ze względu na miażdżący wpływ zlaicyzowanych środków masowego przekazu, ale również dlatego, że Kościół na poziomie lokalnym nie daje solidnej formacji duchowej.** Współczesny człowiek potrzebuje zupełnie nowej katechezy, którą Jan Paweł II nazwał słusznie Nową Ewangelizacją. Prawda jest gorzka: **katolicy w Polsce powinni zacząć myśleć o reewangelizacji, a Polska, podobnie jak Francja, być może powinna być ogłoszona krajem misyjnym...**

Parafia – Twierdza czy Sakrament Zbawienia?

Jeśli teraz przeniesiemy nasze rozważania dotyczące wizji chrześcijanina na płaszczyznę rzeczywistości parafialnej, lokalnej, to mogą pojawić się pytania, dotyczące konkretnej obecności katolika w życiu Kościoła lokalnego. Parafia, w której świeccy nie

mają nic do powiedzenia, a księża funkcjonują jako pośrednicy między Bogiem a zgromadzonym ludem, wydaje się anachroniczna, w żaden sposób nie przystająca do myśli Soboru Watykańskiego II. W myśl teologii posoborowej proboszcz, stojąc na czele Kościoła lokalnego, jest odpowiedzialny za zbawienie wszystkich ochrzczonych zamieszkujących na terenie parafii, a nie tylko tych, którzy regularnie przychodzą na Mszę Świętą raz w tygodniu. Typ duszpasterstwa sakramentów (ograniczający się do udziału w niedzielnej Eucharystii, przystąpienia do Pierwszej Komunii, corocznej spowiedzi), zalecany przez Sobór Trydencki, wydaje się zupełnie nieskuteczny w przypadku ludzi, którzy nie przychodzą do Kościoła, bo nie mają wiary. **Sobór Watykański zaleca, by parafia była Wspólnotą Wspólnot**, to znaczy, by pojawiało się w niej jak najwięcej małych grup formacyjnych, takich jak istniejące dziś wspólnoty neokatechumenalne, charyzmatyczne, czy oazowe. W odnowionej strukturze parafii najważniejsi są świeccy, gdyż to właśnie oni mają szansę dotrzeć do tych, którzy do Kościoła już nie przychodzą, a z którymi kontaktują się na co dzień w pracy, czy przy innych okazjach. W ten oto sposób świeccy wspomagają posługę duszpasterską księży, a wierni przestają być anonimową masą, stając się rzeczywistą Wspólnotą Braci i Sióstr, przypominającą w swej strukturze wspólnoty pierwotne z początków chrześcijaństwa. Ten typ duszpasterstwa jest również korzystny dla duszpasterzy, którzy angażując się emocjonalnie w problemy świeckich przestają tęsknić za zniesieniem celibatu. Ludzie dziś odchodzą do różnych sekt, gdyż potrzebują Kościoła – Wspólnoty, a nie Kościoła – Twierdzy. Model przedsoborowy Kościoła, tak wartościowy i skuteczy w czasach komunizmu, dziś służyć może jedynie pielęgnowaniu dewocji. Chrześcijanie stają u końca XX wieku przed zgoła innymi problemami, poszukując rozwiązań i ratunku w Kościele. Dlatego małe wspólnoty są szansą dla odnowy Kościoła, są tego Kościoła nadchodzącą Wiosną. W Kościele polskim jednak nowy typ duszpasterstwa przyjmuje się słabo...

Oczywiście należy dodać, że z soborowych zaleceń i tak wiele wprowadzono w życie (Msza Św. w języku polskim, bardziej zrozumiałe, odnowione znaki liturgiczne). Chcąc być obiektywnym należy dodać, że Kościół polski posiada oczywiście bardzo wiele cech pozytywnych, (chociażby rozpowszechniona tradycja pieszych pielgrzymek do różnych Sanktuariów), o których nie piszę szerzej, bo są one powszechnie znane.

Niektórzy, broniąc zastanego stanu rzeczy mówią, że Kościół potrzebuje czasu na realizację postanowień soborowych, tylko czy dziś, w dobie komputerów i internetu można pozwolić sobie na zwolnione reakcje?

Kościół polski – Sobór Trydencki czy Watykański II?

Po tych kilku spostrzeżeniach poczynionych przez autora niniejszego szkicu można łatwo pokusić się o kilka uwag dotyczących rzeczywistego stanu Kościoła polskiego na poziomie lokalnym trzydzieści lat po zakończeniu obrad Soboru Watykańskiego II.

Uwaga pierwsza: formacja przeciętnego, współczesnego Polaka-katolika jest powierzchowna i niewystarczająca, sprowadzająca się zazwyczaj do słabej znajomości głównych prawd wiary. Obecność ludzi świeckich w życiu Kościoła lokalnego jest sporadyczna, ograniczona najczęściej do udziału w niedzielnej Mszy Św. oraz pomocy przy pracach budowlanych w nowo powstających świątyniach.

Uwaga druga: postanowienia dotyczące reformy struktury parafii (Wspólnota Wspólnot) funkcjonują przede wszystkim na poziomie wypowiedzi Konferencji Plenarnych Episkopatu Polski, natomiast nie zawsze są wprowadzane w życie na poziomie lokalnym.

Uwaga trzecia: ekumenizm i dialog z niewierzącymi praktykowany jest w parafiach raz do roku, w czasie Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. Spotkania międzywyznaniowe na poziomie Kościoła lokalnego, szczególnie w miejscach, gdzie obok siebie żyją bracia z różnych Kościołów, są sporadyczne.

Uwaga czwarta: liturgia dla wielu katolików jest nieczytelna, mimo wprowadzenia języka narodowego. Brewiarz (tłumaczony na język polski lat trzydzieści) ze swoją liturgią godzin nadal nie jest wprowadzony w życie jako modlitwa całego Kościoła, poza formacjami małych Wspólnot i Ruchów religijnych.

Ecclesia Polona – utrum Tridentum an Vaticanum II ?...

ruszyli
niedzielni katolicy
w Boże Ciało
rozgadani roześmiani
w bezładnej gromadzie

a wiersz
a wczoraj
a to a tamto
Chrystus Pan karmi
bo on
bo ona
bo poszli
Bądźże pozdrowiona
no i ja
no i wtedy
no i słuchaj
O zbawcza Hostio
idą

Hostia jest kawałkiem opłatka
taki drobiazg
miłość abstrakcją
wiara mszą

poszli
niedzielni katolicy
żałośni i biedni
w swej niewiedzy

Maria Dorota Jastrzębska

Jacek Wojtysiak

Katolicyzm, Polskość, „Filosemityzm"

Tak się składa, że jestem **zarazem** i katolikiem, i Polakiem, i życzliwie interesuję się kulturą żydowską. Pierwsza koniunkcja (katolik **i** Polak) ma charakter przypadkowy: osobiście znam także takich katolików, którzy nie są Polakami (lecz np. Hiszpanami czy Niemcami) oraz znam także takich Polaków, którzy nie są katolikami (chodzili nawet ze mną do szkoły!). Druga koniunkcja (katolik będący Polakiem **i** – nazwijmy to skrótowo i umownie – „filosemita"[1]) jest koniecznym następstwem pierwszej: każdy katolik i każdy Polak jest *ex definitione* „filosemitą". Postaram się to uzasadnić, a przy okazji wypowiedzieć kilka uwag na temat polskiego katolicyzmu.

Nadmieniam, że katolikiem i Polakiem jestem (w aspekcie przyrodzonym) zarazem i z urodzenia, i z wyboru. Z urodzenia – o tym nie trzeba pisać (zresztą nie moja w tym zasługa!). Z wyboru – gdyż po dwudziestu paru latach życia doszedłem do dojrzałej decyzji, że **chcę** – naprawdę, choć nie zawsze jestem w tym konsekwentny! – być chrześcijaninem, a najlepszym dla mnie do tego środkiem jest Kościół Powszechny, który daje mi Słowo Boże, sakramenty i nauczanie (i w którym – jeśli wolno użyć wielkich słów – niejako od dzieciństwa wzrastałem). Postanowiłem także przyjąć kulturowe, religijne i narodowe dziedzictwo moich przodków, które zostało mi przekazane. Nie wchodzę tutaj w kwestie, na ile te aktualne decyzje (czy aktualne potwierdzanie dawnych decyzji) były wyznaczone przez wychowanie, doświadczenia wczesnej młodości, przeżycia wewnątrz wspólnoty religijnej, pierwsze lektury, wydarzenia historyczne itp. Nie zajmuję się też tutaj zagadnieniami teologicznymi.

Zastrzegam przy tym, że nie jestem Polakiem-katolikiem. Nie uważam, by narodowość miała determinować wyznanie oraz posiadać prymat nad religią. „Polskość" nie może być przed „katolicyzmem", gdyż inaczej „polskość" stanie się nacjonalizmem, a katolicka religijność – obrzędem, który mu służy. **Katolicyzm jest dla mnie przede wszystkim pewnym sposobem wysiłku bycia chrześcijaninem.** Specyfika tego sposobu polega m.in. na tym, że ów wysiłek dokonuje się w ramach – sakramentalnie inspirującego i wspierającego go – Kościoła Powszechnego, w którym, jak mówi wiara katolicka, żyje w pełni (choć ukryty) Chrystus ze swoją zbawczą Łaską.

Moje obserwacje katolickiej religijności Polaków (przede wszystkim świeckich) prowadzą mnie do wyróżnienia – głównie, choć nie tylko, **z socjologicznego punktu widzenia** – trzech jej typów. Związane one są z różnymi motywacjami, przejawami i społecznymi (także pokoleniowymi) „ośrodkami" tej religijności. Chodzi tu o faktycz-

ne zachowania religijne, bez względu na to, jak należałoby je ocenić z teologicznego punktu widzenia. Oczywiście – jak to z typami idealnymi bywa – nie zawsze występują one w czystych postaciach, nierzadko się mieszają; opisanie ich – tutaj szkicowe, wyostrzone i miejscami (celowo) przejaskrawione – stanowi pewne uproszczenie. Nazwijmy je skrótowo i umownie: **katolicyzm instytucji** (Kościoła), **katolicyzm wspólnot** (ruchów, grup) religijnych, **katolicyzm światopoglądu**.

Jednym z najważniejszych składników pierwszego typu religijności jest **świadomość przynależności do Kościoła Rzymsko-Katolickiego**. Kościół – droga do zbawienia – jest tu pojęty przede wszystkim jako, pełniąca doniosłą rolę społeczną, instytucja określonej formacji kulturowej. Kościół jest znakiem Nadprzyrodzoności, strażnikiem Tradycji, obrońcą niezmiennych Zasad Moralnych. Kościół integruje społeczeństwo i zachowuje jego ciągłość kulturową. Chodzi tu **z jednej strony o uniwersalną (katolicką, czyli powszechną) kulturę łacińską, z drugiej – narodową (partykularną) kulturę polską**. Przedstawiciele tego typu religijności rzadziej nawiązują do idei pierwotnego chrześcijaństwa, częściej – do średniowiecznego gradualizmu albo myśli narodowej. Mniej mówią o Jerozolimie (gdzie się wydarzyły główne tajemnice chrześcijaństwa), więcej o Rzymie (jako stolicy dziejów Kościoła Katolickiego) albo o Częstochowie (centrum polskiej – silnie przepojonej motywami maryjnymi – religijności). Bliższa jest im etykietka „katolik" (niekiedy „Polak-katolik"), niż „chrześcijanin". Miernikiem życia religijnego jest według nich przede wszystkim „chodzenie do kościoła", przystępowanie do sakramentów i zachowywanie przykazań (nieprzekraczanie norm). Zwracają silną uwagę na społeczny aspekt religijności: nie podkreślają tak mocno roli indywidualnej religijności („osobiste spotkanie z Jezusem Chrystusem"), jak znaczenia uczestnictwa w publicznie sprawowanym dla nich obrzędzie (mającym także funkcje przyrodzone, np. integracyjne, co widać wyraźnie podczas uroczystości narodowo-religijnych). Są bardzo przywiązani do Hierarchii: nie tyle nawet tworzą Kościół, ile Go słuchają (nazywając siebie – jak jedna z ważnych postaci naszego życia publicznego – jego „wiernymi synami").[3] Niekiedy też bronią Go przed atakami i walczą o należne Mu miejsce w społeczeństwie i państwie. W odreligijnionych odmianach tego typu katolicyzmu religia staje się tylko tradycją („niedzielną", „pasterkową", „pierwszokomunijną" – w zależności od stopnia częstotliwości), a Kościół jedynie np. ostoją cywilizacji łacińskiej albo – jak to powiedział jeden z kandydatów na prezydenta RP – „polską instytucją narodową", broniącą przed... (w miejsce kropek należy wpisać tych, których doświadczenie historyczne każe nam się bać lub których po prostu się nie lubi).

Religijność wspólnot religijnych rozwinęła się w Polsce głównie pod wpływem działania **posoborowych ruchów odnowy**. Nie musi ona stać w opozycji do religijności instytucji (zresztą niektórzy je łączą), choć zasadniczo (co najmniej) inaczej rozkłada akcenty. Uczestnicy ruchów, przeważnie ludzie młodzi, podkreślają swój **osobisty związek z Jezusem Chrystusem**, fascynują się Ewangelią, usiłują odtworzyć w swym życiu model pierwotnego chrześcijaństwa, niekiedy angażują się na rzecz bezinteresownej pomocy potrzebującym. Ich świadomość eklezjalna nie jest świadomością Kościoła jako instytucji usługowej, lecz jako „wspólnoty wspólnot"; niektórym jednak trudno wyjść poza własną wspólnotę i źle się czują wśród przeciętnych katolików podczas Mszy św. odprawianej w kościele parafialnym przez proboszcza. (Zresztą w ich języku nie ma

zwrotu „odprawianie dla wiernych Mszy św.", lecz „wspólne sprawowanie z prezbiterem Eucharystii"). Osią ich religijności jest głęboka (często gorąco przeżywana) więź z osobą Chrystusa, wobec tego sprawy kulturowe, instytucjonalne, narodowe i polityczne są dla nich drugorzędne. Mówią raczej o „stałym osobistym nawracaniu się", o „dawaniu świadectwa chrześcijańskiego", a nie o „obronie Kościoła" (czy „walce z jego przeciwnikami"). Ich chrześcijaństwo wyraża się w pierwszym rzędzie na płaszczyźnie indywidualnej i rodzinnej, a nie publiczno-politycznej. Zamiast formułki: „jestem katolikiem, wierzącym, praktykującym", wolą powiedzieć: „wierzę Jezusowi, On jest moim Panem". Są nastawieni proekumenicznie; zresztą w swej religijności wykorzystują wiele pomysłów innych Kościołów chrześcijańskich, zwłaszcza protestanckich. To oni upowszechnili w polskim Kościele zwyczaj codziennej indywidualnej lektury Pisma św. przez świeckich. W opinii niektórych katolików i ludzi spoza Kościoła religijność wspólnot (przepojona żywiołowością, entuzjazmem i moralną bezkompromisowością) przybiera niekiedy charakter „nawiedzenia", „sekciarstwa" czy „oderwania" od życia.

Trzeci typ religijności można przypisać ludziom, których katolicyzm jest związany ze świadomym, intelektualnie ugruntowanym, **wyborem światopoglądu teistycznego**. Posiadanie światopoglądu teistycznego nie przesądza wyznawania jakiejkolwiek religii. Zazwyczaj jednak człowiek, który wierzy, że Bóg istnieje, chce wejść z Nim w kontakt (czy wyrazić tę wiarę) za pomocą dostępnych instytucji i form religijnych. Przedstawiciele tego typu religijności są katolikami, gdyż **chcą być religijni, a katolicyzm jest najbliższą dostępną dla nich i akceptowalną formą religijności**. Intelektualnym zapleczem religijności jednych z nich są książki z zakresu kosmologii, teorii bytu czy teologii naturalnej; dla innych ważniejsze są zdobycze badań historyków religii i biblistów; do jeszcze innych bardziej trafiają analizy egzystencjalne kondycji człowieka („otwartość na Boga") itd. Są też tacy, którzy swą religijność karmią publikacjami na temat różnorakich (zasadniczo odmiennych z teologicznego punktu widzenia) „zjawisk cudownych": począwszy od objawień maryjnych i stygmatów ojca Pio, a skończywszy na „życiu po życiu", medycynie naturalnej czy ziołolecznictwie ojca Klimuszki (tak wielką rozpiętość tematyczną oferuje jeden ze stolików pewnej księgarni parafialnej). Zazwyczaj religijność świadomego światopoglądu sprowadza się ostatecznie bądź do religijności instytucji (np. teizm „kulturowy" lub „scholastyczny"), bądź – wspólnot (np. teizm „biblijny" lub „egzystencjalny"), często jednak dominacja w niej komponentu poznawczego czyni związaną z nim grupę katolików odrębną formacją (a przynajmniej bardziej świadomą częścią pierwszych dwu formacji).

Jak widać, jednym z najważniejszych rysów pierwszego typu religijności jest **społeczna przynależność do określonej instytucji kulturowej**, drugiego – **przeżywanie określonych doświadczeń egzystencjalnych**, trzeciego – **intelektualne rozpoznanie pewnych doniosłych prawd światopoglądowych**. Ktoś by powiedział, że wymienione rysy (o ile pominąć ich – napomknięte wyżej – negatywne, odreligijnione przypadki) stanowią niepełną listę komponentów prawdziwej religijności. Tak być powinno, jednakże nie zawsze tak jest: nierzadko odnoszę wrażenie, że spotykam ludzi, którzy znacznie różnią się w swym rozumieniu „religijności" i „katolicyzmu".

Rozpatrzmy jeden z momentów (wyostrzonej tu) opozycji: katolicyzm instytucji – katolicyzm wspólnot. (Wiąże się ona, ale nie utożsamia z filozoficznym rozróżnieniem

między religijnością statyczną a dynamiczną, a także z ideologicznym podziałem na Kościół zamknięty i otwarty lub – bardziej z socjologicznego punktu widzenia – katolicyzm ludowy i elitarny). Na Zachodzie pewna odmiana polskiego katolicyzmu instytucji jest postrzegana (w tym kontekście mniejsza o to, czy słusznie czy nie) jako antysemicka.[3] Faktem jest, że gdy się rozmawia z niektórymi Polakami-katolikami o kulturze (także religijnej) żydowskiej, to w najlepszym wypadku można ujrzeć na ich twarzach ironiczny uśmiech (a w rozmowie oficjalnej: chłodny szacunek). Nie musi on świadczyć o antysemityzmie; wystarczy, iż świadczy o tym, że **dla wielu polskich katolików kultura żydowska jest po prostu obca**. Zdają się oni zapominać o żydowskich korzeniach ich własnej religii. Niektórzy nawet denerwują się (jakby wypowiedziało się bluźnierstwo), gdy podkreśla się jakiej narodowości i wyznania byli: Jezus jako człowiek, jego rodzina i uczniowie (w tym Piotr, do którego odnosi się teologia katolicka uzasadniając prymat Biskupa Rzymu), a także pierwsi członkowie wspólnot chrześcijańskich. Anegdoty o tym, że Pan Jezus mówił po łacinie, a Matka Boska była Polką wskazują dobitnie, iż polska religijność zdaje się wiązać z całkiem innym kręgiem kulturowym, niż kultura biblijna, w której chrześcijaństwo powstało.

Krytykując taką postawę, nie chcę negować uniwersalizmu chrześcijańskiego ani nie chcę nawoływać do powrotu do judeo-chrześcijaństwa pierwszych dziesięcioleci Kościoła. Zaznaczam tylko, iż uniwersalizm chrześcijański nie polega na dominacji jakiejś narodowej lub ponadnarodowej kultury niebiblijnej. Nie ma on też nic wspólnego z nieznajomością judaizmu, nieżyczliwością czy obojętnością wobec niego. Chrześcijaninem jest przecież ten człowiek, który stara się być jak najbliżej Jezusa Chrystusa, a więc także m.in. stara się „wczuć" w jego mentalność jako człowieka, w kulturowo-religijny kontekst jego ziemskiej działalności, w Stary Testament, którego Chrystus jest wypełnieniem... Można wręcz powiedzieć, że chrześcijanin to ten, kto niejako wewnętrznie staje się żydem i Żydem (a jedno od drugiego trudno oddzielić), by wejść w relację dziecięctwa wobec Boga Ojca. Znakomicie czują to młodzi entuzjaści ze wspólnot religijnych, gdy z radością śpiewają np. psalmy na melodie żydowskie. W tych wspólnotach w sposób wyraźny **ponawia się spotkanie kultur z pierwszych wieków, kiedy to ludzie o świadomości greckiej (czy szerzej: helleńsko-łacińskiej) stawali się chrześcijanami (zapisując w swoim języku Objawienie)**. Dopiero ci, którzy na serio podejmują wysiłek bycia chrześcijaninem, w pełni dostrzegają, jak trudno dziedzicowi racjonalistycznej i pełnej bożków, przedchrześcijańskiej Grecji i Rzymu naprawdę przyjąć – na wzór Żydów – zaproszenie do uczestnictwa w Przymierzu z Jedynym Bogiem.

Wydaje się, że niektórzy przedstawiciele katolicyzmu instytucji (a zwłaszcza niektórzy Polacy-katolicy) patrzą na Żydów przede wszystkim w kategoriach etnicznych, kulturowych, politycznych i społeczno-ekonomicznych. Na drugi plan odchodzi **spojrzenie religijne, przez pryzmat którego żyd (wyznawca religii Mojżeszowej) jawi się jako ojciec i wzór wiary (który może nam pomóc w wysiłku stawania się chrześcijaninem), a każdy Żyd (bez względu na to, czy religijny czy nie) – jako szczególny znak Boga**.[4] W tym spojrzeniu nie chodzi o to, aby się odnarodowić, zdelatynizować, zdehellenizować i zhebraizować czy zjudaizować. Nie staniemy się przecież nigdy Żydami, tak jak – w jeszcze większym stopniu – nie staniemy się (wbrew nielicznym zapaleńcom) Hindusami czy wyznawcami religii Wschodu. Ale tak jak od tych drugich

możemy się niekiedy uczyć dla higieny psychicznej spokoju medytacyjnego, tak – o ileż bardziej! – ci pierwsi, stanowiąc jeden z korzeni naszej kultury, mogą być dla nas ogromną pomocą w tym, co najważniejsze: w chrześcijańskim życiu religijnym. Nie chodzi tu więc o jakąś „modę na Żydów" (zresztą samą w sobie niegroźną i sympatyczną) czy o zgubną ucieczkę w jakąś kulturową egzotykę (która odcinając od pnia, nie jest w stanie osadzić ani w korzeniach, ani w czymkolwiek stabilnym). Chodzi raczej o to, by **będąc wszczepionym w Kościół Powszechny, który był od wieków i pozostanie społecznym animatorem i organizatorem naszej duchowości, bez uprzedzeń korzystać z kultury żydowskiej, z którą *de facto* jesteśmy związani. Korzystać z niej jako chrześcijanie, katolicy[5], dziedzice tradycji śródziemnomorskiej, Europejczycy i Polacy.**

Trzeba dodać, że do szczególnego otwarcia Polaków na kulturę żydowską upoważnia **wielowiekowe współżycie Polaków i Żydów** na terenach Rzeczypospolitej Wielu Narodów (kultur i religii), a także niezaprzeczalny i różnoraki **wkład Żydów do skarbnicy polskiej kultury**, w tym np. z jednej strony religijnej, a z drugiej – naukowej. (Lublin – w pewnych okresach miasto właściwie żydowsko-polskie – znany w Ameryce chyba głównie z powieści I. B. Singera, jest tutaj znamiennym przypadkiem-symbolem tej owocnej symbiozy. Symbolem tym też są żyjący wśród nas Żydzi-Polacy lub Polacy-Żydzi: zarówno w aspekcie więzów rodzinnych czy więzów krwi, jak i w aspekcie świadomości kulturowej). Przerwanie tego kulturotwórczego współżycia przez straszliwą tragedię *Holocaustu* – która się dokonała obok cierpiącego narodu polskiego w trakcie okupacji hitlerowskiej – czyni (bez względu na to, czy uzasadnione czy nie) podnoszenie przez nas wobec Żydów dawnych animozji i urazów oraz wchodzenie z nimi w historyczne i aktualne polemiki czymś (delikatnie mówiąc) niestosownym i nikomu niepotrzebnym. **Po *Holocauście* – po bezprecedensowej próbie jednorazowego zniszczenia całego narodu żydowskiego – najmniejsze nawet przejawy braku szacunku dla potomków Izraela powinny być powodem do wstydu, a nie pretekstem czy narzędziem do gry politycznej lub do licytowania antysemityzmu innych** (niż nasz) narodów oraz wyszukiwania jego „obiektywnych", „sprawiedliwych" przyczyn (zwłaszcza w odniesieniu do naszego antysemityzmu). Polskim antysemitom, „kryptoantysemitom" i „antyfilosemitom" trzeba wyraźnie powiedzieć, że dzisiaj nie istnieje żadne (w jakimkolwiek sensie) – nawet hipotetyczne – zagrożenie żydowskie, a tylko istnieje nasza nieumiejętność życia własną (narodową i ponadnarodową) kulturą i jej starożytnymi korzeniami oraz nieumiejętność mądrego korzystania z dorobku innych. W takiej sytuacji właśnie dzisiaj **Polska powinna być krajem szczególnie życzliwych kontaktów żydowsko-polskich**. Sprzyjać im mogą m.in. narodowo-religijne pielgrzymki Żydów do Polski i religijne pielgrzymki Polaków do Izraela, wspólne spotkania modlitewne, dysputy teologów[6], pokazywanie w mediach „sprawiedliwych wśród narodów świata" i wybitnych ludzi należących do obu narodów, konferencje o związkach obu kultur, ruch turystyczny i gospodarczy, odpowiednie programy edukacyjne, wymiany młodzieży, obustronne prace historyków i przekłady książek itd. Na niektórych z tych płaszczyzn kontakty są już rozwinięte, ale na wielu pozostają wciąż w stadium szczątkowym lub dokonują się niejako „obok" siebie. W odrabianiu naszych historycznych „zaszłości" pękły już pierwsze lody w stosunkach z Niemcami, natomiast nie było jeszcze – tak jak i w sprawie zbliże-

nia z narodowościami naszych bliskich wschodnich braci – spektakularnego przełomu w pojednaniu polsko-żydowskim (choć odnotować trzeba pozytywne inicjatywy np. Komisji Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem). Na tych trzech obszarach czeka nas ogromna praca...

Jak widać, omawiając m.in. różne typy katolickiej religijności Polaków uzasadniłem tezę, że każdy katolik i Polak powinien być „filosemitą", oraz że niektórzy katolicy i Polacy są „filosemitami". Jednakże „powinien" nie znaczy „jest", a „niektórzy" – „wszyscy". Na koniec więc wypada wskazać, że nawet ci katolicy będący Polakami, którzy (delikatnie mówiąc) nie przyznają się do „filosemityzmu", kochają kulturę żydowską. Kochają ją właśnie Polacy-katolicy (a o nich tu przede wszystkim mowa), zazdroszcząc Żydom bycia „narodem wybranym" oraz silnego splotu w kulturze żydowskiej czynnika narodowego i religijnego. Polacy-katolicy są strukturalnymi judaistami: usiłują odtworzyć na gruncie polskim świadomość wyjątkowej misji historycznej swego narodu oraz instytucję religii narodowej.[2] Stąd denerwują się bardzo, gdy ktokolwiek – czy Żyd, czy Polak; czy wierzący, czy nie – osłabia tę świadomość i wspomniany splot, nawet gdyby to czynił tylko przez wprowadzanie odpowiednich rozróżnień lub jedynie przez samą swoją – odbiegającą od postulowanego modelu – obecność. W tym punkcie zgadzają się ze sobą w nadzwyczajny sposób Polacy-katolicy i ortodoksyjni żydzi-Żydzi. (Między nimi jest więcej podobieństw, niż tu wyliczono i niż zdają sobie oni z tego sprawę).

W tym miejscu **spotykają się też w pojednawczym dialogu wszystkie strony** przywoływanych w niniejszym tekście dyskusji i opozycji. Zwłaszcza te, które (wprost lub nie wprost) zabierają głos na łamach tego numeru „Scriptores"...

Przypisy

[1] Nie jest to nazwa najlepsza, nie tylko ze względu na negatywne skojarzenia w niektórych środowiskach. Dosłownie rozumiana jest nazwą za szeroką: do licznych ludów semickich należą nie tylko Żydzi, ale i np. Arabowie. (A propos: jaka nazwa obejmuje wszystkie i tylko ludy biblijne?). „Filojudaizm" byłby tu jednak nazwą za wąską: nie chodzi nam tu tylko o określoną religię monoteistyczną, chociaż zdajemy sobie sprawę, jak silny związek (choć nie całkowity i nie obustronny) występuje w tym przypadku między wyznaniem a przynależnością narodową. (Zresztą nazwa ta mogłaby w jednym swym znaczeniu odnosić się tylko do mieszkańców Judy/Judei). Lepsze nazwy: „filohebraizm" (szersza), „filoizraeli(ty)zm" (węższa) – nie mówiąc już „filożydzizm", „filożydowstwo" – brzmią sztucznie i nie przyjęły się w języku polskim (te ostatnie przyjmują nawet odcień pejoratywny).

[2] Obawiam się, że ta (skądinąd bardzo zacna i zasłużona) osoba nie nawiązywała w tej wypowiedzi do odpowiednich fragmentów Konstytucji Dogmatycznej o Kościele.

[3] Jeśli niesłusznie, to – zamiast rozwodzić się nad tym, jak to pewne (zachodnie, żydowskie, antypolskie, kosmopolityczne itd.) środowiska nieuczciwie chcą robić z nas antysemitów – należałoby dziś zaświadczyć słowem i czynem o swym „filosemityzmie". Nikomu by od tego korona z głowy nie spadła.

[4] Pomijam tu pojawiające się niekiedy – a odrzucone przez Kościół – „religijne" spojrzenie na Żydów i judaizm jako na miejsce przekreślania Chrystusa i chrześcijaństwa. Całkiem inna jest kwestia spojrzenia z drugiej strony: Żydów na Jezusa. Dla jej ukazania trzeba by jednak kompetentnie wejść w różne ujęcia w ramach poszczególnych odmian teologii żydowskiej. (Przypominam przy okazji ewentualnym polemistom, że nazwę wyznawcy religii pisze się małą literą, a nazwę narodów – wielką. W przypadku nazwy naszych starszych braci w wierze i zarazem braci naszego narodu mamy do czynienia ze szczególną dwuznacznością, a raczej nabudowywaniem się znaczeń).

[5] M.in. w tej kulturowej otwartości, uniwersalności i różnorodności (wielokulturowości) wyraża się katolickość (powszechność), której przeciwieństwem jest monokulturowy partykularyzm.

[6] Sobór Watykański II zalecił nam *obustronne poznawanie się w poszanowaniu, które osiągnąć można zwłaszcza przez studia biblijne i teologiczne oraz przez braterskie rozmowy.*

[7] Nie neguję historycznego uzasadnienia i wartości takiej postawy. Jednak, czy nie została ona zabsolutyzowana?, czy środki nie są w niej ważniejsze od celu?, czy dziś w ogóle może ona być skuteczna?...

Spotkania religii:

prawosławie

Drugie płuco Kościoła Powszechnego

– rozmowa z Biskupem Ablem (Popławskim) Ordynariuszem Kościoła Prawosławnego Diecezji Lubelsko-Chełmskiej

Abel (Popławski) - ur. 1958 w Narwii (woj. Białostockie). Studiował teologię w Prawosławnym Seminarium Duchownym i Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Następnie był Przeorem w Klasztorze i Rektorem Seminarium Duchownego w Jabłecznej. Obecnie Przewodniczący Polskiej rady Ekumenicznej (oddziału regionalnego w Lublinie).

Sławomir Żurek: *Czy Kościół prawosławny jest monokulturowy, czy też jest miejscem spotkania wielu kultur?*

Biskup Abel: Nie można powiedzieć, że tradycja Kościoła prawosławnego jest monokulturowa. Kościół prawosławny odziedziczył najwięcej z kultury starotestamentowej ze wszystkich wyznań chrześcijańskich, co w kulturze prawosławia zespala się z kulturą Wielkiego Bizancjum. Uwidoczni się to chociażby w wystroju wewnętrznym świątyni, która przypomina w swej strukturze Świątynię Jerozolimską: ołtarz z ikonostasem, jego sakralność i tajemniczość, kotara, która jest zaciągnięta, siedmioramienny świecznik. Nie tylko struktura cerkwi, czy też teologia ikony jest bardzo wymowna w tradycji prawosławnej, ale także warto zwrócić uwagę na śpiew Kościoła prawosławnego, który łączy ze sobą wiele cech tradycji narodów wschodnich ze wspomnianą tradycją starotestamentową. Nabożeństwa prawosławne bazują na głębokiej myśli psalmów, która moim zdaniem przestała być obecna w Kościele rzymsko-katolickim po Soborze Watykańskim II. Te wszystkie wymienione wartości kulturowe były charakterystyczne dla chrześcijan pierwszych wieków. Na skutek rozbieżności i podziałów chrześcijaństwa na tendencje wschodnie i zachodnie tradycja Kościoła Chrystusowego przeżywa rozbicie zubożające wartości chrześcijaństwa, które mimo wszystko konserwatywnie zachował Kościół prawosławny.

S. Ż.: *Czy liturgia cerkiewna oraz wspomniane przez Księdza Biskupa nawiązania do tradycji pierwszych chrześcijan są zrozumiałe dla przeciętnego wiernego Kościoła prawosławnego, który przychodzi na nabożeństwo?*

Biskup Abel: Społeczność prawosławna jest świadoma sensu i znaczenia

liturgii, czego staramy się już na katechezie nauczać. Gorszym problemem jest fakt, że na zewnątrz nie jesteśmy rozumiani przez społeczność nie związaną z tradycją prawosławną. Ciągle jeszcze funkcjonują stereotypy, że to, co jest prawosławne jest jedynie ruskie, carskie i na tym koniec, zapomina się o spuściźnie Bizancjum oraz św. Grodu Jerozolimy.

S.Ż.: *Czy np. ten podział, który istnieje w świątyni prawosławnej, na to co dzieje się za carskimi wrotami i to, co się dzieje przed nimi, czy to nie jest powierzchowny podział na to co święte i na to, co świeckie, na sacrum i profanum? Przecież podział ten w systemie chrześcijańskim nie ma racji bytu.*

Biskup Abel: Aktywni wierni naszego Kościoła dobrze rozumieją symbolikę prawosławia. Kościół prawosławny jest konserwatywny. Lecz mimo wszystko struktura Kościołów prawosławnego i katolickiego jest bardzo podobna do siebie, dotyczy to i administracji, i części liturgicznej.

S.Ż.: *Jakie jest miejsce ikony w Kościele prawosławnym?*

Biskup Abel: Prawosławnej wierze i życiu niedłącznie towarzyszy ikona. Jej funkcja i znaczenie stają się zrozumiałe jedynie w kontekście chrześcijańskiej wiary i kultu.

Ikona jest wizualnym przedstawieniem tajemnicy Boga, objawiającego się najpełniej we Wcieleniu Tajemnicy Boga – Jezusa Chrystusa. W Jego obliczu chrześcijanin kontempluje pełnię Bożego dzieła i przeznaczenia. Przedstawione na ikonach centralne wydarzenia z historii zbawienia dają doświadczenie obecności Boga, umożliwiają nawiązanie z Nim głębokich relacji oraz wprowadzają w nowy czas i przestrzeń. Oblicza Matki Bożej i Świętych promieniujące mocą Ducha Świętego, ukazują przyszłość całego stworzenia, zmierzającego do odkupienia i przemienienia.

Ikona jest bramą do Królestwa Bożego, oknem przez które wstępuje modlitwa człowieka oraz miejscem, gdzie Bóg ukazuje swoją moc, czyniąc cuda, uzdrawiając oraz wysłuchując modlitw. Dzięki kontemplacji ikony chrześcijanin głębiej pojmuje nie tylko swoje przeznaczenie, ale również bliźnich i całego stworzenia. Ikona obrazuje podstawowe prawdy wiary. Dzięki temu uczy wiary, niekiedy prostuje ją, przypominając historię zbawienia. Ażeby ikona była miejscem przekazywania tradycji, musi być wykonana zgodnie z nauczaniem Kościoła. Nigdy nie mówimy, że ikonę się maluje, lecz pisze, co jest bardzo wymowne.

Chrześcijanie prawosławni darzą ikony wielką czcią. Przyklękanie, zapalanie świec, okadzanie są wyrazem czci skierowanej do tego, kogo ikony przedstawiają. Ikona jest święta, ponieważ ci, którzy są w niej czczeni urzeczywistnili swoje wezwanie do świętości. Ikona jest święta i w tym znaczeniu, że umożliwia relację z Bogiem, daje uczestnictwo w Jego Świętości.

Jacek Wojtysiak: *Tyle Ksiądz Biskup mówił o wielokulturowości w Kościele prawosławnym, ale przeciętnemu człowiekowi jawi się on jako krąg kulturowy związany z kulturą wschodnią, czy może szerzej kulturą grecką. Czy Kościół prawosławny mógłby się rozwijać w ramach kultury zachodniej?*

Biskup Abel: Kościół prawosławny wywodzi się z pnia wschodniego i tradycja bizantyjska jest jego charakterystyczną cechą. Tradycja Kościoła zachodniego

poszła inną drogą, obcą tradycji wschodniej. W tradycji bizantyjskiej inaczej wygląda strona obrzędowa liturgii, ale i tu widoczne są wewnętrzne podziały: inną tradycję mają Bałkany, inną Słowianie na Wschodzie, zaś odmienną Grecy.

J. W.: *Czy Kościołowi prawosławnemu bliska jest idea misyjności?*

Biskup Abel: W Polsce nie jesteśmy zaangażowani w misje, bo Kościół w Polsce jest mniejszościowy i mało prężny, ale np. Kościół grecki prowadzi misję w Afryce. Goszczący przed tygodniem w Lublinie Metropolita Prokopios z Grecji, opowiadał o wielkim zaangażowaniu jego Metropolii w inwestycje misyjne w Kenii.

Stanisław K. Żebrowski: *Kościół prawosławny wyrasta podobnie jak Kościół katolicki z judaizmu. Czy poprzez powrót do wspólnych korzeni mogłoby nastąpić pojednanie pomiędzy tymi Kościołami?*

Biskup Abel: My zawsze pozostajemy otwarci i widzimy potrzebę bliskiej współpracy, właśnie dlatego, że wywodzimy się z tego wspólnego pnia. Co się tyczy samego ekumenizmu, w naszych warunkach ograniczamy się jedynie do rodziny Kościołów chrześcijańskich. W Polsce Kościół prawosławny jest pod względem liczebności drugim Kościołem po rzymsko-katolickim. Znaczącą rolę odgrywa tutaj Polska Rada Ekumeniczna, która zrzesza Kościoły nierzymsko-katolickie, a więc Kościoły: prawosławny, ewangelicko-augsburski, ewangelicki reformowany, starokatolicki mariawitów, chrześcijan baptystów, narodowy polsko-katolicki oraz metodystyczny. Kościoły te współpracują ze sobą, tworząc na zewnątrz jedno administracyjne ciało. W krajach Europy Zachodniej również funkcjonują podobne rady ekumeniczne, tyle że w skład tych rad wchodzi również kościół rzymsko-katolicki. W Polsce natomiast współpracuje z Polską Radą Ekumeniczną jedynie Sekretariat przy Kurii Prymasowskiej, a wielka szkoda, że nie Konferencja Episkopatu Polski całym ciałem!

Grzegorz Linkowski: *Jak wygląda dzisiaj dialog między katolicyzmem a prawosławiem?*

Biskup Abel: Dialog ten rozwijał się dobrze po Soborze Watykańskim II, obecnie znalazł się w stanie „zamrożenia". Spowodowane to zostało kilkoma czynnikami, między innymi odmiennym rozumieniem problemu ewangelizacji współczesnej Europy, lecz najgorszą przeszkodą jest uniatyzm. Na naszym polskim terenie mamy kilka faktów kompromitujących wzajemne stosunki ekumeniczne: problem klasztoru w Supraślu, własności cmentarzy, świątyń. Najgorszym jest to, że Episkopat Kościoła rzymsko-katolickiego i prawosławnego nie czują potrzeb wspólnych spotkań i negocjacji. Kompromitującym jest przede wszystkim, że sprawy sporu muszą załatwiać władze świeckie – administracyjne, którym często sprawy wiary są obojętne.

J.W.: *To jest sytuacja w Polsce, a co Ksiądz Biskup sądzi na temat oświadczenia Jana Pawła II, który twierdzi, że różnice między Kościołami katolickim i prawosławnym są najmniejsze. Papież nazywa Kościół prawosławnym drugim płucem Kościoła powszechnego. Co Ksiądz Biskup sądzi o działaniach ekumenicznych papieża?*

Biskup Abel: Pochwalam, ale jednocześnie boleję nad tym, że porozumienie następuje jedynie „na górze", pomiędzy dwoma największymi autorytetami Kościoła. Jestem przekona-

ny, że papież nie wie o wszystkich lokalnych problemach. Kiedy pojawił się problem cmentarza w Jabłecznej pisałem do papieża, lecz odpowiedzi nie otrzymałem. Myślę, że gdyby papież przeczytał ten list na pewno udzieliłby jakiejś odpowiedzi. Moje domniemania mogą być różne.

J.W.: *W starszym pokoleniu istnieją uprzedzenia. Pierwszym z nich jest kojarzenie Kościoła prawosławnego z Rosją. Czy nie jest tak, że w teologii prawosławnej była za daleko posunięta akceptacja władzy np. cesarskiej?*

Biskup Abel: Kościołowi prawosławnemu problem polityki jest obcy. Kościół prawosławny jest zawsze lojalny w stosunku do władzy, bo jest to nakaz Pisma Świętego. Nie można tego utożsamiać z tym, że my mieszkający w Polsce jesteśmy spadkobiercami tradycji imperializmu rosyjskiego. Czas panowania imperializmu na ziemiach polskich był okresem przejściowym. Nasi przodkowie są autochtonami rodzimej ziemi, do tego czasu tutaj żyli i tradycja prawosławna była silna. Czterysta lat temu Unia Brzeska praktycznie wyrugowała nas z tych ziem. W okresie zaboru carskiego, w roku 1875 na ziemiach polskich nastąpiła kasacja Unii Brzeskiej, dzięki czemu my mogliśmy się tutaj odrodzić. Unia była wprowadzona przemocą i gwałtem na Kościele prawosławnym. Nie było to takie proste jak to Kościół katolicki przedstawia, jak to chociażby ostatnio przedstawia Biskup Jan Mazur w liście pasterskim z okazji 400-lecia Unii Brzeskiej, mówiąc, że to część hierarchii prawosławnej zajechała do Watykanu i poprosiła o przyjęcie pod jurysdykcję Kościoła katolickiego. Zmuszony byłem w odpowiedzi na wspomniany list pasterski zareagować komunikatem wyjaśniającym okoliczności. Absurdem jest mówienie, że dzisiaj prawosławni są ulegli władzy świeckiej.

J.W.: *Czym różni się Credo prawosławne od Credo katolickiego?*

Biskup Abel: Jest to problem „filio que" – „od syna". Credo było ustalone na I i II Soborze Powszechnym. Dopiero w IX w. pod presją Karola Wielkiego Kościół katolicki dopatrzył się jakiejś niejasności i wprowadzono „wstawkę". W prawosławiu mówi się „... i Ducha Świętego od Ojca..." pochodzącego, a w tradycji Kościoła rzymsko-katolickiego „...od Ojca i Syna..." co definitywnie uznano przez świat zachodni na Soborze w Toledo. Kiedy obchodziliśmy jubileusz 1000-lecia II Soboru Powszechnego, w Bazylice św. Piotra w Rzymie był odczytany tekst Credo jaki był ustalony na II Soborze. Dzisiaj w Kościele katolickim jest chyba dowolność, jeśli Kościoły lokalne chcą wrócić do tekstu pierwotnego, to nie ma problemu.

J.W.: *Jest to argument podtrzymywania tradycji czy też ściśle teologiczny?*

Biskup Abel: Jest to argument teologiczny ponieważ musimy wzorować się na bazie Pisma Świętego. Nigdzie w Piśmie Świętym nie znajdujemy potwierdzenia, że Duch Święty pochodzi od Syna.

J.W.: *Jakie są inne elementy różniące katolicyzm od prawosławia?*

Biskup Abel: Są to dogmaty, które wprowadził później Kościół katolicki, (po oficjalnym rozłamie w 1054 roku): o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Marii Panny, o zwierzchnictwie i nieomylności papieża, o cielesnym uniesieniu Najświętszej Marii Panny. Dzisiaj Kościół katolicki potrafi ude-

rzyć się w pierś za swoje historyczne posunięcia, jednak nie widzę możliwości, żeby potrafił powrócić do tradycji pierwszych wieków.

S.Ż.: *Czy dzisiaj Kościół prawosławny jest na tyle żywy aby móc wpływać na działania kulturotwórcze. Czy cerkiew jest dzisiaj również, jak było to w historii, inspiracją dla malarzy, poetów, artystów?*

Biskup Abel: Cerkiew jest oprócz centrum życia duchowego, również centrum życia kulturalnego. Młodzież przychodzi na zajęcia katechetyczne, uczy się śpiewu liturgicznego, później zasilają nasze chóry parafialne. Organizujemy obozy dla młodzieży licealnej, zapoznajemy ich z językiem liturgicznym: staro-cerkiewno-słowiańskim. Istnieje szkoła ikonograficzna w Bielsku Podlaskim.

J.W.: *A jak rozwiązana jest w Kościele prawosławnym kwestia celibatu?*

Biskup Abel: W tej kwestii prawosławie wzoruje się na praktyce pierwszych wieków chrześcijaństwa. W Kościele prawosławnym duchowieństwo diecezjalne może żyć w małżeństwie lub w celibacie. Natomiast duchowieństwo zakonne musi żyć w celibacie. Kandydat do stanu duchownego musi zachować hierarchię sakramentów, a więc najpierw musi być udzielony sakrament małżeństwa, a potem kapłaństwa. Biskupi w prawosławiu wywodzą się z życia zakonnego, więc musi ich obowiązywać celibat.

St.K.Ż.: *Dziękujemy bardzo Księdzu Biskupowi za rozmowę.*

Opracował: **Stanisław K. Żebrowski.**

Zgodnie z wielką Tradycją, poświadczoną przez Ojców Wschodu i Zachodu, Kościół katolicki wierzy, że w wydarzeniu Pięćdziesiątnicy Bóg już objawił Kościół w jego rzeczywistości eschatologicznej, którą przygotował <<od czasów Abla sprawiedliwego>>.

Jan Paweł II, *Ut unum sint*

ks. Henryk Paprocki

Patrząc na sztukę Jerzego Nowosielskiego
(Esej o istocie sztuki)

Twórczość Jerzego Nowosielskiego zmusza do refleksji nad zjawiskiem kultury, ponieważ sam artysta mówi, że maluje wyłącznie ikony, że nie ma żadnej granicy między tym, co określamy potocznie jako „malarstwo sakralne" i jako „malarstwo świeckie". Profesor całą swoją twórczość odnosi do domeny „sacrum". Oznacza to powrót do sfery mitu, do sytuacji przed rozbudzonym dyskursywnym myśleniem filozoficznym. Świat staje się jednością, człowiek jest jego cząstką. Sztuka ukazuje rzeczywistość świata przemienionego czyli wybiega w przyszłość. Ale punkt dojścia jest zarazem punktem wyjściowym. Jak w przeżyciu liturgicznym, wszystkie granice zostają zlikwidowane – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są tym samym, „czasu już więcej nie będzie". Czas i przestrzeń są święte. Termin „świętość" ma charakter ontologiczny, a nie moralny. „Święte" przeciwstawia się temu, co „świeckie" i jest wtargnięciem czegoś zupełnie innego w rzeczywistość empiryczną. „Święte" jest zaś tylko przez swoje uczestniczenie w tym, co jest rzeczywistością świętą. Podobieństwo Boże zostało zaciemnione, stało się niepodobieństwem. Dopiero Wcielenie ujawniło prawdziwą naturę człowieka. Ikona nie jest bytem samym w sobie, ikona prowadzi ku bytom samym w sobie. Domena sztuki jest bardzo trudna do zdefiniowania i określenia. To, co duchowe, nie poddaje się żadnym definicjom, ale zarazem to, co niewidzialne, jest bardziej realne od widzialnego i bardziej od niego potężne. Dzieje się tak nawet w wymiarze empirii. Kultura wypływa z „sacrum", a nie z „profanum". U podstaw chrześcijańskiej kultury nie leży żadna instytucja, ani żaden inny autorytet poza Ewangelią. Ewangelia jest bowiem eksterioryzacją świętości wszelkiej literatury. Ikona zaś jest eksterioryzacją świętości sztuki. Wszystko wypływa z Ewangelii, a więc ostatecznie z Boga. To On jest źródłem uświęcenia. W tym sensie malarstwo Jerzego Nowosielskiego jest ikoną tego, co jest zupełnie inne. Nawet pejzaż i akt mogą być przemienione. Ten wielki powrót do jedności świata i Boga, a więc powrót do panenteizmu Apostoła Pawła, jest zarazem drogowskazem dziejów. Sztuka porywa się na malowanie rzeczywistości innej, antycypuje przemianę, która nastąpi w dniu ostatnim, który nie będzie już dniem. Duch Święty w momencie tego wielkiego przejścia dotknie, według wspaniałego określenia Paula Evokimova, całej kultury i coś z niej pozostanie na zawsze.

Tylko ludzkie szaleństwo pozwala poznać nie dające się przewidzieć drogi Boże. Każdy twórca kultury musi mieć w sobie szaleństwo w biblijnym, oczywiście, sensie

tego słowa. Wskazując to, co jest niewskazane, objawia, unaocznia rzeczywistość, która jest drogą nie naszą. Jeżeli „myśli moje nie są myślami waszymi i drogi moje nie są drogami waszymi", to aby je poznać, trzeba przyjąć inną perspektywę. Tak, jak ikona, której „odwrotna perspektywa" otwiera zupełnie inne możliwości ukazywania. Jeżeli nie ma podziału między „sacrum" i „profanum", jeżeli cała sztuka należy do dziedziny „sacrum", to jest wtedy ukazaniem eschatologicznej pełni. W tym sensie sztuka nie jest z tego świata. Kościół jest wspólnotą eschatologiczną i jego sztuka winna mieć takiż charakter. Nie przypadkiem w historii chrześcijaństwa wielokrotnie dochodziło do utraty tego właśnie wymiaru sztuki. Sztuka przestawała ukazywać rzeczywistość przemienionego świata, a tym samym przestawała być pomostem prowadzącym ku świętości ostatecznej. Sztuka, gdy przestaje być Paschą, czyli przejściem do królestwa, zamienia się w rzemiosło lub też w nieudolne naśladownictwo natury. Sztuka rozumiana jako ikonostas jest mostem, przejściem do innego wymiaru. Człowiek jako żywa ikona Boga odnajduje sens swojej egzystencji w świecie, który jest nie z tego świata. A więc rozpacz, rewolta i zwątpienie ustępują miejsca pogodnej jasności dnia, który nie będzie już miał końca. „Każdy kociołek trzeba poświęcić Bogu", mawiał Zachariasz, a sztuka jest przecież nieporównywalnie doskonalsza od owego „kociołka", w zwierciadle sztuki zapisuje się prawda bytów i rzeczy. Potrzebujemy piękna, które stwarza „komunię" czyli wspólnotę. Teologia mówi o pięknie, podstawowy zbiór tekstów ascetycznych nosi nazwę „Philokalii" czyli „umiłowania piękna". Piękno jest domeną kultury czyli ma charakter „filokaliczny". Charakter „filokaliczny" przejawia się w świętych i w sztuce. Sztuka jest więc wyraźnie z kręgu „sacrum". Historia nie jest pustym korytarzem wiodącym ku niczemu. Kultura zaś jest wymiarem osoby i relacji osób będących w drodze do królestwa. Prawdziwym fundamentem historii jest kultura. Kultura wprowadza w rzeczywistość ludzką napięcie i otwiera na perspektywę Ducha. Udręka i ekstaza artysty uczestniczą w agonii Logosu. Z dźwiękiem dzwonów i z pięknem ikon w głębi naszych dusz Jezus wychodzi ze swego milczenia i mówi: „Ja jestem", co znaczy „ja jestem Bogiem" (patriarcha Bartłomiej I). „Nasza siostra – ziemia matka", jak mawiał św. Franciszek z Asyżu, zostaje podniesiona do wymiaru bytu przemienionego.

Istnieje ryzyko, że dzisiaj ludzie przestaną stawiać pytania (Andrzej Tarkowski). Sztuka sama jest pytaniem, jak i człowiek. Pytanie stawiane przez sztukę otwiera człowieka. Otwartość ludzkiego bytu jest jego cechą szczególną, a kierunek sztuki jest wyraźny – od chaosu do porządku.

Każdy obraz jest więc ikoną. Ikony dotyczą rzeczywistości bytów subtelnych, budują metafizykę fenomenu sztuki. Ikona spada z nieba. Jeżeli nie jest dana „z góry", to w ogóle nie powstanie. Malarz ikon ma „cnotę heroiczną" tworzenia wizji malarskiej. Potworność rzeczywistości empirycznej zostaje przezwyciężona i świat staje się teofanią. Mistagogiczna funkcja sztuki realizuje się na poziomie jej oczywistości. Ponieważ ikona jest oknem otwierającym się na rzeczywistość Bożą, każde dzieło sztuki uczestniczy w tym otwarciu, gdyż ikona jest centrum wszelkiej sztuki. Gdy słowo nie może oddać rzeczywistości metaempirycznej, sztuka otwiera nową perspektywę jej postrzegania.

U Heraklita znajdujemy obraz o wstrząsającej głębi, obraz łuku i liry. Greckie słowo „bios" oznacza zarazem „życie" i „łuk", którego strzały niosą śmierć. Ale łuk ma napiętą cięciwę; sublimując można więc powiedzieć, że łuk o wielu cięciwach staje się lirą i zamiast strzał niosących śmierć, niesie muzykę, harmonię, piękno (Paul Evdokimov).

Kultura jest jak napięty łuk o wielu cięciwach, niosący harmonię i piękno. Piękno jest zaś synonimem Ducha Świętego. Udział w pięknie jest udziałem w Duchu Świętym. Powoduje to, że cała kultura staje się szatą królestwa, poprzez którą prześwituje radość otwarcia na niezgłębioną tajemnicę Ojca.

Każda kultura tworzy się w obrębie obrzędu. Jest to naturalne, gdyż obrzęd jest formą wyrażania ludzkich uczuć i myśli. Jest formą kultury. Kultura rodzi się z kultu, w nim ma swoje korzenie. Jest siłą przemieniającą świat. Nie ma to nic wspólnego ze stylem, który jest swoistym rodzajem nawarstwiania się akcji odbiorczej określonej epoki. Żywotność dzieła sztuki uzależnia się wtedy od epoki i stopnia wrażliwości odbiorcy. Chodzi o wieczny wymiar kultury. W tym sensie kultura w pełni realizuje się jedynie w świątyni, która wraz z liturgią jest syntezą sztuki. Stąd też dążenie do sztuki jako wszechjedności wszelkich działań, z dotarciem do samego jej sedna, jest celem artysty. Bóg stworzył „niebo" i „ziemię", i ta dwoistość wyznacza zarazem los sztuki. Sztuka jest na granicy obu tych światów i łączy je w syntezie. Nie jest „rzeczą wśród innych rzeczy", ale wizją. Każde rozdarcie odbija się na całości kultury i na ludzkim życiu (Paweł Florenski). Między niebem a ziemią, to jest właściwie miejsce sztuki. I jak się wydaje, nie można ograniczać tego miejsca sztuki wyłącznie do ikony, bądź sztuki sakralnej. Każde dzieło jest między niebem i ziemią, wyjawia to, co niebieskie i to, co ziemskie. Tym samym sztuka jest łącznikiem, pomostem między rzeczywistością empiryczną i jej metapłaszczyzną. Jest liturgią objawiającą tę tajemnicę, która wymyka się wszelkim próbom logicznej klasyfikacji. Tajemnica ta odbija się w sztuce jak w lustrze. Tym samym sztuka burzy rzeczywistość zastaną, podnosząc ją do wymiaru bytu przemienionego. Lub też inna rzeczywistość, inna przestrzeń, wdziera się w naszą rzeczywistość. Z tego powodu sztuka ma zawsze charakter zbawczy. Sztuka jest więc czymś więcej, niż jest sama ze siebie. Sztuka uświęca rzeczywistość, gdyż jest naocznym ukazaniem istoty przedstawianego bytu, wydziela z całej rzeczywistości tę jej część, gdzie immanencja spotyka się z transcendencją, czas z wiecznością, zniszczalne z niezniszczalnym, co stanowi równocześnie antynomię sztuki. Antynomia ta zostaje przezwyciężona w syntezie wszystkich przeciwieństw. Jest zarazem podwójnym obiektem piękna – jako przedmiot kontemplacji otoczenia i jako piękno samo w sobie. Sztuka wyznacza granicę między światem widzialnym i niewidzialnym. Piękno zbliża się do swej granicy w miarę przenikania od fenomenów peryferii istoty do jej noumenalnego korzenia. Piękno pochodzi z kontaktu ze światem wyższym, gdyż samodzielne jest jedynie piękno świata wyższego (Paweł Florenski). Z tych powodów sztuka stanowiła zawsze przedmiot zainteresowań prawosławia. Zwłaszcza, że VII Sobór Powszechny (747 rok) zdogmatyzował kult ikony. Sama liturgia Kościoła zrodziła się przede wszystkim jako symbol królestwa i symbol Kościoła wstępującego do królestwa. Człowiek jako „homo liturgicus" syntetyzuje w liturgii architekturę, ikonę, sztukę ognia, zapachu, dymu, szat liturgicznych, choreografii (plastyka rytmu ruchów, wejść, wyjść i procesji), sztukę wokalną i poezję. Ich podstawę stanowi rozkład lektur biblijnych, czyli Biblia. Podobnie jak ikona, tak i sztuka jest szczególnym typem poznania tego, co niepoznawalne, ukazywania tego archetypu, który Boski Artysta ukształtował w dziele stworzenia. W dziele sztuki przezwyciężona zostaje neoplatońska opozycja noetycznego i zmysłowego poprzez wizję harmonii obu światów. Wiara określa kult, a kult światopogląd, z którego następnie wynika kultura. Zadaniem

kultury jest walka z prawami świata, niosącymi śmierć i chaos. W ostatecznym rozrachunku jest to walka Chrystusa czyli Logosu z Antychrystem czyli chaosem (Paweł Florenski). Sztuka znajduje swój pełny wyraz gdy pozostaje w harmonii z rzeczywistością nieba i ziemi. Jest więc paruzją królestwa, jest ikoną królestwa Bożego. A wszelka doczesna twórczość nabiera nieprzemijającej wartości, odbijając w sobie element wieczności. Każdy artysta wędruje więc ciągle ku tamtej stronie i rzuca nam swoje dzieła, na których jaśnieje jutrzenka królestwa.

Została uznana wielka tradycja liturgiczna i duchowa Kościołów Wschodu, specyficzny charakter ich rozwoju historycznego, normy (disciplina) *stosowane przez nie od samego początku i usankcjonowane przez Ojców świętych oraz przez sobory ekumeniczne, a także właściwy im sposób formułowania doktryny. Wszystko to uczyniono w przekonaniu, że uprawniona różnorodność nie sprzeciwia się bynajmniej jedności Kościoła, ale przeciwnie – przysparza mu chwały i przyczynia się znacznie do wypełnienia jego misji.*

*

Celem kontaktów między chrześcijanami nie jest tylko wzajemne poznanie się, wspólna modlitwa i dialog. Przewidują one i domagają się podjęcia już od tej chwili wszelkiej możliwej współpracy praktycznej na różnych płaszczyznach: duszpasterskiej, kulturowej społecznej, a także dawania świadectwa orędziu ewangelicznemu.

*

<< Współpraca wszystkich chrześcijan w żywy sposób wyraża to zespolenie, które ich wzajem łączy i w pełniejszym świetle stawia oblicze Chrystusa Sługi>>. Taka współpraca, oparta na wspólnej wierze, jest nie tylko bogata w braterską komunię, ale jest objawieniem samego Chrystusa.

Jan Paweł II, *Ut unum sint*

Grzegorz Linkowski

„Spotkania z Prawosławiem" w Teatrze NN

Kiedyś w jednym ze swoich wywiadów prof. Jerzy Nowosielski zapytany o to, skąd czerpać wiedzę o chrześcijaństwie wschodnim odparł, że tak naprawdę nie można się o nim dowiedzieć z wykładów, ani z książek. Trzeba go „dotknąć" w żywym kontakcie, osobiście. Trzeba uczestniczyć w prawosławnym nabożeństwie, w czasie którego wytwarza się atmosfera intensywnego odbioru wartości duchowych, intelektualnych i poetyckich. To są misteria, których nie ma w tradycji rzymsko-katolickiej czy protestanckiej.

Organizator dwóch kolejnych edycji „Spotkań z Prawosławiem" – lubelski Teatr NN, którego znane są działania na rzecz zbliżenia kultur i religii pogranicza, w prezentacji tego kręgu kulturowego przeszedł drogę właśnie od teoretycznych wykładów do bezpośredniego uczestnictwa w liturgii wschodniej. Odbiorcom pierwszych „Spotkań z Prawosławiem" w maju 1994 roku zaproponowano głównie blok wykładów wyjaśniających genezę prawosławia i jego mistycznego charakteru, słuchano więc prawosławnego duchownego Sławomira Chwojki, wygłaszającego „Istotę Prawosławia" oraz katolickiego zakonnika Ojca Sergiusza Gajka, poszukującego świadectw prawosławia dziś w referacie „Niebo na ziemi". Oba wystąpienia przyniosły ożywioną dyskusję zarysowującą w konsekwencji zasadnicze odmienności katolicyzmu i prawosławia. Ciekawym również elementem było zestawienie wykładu praktyka izografa Ks. Leoncjusza Tofiluka pt. „Powstawanie ikony" z „Semiotyczną analizą ikony" Władysława Panasa, teoretyka literatury z KUL, który omówił historyczno-estetyczną trwałość zasad kierujących pisaniem ikon oraz próby ich modyfikowania. – *Samymi „kanonami malarstwa" nie da się opisać tego, czym jest ikona* – powiedział zabierając głos w dyskusji Ojciec Tofiluk i dalej polemizując z dr Panasem: *Maluje się pewną prawdę objawioną, a nie „malowidło"!* Warto wspomnieć, że to pierwsze „Spotkanie z Prawosławiem" posiadało również mały aspekt praktyczny. Obok krótkiej prezentacji pisania ikony przez uczennicę ze szkoły izograficznej w Bielsku Podlaskim, w Muzeum Lubelskim na Zamku pokazano kilkadziesiąt „alabastrowych desek" ze zbiorów prawosławnej diecezji lubelsko-chełmskiej; obok XIX-wiecznych ikon można było podziwiać XVI-wiecznego Jana Chrzciciela z wyraźnymi wpływami malarstwa hiszpańskiego. Tradycję koncertów muzyki cerkiewnej na spotkaniach w Teatrze NN zapoczątkował występ oktetu wokalnego starannie dobranego i przygotowanego przez Włodzimierza Wołosiuka, znanego dyrygenta chóralnego. Pierwsze „Spotkania z Prawosławiem"

dały satysfakcję uczestnikom, a zarazem pewien niedosyt organizatorom, którzy już myśleli nad tym, jak za rok dotknąć praktycznie mistycznego charakteru prawosławia, jego bogatej obrzędowości i kultowości. Z pomocą Teatrowi NN przyszedł współorganizator „Spotkań" – parafia prawosławna w Lublinie, a szczególnie Władyka Diecezji Lubelsko-Chełmskiej Biskup Abel. Wiedząc, że najpełniejszy wyraz prawosławna obrzędowość znajduje w liturgii, która w tym kościele jest bardzo archaiczna, bo ukształtowana pomiędzy IV a VI wiekiem naszej ery, zaproponowano odbiorcy czynny udział w nabożeństwach litugicznych specjalnie na tę okoliczność przygotowanych. Wszyscy więc mogli przyjść do lubelskiej cerkwi pod wezwaniem Przemienia Pańskiego na inauguracyjną liturgię eucharystyczną, po której biskup i proboszcz opowiadali o historii cerkwi i jej obecności w historii miasta Lublina.

Najatrakcyjniejszym punktem spotkań okazał się wyjazd do malowniczego skansenu w Holi (woj. chełmskie), gdzie w zabytkowej drewnianej świątyni pod wezwaniem Antoniego Peczarskiego i wokół niej sprawowano liturgię o charakterze wielkanocnym. Na pamiątkę spotkań ustawiono duży drewniany krzyż. Czynnościom tym towarzyszyły obrzędy związane z misterium Krzyża (komentarz teologiczny ks. dr. Henryka Paprockiego), a radosna i wyśpiewana procesja rezurekcyjna skupiła obok siebie zarówno prawosławnych, jak i katolików. Część teoretyczna odbywająca się w Lublinie oparta została głównie o wystąpienia przybliżające i wyjaśniające bogactwo rytu, obrzędu oraz podstaw liturgii prawosławnej. Przedstawiono bardzo szczegółowo życie liturgiczne kościoła, jego „święty czas i przestrzeń", symbolikę charakterystyczną dla chrześcijaństwa wschodniego. Wystąpienia prelegentów często przybierały nietypową formę, jak chociażby żywa opowieść ojca Nikodema – archimandryty Monasteru z Ujkowic, który po przeczytaniu pierwszej strony swojego referatu o liturgii monastycznej przerwał słowami: – *A teraz opowiem wam o tym, co może was bardziej zaciekawi, jak zostałem mnichem, jak w ogóle zostaje się mnichem u progu XXI wieku.* Wszyscy z zapartym tchem słuchali wręcz nieprawdopodobnej historii o drodze, jaką Nikodem wraz z bratem Atanazym przeszli w poszukiwaniu właściwego dla siebie obrządku i jak od podstaw wybudowali Monaster w Ujkowicach. Drugie „Spotkania z Prawosławiem" miały również interesującą oprawę plastyczną: otwarto obszerną wystawę fotograficzną A. Połakowskiego i R. Zięckowskiego pt. „Prawosławie w fotografii" z unikalnymi fotografiami Świętej Góry Grabarki oraz jabłeczeńskiego Monasteru podczas odpustu Św. Onufrego. Fotografie dopełniono filmami o święcie Spasa oraz rejestracją liturgii wschodniej z komentarzem. W starym wiatraku skansenu w Holi pokazano kilka ikon Jerzego Nowosielskiego oraz rzeźby ludowe Kazimierza Hudasia, śpiewał tradycyjnie również chór cerkwi pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w Lublinie.

„Spotkania z Prawosławiem" w Teatrze NN zgromadziły wielu widzów, którzy poprzez swoje uczestnictwo po raz pierwszy w życiu spotkali się z inną kulturą i religią. Chwilami przypominało to wielkie spotkanie ekumeniczne pozbawione ram i oficjalnych wymogów, charakterystycznych dla kontaktów Kościoła prawosławnego z Kościołem katolickim. Temu służyło również bardzo ciepłe spotkanie z ks. prof. Wacławem Hryniewiczem OMI, wieloletnim przedstawicielem Watykanu w dialogu z Cerkwią prawosławną. To jego słowa stały się przesłaniem organizowanych w Teatrze NN „Spotkań z Prawosławiem", pamiętajmy o nich, ilekroć będziemy patrzeć na „kościoły siostrza-

ne": – *Każdy podział sprawia, że stajemy się ubożsi. Przerwana zostaje żywa wymiana darów i charyzmatów właściwych danemu Kościołowi. Bez wzajemnego przenikania się charyzmatów, życie Kościoła pozbawione zostaje pełni katolickości. Nie bez racji utrzymuje współczesny teolog prawosławny N. Nissiotis, iż każda schizma w Kościele tworzy schizmatyków po obydwu stronach, jakkolwiek nie w tym samym stopniu. Łatwo stajemy się wówczas więźniami własnych koncepcji, win i błędów. Potrzeba wiele czasu i trudu po obydwu stronach aby oczyścić pamięć, przełamać nieufność i lęk, wyzwolić się od ducha apologii i polemiki. Pełnię własnej tożsamości osiąga się nie przez konfesyjne odgraniczanie, lecz przez żywą wymianę dóbr duchowych, która pobudza do pełniejszego uczestnictwa w tajemnicy zbawienia.*

Kościół Wschodni skoncentrował się w swojej liturgii przede wszystkim na zmartwychwstaniu. Kościół Zachodni, zachowując prymat zmartwychwstania, poszedł bardziej w kierunku pasyjnym [...].

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

Poza granicami wspólnoty katolickiej nie rozciąga się próżnia eklezjalna. Liczne elementy wielkiej wartości (eximia), *które w Kościele katolickim są integralne włączone w pełnię środków zbawienia i darów łaski tworzących Kościół, znajdują się także w innych Wspólnotach chrześcijańskich.*

Jan Paweł II, *Ut unum sint*

Spotkania religii:

protestantyzm

Ad fontes: Sola Scriptura...

– Rozmowa z Romanem Prackim – Sługą Słowa Bożego w parafii przy kościele św. Trójcy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Lublinie oraz Pawłem Irgą – członkiem tej parafii

Ks. Roman Pracki – student V roku Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, pełni obowiązki duszpasterza w parafii św. Trójcy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Lublinie oraz parafii w Radomiu (i Kielcach), przygotowuje się jako praktykant do pełnienia posługi księdza.

Paweł Irga – członek parafii ewangelicko-augsburskiej w Lublinie, delegat parafii do International Ecumenical Federation.

Stanisław K. Żebrowski: *Kościół Ewangelicko-Augsburski jest w prostej linii Kościołem powstałym bezpośrednio po wystąpieniu Marcina Lutra. Jakie były podstawy tego wystąpienia i czy Kościół jest wierny swoim zasadom aż do dzisiaj?*

Ks. Roman Pracki: 31 X 1517 r. na drzwiach kościoła w Wittenberdze ks. dr Marcin Luter przybił 95 tez, które stały się przyczynkami do późniejszych dysput teologicznych. Te 95 tez poruszały m.in. dwa istotne dla protestantów problemy: pokuty (w związku ze sprzedawanymi odpustami) oraz istoty Kościoła. Teza 1 brzmi: „Gdy Pan i Mistrz nasz Jezus Chrystus powiada: „Pokutujcie", to chce aby całe życie wiernych było nieustanną pokutą". Było to jednoznaczne przeciwstawienie się odpustom i ówczesnemu pojęciu spowiedzi. Teza 62 mówi: „Prawdziwym skarbem Kościoła jest najświętsza Ewangelia chwały i łaski Bożej." Luter chciał wrócić w ten sposób do źródeł, korzeni (*ad fontes*) Kościoła i do tego, co jest w nim najpiękniejsze: do Pisma św. i jego serca – Ewangelii. Stąd nasza zasada: *sola Scriptura* – jedynie Pismo. Podstawą wiary jest tylko to, co ma swoje odniesienie w Piśmie św. Kościół Ewangelicko-Augsburski od swego powstania do dziś wyznaje swoje cztery „sola". Pierwsze pociąga następne: *Solus Christus*, który jest naszym zbawicielem, przez którego tylko mamy dostęp do Boga, przez którego spływa na nas Łaska (*sola gracia*) – którą przyjmujemy poprzez wiarę (*sola fide*). Jesteśmy zbawieni wyłącz-

nie Łaską, uczynki tu nie mają znaczenia. Każdy uczynek jest tylko efektem wiary. W tym aspekcie Luter (członek zakonu augustianów) nawiązuje do św. Augustyna, którego teologia jest właściwie teologią św. Pawła.

S.K.Ż.: *Skąd nazwa Kościoła?*

Ks. Roman Pracki: Kościół Ewangelicko-Augsburski, inaczej luterański (od jego założyciela). „Ewangelicki" – bo, jak już powiedziałem, najważniejsza jest Ewangelia. „Augsburski" – bo w 1530 r. poproszono Lutra, aby na sejmie w Augsburgu przedstawił zasady wiary protestantów. Groziło mu więzienie, dlatego na sejm wysłał swojego współpracownika Filipa Melanchtona, drugiego wybitnego teologa protestantyzmu. Tak powstała Konfesja Augsburska – podstawowe pismo doktrynalne Kościoła, należące do tzw. ksiąg symbolicznych.

Wojciech Marczewski: *Na jakim tłumaczeniu Pisma św. oparł się Luter?*

Ks. Roman Pracki: Na własnym. Było to Pismo Starego Testamentu kanonu palestyńskiego (czyli bez ksiąg deuterokanonicznych, np. Księgi Tobiasza, Judyty, II Księgi Machabejskiej – razem 139 rozdziałów; nie są one podstawą wiary, ale są zalecane do lektury dla jej zbudowania) oraz wszystkie 27 ksiąg Nowego Testamentu.

Jacek Wojtysiak: *Czy w Kościele Ewangelickim są sakramenty?*

Ks. Roman Pracki: Są tylko dwa sakramenty: Chrzest i Komunia św. Tylko one posiadają – zapisany wyraźnie w Ewangelii – Chrystusowy nakaz ich czynienia. Inne sakramenty uznawane w Kościele Katolickim mają u nas swoje odpowiedniki (np. ordynacja, ślub – błogosławieństwo ślubne), lecz nie są sakramentami. Co do Komunii, to uznajemy realną obecność Chrystusa w hostii i winie w momencie ich spożywania (*consubstantiatia*), a nie – jak katolicy – po Przeistoczeniu (*transsubstantiatia*). Komunia św. nie jest dla nas jednak – jak w Kościele Ewangelicko-Reformowanym (kalwińskim) – tylko pamiątką. Problem ten był przedmiotem słynnego sporu Lutra z Zwinglim.

J.W.: *Co ze spowiedzią? Czy w Kościele ewangelickim są jakieś środki pomagające w ciągłym nawracaniu się?*

Ks. Roman Pracki: Poza Słowem Bożym nie znamy innego środka, który prowadzi nas do Boga. Funkcjonuje u nas spowiedź powszechna. Jeśli ktoś potrzebuje, to może nieobowiązkowo przyjść do duszpasterza na indywidualną spowiedź uszną. Ma ona raczej charakter rozmowy, pomocy duchowej. Do XVIII w., do czasów tzw. racjonalizmu protestanckiego w naszych kościołach były konfesjonały.

J.W.: *Co się dzieje, kiedy wyznawca popełni jakiś bardzo ciężki grzech?*

Ks. Roman Pracki: Nie mamy gradacji grzechów. Istnieje jeden jedyny grzech – niewiara. Wiara jest cudem, który otrzymujemy za nic, z łaski, za darmo.

J.W.: *A zabójstwo?*

Paweł Irga: Jeśli będzie trzeba, to wspólnota parafian przypilnuje, żeby do takich rzeczy nie dochodziło.

Mateusz Kokoszka: *Czy jest coś takiego jak wzrastanie w wierze i doskonałości moralnej w życiu społecznym?*

Ks. Roman Pracki: Na te pytania najlepiej odpowiedzieć cytatem z Konfesji Augsburskiej (art. 4 „O usprawiedliwieniu"): „Kościoły nasze nauczają także, iż ludzie nie mogą być usprawiedliwieni przed Bogiem własnymi siłami, zasługami lub uczynkami, lecz bywają usprawiedliwiani darmo dla Chrystusa

przez wiarę, gdyż wierzą, że są przyjęci do łaski i że grzechy są im odpuszczone dla Chrystusa, który swą śmiercią dał zadośćuczynienie za nasze grzechy. Tę wiarę Bóg poczytuje za sprawiedliwość przed swoim obliczem (Rz. 3-4)." Stąd największym świętem dla luteran jest Wielki Piątek – dzień odkupienia. Całe życie jest nawracaniem się, jego podstawą jest wiara.

Przemysław Więczkowski: *W jaki sposób funkcjonują święci w Kościele Ewangelickim?*

S. K. Ż.: *Czy Luter jest czczony?*

Ks. Roman Pracki: Nie, Luter jest tylko uznany jako reformator Kościoła. Nie ma u nas kultu świętych; są oni dla nas bohaterami wiary, wzorami do naśladowania... To wiara nas uświęca, stąd właściwie każdy wiemy jest święty.

W. M.: *Jakie warunki trzeba spełnić, aby zostać księdzem w Kościele Ewangelickim?*

Ks. Roman Pracki: Oprócz ukończonych studiów teologicznych i pracy magisterskiej, trzeba złożyć podanie do Konsystorza Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie. Konsystorz wyznacza temat pracy, którą trzeba napisać w ciągu miesiąca oraz termin tzw. pierwszego egzaminu konsystorskiego. Poza tym zostaje wyznaczony termin ordynacji tzn. mówiąc językiem Kościoła Rzymsko-Katolickiego – święceń kapłańskich. Po dwóch latach od ordynacji odbywa się drugi egzamin konsystorski, po którym można być już administratorem i proboszczem parafii. Parafia może się zgodzić na taką osobę lub nie – ona jest tylko jakby kandydatem. Wygląda to w ten sposób, że dana parafia zgłasza *vacans* i ogłasza, iż poszukuje proboszcza. Zgłoszonym księżom zostają wyznaczone niedziele, w trakcie których podczas nabożeństw odbywają swego rodzaju prezentacje. Później w wyniku głosowania zostaje wyłoniony proboszcz.

J. W.: *Czy wszyscy parafianie biorą udział w głosowaniu?*

Ks. Roman Pracki: Tak. Jest to walne zgromadzenie. Ta instytucja sprawuje najwyższą władzę w parafii, później rada parafialna, wybierana przez walne zgromadzenie raz na 4 lata.

Paweł Irga: Ksiądz jest jedynie zatrudniony na etacie jako pracownik parafii. Walne zgromadzenie wyznacza obowiązki księdza, które musi wypełniać: odprawianie nabożeństw, głoszenie Słowa Bożego, udzielanie Komunii. Nawet kandydatka na żonę księdza musi zostać zaakceptowana przez Radę Parafialną. W wyjątkowych sytuacjach można postawić wotum nieufności względem księdza pracującego w danej parafii, wtedy odbywa się tajne głosowanie. Jeżeli 3/4 głosujących opowie się przeciwko niemu – wtedy musi opuścić placówkę. Sprawami finansowymi zajmuje się nie ksiądz, ale parafialna Komisja Finansowa: ona biurokratycznie zbiera i rozlicza pieniądze, wpłaca je na konto.

J. W.: *Przypomina to nieco strukturę jakiejś świeckiej organizacji demokratycznej...*

Ks. Roman Pracki: Nasz Kościół ma strukturę synodalną, a nie episkopalną, choć każda diecezja ma swojego biskupa. Istnieje coś w rodzaju episkopatu, ale nie posiadającego żadnej władzy. Ma ją natomiast Konsystorz (posiadający różne komisje), który składa się m.in. z delegatów parafii, z osób świeckich i duchownych; z tym że prezesem Konsystorza musi być oso-

ba świecka. Każdy Kościół krajowy jest autonomiczny, nie ma nad sobą zwierzchnictwa jakiejś ponadnarodowej struktury. Istnieje światowa Federacja Kościołów Luterańskich, ale tylko w celu koordynacji m.in. działań misyjnych, dialogu z katolikami itp. Kościoły lokalne różnią się między sobą w wielu sprawach.

P.W.: *Jaki jest cel tak daleko posuniętej demokracji i decentralizacji w Kościele?*

Ks. Roman Pracki: ...Sam w sobie. Kościół jest społecznością wiernych, przez których objawia się miłość Chrystusa. Kapłaństwo jest powszechne. To ludzie są najważniejszym elementem tej społeczności, to oni sami mają prawo stanowić o sobie, jak ma wyglądać nabożeństwo, kto będzie wśród nich głosił Słowo Boże, udzielał sakramentów...

Paweł Irga: Nie ludzie są dla Kościoła, ale Kościół dla ludzi.

M. K.: *Jak wygląda parafia lubelska, jak jest duża, od kiedy istnieje?*

Ks. Roman Pracki: Społeczność ewangelicka w Lublinie i okolicach istniała już w połowie XVI w. Jednak nie istniał tu jeszcze kościół. Korzystano z kościołów w Piaskach i odległym Nejdorfie (za Bugiem, późniejsze Mościce). Na podstawie dekretu króla Stanisława Poniatowskiego w 1784 r. uzyskano zezwolenie na budowę kościoła, szkoły, szpitala i organizację parafii w Lublinie. Z kościoła w Piaskach przeniesiono i zainstalowano tu ambonę, murowany ołtarz w stylu Ludwika XV wraz z umieszczonym na nim unikatowym obrazem Chrystusa Ukrzyżowanego z 1628 roku.

Paweł Irga: Co do ilości wyznawców, to przed I wojną było ich ponad osiem tysięcy, w okresie międzywojennym – pięć tysięcy. Zasłużeni dla Lublina ewangelicy to m.in. rodzina Vetterów (browary, szkoła, szpital przy ul. Staszica) i Jan Krausse (młyn). Teraz w parafii jest około 80 rodzin. Frekwencja na nabożeństwach: 100–150 %! (*Powszechne zdziwienie*).

Ks. Roman Pracki: Przychodzą do nas często nieewangelicy, w tym katolicy, także z KUL. Ludzie spoza Kościoła odnajdują tu czasem swoją własną wiarę.

Paweł Irga: Każde nabożeństwo składa się jak gdyby z dwóch części. Pierwsza – w kościele, druga – w domu parafialnym, spędzona na rozmowach i dyskusjach, a nawet krytyce kazania.

M. K.: *Jak wygląda codzienna praktyka religijna ewangelików?; czy istnieje coś takiego jak przekazywanie wiary dzieciom?*

Paweł Irga: Jest tak samo jak w Kościele Rzymsko-Katolickim. Pod tym względem istnieje pełna ekumenia. Częściej się modlimy w domu niż w kościele (jak katolicy), mniej więcej przed każdym posiłkiem. Jest to podziękowanie za dary, które możemy spożywać. Nie ma nakazów, ile razy trzeba się modlić, czytać Pismo św.; to zależy od potrzeb religijnych wyznawców. Ewangelików uważa się za ludzi bardzo pobożnych. Mówi się nawet, że to „beton chrześcijański". Wiarę przekazuje się dzieciom w domu i na nabożeństwach dla dzieci. W wieku 16 lat potwierdza się jej przyjęcie w tzw. konfirmacji. Większość z nas z tej parafii to ewangelicy od wielu pokoleń, w tym potomkowie hugenotów. Są też konwertyci.

J. W.: *Jak wyglądają Wasze kontakty ekumeniczne z katolikami?*

Ks. Roman Pracki: Jesteśmy mniejszością, ale jest coś takiego, jak bło-

gosławieństwo mniejszości... Jestem np. zapraszany do katolickiego Wyższego Seminarium Duchownego w Lublinie, by prowadzić rozważania dla alumnów. Do naszego kościoła przychodzi np. o. Napiórkowski – ekumenista z KUL. Z jego podręczników uczymy się na ChAT. Dużą rolę w ekumenizmie odegrał wielce zasłużony dla tej parafii oraz parafii Radom (i Kielce) ks. Jan Szklorz, który pracował tutaj jako duszpasterz przez ostatnie 20 lat, a którego teraz zastępuję.

Paweł Irga: Ks. Szklorz jest pierwszym protestantem, który – na zaproszenie ks. biskupa Pylaka – przemawiał w katedrze lubelskiej, z tej samej ambony, z której niegdyś ks. Skarga potępiał protestantów. Dzisiaj katolicy zauważają, jak mało różnią się nabożeństwa katolickie i protestanckie. Podczas nabożeństwa w naszym kościele w ramach Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan usłyszałem szept katolika: „Czy to jest u naszych?" Ekumenizm wychodzi najlepiej na oddolnej płaszczyźnie prywatnych kontaktów.

P. W.: *Jaki jest Wasz ogólny stosunek do ekumenizmu?*

Ks. Roman Pracki: Jest on zapisany już w Konfesji Augsburskiej (VII „O Kościele"): „Kościoły nasze uczą, że jeden święty Kościół trwać będzie po wszystkie czasy. Kościół zaś jest zgromadzeniem świętych, w którym się wiernie naucza Ewangelii i należycie udziela sakramentów. Dla prawdziwej tedy jedności Kościoła wystarczy zgodność w nauce Ewangelii i udzielaniu sakramentów. Nie jest to konieczne, aby wszędzie były jednakowe tradycje ludzkie albo obrzędy czy ceremonie ustanowione przez ludzi, wedle słów Pawła „Jedna wiara, jeden chrzest, jeden Bóg i Ojciec wszystkich"". To jest podstawa do kontaktów nie tylko z Kościołem Katolickim, ale i ze wszystkimi Kościołami. Jedność w głoszeniu Słowa przede wszystkim i jedność w udzielaniu sakramentów. Aby mieć tę jedność, potrzeba wspólnego przystępowania do Komunii św.

J.W.: *To, że jest tyle Kościołów chrześcijańskich – czy to jest bogactwo, czy zgorszenie?*

Ks. Roman Pracki: Ktoś kiedyś ładnie powiedział, że Kościoły są niczym rusztowanie wokół budowli, której jeszcze nie widać zza tych rusztowań. W odpowiednim czasie, w dniu, w którym Chrystus przyjdzie na ziemię, rusztowania opadną i pokaże się piękna budowla: Kościół – jedyny, katolicki, naprawdę powszechny. Czy dziś jedność strukturalna jest konieczna? Nie jestem pewien. Jeżeli chodzi o przeszkody w zjednoczeniu z Kościołem Katolickim, to są pewne dogmaty, których protestanci nie zaakceptują nigdy... Chodzi o ich bezpośrednie i jednoznaczne potwierdzenie w Biblii.

J.W.: *Czym różni się Kościół Ewangelicko-Augsburski od innych Kościołów protstanckich?*

Ks. Roman Pracki: Położeniem akcentów. Mówiliśmy już o Kościele Ewangelicko-Reformowanym, który kładzie duży nacisk na osobę Boga Ojca, głosi naukę o predestynacji, nie uznaje żadnych obrazów religijnych, jedynie krzyż. Z tym Kościołem mamy podpisaną wspólnotę Ołtarza. Okres reformacji to także działalność Braci Czeskich (husytów) i Braci Polskich. Warto zwrócić uwagę na Kościoły tzw. drugiej reformacji i tzw. Kościoły pentakostalne (od dnia Pięćdziesiątnicy – Zesłania Ducha św.). Powstały one w XIX wieku

w USA w ramach ruchów przebudzeniowych, kładą one duży nacisk na Ducha św. i jego dary, mają bardzo żywe formy nabożeństwa. W XX wieku misjonarze tych grup pojawili się w Europie. W Lublinie są m.in. Kościół Zielonoświątkowy, Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, Kościół Wolnych Chrześcijan, także Kościół Chrześcijan Baptystów.

S. K. Ż.: *Chciałem zapytać jeszcze o rolę kulturotwórczą Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, a zwłaszcza o jego wkład do polskiej kultury narodowej.*

Ks. Roman Pracki: Wkład Kościoła to wkład jego wyznawców. To właśnie protestanci jako pierwsi wprowadzili języki narodowe do nabożeństw. Drugie tłumaczenie Biblii na język polski i pierwsze jej wydanie w tym języku (*Biblia brzeska*) – to dzieło protestantów. Jeśli chodzi o polską kulturę, to przytoczę tylko kilka nazwisk: Mikołaj Rej, Piotr Statorius (pierwsza gramatyka polska), Jan Mączyński (pierwszy słownik polsko-łaciński), Bogumił Linde (*Słownik Języka Polskiego*), także Oskar Kolberg, Wojciech Gerson, prof. Stanisław Lorenc i wielu innych (także profesorów). Wiele rodzin wywarło duży wpływ na życie gospodarcze tego kraju: rodzina Fibigerów – założyciele fabryki pianin i fortepianów w Kaliszu, Wedel w Warszawie (fabryka słodyczy). W pewnym okresie swego życia ewangelikami byli też Józef Piłsudski i Stefan Żeromski. Tu trzeba też wymienić ks. biskupa Juliusza Bursche – polskiego patriotę (np. akcje plebiscytowe na rzecz Polski), który po aresztowaniu w tym kościele przez gestapo, zginął w obozie koncentracyjnym. Z ludzi spoza kultury polskiej wspomnę tylko o Albercie Schweitzerze – lekarzu, filozofie, teologu, a także autorze biografii Bacha. No i właśnie sam Jan Sebastian Bach – kantor w kościele św. Tomasza w Lipsku.

Paweł Irga: Wielu ludzi poznaje kościół naszej parafii, gdyż jest on otwarty dla wszelkiej działalności kulturalnej. Bardzo często gościliśmy Teatr Wizji i Ruchu, tu było jedyne na skalę światową przedstawienie teatru Whitekera, odbywały się u nas koncerty chórów i orkiestr (np. Armii Zbawienia). To tylko przykłady... Mamy XIX-wieczne organy i znakomitą akustykę.

P. W.: *A jeśli chodzi o działalność charytatywną?*

Paweł Irga: Właściwie nie dzieje się w Lublinie żadna akcja charytatywna, która nie byłaby związana z Kościołem Ewangelickim. Jest to coś wbudowanego w funkcjonowanie parafii od jej początków. Uczestniczymy m.in. w finansowaniu domu dziecka i kuchni na ul. Zielonej. Stowarzyszenie Brata Alberta było pierwotnie inicjatywą ekumeniczną.

J.W.: Cieszymy się, że ewangelicy i katolicy mogą się – mimo różnic – spotykać m.in. na polu działalności charytatywnej. Dziękujemy za rozmowę.

Opracowali: **Mateusz Kokoszka i Jacek Wojtysiak**.

Protestantyzm w cytatach

Oto niemal cała nasza nauka, z której widać, że nie ma w niej nic, co by się nie zgadzało z Pismem lub z Kościołem powszechnym, albo z Kościołem rzymskim, jak dalece jest nam znana z pisarzy. Skoro więc tak się rzeczy mają, zbyt surowo osądzają nas ci, którzy się domagają, aby naszych uznano za heretyków. Całe nieporozumienie dotyczy tylko pewnych nielicznych nadużyć, które się wkradły do Kościoła bez autorytarnych podstaw. [...] *Zresztą większość dawnych obrzędów sumiennie zachowujemy.* [...]

Konfesja Augsburska, *Zakończenie cz. I*

[...] *To właśnie było nieuniknionym następstwem nadania religijnego znaczenia świeckiej, codziennej pracy i wytworzyło po raz pierwszy nowe pojęcie „zawodu-powołania". W pojęciu „zawodu-powołania" zawiera się ów centralny dogmat wszystkich denominacji protestanckich, który porzuca katolickie rozróżnienie chrześcijańskich nakazów moralnych na praecepta i consilia [przykazania i rady], a za jedyny środek życia akceptowanego przez Boga uważa nie doskonalenie moralne ziemską drogą zakonnej ascezy, lecz wyłącznie spełnianie ziemskich obowiązków wynikających z pozycji każdego człowieka, które staje się w efekcie jego „zawodem-powołaniem". U Lutra myśl ta rozwija się w ciągu pierwszego dziesięciolecia jego działalności reformatorskiej.*

Max Weber, *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*

Spotkania religii:

Daleki Wschód

„Materialista żyje, aby umrzeć, a wielbiciel Boga umiera, aby żyć"

– rozmowa z Ragavardanem das – członkiem Ruchu Hare Kryszna, osobistym sługą mistrza duchowego Inndradyumny Swamiego.

Natalia Kobylarz: *W jaki sposób Ruch Hare Kryszna znalazł się w „Nowym Świecie"?*

Ragavardana das: Ruch Hare Kryszna, a właściwie Międzynarodowe Towarzystwo Świadomości Kryszny, powstało na Zachodzie około 25 lat temu. Na polecenie swojego mistrza duchowego Bhaktivedanta Swami Prabhupada przypłynął statkiem do USA. Zapoczątkował on Towarzystwo mając worek ziemniaków i ryżu, a w kieszeni 8 dolarów.

Natomiast w Indiach ten ruch istnieje od wielu tysięcy lat. Początki datuje się na 5000 lat wstecz. Dzisiaj Ruch Hare Kryszna ma swoich sympatyków na całym świecie. Również w Polsce coraz głośniej mówi się o tej grupie.

N.K.: *Jaka jest Wasza filozofia?*

Ragavardana das: Pierwszym punktem naszej filozofii jest to, że nie jesteśmy materialnym ciałem, czyli: nie należymy do tego materialnego świata. Jesteśmy pasażerami wewnątrz materialnego ciała. Ciało z natury jest martwe, jest maszyną, którą posługuje się dusza. Dusza jest nieśmiertelna, nigdy nie umierająca i nigdy nie powstała.

Drugi punkt filozoficzny mówi o tym, że ponad tą duszą istnieje Najwyższa Dusza – czyli Bóg. Bóg, który jest źródłem wszystkich żywych istot. Naturalnym stanem w życiu jest to, że każda żywa istota ma miłosny związek z Bogiem.

Ludzie często mówią: „Wy wierzycie w innego Boga". Tak naprawdę, my wierzymy w tego samego Boga. Źródło pochodzi z innej części świata, ale to nie ma znaczenia. Według literatury weddyjskiej wszystkie religie świata mówią o tym samym. Nieporozumienia odnośnie religii wynikają z niewłaściwego ich zrozumienia. Religia nie pochodzi z Indii ani z Afryki. Religia pochodzi od Boga. Bóg nie jest ani chrześcijaninem, ani muzułmaninem. Bóg jest Bogiem i wszystkie żywe istoty kocha jednakowo.

N.K.: *Jaka jest Wasza obrzędowość?*

Ragavardana das: Najważniejszym obrzędem jest inicjacja, czyli przyjęcie

mistrza duchowego. Mistrz to osoba, która osiągnęła doskonałość na ścieżce duchowej, osoba, która na bieżąco tłumaczy nasze błędy.
Następnym ważnym obrzędem jest małżeństwo. Jest ono na całe życie – u nas nie ma rozwodów. W 50 roku swojego życia poleca się, aby mężczyzna opuścił rodzinę po to, by mógł bardziej zaangażować się w życie duchowe. Jednak status zakonny przyznaje się tylko wtedy, kiedy zgadza się rodzina. Innym zwyczajem jest malowanie na czole „tilaku". Robi sie to specjalną glinką z Gangesu – świętej rzeki. A oznacza to, że ciało jest naznaczone imieniem Boga i Jemu zadedykowane. Na co dzień wstajemy około czwartej rano, bierzemy zimną kąpiel – jest to bardzo zdrowe. Potem odmawiamy „maha mantrę" (intonujemy imiona Boga: Kryszna, Rama, Hare), używając przy tym *dżapasu* – naszego różańca.
N.K.: *Co się dzieje według Was z duszą człowieka po śmierci?*
Ragavardana das: Dusza po śmierci ciała ma dwie drogi, które może odbyć. Pierwsza to droga do Nieba, a druga – to pozostanie w materialnym świecie i rodzenie się od nowa – reinkarnacja. Jednak najważniejszym celem życia jest porzucenie ciągłych narodzin i śmierci, osiągnięcie wieczności i powrót do świata duchowego.
N.K.: *Czy istnieje kodeks moralny wyznawcy Hare Kryszna?*
Ragavardana das: Każdy, kto uważa się za „bhaktę" powinien przestrzegać czterech regulujących zasad. Po pierwsze: nie jemy mięsa, ryb i jaj – jesteśmy laktowegetarianami. Po drugie: nie używamy żadnych środków toksycznych – nie pijamy kawy, ani alkoholu, nie palimy, nie zażywamy narkotyków. Nie angażujemy się również w pozamałżeńskie życie seksualne. Poza tym nie uprawiamy hazardu.
Ludzie pytają się nas często, jak żyjemy z tyloma wyrzeczeniami. A my żyjemy, jak wszyscy inni – uczymy się, pracujemy, spotykamy się z kolegami, chodzimy do teatru, do kina... Różnica polega na tym, że mamy zrozumienie co jest prawdziwą wartością życia.
N. K.: *Dlaczego nosicie takie dziwne ubrania?*
Ragavardana das: To, że ubieramy się inaczej niż wszyscy oznacza, że nie zgadzamy się ze współczesnym trendem i nastawieniem społeczeństwa. Chcemy odbiegać od mody opartej na seksie. Wszystkie drogie i wyszukane stroje – to wszystko oparte jest na koncepcji cielesnej. Człowiek niepotrzebnie traci czas. Lepiej zadbać o duszę, żeby pokonać śmierć. Kiedyś zostało powiedziane: „materialista żyje, aby umrzeć, a wielbiciel Boga umiera, aby żyć."

Opracowała: **Natalia Kobylarz**.

Michał Świdziński

W stronę źródła kultur

Wedyjski hymn o kosmicznym Pra-Mężu i jego warianty w mitologii indoeuropejskiej

Spoglądając wstecz na pradawne kultury i cywilizacje, które wyłaniały się w trakcie dziejów świata, stajemy zdumieni: ileż wspaniałych dokonań powstało za sprawą człowieka i z jaką łatwością ginęły one w potoku czasu, tak że niekiedy nie wiemy już, czy naprawdę istniały. Dlatego wszelkie dzieła i zabytki ludzkiej kultury: architektury, sztuki, literatury, oraz przekazy ustne, zwyczaje i rytuały przechowane w tradycji ludowej, stanowią bezcenny skarb, dziedzictwo, w którym możemy odnaleźć źródła naszej obecnej egzystencji.

Jedną z form wyrazu artystycznego, w której odbijają się archaiczne struktury wierzeń, rytuałów oraz koncepcje i postawy starożytnych wobec świata są mity. Na ich podstawie możemy odtworzyć: wierzenia religijne, poglądy filozoficzne, historie państw, narodów i całych kultur. Dzięki mitom stają przed nami na nowo postacie: bogów, bohaterów i władców legendarnych krain. Interesujący jest fakt, że gdy przyglądamy się mitologiom różnych państw czy narodów, możemy zauważyć wzajemne związki, analogie i odpowiedniki, pomimo, że tradycje te dzieli niekiedy ogromna odległość w czasie i przestrzeni.

Właśnie takim wątkiem jest mit kosmogoniczny o „powstaniu świata z ciała kosmicznego Pra-Męża." Koncepcja ta obecna jest w różnych kulturach i tradycjach: indyjskiej, irańskiej, germańskiej, greckiej, semickiej, oraz późniejszych filiacjach tego tematu w gnozie i mistyce żydowskiej i chrześcijańskiej.

Najbardziej znaną wersję tego mitu znajdujemy w arcydziele literatury staroindyjskiej: *Rigwedzie*[1], w słynnym *Hymnie o Puruszy* (*Purusasukta*). Hymn ten stał się punktem wyjścia dla całej doktryny ofiary wedyjskiej[2]. On stanowi również ważną podstawę dla późniejszych spekulacji metafizycznych i powstania głównych prądów filozofii indyjskiej.

Treść hymnu jest następująca: **Purusza**[3], absolut o postaci antropomorficznej, tworzy świat składając siebie w ofierze. Purusza jest zarazem istotą boską, to znaczy przekraczającą granice świata i nieśmiertelną, a zarazem jest obecny w świecie i podlega działaniu czasu.

Autor hymnu kontempluje wizję Puruszy i odkrywa kolejne fazy procesu stworzenia. Purusza tworzy świat ograniczając własny byt. Jedną ze swych części przekształca w *Wiradź*[4], a następnie z tej pra-substancji wyłania swoje odbicie: kosmicznego *Mahapuruszę*, Wielką Istotę o postaci Człowieka.[5] *Z niego powstał Wiradź, z Wiradźu zaś Purusza* [RW, X, 90,4]

Właściwy akt stwórczy jest rezultatem ofiary, którą składają pierwotni bogowie, dzieląc ciało kosmicznego Puruszy na części i spalając na stosie ofiarnym. W akcie tym wiosna była tłuszczem ofiarnym, lato drewnem na ogień, jesień zaś obiatą. [RW, X, 90,6] Z tej ofiary powstają wszystkie stworzenia: zwierzęta, przedmioty liturgiczne, a także system klas społecznych.

Gdy poćwiartowali Puruszę, na ile części go
pocięli.
Co się stało z jego ustami, co z ramionami, jaką
nazwę otrzymały jego biodra, jego nogi.
Usta jego stały się brahmanem, ramiona radżanją.
Biodra to są wajśjowie, z nóg narodził się śudra.[6]

(RW, X, 90,10–12).

W następnej zwrotce hymn opisuje jak z elementów psychofizjologicznych Puruszy, wyłaniają się zjawiska makro-kosmiczne:

Z jego ducha narodził się księżyc, z oczu
narodziło się słońce,

Z ust Indra i Agni, z oddechu narodził się wiatr.

Z pępka stała się przestrzeń podniebna, z głowy
niebo się utworzyło,

Z nóg ziemia, z uszu strony świata –
tak to utworzyli światy.[7]

(RW, X, 90,13–14)

Ostatni fragment hymnu podkreśla charakter ofiary z Puruszy, która staje się modelem kosmicznego cyklu ofiary, jaki pojawia się w religii wedyjskiej i jej kontynuacjach:

Przez ofiarę bogowie złożyli ofiarę ofierze –
takie były ustanowienia pierwotne[8]

[RW, X, 90,15a]

Myśl tę będą później kontynuować *Brahmany*[9] – komentarze do *Wed*, dotyczące sprawowania ofiary rytualnej.[10]

W dalszym okresie rozwoju religii indyjskiej, gdy przekształcała się ona w hinduizm[11], motyw stworzenia świata z ciała Boskiej Istoty będzie stale obecny. Rolę Puruszy jako stwarzającego świat będą przejmowali: Pradżapati, Brahma, Wisznu albo Śiwa.[12] W rozważaniach filozoficznych, którym początek dają „Upaniszady"[13], pojęcie „puruszy" odegra znaczącą rolę, pomimo zmiany kontekstu w jakim będzie ono występowało.[14] Również późniejsze wielkie soteriologie indyjskie: buddyzm i dżinizm, które odeszły od linii wyznaczonej przez tradycję wedyjską, będą zawierać pewne kontynuacje idei kosmicznego Mahapuruszy.[15]

Możemy odnaleźć wiele różnych wariantów mitu o Pierwszym Człowieku i stworzeniu świata zarówno w tradycji kultur indo-aryjskich, jak i w granicach oddziaływania kultur semickich, które powstawały w Mezopotamii i basenie Morza Śródziemnego.

W tradycji irańskiej, najbliższej etnicznie, geograficznie i kulturowo starożytnym Indiom[16], znajdujemy odpowiednik mitu o Pierwszym Człowieku, w opowieści o Gajomardzie. Przekaz na ten temat pojawia się w *Aweście*[17] – świętej księdze Iranu, oraz późniejszych źródłach perskich.[18]

Wersja irańska tego mitu różni się w nastroju od obrazu z *Rigwedy*. Treść jego jest następująca: **Gajomard** – Pierwszy Człowiek[19] został stworzony przez Ormuzda (Mądrego Pana)[20] na początku świata wraz z innymi bytami duchowymi, doskonałymi prawzorami materialnego świata. Jeden z tekstów mówi, że Gajomard stał przez trzy tysiące lat na brzegu niebiańskiej rzeki Daitia, zaś na drugim brzegu stała Pierwsza Stworzona Krowa – Gawa Ewodata[21]. Po tym czasie dzieło Ormuzda zostało zaatakowane przez ciemne moce Arymana[22], Boga zła. W wyniku tego, wszystkie stworzone byty utraciły swą doskonałość i upadły. Umarła Gawa Ewodata, Pierwsza Krowa[23], a z jej ciała wyrosły różne gatunki zbóż i zioła lecznicze, z jej krwi wyrosła winna latorośl, a z jej nasienia zmieszanego ze światłem księżyca powstała pierwsza para bydła, a także inne gatunki zwierząt.

Pierwszy Człowiek próbował walczyć z mocami zła za pomocą magicznych zaklęć, ale po trzydziestu latach od śmierci Gawy, zginął również On. Z ciała Gajomarda powstało siedem metali. Wśród nich znajdowało się złoto, w którym zawarta była energia życiowa i nasienie Gajomarda. Połączyło się ono z ziemią: Spandarmat i po czterdziestu latach wyrosła z niego roślina – *riwas* (rabarbar). Roślina ta po pewnym czasie rozdzieliła się i w ten sposób wyrośli pierwsi ludzie: Maszja i Maszjana[24].

W wersji irańskiej mitu o Pierwszym Człowieku, niektóre motywy odbiegają od tradycji indyjskiej. Z ciała Gajomarda nie powstają już wszystkie stworzenia, lecz tylko metale. Puruszа składa ofiarę z samego siebie dobrowolnie, aby mógł powstać świat i wszystkie stworzenia, Gajamard natomiast ginie w walce z potęgą zła, które personifikuje Aryman – stwórzyciel śmierci. Ten dualistyczny podział na dwie odwiecznie przeciwne sobie zasady: światłości i ciemności, dobra i zła, jest typowym elementem religii irańskich[25]. Idee te wpłynęły istotnie na koncepcję gnozy i poglądy niektórych prądów żydowskich z okresu końca Drugiej Świątyni, a także na szkoły wczesnego chrześcijaństwa.[26]

Niezwykle sugestywną i przejmującą wizję tego samego mitu odnajdujemy w kulturze staro-germańskiej. Pojawia się on w skandynawskiej „Eddzie"[27] – zbiorze starożytnych pieśni i mitów germańskich, wśród których znajduje się legenda o Ymirze, Pra-Olbrzym

– **Ymir**[28], ojciec wszystkich pokoleń Oszronionych Olbrzymów (*Thursów*), powstał z topniejącego lodowca. Gdy był pogrążony we śnie, z potu spod jego pachwin zrodziła się para: mężczyzna i kobieta, a jedna z jego stóp wraz z drugą poczęła syna. Krople spływające z lodowca utworzyły w tym samym czasie Krowę o imieniu: Audumla, która karmiła Ymira swoim mlekiem. Audumla, liżąc słony lód, wylizała z niego kształt postaci. Był to praojciec bogów – Buri. Jego potomkiem był Burr, który poślubił córkę Ymira. Z ich związku urodzili się bogowie: Odin, Wili i Wei. I to właśnie ci trzej bogowie zabili Ymira, poćwiartowali jego ciało i wrzucili szczątki do pierwotnej otchłani. W wyniku tej ofiary nastąpiło uformowanie świata. *Pieśń Grimnira*[29] mówi o tym wydarzeniu w następujących strofach:

Z Ymira ciała ziemia jest stworzona,
Z krwi jego – morze,
Góry z kości jego,
lasy z włosów,
A z czaszki niebo.
[*Pieśń Grimnira* strofa 40]

Bogowie stworzyli z rzęs Ymira mury ziemi Midgard – części wszechświata, która jest przestrzenią, w której żyją ludzie, zaś z jego mózgu powstały chmury na niebie.[30] W tym opisie stworzenia można odczuć konieczność zachodzących wydarzeń, ukrytą zasadę bytu, która działa niesłychanie logicznie i konsekwentnie. Kolejne fazy życia Ymira są zdeterminowane i prowadzą nieuchronnie do ostatniego i najważniejszego aktu: ofiary, dzięki której rodzi się świat. W trakcie tego Ymir nie wypowiada ani jednego słowa!

Obecność tego tematu w tradycji germańskiej wskazuje na fakt, że motyw ten stanowi stały element kultury aryjskiej, pomimo pewnych różnic w sposobie przedstawienia. Pierwotne siedziby Arjów znajdowały się na północ od Morza Czarnego, pomiędzy Kaukazem i Karpatami, w stronę stepów ukraińskich i centralnej Rosji. Stąd wychodziły migracje i podboje aryjskich plemion w kierunku Europy Zachodniej, a później Azji Mniejszej, Iranu i Indii. Przyjmując tezę, że mit o kosmicznym Pra-Mężu jest mitem rdzennie aryjskim, powinniśmy znaleźć jego wariant w tradycji słowiańskiej. Jednak takiego wyraźnego odpowiednika nie odnajdujemy.

Zanim podejmę się podać rozwiązanie tej zagadki, chciałbym postawić inne ważne pytanie w związku z interesującym nas tematem: czy mit o kosmicznym Pra-Mężu pojawia się w źródłach niearyjskich, w szczególności: czy jest on obecny w obrębie kultury śródziemnomorskiej?

W tradycji greckiej możemy odnaleźć wariant tego mitu w orfickim hymnie *Do Zeusa*.[31] Powstanie świata następuje w wyniku transformacji natury boga, który poprzez sferę *logosu* „zapładnia przestrzeń"[32] i przeobraża się w kosmos i wszystkie stworzenia świata:

Zeus urodził się pierwszy, Zeus od świetlistego gromu jest ostatni;
Zeus jest początkiem, Zeus jest środkiem, Zeus kończy wszystko;
Zeus jest głębią ziemi i nieba gwieździstego;

Zeus urodził się mężczyzną, Zeus nieśmiertelny był dziewczyną;
Zeus jest tchnieniem wszystkiego, Zeus jest porywem ognia niestrudzonego.
Zeus jest źródłem morza, Zeus jest słońcem i księżycem
Zeus jest królem, Zeus od świetlistego gromu jest władcą wszystkiego:
ukrywszy bowiem wszystkich, na nowo dzięki świętemu sercu
dźwignął ich do światła pełnego radości, kończąc ruiny.[33]

Orficki **Zeus** podobnie jak Purusza, Gajomard i Ymir ma naturę androgyniczną[34], ale jego cechy jako *Makrantrophosa* są tutaj mało widoczne.[35] Można jednak dopatrzeć się w tym wpływu substratu aryjskiego. Natomiast inne idee jakie są tu zawarte, na przykład tendencja monoteistyczna nie znana religii greckiej, stanowią charakterystyczny rys innego obszaru kulturowego.

W koncepcji tej świat powstaje już nie z części boga, czy z ciała człowieka-olbrzyma, lecz z boskiej całości, która manifestuje się w stworzeniu. W wyniku tego Zeus odkrywa swoją głęboką naturę: istoty nieśmiertelnej i duchowego władcy wszystkich stworzeń. Ostatnie fragmenty, będące aluzją do mitu o śmierci Dionizosa[36], wskazują, że on jest również zbawcą świata.

Orficka wizja kreacji świata z ciała, czy z substancji bóstwa, znajduje analogie w ideach kosmogonicznych, jakie powstały w Egipcie i w Mezopotamii. Można znaleźć wiele hymnów egipskich skierowanych do różnych bogów, w których pojawia się taka koncepcja stworzenia. Na przykład taki oto fragment pochodzący z XX wieku przed Chrystusem:

Dobrze rządzeni są ludzie, Boska trzoda
On bowiem uczynił im niebo i ziemię
Odegnał morskiego potwora
Tchnął życie w ich nozdrza
Uczynił ich ze swych członków, na obraz swój
Rozświetla im niebiosa
Dał im wszelką roślinę i wszelkie stworzenie
Ptaki i ryby, by ich pożywić.[37]

Trzeba podkreślić, że zarówno w koncepcji orfickiej jak i w egipskich źródłach nie mówi się niczego na temat aktu ofiary, który poprzedzałby stworzenie świata. Motyw ten znajdujemy w kosmogonii babilońskiej w poemacie *Enuma Elisz*, łączącym stare wątki sumeryjskie z oryginalnymi wpływami religii semickich.[38] Dzieło to opisuje stworzenie jako proces teogoniczny, wyłaniania się pokoleń bogów i ich walkę o panowanie nad światem. Bóstwa te personifikują pierwotne żywioły: ocean wód słodkich, ocean wód słonych (Apsu, Tiamat), niebo, ziemię, przestrzeń, wiatr (Anu, Ea, Enlil, Marduk).[39] Właściwy moment stworzenia następuje w wyniku wojny pomiędzy pokoleniem starych bogów i nową generacją. W walce z **Tiamat** zwycięstwo odnosi Marduk – przywódca pokolenia młodych bogów. Akt stworzenia świata opisany jest w szokującym obrazie „przecięcia ciała Tiamat"[40] na dwie połowy, z których powstają niebo i ziemia. Następnie z organów Tiamat Marduk tworzy kolejne elementy świata fizycznego:

Umieścił głowę Tiamat i wzgórze tam wyrosło,
Uwolnił wody głębokie i popłynęły wody wszędzie,
Jej oczy dały początek Eufratowi i Tygrysowi.
Z jej piersi uczynił wzgórza urodzajne,
Kazał trysnąć źródłom i płynąć potokom
Nadał kształt ziemi
Wypełniając prochem ciało Tiamat.
[*Enuma Elisz* ks. V.]

Ostatni etap kreacji: stworzenie człowieka, zachodzi w wyniku aktu ofiary. Bogowie wybierają spośród siebie jednego: Kingu[41] i składają go w ofierze. Rytuału dokonuje bóg mądrości – Ea.

Pojmali go, związanego przed Ea przywiedli,
karę nałożyli na niego, [arterie] krwi przecięli.
Z jego krwi stworzyli ludzi.
Nałożył obowiązki bogów na nich, uwalniając bóstwa
od pracy.
[*Enuma Elisz* ks. IV, 31–38]

Ostatnie słowa wskazują, że ludzkość ma zadanie kontynuowania kreacji rozpoczętej przez bogów, po których dziedziczy zdolność do panowania nad materią i światem.

Przechodząc do omówienia religii żydowskiej w perspektywie koncepcji stworzenia i roli Pierwszego Człowieka w tym dziele, chciałbym na wstępie poczynić kilka uwag.

Po pierwsze, wpływy narodów semickich w regionie śródziemnomorskim i Mezopotamii, łączą się z powstaniem nowych koncepcji religijnych w całym tym obszarze kulturowym. Idea monoteizmu, jaką przynieśli ze sobą Semici, w połączeniu ze starożytną wiedzą o kosmosie, dały początek powstaniu nowoczesnych kosmogonii w religiach sumero-babilońskich i egipskich.[42]

Po drugie, obraz świata, jaki pojawia się w religii żydowskiej, w Księdze Rodzaju, można traktować jako oryginalną, końcową syntezę w procesie rozwoju idei religijnych starożytnych kultur Bliskiego Wschodu.

Opis stworzenia jaki przedstawia się w Księdze Rodzaju, pomimo dostrzegalnych analogii z koncepcjami innych tradycji zawiera już zupełnie nową jakość. Jest to obraz jedynego Boga, Stworzyciela nieba i ziemi, który kreuje świat i wszystkie byty, poprzez Swoje Słowo. W tej doskonałej wizji nie ma mowy o powstaniu świata z substancji boskiej, czy z ciała kosmicznej istoty, kreacja następuje z niczego, pod wpływem Boskiej woli!

W okresie Drugiej Świątyni, w judaizmie pojawiają się nowe spekulacje i ujęcia, które dotykają również tematyki stworzenia. Dzieła apokaliptyki żydowskiej, jakie powstawały około II wieku przed Ch., próbują na nowo odsłonić ukryte sensy Pisma Świętego.[43] W apokryficznym dziele *Księdze Henocha*, znajdujemy fragmenty, z których wynika, że świat i całe stworzenie jest odbiciem Boskiej postaci.

W tym samym mniej więcej okresie pojawiają się nowe idee dotyczące powstania pierwszego człowieka. W komentarzu talmudycznym do Psalmu 139[44], znajduje się interpretacja pierwszego rozdziału *Księgi Rodzaju*, z której wynika, że szóstego dnia człowiek został stworzony jako *golem*[45] o kosmicznych rozmiarach: *W momencie, kiedy Bóg stworzył Adama, ów golem sięgał od jednego krańca świata, aż po drugi.* Jak powiedziane jest w Psalmie 139: *Twoje oczy widziały mego golema.* Rabbi Juda bar Simeon powiedział: *Podczas gdy Adam znajdował się przed obliczem Tego, który mówi, zostały mu pokazane wszyskie pokolenia i ich mędrcy, wszystkie pokolenia i ich sędziowie, wszystkie pokolenia i ich przywódcy.*[46]

Fragment ten zawiera jeszcze inną doniosłą ideę, a mianowicie, że Adam istniał jako istota duchowa, jeszcze przed stworzeniem materialnego świata, w tym także własnego ciała.[47] Te warianty wspominane tylko w *Talmudzie* i niektórych wczesnych midraszach, nabrały później ogromnej wagi w gnozie i mistyce żydowskiej.[48]

Koncepcja Boga jako Adama Kadmon, Pra-Człowieka, którego ciało składa się z dziesięciu Sefirot, duchowych mocy, stanie się podstawową myślą całej teozofii kabalistycznej.[49] Pierwszy człowiek (**Adam ha-Riszon**), który jest odbiciem na kosmicznym planie struktury Adama Kadmon, jest pojmowany tam jako istota duchowa, obejmująca sobą cały wszechświat. W jego ciele zawarte są dusze wszystkich pokoleń, narodów, poszczególnych ludzi i żywych istot.

Jego upadek na skutek grzechu, pojawienia się zła, spowodował połączenie się jego duchowych mocy z materią. Dzięki temu może istnieć całe stworzenie, które poprzez Adama staje się „żyjącym światem". Mit ten będzie stale obecny w tradycji żydowskiej, również w różnych popularnych wersjach. Można zacytować tutaj fragment z osiemnastowiecznego „Midrasza" autorstwa Pinchesa z Korca, który przedstawia to w takich słowach: *Wszystkie rzeczy żyjące tworzą jedną zespoloną całość, posiadającą cechy postaci ludzkiej. Izrael jest mózgiem tej całości, co tłumaczy nasze upodobanie do zawodów wymagających bardzo dużo myślenia. Inne narody pełnią funkcję rąk w tym żywym organizmie i dlatego mają przede wszystkim zręcznych rzemieślników i artystów, zwierzęta natomiast to tylko nogi tej całości. Działają głównie nogami, to znamienna cecha ich aktywności.*[50]

Na koniec chciałbym powiedzieć o chrześcijańskiej wersji mitu o kosmicznym Pra-Mężu. Motywy związane z tym tematem możemy odnaleźć w spekulacjach wczesno-chrześcijańskich, gnozie, manicheizmie, a także w różnych nurtach alchemiczno-hermetycznych, oraz w mistyce. Rozważania te nie doprowadziły do stworzenia jakiejś oryginalnej wizji i posiadały związek raczej z soteriologią, niż początkiem stworzenia. Możemy jednak zauważyć interesującą linię podejmowania tego tematu w greckiej i staroruskiej literaturze apokryficznej.

Najbardziej ciekawy wariant znajdujemy w ruskim utworze apokryficznym pod tytułem: *Стих о Голубиной Книге* (Wiersz o Gołębiej Księdze), który jest przeróbką fragmentów słowiańskiej wersji *Księgi Henocha*.[51] Jego treść jest następująca: z nieba spadła ogromnej wielkości księga, w której zawarte są wszystkie tajemnice świata. Ludzie przebywają z dalekich krain, aby znaleźć w niej odpowiedź na różne pytania i problemy. Ponieważ karty księgi są wielkie, nikt nie potrafi jej przeczytać. Wtedy Car Dawid, zaczyna sam udzielać odpowiedzi, z natchnienia Ducha Świętego. Kiedy pada pytanie o początek świata, on tak o tym mówi:

Nasz jasny świat pochodzi od Pana
Słońce czerwone z twarzy Boga
Młody świecący księżyc z Jego piersi
Jasne zorze z oczu Bożych
Firmament gwiazd z Jego szat
Burzliwe wiatry od Ducha Świętego
Naród Boży od Adama
Mocne kości uczynione z kamieni
Nasze ciała z wilgotnej ziemi.[52]

Wszystkie te odniesienia pomiędzy mikro- a makrokosmosem, oraz antropomorfizmy nie są czymś nowym, można je odnaleźć w źródłach żydowskich i grecko-chrześcijańskich. Istnieją jednak cztery wersje *Gołębiej Księgi*, w których znajduje się dodatek do wypowiedzi Dawida, i jego treść jest zdumiewająca:

Z tego u nas na ziemi pochodzą Carowie:
Ze świętej głowy Adama
Z tego pochodzą bojarowie-książęta
Ze świętych mocy Adama
Z tego pochodzą chłopi prawosławni
Ze świętych kolan Adama.[53]

Koncepcja powstania kast z ciała Pierwszego Człowieka, jaką zawierają te cztery warianty *Gołębiej Księgi*, jest niezwykle intrygująca. Takiej idei nie znajdujemy ani w wariancie greckim, ani semickim, ani germańskim. Nie ma go również w wersji irańskiej. On jest obecny tylko w hymnie wedyjskim o Puruszy!

Wybitny polski indianolog – profesor Stanisław Schayer[54], wysuwa w związku z tym tezę, że tutaj właśnie odnajdujemy ślad słowiańskiej wersji mitu o kosmicznym Pra-Mężu. Przyjmując tę hipotezę i dodając jeszcze chiński wariant tego tematu z legendy o Pan-Ku[55], możemy stwierdzić ostatecznie, że mit o powstaniu świata z kosmicznego Pra-człowieka był powszechnie znany w starożytnych kulturach Euro-Azji.

Geograficzny zasięg, w którym jest on obecny, wskazuje, że być może jest on mitem pre-aryjskim i pre-semickim, i wywodzi się z jakiejś bardzo starej tradycji, która mogła by być pra-kolebką późniejszych cywilizacji.

Schayer podaje nawet hipotetyczny zarys granic tej pra-kultury.[56] Ona rozciągałaby się od Egei i Azji Mniejszej, poprzez Mezopotamię, Iran aż do Indii i łączyła się tu z cywilizacjami południowej Azji i Pacyfiku. Nie ma żadnych naukowych dowodów na tę teorię.

Milczące Olbrzymy z Wysp Wielkanocnych raczej nie pomogą nam w odpowiedzi na to pytanie. Być może jest to więc tylko fantazja. Ale ta piękna myśl wskazuje na wspólny rodowód ludzi i kultur świata, które ostatecznie mają swe źródło w kosmicznej postaci Pra-Męża.

Bibliografia:

1. H. Adamczewska, *Baśnie i legendy Dalekiego Wschodu*, Warszawa 1991.
2. G. Auzon, *Na początku Bóg stworzył świat*, Warszawa 1990.
3. *Biblia*, (Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne), Warszawa 1983.
4. J. Bromski, *Enuma Eliš, czyli opowieść babilońska o stworzeniu świata*, Warszawa 1925.
5. *Edda*, tłum. A. Załus-Stromberg, Wrocław 1986.
6. M. Eliade, *Historia wierzeń i idei religijnych*, t. I–III, Warszawa 1988, 1994, 1995.
7. M. Frankowska, *Mitologia Azteków*, Warszawa 1987.
8. E. Frauwallner, *Historia filozofii indyjskiej*, Warszawa 1990.
9. R. Graves, *Mity hebrajskie*, Warszawa 1993.
10. *Hymny Rigwedy*, tłum. F. Michalski, Warszawa 1971.
11. H. Jakimowicz-Shah, *Mitologia indyjska*, Warszawa 1982.
12. A. Kampińska, *Słownik mitologii ludów europejskich*, Poznań 1992.
13. J. Langer, *9 bram*, Kraków 1987.
14. K. M. Panikkar, *Dzieje Indii*, Warszawa 1967.
15. G. Reale, *Historia filozofii*, t. I, Lublin 1993.
16. S. Piekarczyk, *Mitologia germańska*, Warszawa 1979.
17. M. Składankowa, *Kultura perska*, Wrocław 1995.
18. M. Składankowa, *Bohaterowie, bogowie i demony dawnego Iranu*, Warszawa 1984.
19. S. Szajet, *O filozofowaniu Hindusów*, Warszawa 1988.
20. A. Tokarczyk, *Hinduizm*, Warszawa 1988.

Przypisy

[1] **Rigweda** – dosłownie „Mądrość Hymnów", najstarsza z ksiąg objawienia wedyjskiego. Powstała pomiędzy 1400–1000 przed Chrystusem. Niektóre hymny *Rigwedy* mogą pochodzić jednak nawet z XXV wieku przed Chrystusem. Obok hymnów, pieśni i modlitw kierowanych do różnych bogów, zawiera fragmenty o charakterze metafizycznym i kosmogonicznym, a także utwory literacko-poetyckie (*Jutrzenka, Pochwała Rzek, Asceta*).

[2] W skład *Wed* wchodzą cztery *sanhity* (święte księgi), stanowiące podstawę całego rytuału religii staroindyjskiej. Są to: *Rigweda*; *Samaweda* – *Mądrość Melodii* (rytualnych); *Jadżurweda* – *Mądrość Szeptów* (ofiarnych); *Atharwaweda* – *Mądrość Świętych Zaklęć*. Zgodnie z tradycją, cała wiedza (sanskr. – *weda*) świętych ksiąg pochodzi z objawień, jakich dostąpili *riszi* (starożytni mędrcy), w okresie jeszcze przed przybyciem Ariów do Indii.

[3] **Purusza** – dosłownie: człowiek, istota, bohater.

[4] **Wiradź** – dosłownie: jaśniejący, królujący; utożsamiany z *Wać* – Boską Mową, Słowem. „Wiradź" stanowi odpowiednik greckiego pojęcia *Logos*; w Rigwedzie oznacza żeński aspekt Puruszy, prazasadę wszystkich rzeczy, również energię życiową kosmosu (w Kabale odpowiada mu Szechina – Boska Obecność w stworzeniu). Symbolicznie „Wiradź" przedstawiany był w literaturze pod postacią kobiety albo krowy (*Atharwaweda*, VIII, 10,24).

[5] Purusza na planie kosmicznym, określany był w późniejszych źródłach indyjskich imieniem: *Narajana* – Syn Pierwszego Człowieka.

[6] Indyjski system kastowy składał się z czterech klas (*warna*): kapłanów – braminów (*brahman*); wojowników (*radżanja, kszatrija*); chłopów i rzemieślników (*wajśa*); niewolników (*śudra*).

[7] **Indra** – aryjski bóg zwycięstwa, posługiwał się *wadźrą* (diamentowym gromem), straszliwą bronią, która uśmiercała demony. W religii wedyjskiej odgrywał dużą rolę podobnie jak Agni – bóg ogniska domowego.

[8] Cytaty, na podstawie *Hymnów Rigwedy*, tłum. Franciszek Michalski, Warszawa 1971.

[9] **Brahmany** – stanowią zbiór komentarzy do *Wed*. Powstały pomiędzy 1000–800 rokiem przed Chrystusem. Teksty te zawierają szczegółowe informacje dotyczące sprawowania ceremonii ofiarnych. Do *Brahmanów* dołączono potem *Aranjaki* – *Księgi Leśne*, rozważające głęboki, mistyczny sens rytuałów. Wszystkie te teksty uważane są za święte na równi z *Wedami* i traktowane jako część objawienia.

[10] Mit o Puruszy znajduje ważne miejsce w *Brahmanach*. Purusza zostaje tam utożsamiony z Pradżapatim (Władcą Stworzeń), personifikacją cyklu kosmicznego. W praktyce ofiarnej w obrzędzie *agnićajany*, ofiarnik budując ołtarz ofiarny odtwarzał Pradżapatiego, który poprzez ogień stawał się ponownie substancją świata.

W ten sposób powtarzał on pierwotny akt stworzenia, a poprzez utożsamianie się z Pradżapatim, rodził się na nowo i zapewniał dalsze trwanie kosmosu.

[11] Powstanie hinduizmu stanowi wielowątkowy proces. Dużą rolę odegrała tu ewolucja religii wedyjskiej, która pod wpływem myśli filozoficznej okresu Upaniszad oraz wchłonięcia elementów wierzeń przed-aryjskich, stworzyła syntezę religijną. Ważnym momentem jest tutaj pojawienie się klasycznych epopei kulturowo-religijnych: *Mahabharaty* i *Ramajany*, które stały się podstawą oraz historycznym i duchowym symbolem tradycji religijnej i kultury Hindusów.

[12] **Wisznu** (Przenikający) – bóg mało popularny w okresie wedyjskim, w hinduizmie staje się postacią pierwszoplanową. On przejmuje wszelkie moce i atrybuty wcześniejszych bogów (henoteizm): Paruszy, Pradżapatiego, Brahmy i innych, stając się uniwersalnym władcą, stwórzycielem i opiekunem świata.

Siwa (Łaskawy) występuje często jako awatra (manifestacja) Wisznu. Przedstawiany jest jako Byk Nandin – przejaw mocy i życia. Uważany jest za opiekuna joginów; posiada „trzecie oko" (*Siwa Trilocana*) – symbol oświecenia. Jego kult wywodzi się z wierzeń przed-aryjskich, z kultury Mohendżo-Daro (XXI–XVI w. przed Chr.).

[13] **Upaniszady** – zbiór utworów o charakterze mistyczno-rytualnym, które powstały pomiędzy 800–500 przed Chr. Wczesne Upaniszady stanowiły uzupełnienia „Brahmanów" w komentarzu do „Wed". Późniejsze traktaty zawierają już treści metafizyczne. Idee te zostały rozwinięte w systemach sankhji-yogi, w buddyzmie, dżinizmie i różnych szkołach hinduizmu.

[14] Pojęcie „purusza" zostaje utożsamione z: człowiekiem (indywiduum), jaźnią, a w końcu duszą (*atman*).

[15] W księdze *Digha-Nikai*, należącej do *Kanonu Palijskiego* – zbioru świętych pism buddyjskich znajdujemy ustęp będący parafrazą bramińskiego mitu o powstaniu kast z ciała *Brahmy* (Twórcy Świata), w którym Budda poucza: *U kogo wiara w Doskonałego* [epitet Buddy] *dostęp znalazła, korzenie zapuściła, umocniło się i niewzruszoną się stała..., temu zaiste wolno powiedzieć: „Ja jestem rodzonym synem Wzniosłego, z Jego ust powstałem, przez Dharmę* [Naukę] *spłodzony jestem , przez Dharmę stworzony, jestem spadkobiercą Dharmy. – A jakże tak? Albowiem o Doskonałym powiedzieć można, że Jego ciałem jest Dharma, że Jego ciałem jest Brahma, że Jego ciało jest identyczne z Dharmą i Brahmą.*

Również w nauce Dżiny Mahawiry (dosł. – Zwycięzca, Wielki Bohater) – żyjącego współcześnie z Buddą (zmarł w 477 r. przed Chr.) i głoszącego bliskie buddyzmowi poglądy, odnajdujemy związki z mitem o Mahapuruszy. Aby się o tym przekonać nie trzeba nawet wchodzić w szczegóły doktryny dżinistów. Wystarczy tylko spojrzeć na posągi przedstawiające „szereg zbawców" – *Tirthankarów* (sanskr. „Przekraczający rzekę w bród"). Bohaterowie stoją wyprostowani, mają młode ciała z cechami obu płci, spoglądają prosto poprzez świat z wysokości.

[16] Podbój Indii (1750–1200 przed Chr.) odbywał się etapami, przez Pendżab, od strony Iranu, skąd przybywały kolejne fale najazdu Ariów. Terytorium Iranu zostało zajęte w podobny sposób, ale wcześniej pomiędzy 2200–2000 przed Chr.

[17] W skład staroirańskiej *Awesty* wchodziło 21 ksiąg (naska). Do najbardziej znanych utworów *Awesty* należą: *Gathy*, święte hymny, których autorstwo przypisuje się prorokowi Zaratustrze (ok. VII wieku przed Chr.), oraz *Jaszty* – hymny poświęcone różnym bóstwom (np. *Hymn do Hoamy*). Pierwsza redakcja *Awesty* mogła powstać ok. VIII wieku przed Chr., jednak niektóre jej części mają rodowód znacznie starszy. Do czasów dzisiejszych zachowały się tylko fragmenty dzieła.

[18] Ważnym źródłem dla odtworzenia religii staroirańskiej są traktaty, które powstały już po najeździe arabskim lub w których próbowano odtworzyć stare materiały, dzieła religijne i epopeje. Napisane są one w języku pahlawijskim (synteza języków perskiego i partyjskiego, ok. III wieku przed Chr.) Jednym z ważniejszych jest *Bundahiin* (*Pierwotne Stworzenie*) – zawierający między innymi mit o stworzeniu świata.

[19] **Gajomard** (awest. *Gaja Martan*) – dosł. „Żywy Śmiertelnik".

[20] **Ormuzd** (awest. *Ahuramazda*) w religii irańskiej najwyższy bóg dobra, władca światłości, stwórzyciel świata. Objawienia jakie przekazał prorokom, szczególnie Zaratustrze, zawarte są w *Awescie* będącej podstawą wszystkich religii irańskich.

[21] Odpowiednikiem Gawy Ewodaty (pehl. *Tora Ewakdat*) w mitologii indyjskiej jest Surabhi – Krowa Spełniająca Życzenia.

[22] **Aryman** (awest. *Angro Mainyu*) Pan Ciemności, przeciwnik Ormuzda, który walczy z nim o panowanie nad światem. Pomimo antagonizmu posiada równorzędną pozycję do Ormuzda w hierarchii bytów, ponieważ jest jego bratem – bliźniakiem. Irański mit opowiada, że Zurwan, Czas Nieskończony (odpowiednik indyjskiego Paradżapati), przez 1000 lat modlił się i składał ofiary, ponieważ pragnął mieć syna. W końcu zwątpił w spełnienie tej nadziei. Wtedy urodził dwóch synów: Ormuzda, który powstał z modlitw i czystych intencji i Arymana, który był dziełem zwątpienia.

nad Yimem, oraz indyjski mit o Indrze, który zabił smoka Wrytrę. Bardzo ciekawe analogie do mitu babilońskiego o Tiamat znajdujemy w tradycji azteckiej. Jeden z przekazów opowiada, że świat (ziemia, niebo i wszystkie stworzenia) powstał z ciała bogini ziemi – Altalteutli, która została „rozerwana na dwie części" przez bogów, występujących pod postacią węży: Quetzalcoatla i Tezcatlipucę.

[41] Kingu był synem Tiamet, a następnie po śmierci Apsu jej mężem. Walczył po stronie Tiamat o panowanie nad światem. Został jednak pokonany przez Marduka, który odebrał mu „tablice przeznaczenia."

[42] Tendencje uniwersalistyczne i monoteistyczne, jakie powstały w religiach Bliskiego Wschodu (Sumer, Egipt, religie Hetytów i Anatolijczyków). Są wynikiem oddziaływania wierzeń semickich (Akadowie, Hyksosi, Amoryci.) Przykładem może być tutaj reforma faraona Amenhotepa IV (Echnaton), który wprowadził w całym Egipcie (1375–1350) kult jednego Boga Atona. Fakt ten łączy się z wpływami semickich Hyksosów (zdobycie Egiptu 1674 przed Chr.) Patrz hasło „Hyksosi" w *Encyklopedii Katolickiej* opracowane przez dr. Krzysztofa Gęburę.

[43] Chodzi tu o dzieła apokaliptyczne powstałe w okresie ok. II w. przed Chr. Najważniejsze z nich to: *Księga Jubileuszów*, *Księga Henocha*, *Księga Daniela*, *Apokalipsa Abrahama*. Uzupełnieniem tego materiału są manuskrypty z Qumran, takie jak *Wizja Amrana* i *Księga Tajemnic*.

[44] Autorstwo Psalmu 139 tradycyjnie przypisuje się Adamowi.

[45] Tworzenie *golema* (człowieka z gliny) należało do stałych rytów magicznych w historii ezoteryki żydowskiej. Por. G. Scholem, *Tellaryczny i magiczny kontekst idei golema*.

[46] Talmud, Haggada.

[47] *W księdze Twoje wszystkie członki moje wpisane są, i dni, w których kształtowane były, gdy jeszcze żadnego z nich nie było.* (Ps 139, 16)

[48] Koncepcja ta pojawia się we wszystkich nurtach mistyki żydowskiej: w Kabale Hiszpańskiej, Kabale Luriańskiej, a także w Chasydyzmie. Temat ten rozwijają takie dzieła jak: *Sefer Yetsira* (*Księga Kreacji*) z IV w., Zohar (*Księga Blasku*) z XIII w. i pisma luriańskie.

[49] W Kabale Luriańskiej nauka o upadku Adama i roli tego wydarzenia dla dziejów świata, staje się głównym punktem rozważań. Powstanie świata łączy się z faktem pęknięcia w strukturze Wielkiej Istoty (Adama Kadmona). Akt ten opisuje mistyczny symbol „shevirath ha kelim" – „rozbicie pierwszych naczyń."

[50] Jiří Langer, *9 bram*, Kraków 1987.

[51] *Słowiańska Księga Henocha* (II ks. Henocha) przetłumaczona z języka greckiego na staroruski, około XI wieku, stanowi rozwinięcie treści hebrajskiego apokryfu Ks. Henocha, który powstał w II. przed Chr.

[52] Tłumaczenie autorskie z języka ruskiego na podstawie fragmentu *Wiersza o gołębiej Księdze* (w:) Stanisław Schayer, *A note on the Old Russian Variant of the Purushasukta*, (w:) *O filozofowaniu Hindusów*, Warszawa 1988, s. 486.

[53] Ks. prof. R. Rubinkiewicz, wybitny znawca tematyki apokryficznej podaje, że zwrotka o powstaniu kast mogła być dołączona w okresie późniejszym do pierwotnej wersji *Gołębiej Księgi*.

[54] Stanisław Szayer (1899–1942) jeden z najwybitniejszych polskich indianologów okresu przedwojennego (badania nad logiką buddyjską, próba odtworzenia doktryny pra-buddyjskiej, komentarze do *Rigwedy* i *Upaniszad*). Zajmował się także pochodzeniem mitu o kosmicznym Pra-Mężu. (*A note on the Old Russion Variant of the Purushasukta*).

[55] Pan-Ku, który był praojcem nieba i ziemi, kształty świata wykuwał z „pierwotnego chaosu" przy pomocy młota i dłuta. Miał pierwotnie posturę karła, ale w trakcie tej pracy zaczął rosnąć, aż stał się tak olbrzymi, że nie mógł już dalej rosnąć. Wtedy umarł a z jego ciała powstały: góry, wiatr, chmury, strony świata, rzeki, ziemia, konstelacje gwiezdne, a także trawy, drzewa, skały, metale i kamienie szlachetne. Por. H. Abramowska, *Baśnie i legendy Dalekiego Wschodu*, Warszawa 1991.

[56] Por. S. Schajer, *A note of the Old Russian Variant...*, s. 485.

Katarzyna Grzybowska,
Agnieszka Walko

Spotkanie w synagodze*

Miałem wrażenie, że już nigdy nie będzie mi dane słyszeć muzyki. Gdziekolwiek się udałem spotykałem przerażającą ciszę ukrytą w zakamarkach ruin zupełnie zniszczonego miasta. Gdy zapomniałem już czym jest nadzieja i spokojne, normalne życie – usłyszałem ją, jakieś delikatne dźwięki, które obudziły we mnie wspomnienie dawno minionych czasów... To muzyka zwabiła mnie do tego domu, nie byłem w stanie oprzeć się jej wołaniu... Gdy wchodziłem schody skrzypiały jakby ostrzegając, że każdy kolejny krok grozi upadkiem. Zachłysnąłem się atmosferą tego starego budynku, z przyjemnością wdychałem intensywny zapach starego, wilgotnego drewna. Wspinałem się po schodach w rzeczywistości nie wiedząc dokąd one prowadzą. Nagle po prawej stronie zobaczyłem uchylające się drzwi, z których wyłoniła się (naprawdę!) stara, ale lekko poruszająca się kobieta trzymająca na sznurku koziołka. Przyznam, że nie potrafiłem ukryć zakłopotania i wielkiego rozbawienia. Kobieta spojrzała na mnie wyniośle i zgrabnym gestem wskazała drzwi po lewej stronie...

Zapukałem, ale nikt nie odpowiedział, zebrałem się na odwagę i wszedłem do środka. Uderzył mnie mrok panujący w pomieszczeniu, małe okna, mało przestrzeni i wszędzie poukładane książki... Jakby ktoś urządzał bibliotekę... Na środku pokoju stał stół, wokół którego siedziały zagłębione w mroku postacie... Zaciekawiło mnie to niezwykłe zebranie, więc cicho usiadłem przy szafie z książkami. Siedziałem tak kilka minut, ale nikt się nie poruszył, nie odezwał ani słowem. Poczułem już zniecierpliwienie, gdy nagle, nieoczekiwanie ciszę przerwał starszy mężczyzna nerwowo obracający w dłoni monetę, w tym mroku nie mogłem dojrzeć rysów twarzy tego człowieka. Jednak jego głos był mi znajomy...

– Oczywiście, że doskonale pamiętam dom rodzinny. Ojca, matkę i rodzeństwo. Tak jak większość chat nasza także zagłębiona była w ziemi. Potem, gdy wiele tułałem się po świecie z sentymentem wspominałem naszą jednoizbową chatę... A po niejednym atłasowym dywanie stąpałem... I ten piec gliniany, który niczym najważniejszy członek rodziny zajmował centralne miejsce w chacie. Pamiętam, że ojciec narzekał, iż ten piec jest w większym poważaniu niż on sam. Myśmy zaprzeczali, ale każdy z nas docenial znaczenie ciepłej strawy i przytulnego kąta. A jeść się chciało, bo pracowaliśmy od wschodu do zachodu słońca. Uprawianie pola to ciężka praca, ale dająca zadowalające

* Praca nagrodzona (drugie miejsce) w konkursie „Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego"

nad Yimem, oraz indyjski mit o Indrze, który zabił smoka Wrytrę. Bardzo ciekawe analogie do mitu babilońskiego o Tiamat znajdujemy w tradycji azteckiej. Jeden z przekazów opowiada, że świat (ziemia, niebo i wszystkie stworzenia) powstał z ciała bogini ziemi – Altalteutli, która została „rozerwana na dwie części" przez bogów, występujących pod postacią węży: Quetzalcoatla i Tezcatlipucę.

[41] Kingu był synem Tiamet, a następnie po śmierci Apsu jej mężem. Walczył po stronie Tiamat o panowanie nad światem. Został jednak pokonany przez Marduka, który odebrał mu „tablice przeznaczenia."

[42] Tendencje uniwersalistyczne i monoteistyczne, jakie powstały w religiach Bliskiego Wschodu (Sumer, Egipt, religie Hetytów i Anatolijczyków). Są wynikiem oddziaływania wierzeń semickich (Akadowie, Hyksosi, Amoryci.) Przykładem może być tutaj reforma faraona Amenhotepa IV (Echnaton), który wprowadził w całym Egipcie (1375–1350) kult jednego Boga Atona. Fakt ten łączy się z wpływami semickich Hyksosów (zdobycie Egiptu 1674 przed Chr.) Patrz hasło „Hyksosi" w *Encyklopedii Katolickiej* opracowane przez dr. Krzysztofa Gęburę.

[43] Chodzi tu o dzieła apokaliptyczne powstałe w okresie ok. II w. przed Chr. Najważniejsze z nich to: *Księga Jubileuszów*, *Księga Henocha*, *Księga Daniela*, *Apokalipsa Abrahama*. Uzupełnieniem tego materiału są manuskrypty z Qumran, takie jak *Wizja Amruna* i *Księga Tajemnic*.

[44] Autorstwo Psalmu 139 tradycyjnie przypisuje się Adamowi.

[45] Tworzenie *golema* (człowieka z gliny) należało do stałych rytów magicznych w historii ezoteryki żydowskiej. Por. G. Scholem, *Telluryczny i magiczny kontekst idei golema*.

[46] Talmud, Haggada.

[47] *W księdze Twoje wszystkie członki moje wpisane są, i dni, w których kształtowane były, gdy jeszcze żadnego z nich nie było.* (Ps 139, 16)

[48] Koncepcja ta pojawia się we wszystkich nurtach mistyki żydowskiej: w Kabale Hiszpańskiej, Kabale Lurianskiej, a także w Chasydyzmie. Temat ten rozwijają takie dzieła jak: *Sefer Yetsira* (*Księga Kreacji*) z IV w., Zohar (*Księga Blasku*) z XIII w. i pisma lurianskie.

[49] W Kabale Lurianskiej nauka o upadku Adama i roli tego wydarzenia dla dziejów świata, staje się głównym punktem rozważań. Powstanie świata łączy się z faktem pęknięcia w strukturze Wielkiej Istoty (Adama Kadmon). Akt ten opisuje mistyczny symbol „shevirath ha kelim" – „rozbicie pierwszych naczyń."

[50] Jiří Langer, *9 bram*, Kraków 1987.

[51] *Słowiańska Księga Henocha* (II ks. Henocha) przetłumaczona z języka greckiego na staroruski, około XI wieku, stanowi rozwinięcie treści hebrajskiego apokryfu Ks. Henocha, który powstał w II. przed Chr.

[52] Tłumaczenie autorskie z języka ruskiego na podstawie fragmentu *Wiersza o gołębiej Księdze* (w:) Stanisław Schayer, *A note on the Old Russian Variant of the Purushasukta*, (w:) *O filozofowaniu Hindusów*, Warszawa 1988, s. 486.

[53] Ks. prof. R. Rubinkiewicz, wybitny znawca tematyki apokryficznej podaje, że zwrotka o powstaniu kast mogła być dołączona w okresie późniejszym do pierwotnej wersji *Gołębiej Księgi*.

[54] Stanisław Szayer (1899–1942) jeden z najwybitniejszych polskich indianologów okresu przedwojennego (badania nad logiką buddyjską, próba odtworzenia doktryny pra-buddyjskiej, komentarze do *Rigwedy* i *Upaniszad*). Zajmował się także pochodzeniem mitu o kosmicznym Pra-Mężu. (*A note on the Old Russian Variant of the Purushasukta*).

[55] Pan-Ku, który był praojcem nieba i ziemi, kształty świata wykuwał z „pierwotnego chaosu" przy pomocy młota i dłuta. Miał pierwotnie posturę karła, ale w trakcie tej pracy zaczął rosnąć, aż stał się tak olbrzymi, że nie mógł już dalej rosnąć. Wtedy umarł a z jego ciała powstały: góry, wiatr, chmury, strony świata, rzeki, ziemia, konstelacje gwiezdne, a także trawy, drzewa, skały, metale i kamienie szlachetne. Por. H. Abramowska, *Baśnie i legendy Dalekiego Wschodu*, Warszawa 1991.

[56] Por. S. Schajer, *A note of the Old Russian Variant...*, s. 485.

plony. Jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy – jakim dobrodziejstwem jest tak żyzna gleba... Pewnego dnia nasza rodzina obchodziła szczególnie święto. Ojciec przyprowadził do izby bogato ubranego mężczyznę, który w zamian za nasze gliniane garnki zaoferował piękne wilcze skóry, których potem zazdrościła nam cała wieś. Z czasem przez naszą osadę przejeżdżało coraz więcej kupców, a po śmierci ojca ja zajmowałem się wymianą towarów. Zauważałem zmiany w codziennym życiu, nasza osada stała się naprawdę ważnym ośrodkiem kupieckim stojąc na drodze traktu prowadzącego z Azji do Europy... –

Siedziałem zasłuchany w melodyjny głos starca. Nagle jego potok słów został przerwany przez dźwięk spadającej ze stołu monety. Spojrzenia wszystkich zebranych skierowały się na podłogę. Mężczyzna ożywił się jakby przypomniał sobie jakąś odległą historię związaną z tym niepozornym krążkiem...

– Tę monetę otrzymałem od pewnego kupca, przyjaciela, gdy opuszczałem Lublin, by zasmakować tego życia, o którym wciąż słyszałem od przejeżdżających kupców. Nie przeczuwałem wtedy, że powiklane drogi życiowe sprowadzą mnie do tego miejsca dopiero w 896 roku, w pięćdziesiąt lat po jego opuszczeniu. Nigdy człowiek nie wraca do tego samego miejsca, z którego wyruszył... Gdy wróciłem to już nie była ta sama tak tętniąca życiem osada. Mniej ludzi, życie już nie takie rytmiczne jak dawniej, już nie takie przepojone orientalną gwarą kupców... Jakiś zastój, cisza...

Poczułem, że na tym skończył swą opowieść tajemniczy gość. W tym samym momencie z tego półmroku wyłoniły się dwie postaci. Wcześniej ich nie zauważyłem, bo siedzieli w pewnym oddaleniu od reszty zgromadzonych. Jeden z mężczyzn zabrał głos. Po chwili zrozumiałem kim był nieznajomy, czarne pejsy współgrały z długą brodą i czarnym nakryciem głowy. „Jaki dumny jest ten Żyd" – pomyślałem.

– Jeżeli mógłbym wtrącić kilka słów... Chcę opowiedzieć o pewnym dniu... 15 sierpnia 1317 roku. Wszyscy mieszkańcy zostali zebrani na Rynku. Zresztą już od rana panowało ogólne poruszenie. Podawano sobie wieść z ust do ust. Tego dnia Lublin stał się prawdziwym miastem. Otrzymaliśmy wtedy z rąk krakowskiego księcia Władysława Łokietka prawo magdeburskie, co oznaczało wyłączenie nas spod władzy administracyjnej i sądowej wojewody sandomierskiego i kasztelana lubelskiego. Bardzo się ucieszyłem wiadomością, że mój bliski przyjaciel, Maciej z Opatowa, zarządca małopolskich dóbr książęcych – został wyznaczony przez Łokietka wójtem... A wójt to była osoba powszechnie poważana, bo w jego ręku skupiona była główna władza sądowa. Wiwatowano i cieszono się, a ogólna zabawa trwała aż do białego rana. Przychylność władcy dla naszego miasta była ogromna. Oprócz przywileju lokacyjnego miastu zostało nadane sto łanów gruntu ziemi, dla lepszego zagospodarowania. Świetność miasta nie trwała jednak długo. Rok 1341 pozostawił trwały ślad w mojej pamięci. Jedyne, co pamiętam to dym... ogień gryzący w oczy, żywe pochodnie ludzkie... krew... śmierć. Rozpacz. Pamiętam, gdy wybiegłem z domu wywabiony ogólnym poruszeniem. Zobaczyłem galopujące przez środek miasta konie i jeźdźców, których nigdy dotąd nie spotkałem w tych stronach. „Tatarzy!" – tylko to jedno słowo wyrwało się z mojego gardła.

Rozejrzałem się wokół. Ludzie uciekali w popłochu, często dosięgani przez precyzyjnie wypuszczane strzały. Tyle pamiętam, to wspomnienie wywołuje nadal ból. Oczywiście potem zaczęło się odbudowywanie miasta... Jak budować wszystko od początku.

Mimo wcześniejszych wzajemnych antagonizmów, które już w tym okresie zaczęły się pojawiać między nami i Polakami, wszyscy zgodnie rozpoczęli odbudowę. Były to dni prawdziwej przyjaźni i wsparcia, bo cierpienie jednoczy. Miasto nie zostało osamotnione w swoim wysiłku. Kazimierz Wielki postanowił zabezpieczyć miasto przed kolejnymi napadami. Poczuliśmy się bezpieczniejsi, gdy otoczyły nas mury obronne.

Wszyscy byli pełni entuzjazmu i inwencji... Za radą poważanego rabina – od strony zachodniej na trasie traktatu krakowskiego – wystawiono jedną z dwóch bram miejskich, którą z czasem zaczęto nazywać „Krakowską". Druga brama zwana „Grodzką" stanowiła wyjście z miasta w stronę grodu w kierunku wzgórza zamkowego. Plan naszego miasta tworzył nieregularny kształt gruszki...

Znużyła mnie ta opowieść. Jednak zebrani słuchali w napięciu jakby rozmyślając czyja teraz kolej na opowieść. Poczułem się zmęczony monotonnym tonem tego prawie historycznego wykładu. Podszedłem do okna. Nikt nie zwrócił uwagi na mój spokojny spacer po pokoju. Wszyscy zbyt mocno byli zaangażowani w odtwarzanie zastygłej we wspomnieniach historii.

To, co ujrzałem za oknem na nowo przeraziło mnie i zabrało nadzieję. Pamiętam, gdy zobaczyłem to po raz pierwszy... Pusta przestrzeń, piasek, dym i tylko ruiny tętniącego niegdyś życiem miasta. Patrząc na to pustkowie traciłem resztę nadziei, która gdzieś delikatnie tliła się w moim sercu.

„Nie ma przyszłości... Nie ma perspektyw. Tylko koniec:" – pomyślałem po chwili zadumy. Nagle całe to zebranie wydało mi się zupełnie absurdalne, szalone i irracjonalne!

Dopiero po latach odkryłem prawdziwy cel tego tajemniczego zgromadzenia. Tej zawziętości w opowiadaniu i napięcia i wiary i nadziei... Jakaś ponadczasowość towarzyszyła temu zebraniu. Ludzie z różnych epok zebrali się, by z ruin i pustyni wskrzesić na nowo duszę Lublina, wspólnym wysiłkiem odnaleźć zagubioną kulturę, zagrzebaną w ruinach i wspomnieniach.

Ci ludzie zdawali sobie sprawę, jaką mają szansę. Duch Historii sprowadził ich tu i dał obietnicę; gdy każdy z tych ludzi opowie swoją historię powstanie całość historii miasta Lublina. Od jego początków aż po kataklizm. Miasto powstanie z ruin. I dokonali tego...

Powróciłem na swoje miejsce za szafą, bo pierwszy z Żydów skończył swą opowieść. Był wyraźnie zmęczony. Czułem, że oddałby wiele by wrócić tam skąd przyszedł. Wtedy odezwał się jego towarzysz...

– Nigdy nie zrozumiem niechęci Polaków względem Żydów. Zawsze zastanawiałem się nad jej podłożem. Przypuszczam, że postrzegali nas jako odizolowaną od reszty społeczeństwa grupę... czy może wyspę, a przecież stanowiliśmy nierozerwalną część Lublina i tego kraju. Nawet choćby poprzez sam język wyrażaliśmy chęć kontaktu z innymi mieszkańcami tego miasta. W tym momencie dostrzegłem pewne zawahanie się Żyda, lecz trwało to tylko ułamek sekundy. Zdecydowanym ruchem sięgnął po książkę, która do tej pory spoczywała na stoliku przy oknie, a jego palce nerwowo zaczęły przewracać kartki tej, jak mi się zdawało sędziwej wiekiem książki.

Zaczął czytać, a w jego głosie wyczuwało się podniecenie i niewątpliwą dumę.

W dawnej Polsce Żydzi posługiwali się głównie dwoma językami. Panującym językiem w liturgii synagogalnej i w literaturze religijno-filozoficznej był język hebrajski. Mową potoczną Żydów polskich od XII–XIV wieku był język żydowski /jidysz/, jednak w kontaktach z chłopami i szlachtą Żydzi posługiwali się językiem polskim i innymi językami słowiańskimi, a z mieszczanami porozumiewali się również po niemiecku.

W trakcie czytania jego głos przybrał na sile, a mimika twarzy zdradzała duże emocje. Miałem wrażenie, że wypowiada to, o czym myślał już od dawna.

– Jestem pewny, że niewielu pamięta jaki dorobek intelektualny wnieśli Żydzi do polskiej kultury... Byliśmy uważani za naród Pisma i Książki, a w Lublinie mieściła się ważna uczelnia talmudyczna. Sam miałem okazję uczestniczyć w jej wykładach. Jednak to nie literatura, a raczej medycyna była pomostem łączącym dzieje Żydów i Polaków. Żydowscy lekarze cieszyli się ogólnym poważaniem w społeczeństwie. Tak, niewątpliwie byliśmy nierozerwalnie związani z tą ziemią, tradycją, a przede wszystkim ludźmi. Muszę przyznać, że Lublin był jednym z tych miejsc, gdzie w pewnym okresie wiodło nam się naprawdę dobrze. Jednak choć miasto było punktem spotkania wielu kultur, wielu narodów to... – mówca zawiesił na chwilę głos, jakby niepewny czy jego słowa są właściwie rozumiane przez słuchaczy, a może ta cisza miała podkreślić znaczenie wypowiadanych zdań... – tak właściwie nigdy nie mieliśmy okazji się bliżej poznać. To brak czasu czy brak chęci, a każdy był zamknięty w kręgu własnych zdarzeń. Myślę, że wszyscy uciekaliśmy przed tym, co nieznane. Obcość budzi lęk. A mogliśmy zrobić tak wiele, podzielić się doświadczeniami, kulturą, tradycją... Ja także mogłem zrobić więcej, by zniszczyć ten mur niewiedzy i obojętności. Dlaczego nie skorzystaliśmy z tej wyjątkowej okazji, aby bliżej się poznać? – To dramatyczne pytanie zmąciło tak spokojną dotąd i jakby senną atmosferę, jakiś żal, napięcie... Sobie samemu miałem także wiele do zarzucenia i myślę, że nie byłem osamotniony w swoim uczuciu. Żyd podniósł na chwilę oczy na zebranych, w zamyśleniu popatrzył na mnie i mógłbym przysiąc, że oczekiwał odpowiedzi. Nie padło jednak żadne słowo.

Chwilę głębszej refleksji przerwał cichy, spokojny głos. Po prawej stronie, przy samym kominku siedział niepozorny przygarbiony człowiek. W półmroku panującym w pokoju zdołałem dostrzec jego twarz i piętno przeszłości odciśnięte przez tragiczne doświadczenia. Zawsze zwracam uwagę na ludzki głos, jego zaś był słaby i znużony. Mówił bez entuzjazmu, spełniając po prostu swój obowiązek, żadnego zaangażowania, żadnych gwałtowniejszych uczuć. Wyróżniał się na tle zgromadzonych.

– Miewam dziwne sny. Koszmary, które wciąż na nowo dręczą mnie na jawie i we śnie. Tamte wydarzenia wciąż mi towarzyszą, są jak żywi ludzie. Widzę pola, wielkie, puste i szare. Sen nabiera realistycznych konturów. Widzę rzędy baraków jeden podobny do drugiego, jak bracia bliźniacy. Idę wzdłuż nich i boję się. Strach paraliżuje moje ruchy, ale wciąż idę. Najgorsza jest ta szarość, szarość i popiół. Nie mogę dociec ich pochodzenia. Baraki przechodzą w druty, biegnę. Biegnę co sił, chcę uciec, a wszędzie druty, a potem twarze, rzędy twarzy, miliony twarzy. Czuję, że tracę zmysły, każda podobna do drugiej, taka szara, taka sina, jak siostry bliźniacze. A następnie światła omiatające swym snopem moją postać, druty, hełmy, psy. Światło uderza mi w oczy i widzę mury. Dotykam ich, są wilgotne i lodowate, słyszę przeraźliwe jęki. Przez zakratowane okienko dostrzegam zarys baszty i kaplicy. Jęki wzmagają się, przeradzają

w ogłuszający krzyk, krzyk bólu, strachu i bezsilności. Nie mogę tego znieść, czuję, że osuwam się w wielką, czarną dziurę, otchłań bez dna.

Budzę się pełen przerażenia, z krzykiem na ustach i nie mam na tyle odwagi, aby znów zasnąć. Zawsze widzę to samo... Moje dziejowe przekleństwo... Przekleństwo Lublina. Zamilkł. Ktoś lekko poruszył się na krześle i z głębi pokoju popłynęły słowa Poety:

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: północ, północ!
Dołem
place konopne, lniane,
ulice – długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.

U krańca Lublina czworokąt czarny,
szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Blady blask gwiazdy samotnej opiera się o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stanęły na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij: *Oto teraz w proch zasnę, z prochu wstanę w dzień ostatni...*

Oczy zebranych zwróciły się teraz na mężczyznę otulonego włochatym korzuchem. „Ten ze wschodu. Rusin może." – przemknęło mi przez głowę.

– Lublin był zawsze jednym z moich ulubionych miast, a muszę przyznać, iż bywałem w wielu stronach i niejedno widziałem. Zawsze można było użyć tam życia. Wszak już od końca XIV wieku, kiedy to Litwa prowadzić mogła swobodny handel z kupcami lubelskimi, a prawo zobowiązywało wszystkich kupców przejeżdżających ze wschodu na zachód do wykładania swoich towarów na sprzedaż, Lublin przeżywał prawdziwy okres świetności. Z tego powodu zawsze panował tam gwar, tłok, co sprzyjało zabawie, ale również i ważne interesy można było tam ubić i nowinek ze świata usłyszeć co niemiara. Napływali kupcy z Turcji, Armenii, Wołoszczyzny, Francji i Włoch, ściągnięci sławnymi jarmarkami lubelskimi. Spotykały się tutaj na równi ludy chrześcijańskie i pogańskie. Zdarzyło mi się nawet spotkać Ormian, Tatarów i kupców Arabii. W obrębie murów żyły rozmaite narody. Ludzie witali się i żegnali mijając Bramę Krakowską, Grodzką,

ulicę Złotą, Szeroką, Rybną. Rynek tworzył niepowtarzalny koloryt barw i zapachów kadzideł... No i unia lubelska zawarta między Polską i Litwą, która na wiele wieków związała te narody ze sobą.

Potok jego słów przerwała muzyka. Znowu ją usłyszałem ale tym razem była wyraźniejsza.

To muzyka wciągnęła mnie w to mistyczne spotkanie, była początkiem wszystkiego, sprawcą postępu i towarzyszem do końca... Jednocześnie wprowadziła mnie w jakąś odmienną rzeczywistość.

Wydawało się, że wszyscy zabrali już głos, opowiedzieli swą historię... Atmosfera przesycona była napięciem i jakimś irracjonalnym oczekiwaniem na zmianę... Czy przepowiednia się urzeczywistni?

Czegoś brakowało. Wszyscy skierowali wyczekujący wzrok na Czechowicza i on zrozumiał...

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko,
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę –
jak perła
upadnie w rynku miskę –
miska zabrzęknie.

W płowej nocy
po kątach nisz głębokich,
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fiołkowy uklęknie.

Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściął,
lecą – kurzawą – lecą,
firmament w złote smugi marszczą,
za Trybunałem
na ślepych szybach świec,
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebliwie rozpływa
w rosie porannej, w zapacha ziół.

Jak pięknie!

Poeta zakończył... I nie zdarzyło się nic spektakularnego, żadnych chórów anielskich, trzęsień ziemi, dymu, żadnych metafizycznych świateł. Tylko cisza, spokojne milczenie

i nadzieja, że przepowiednia o zmartwychwstaniu spełni się. Najpierw odżyją wartości, potem odrodzi się kultura, z niej powstanie sztuka, literatura... miłość. Życie wróci do miasta. I z tą nadzieją opuściłem ten pokój... Wierzyłem w Ducha Historii...

Schody skrzypiały w ten sam charakterystyczny sposób, gdy schodziłem w dół...

Bibliografia:

1. *Dzieje Lubelszczyzny*, t. III, V, VI, oprac. S. Kurań, J. Kłoczkowski, T. Mencl, Warszawa-Łódź 1986.
2. J. Czechowicz, *Wiersze zebrane*, Warszawa 1986.
3. J. Czechowicz, *Przez Kresy*, Kraków 1994.
6. *Historia miasta Lublina*, Lublin 1982.
7. *Spotkania. Żydzi polscy*, 1993.

Niemniej tradycja bardzo starych kultur, wcześniejszych od chrześcijaństwa, pozostaje przemożna na Wschodzie. [...] *Właśnie dlatego dokument o stosunku Kościoła do hinduizmu i innych religii Dalekiego Wschodu jest tak doniosły. Czytamy w nim: „w hinduizmie ludzie badają i wyrażają boską tajemnicę poprzez niezmierną obfitość mitów i wnikliwe koncepcje filozoficzne, a wyzwolenia z udręk naszego losu szukają albo w różnych formach życia ascetycznego, albo w głębokiej medytacji, albo w uciekaniu się do Boga z miłością i ufnością. Buddyzm, w różnych swych formach, uznaje całkowitą niewystarczalność tego zmiennego świata i naucza sposobów, którymi ludzie w duchu pobożności i ufności mogliby albo osiągnąć stan doskonałego wyzwolenia, albo dojść, czy to o własnych siłach, czy z wyższą pomocą, do najwyższego oświecenia"* [...] *Słowa Soboru odwołują się do zakorzenionego od dawna w Tradycji przeświadczenia o tak zwanych semina Verbi (nasiona Słowa). Te semina są obecne we wszystkich religiach.* [...] *Na innym miejscu Sobór powie, że Duch Święty działa skutecznie także i poza organizmem Kościoła (por. Lumen gentium, n. 13). Działa w oparciu o te właśnie semina Verbi, które stanowią jakby wspólny soteriologiczny korzeń wszystkich religii.*

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

Spotkania kultur: Małe Ojczyzny

Zbigniew Charytanowicz

Pochwała prowincjonalizmu

– Strasznie mi szkoda ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać – powiedziałem do Anny.
– A mnie szkoda jest tych, którzy nie mieszkają w Bullerbyn – powiedziała Anna.
Astrid Lindgren, *Dzieci z Bullerbyn*

Gdy czytałem *Opowieści chasydów* zebrane przez Martina Bubera czy inne książki o cadykach i chasydach, zawsze zdumiewało mnie, że tak mądrzy ludzie mieszkali w zasadzie w pipidówkach. Baruch z Międzyboża, Pinchas z Korca, Mordechaj z Niesuchojeżów, Aron z Karolina, Zusja z Annopola, Izrael z Kozienic. Bardzo niewielu cadyków mieszkało w dużych miastach. O szkole rabinackiej w Warszawie mówiono, że nie wydała żadnego rabina. Kiedy wielcy i maluczcy tego świata mieli jakieś nierozwiązywalne problemy, szukali owych zabitych dechami miejscowości, by dotrzeć do „widzącego" czy „czującego" – więcej i mądrzej. Dla współczesnego intelektualisty wykształconego w wielkich ośrodkach uniwersyteckich, z wielką ilością utytułowanych ekspertów i specjalistów rozlicznych dziedzin – to przywołanie obrazu dawnych autorytetów, a także prawie prywatnych relacji „mistrz – uczeń" – może być przyczyną pewnej irytacji, lub – nostalgii.

Zapyta ktoś, czy mieszkanie na wsi lub małym miasteczku może wpływać na myśli, na osobowość, na relacje między ludźmi. „Owszem" – odpowie autor *Siłaczki*. Młody i ambitny doktor Obarecki został wessany w zatęchłą atmosferę Obrzydłówka i przemieniony na jego modłę, na modłę odwiecznego aptekarza, plebana, sędziego, nauczyciela... I pewno miał tu Żeromski dużo racji.

Z drugiej jednak strony jest oczywiste, że cisza, oddalenie od wielkomiejskiego gwaru, specyfika krajobrazu pomagają w skupieniu i rozważaniu spraw naprawdę istotnych. Taki „geniusz miejsca", na który składałyby się: ukształtowanie terenu, obecność rzek czy jezior, rodzaj zabudowań, także pewien duch historii obecny w tym miejscu, (upiory przodków za rogiem ulicy i w kątach karczmy) – ów geniusz pomaga we wzrastaniu mistrza, jest dlań jakby glebą, a potem pomaga także go słuchać i rozumieć.

Dziś jednak prawie wszyscy wybieramy inne życie. Dzięki środkom masowej komunikacji i innym osiągnięciom techniki żyjemy w „globalnej wiosce" (określenie i proroctwo

Mac Luhana[1]). Wiemy, co dzieje się w każdym zakątku świata, oglądamy te same filmy i seriale („Korzenie", „Cojak", „Dynastia"), nieźle znamy problemy sercowe i finansowe wielkich tego świata, ćwiczymy aerobik i jogging, palimy Marlboro, jemy hot-dogi w Mac Donaldzie, a nasze miasta pełne dużych domów z betonu i szkła są coraz bardziej do siebie podobne i jednakowo nieprzytulne.

Przypomina się proroctwo z *Apokalipsy* (17,18): *A Niewiasta, którą widziałeś, jest to Wielkie miasto, mające władzę królewską nad królami ziemi*. Chodzi tu o tę Niewiastę, która siedziała na Bestii szkarłatnej pełnej imion bluźnierczych, Niewiastę mającą w swym ręku puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię – tajemnica: *Wielki Babilon, Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi*. To mocne słowa, prawda? Czy można je odnieść do Nowego Jorku, Paryża, Hamburga, Warszawy? A czy my, mieszkańcy tych miast, to ci, którzy *upili się winem jej nierządu*? Bo przecież żyjemy sobie dziarsko, przy skocznej muzyce, wszyscy podobni, *nie wychylający się*, więc bezpieczni, kupujący coraz to nowe, bardziej kolorowe, ale i mniej potrzebne rzeczy. W grupie, w stadzie, gdzie słychać głosy wielu pasterzy, wielu proroków. I wszystko jest pięknie, i wszystko jest O.K., dopóki nie zostaniemy wyłowieni z tej tłumnej sielanki jakimś szczególnym bólem, trudnym do zaakceptowania faktem, czy choćby upiciem się na smutno. Wtedy bąkamy coś o paraliżującym strachu, o samotności w tłumie... I znowu dotąd tylko, aż staniemy na nogi, wmieszamy się w takich jak my, szepcących jedną z sentencji typu *keep smiling*.

To prawda, że jest w nas tęsknota za jednością, braterstwem, prawdziwą wspólnotą. Że człowiek jest istotą społeczną – i to nie tylko na poziomie owczego pędu – wśród innych towarzyszek – owieczek – za coraz to nowym, bardziej modnym przewodnikiem stada. Apokalipsa przenosi czas wielkiej integracji aż do eschatologicznej wizji Jeruzalem Niebieskiego, miejsca, gdzie światłem, pasterzem i Oblubieńcem jest Baranek. Można powiedzieć, że Wielkie Miasto – Babilon jest karykaturą Niebieskiego Jeruzalem, jest parodią prawdziwej jedności. Współczesne miasto z jego rozkoszami jest też naśladowaniem raju, próbą realizacji Edenu tu na ziemi. Raju, dla którego fundamentem jest hedonizm. *Dla mnie wszelkie przyjemności, dla mnie różne sposoby na unikanie cierpień – o ile oczywiście mam na to pieniądze*. W tym biegu na skróty do raju szczęścia i jedności zatraca się już całkowicie fundamenty naszej kultury. Może dlatego też przywołuje się nostalgicznie w środowiskach przeciwnych „amerykanizacji" obraz średniowiecza. Epoki programowo chrześcijańskiej, mocno zhierarchizowanej, o wyraźnie oznaczonych wartościach. I chociaż średniowieczna jedność Europy oparta na wspólnej religii, języku (łacina) i ustroju feudalnym także była daleka od doskonałości – budzi większą sympatię wielu ludzi niż „jedność" nowej, zjednoczonej Europy na przełomie XX i XXI wieku opartej na technokratycznej cywilizacji i epikurejskiej filozofii.

Cechą więc tej nowej cywilizacji jest raczej jednakowość niż jedność. Unifikacja osób, zachowań, naśladowanie wzorców podanych przez nie wiadomo kogo. Sceneria wielkiego miasta, powtarzalność, barwne drobnomieszczaństwo, usilne dumanie postmodernistów nad podaniem egocentryzmu w jeszcze innym sosie. Gdzieś zginęła prawdziwa egzotyka, inność. Bo cóż nas może jeszcze dziś zadziwić?

Ale przecież inna kultura (prawosławni, Żydzi protestanci, maronici) jest jak drugi człowiek. Najpierw niepokoi innością, jakby odpycha, ale też kusi ubogaceniem, jest

obietnicą poznania, obietnicą przygody. W różnicach, które są między ludźmi zbliżającymi się do siebie tkwi istota kontaktu, istota otwarcia na siebie nawzajem. Właśnie w różnicach i inności. Tak jak w relacjach między kobietą a mężczyzną. Moja inność, szczególność jest podstawą określenia tożsamości. Moje ciało, moje uwarunkowania, cierpienia, cała moja historia – ta piękna partykularność czyni mnie kimś niepowtarzalnym. No bo dlaczego Bóg, gdy zechciał zaistnieć na tej ziemi przybrał konkretną narodowość, był Żydem, a nie na przykład Człowiekiem w Ogóle. A istota historii zbawienia i narodu wybranego, małego krnąbrnego ludu, bardzo szczególnego, gdzieś tam akurat na Bliskim Wschodzie, między wielkim Egiptem i mocarstwami nad Tygrysem i Eufratem, z takimi mieścinami jak Betlejem, Nazaret...

Ta historia zbawienia to potem diaspora, rozproszenie, pierwsze gminy chrześcijańskie. Jakby duchowa decentralizacja. Efez, Rzym, Tesaloniki, Santiago de Compostella, ale i góra Atos, i ławry prawosławne, i Częstochowa, i tysiące drobnych miejsc. Również takich miejsc, gdzie żyły obok siebie różne kultury, religie, różni ludzie. Gdzie ci ludzie mogli się wzajemnie obdarowywać swoją innością. Wielu z tych miejsc już nie ma. Tak jak o tym pisał w *Elegii...* A. Słonimski:

> [...] *Nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,*
> *Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem.*
>
> *Nie ma już tych miasteczek, gdzie biblijne pieśni*
> *Wiatr łączył z polską piosnką i słowiańskim żalem*
> *Gdzie starzy Żydzi w sadach pod cieniem czereśni*
> *Opłakiwali święte mury Jeruzalem.*

Problematyka powyższa wyraźnie zaznacza swoją obecność we współczesnej literaturze polskiej. Formuły „ojczyzny prywatne" czy „małe ojczyzny" wskazują najczęściej na krainę dzieciństwa lub młodości. Cechą wielu tych ojczyzn jest usytuowanie na pograniczu, gdzie przenikają się różne narodowości, religie, kultury. Są to więc najpierw Kresy, zarówno te litewskie z Wilnem i jego okolicami, jak i te ukraińskie z Lwowem i innymi miastami (Cz. Miłosz, T. Konwicki, J. Mackiewicz, W. Odojewski, S. Vincenz, A. Zagajewski). Jest to także obecny w polskiej literaturze nurt żydowski (J. Stryjkowski, A. Rudnicki, H. Grynberg, H. Krall), a także nurt wiejski (T. Nowak, E. Redliński, W. Myśliwski). Czesław Miłosz w rozmowie z Tomaszem Venclovą (*Dialog o Wilnie*") pisze: *Dla Vincenza najważniejsze było to, co Simone Weil nazywa enracinement (zakorzenienie), a co jest niemożliwe bez ojczyzny. Ale ojczyzna – państwo to za duże. I kiedy Vincenz marzył o „Europie ojczyzn", miał na myśli małe jednostki teryto-rialne jak jego ukochana Huculszczyzna, zamieszkana przez Ukraińców, Żydów i Polaków.* Ale przecież takie małe ojczyzny to również Litwa (Soplicowo, Zaścianek Dobrzyński i okolice) Adama Mickiewicza, to także Drohobycz Brunona Schulza czy peryferyjna Warszawa (jak wieś!) Mirona Białoszewskiego.

Jest ciekawą rzeczą, że także wielu bardzo młodych pisarzy szuka wspominanego wyżej przez Miłosza „zakorzenienia" w pewnych określonych miejscach; byłby to Gdańsk i okolice w powieści Pawła Huelle „Weiser Dawidek", Beskid Niski w prozie Andrzeja

Stasiuka (interesujący w naszym kontekście jest fakt, że pisarz ten osiadł w dosyć oddalonej od centrów cywilizacyjnych wsi Czarna w Beskidzie) czy Polska kresowa w powieści Anny Boleckiej *Biały Kamień*. Można by pisać o tych wspomnianych wyżej utworach jako o realizacjach mitu arkadyjskiego, a postawę pisarzy uznać za eskapistyczną. Ich książki byłyby formą ucieczki od rzeczywistości „w rajską dziedzinę ułudy". Jednakże tak radykalne wnioski nie byłyby sprawiedliwe. Świat prowincji, świat małych ojczyzn nie jest tylko miejscem, do którego się tęskni jak do mamusinego fartuszka. Jest to miejsce przeżywania pewnych wartości, których po prostu brak współczesnemu, wielkomiejskiemu światu. Takich wartości jak na przykład rodzina – wielopokoleniowa, w miarę normalna, jak prawdziwe autorytety osobowe (dziś zastąpione przez ekspertów, specjalistów, idoli młodzieżowych), jak braterstwo czy dobrze rozumiana tradycja. Szkic ten jest rodzajem westchnienia, jest wyrażeniem niezgody na „program powszechnej amerykanizacji", na wchłonięcie tych małych kultur, małych ojczyzn przez molocha monokultury w stylu zachodniego społeczeństwa dobrobytu. Społeczeństwa zatomizowanego, zimnego, gdzie jeden człowiek boi się drugiego, żyje wygodnie, ale sam (*my home is my castle*), gdzie brak poważniejszych więzi i relacji. Ten szkic jest też wołaniem o realizację Pięćdziesiątnicy w tym pokoleniu, wołaniem o powiew Ducha, który posługuje się nie tylko angielszczyzną, ale każdy słyszy go w swym własnym, prowin-cjonalnym języku. Partowie i Medowie, i Elamici, i mieszkańcy Mezopotamii, Judei i Azji, Frygii oraz Panfilii, Egiptu i tych części Libii, które leżą blisko Cyreny i przybysze z Rzymu. Żydzi oraz prozelici, Kreteńczycy i Arabowie... A także mieszkańcy Pcimia, Kurozwęk i Koziej Wólki.

Przypis

[1] Por. Marshal Mc. Luhan, *Wybór pism*, Warszawa 1975.

Barbara Góra

Białorutenica w lubelskich pismach kulturalno-literackich w latach 1990–1994

Zainteresowania kulturą białoruską mają na Lubelszczyźnie już dość długie tradycje. Biorąc pod uwagę lubelskie pisma kulturalno-literackie trzeba niewątpliwie wspomnieć o ukazującej się od roku 1933 „Kamenie"[1] (W latach 1933–1939 w Chełmie, 1945–1989 w Lublinie i 1989–1993 w Chełmie. W roku 1994 nie ukazał się ani jeden numer tego pisma!), założonej przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego i od początku stawiającej sobie za cel promowanie kultury słowiańskiej w jak najszerszym zakresie. W okresie przedwojennym była ona jednym z nielicznych, obok warszawskiego „Zetu" i „Pionu", lwowskich „Sygnałów" i wileńskiego „Po prostu" pismem literackim piszącym o problemach białoruskich. Później dołączyło do niej wiele innych pism.

Szczególne zainteresowanie kulturą Białorusinów widoczne jest na Lubelszczyźnie jednak dopiero w latach 90-tych. W roku 1990 powstały dwa pisma literackie, w których znalazło się miejsce i dla tych tematów: „Kresy. Kwartalnik Literacki" (w Lublinie) i „Kresy Literackie" (w Chełmie), dołączając do istniejącego już od roku 1980 (w Lublinie) „Akcentu".

W tekstach publikowanych w „Kamenie" poruszano głównie problem tożsamości narodowej Białorusinów. Żaden z autorów nie wspominał o twórczości Białorusinów zamieszkałych w Polsce. W jednym z artykułów wspomniano o mniejszościach narodowych, dwa artykuły poświęcono sztuce białoruskiej. Ponadto „Kamena" zamieściła fragment prozy Wasila Bykawa, po jednym wierszu Janki Kupały i Ryhora Baradulina oraz szkic historyczno-literacki o Franciszku Skarynie (nie biorąc pod uwagę kilku krótkich notatek na tematy współczesne).

Inaczej rzecz się ma z pozostałymi pismami. Pomijając wywiad Danuty Sosnowskiej z Tadeuszem Konwickim („Kresy")[2] – na temat Kresów w ogóle oraz kilku wierszy Maksima Tanka, w tłumaczeniu Wiktora Woroszylskiego („Kresy"), „Akcent", „Kresy" i „Kresy Literackie" piszą tylko i wyłącznie o twórczości „polskich" Białorusinów – Jana Czykwina i Nadziei Artymowicz oraz o sytuacji mniejszości białoruskiej w Polsce.

1. Problemy tożsamości narodowej Białorusinów

Jak już powiedziałam powyżej ogólnie problemem Białorusi i Białorusinów jako nacji z pism lubelskich zajęła się jedynie „Kamena".

Kilka słów na ten temat znajdziemy w artykule Jana Orłowskiego *Hej, Słowianie?* („Kamena" 1990, nr 1, s. 33–35). Jerzy Traczuk w swoim liście do Redakcji zatytułowanym *W sprawie białoruskiego* („Kamena" 1990, nr 2, s. 46) próbuje naszkicować historię białoruskiego języka literackiego. Pomaga mu w tym polemizujący z nim Mieczysław Buczyński („Kamena" 1990, nr 2, s. 46).

Do obszerniejszych należy artykuł Ryszarda Radzika *Kim są Białorusini?* („Kamena" 1991, nr 1, s. 5–8). *Kim są Białorusini i czym jest białoruskość?* – pyta autor we wstępie – *Pytania te, wywołane gwałtownymi zmianami mapy politycznej naszej części Europy, zadawać sobie będziemy - my, Polacy, sąsiedzi Białorusinów – coraz częściej. Odpowiedź na nie winna nie tylko zaspokoić naszą ciekawość bliskiego nam ludu, lecz również ułatwić przewidywanie rozwoju procesów emancypacji politycznej i narodowej społeczeństwa zamieszkującego sąsiadującą z nami republikę* („Kamena" 1991, nr 1, s. 5). By mówić o sytuacji współczesnej (rok 1991) Radzik odwołuje się najpierw do przeszłości narodu białoruskiego i historii kształtowania się jego świadomości narodowej. Twierdzi, że *był to najpóźniej kształtujący się naród Europy Środkowo-Wschodniej, a o narodowym ruchu białoruskim można w pełni mówić dopiero po 1905 roku.* Wcześniej, według Radzika, *białoruskości nadawano sens etnograficzny, lecz nie narodowy*, przyczyny czego autor artykułu szczegółowo objaśnia. Również o współczesnym społeczeństwie białoruskim pisze, że *jest ono społeczeństwem, którego stopień unarodowienia jest stosunko niewielki. Współcześni Białorusini tworzą nowoczesne społeczeństwo etniczno-regionalne. Bliscy są oni zbiorowości etnicznej nie tyle ze względu na odbieranie siebie przez pryzmat wspólnot lokalnych, ile poprzez brak nadania cechom etnicznym charakteru narodowego, a więc tkwienia w swej białoruskości na poziomie kultury folklorystycznej* („Kamena" 1991, nr 1, s. 6). Wspólnota białoruska ma według niego w zasadzie jeden wymiar: teraźniejszość, co wiąże się ze szczególną podatnością na rusyfikację.

Podobny problem porusza artykuł znanego filologa białoruskiego, Adama Maldzisa – *Z Azją czy z Europą? Białoruski punkt widzenia na wspólne dziedzictwo kulturowe* („Kamena" 1993, nr 3-4, s. 14–18). *Dzisiejsza sytuacja na Białorusi* – pisze Maldzis w roku 1993 – *jest specyficzna. Wszyscy u nas mówią, że ta sytuacja jest jak najbardziej stabilna, ale mnie ta stabilność trochę trwoży, bo kiedy jest zbyt „cicho", to znaczy, że może być nagle burza. Mamy już parlament, przywróciliśmy swój herb historyczny. Mamy więc „dach", ale pod tym dachem są chwiejne ściany, i te ściany chwieją się w zależności od wiatru: albo w stronę Wschodu, albo w stronę Zachodu. Pod tym swoim narodowym domem mamy bardzo chwiejny fundament, jest nim właśnie świadomość narodowa, dobra kulturalne, które nasi przodkowie zostawili* („Kamena" 1993, nr 3-4, s. 14). Maldzis mówi też o innych problemach dzisiejszej Białorusi i o historii narodowej, o dokonującym się powrocie na Białoruś dorobku kulturalnego emigracji białoruskiej, *o której przedtem nie było wolno mówić, gdyż na emigracji mógł być tylko wróg. Dziś stwierdza się już, że na przykład Natalia Arsieniewa czy Aleś Saławiej, którzy zostali na emigracji, to są wielcy pisarze białoruscy. Muzyka Kulikowa-Szczahłowa czy Rawieńskiego, obrazy Pawła Mironowicza i innych malarzy, którzy zostali za granicą, to są dzieła, którymi możemy szczycić się* („Kamena" 1993, nr 3-4, s. 17).

2. Literatura i sztuka białoruska powstająca na Białorusi

Mówiąc o sztuce białoruskiej, należy niewątpliwie wspomnieć zamieszczony również w „Kamenie" artykuł białoruskiego historyka sztuki, Walerego Bujwoła, zatytułowany *Młode malarstwo białoruskie* („Kamena" 1993, nr 1-2, s. 2527) oraz tegoż autora szkic pod tytułem *Mastactwa* („Kamena" 1993, nr 1-2, s. 53) o wychodzącym od roku 1982 w Mińsku w języku białoruskim miesięczniku „Mastactwa" – *opiniotwórczym, cenionym czasopiśmie, poświęconym różnym formom i gatunkom ekspresji artystycznej* („Kamena" 1993, nr 1-2, s. 53). *Nowe czasy* – pisze Bujwoł – *akcentuje w miesięczniku ogłaszanie wielu tekstów niedostępnych wcześniej czytelnikom: na przykład o twórczości emigracji białoruskiej, o artystach represjonowanych przez upadły reżim* („Kamena" 1993, nr 1-2, s. 53).

Proza białoruska reprezentowana jest w lubelskich pismach lat 90-tych bardzo słabo – w jednym jedynym numerze „Kameny" znajdujemy zaledwie fragment powieści Wasila Bykawa (tłumaczył z rosyjskiego Michał Sajewicz) *We mgle* („Kamena" 1991, nr 1, s. 13–15).

Poezja to w „Kamenie" wiersz Ryhora Baradulina *Nie ma narodów małych...* (tłumaczył Tadeusz Chróścielewski) („Kamena" 1991, nr 1, s. 9) i *A kto tam idzie?* Janki Kupały (w przekładzie Kazimierza Andrzeja Jaworskiego) („Kamena" 1993, nr 3-4, s. 13).

„Kresy" zamieściły natomiast wybór jedenastu wierszy Maksima Tanka (w tłumaczeniu Wiktora Woroszylskiego) pochodzących z wydanego w Mińsku w roku 1984 zbioru *Za maim stałom* i zatytułowanych łącznie przez tłumacza *Wiersze starego poety* („Kresy" 1993, nr 13, s. 125–130). Zgodnie z nagłówkiem utwory te podejmują problematykę przemijania i żegnania się z życiem.

3. Literatura białoruska tworzona w Polsce i problemy mniejszości białoruskiej w Polsce

Jeśli zaś chodzi o literaturę białoruską Białorusinów zamieszkałych w Polsce, to należy szukać jej w „Kresach", „Kresach Literackich" i „Akcencie". Wiersze Nadziei Artymowicz opublikowały „Kresy" (cztery utwory w przekładzie Tadeusza Karabowicza) („Kresy" 1991, nr 6, s. 51–53), Jana Czykwina – „Akcent" (łącznie dziewięć utworów w przekładach Elżbiety Feliksiak, Floriana Nieuważnego, Jana Leończuka, Jerzego Litwiniuka, Wiktora Woroszylskiego, Mariana Jurkowskiego) („Akcent" 1992, nr 2-3, s. 53–57).

Wszystkie artykuły krytyczne na temat twórczości obojga poetów, zarówno na łamach „Kresów", „Kresów Literackich" jak i „Akcentu", wyszły spod pióra Teresy Zaniewskiej. Nadziei Artymowicz poświęciła ona (w „Kresach") szkic *Znaki niepewności* („Kresy" 1992, nr 9–10, s. 212–216). (Jest to, notabene, skrócona wersja jednego z rozdziałów książki T. Zaniewskiej *Podróż daremna*[3], w której zostały wykorzystane również wyżej wymienione wiersze w tym samym tłumaczeniu – B. G.).

Na temat poezji Jana Czykwina Zaniewska pisze aż w czterech artykułach. Są to: w „Akcencie" – *Nie wstąpię drugi raz do tej rzeki... Rozmowa z Janem Czykwinem, poetą piszącym w języku białoruskim* („Akcent" 1992, nr 2-3, s. 58–65) (Szkic ten jest, z kolei, fragmentem innej książki tej samej autorki – *A dusza jest na wschodzie. Polsko-biało-*

ruskie związki literackie – B. G.[6], – *Srebrne nitki naszych godzin* („Akcent" 1992, nr 2-3, s. 265–268) (recenzja tomiku poetyckiego Jana Czykwina *Kruhawaja czara*[3]), na stronicach „Kresów Literackich" – *Świat pogranicza w liryce Jana Czykwina* („Kresy Literackie" 1993, nr 1, s. 52–54) (treść referatu wygłoszonego przez Zaniewską na sesji naukowej *Człowiek i wartości na pograniczu kultur* w Białymstoku w kwietniu 1992 r.) i wreszcie w „Kresach" – *Podróż daremna (Muza krajobrazu w poezji Jana Czykwina)* („Kresy" 1993, nr 13, s. 200–208) (Jest to znowu skrócona wersja rozdziału *Podróży daremnej*[7]. W książce tej autorka wykorzystała też zamieszczone w „Akcencie" („Akcent" 1992, nr 2-3, s. 53–57) wiersze Czykwina, o których była mowa powyżej – B. G.).

O tych samych białoruskich poetach możemy też przeczytać w króciutkich notkach pod opublikowanymi w pismach ich utworami. Wszystko to za mało, żeby czytelnik mógł sobie wyrobić zdanie na temat białoruskiego środowiska literackiego w Polsce, ale jednak dużo, zważając na to, jak niewiele informacji w tej sprawie podają inne polskojęzyczne wydania.[7]

Czego można więc dowiedzieć się z lubelskich pism o Janie Czykwinie? *Ukończył studia filologiczne na Uniwersytecie Warszawskim i od 1969 jest pracownikiem naukowym tej uczelni. Jako poeta debiutował na łamach „Niwy" w 1957. Od 1970 jest członkiem Związku Literatów Polskich. Dotychczas opublikował siedem tomików poetyckich: Idę* (Białystok 1969), *Święta studnia* (Białystok 1970), *Niepokój* (Białystok 1977), *Na progu świata* (Warszawa 1983), *Splot słoneczny* (Olsztyn 1988), *Jasne mgnienie* (Mińsk 1989), *Droga kielicha* (Białystok 1992)" („Akcent" 1992, nr 2-3, s. 53–57) – tak głosi notka pod jego utworami. Zaniewska natomiast w swych artykułach rozważa problem „Małej ojczyzny" tego poety, uświadamia jak niewielkia to przestrzeń, zaledwie „z Dubicz do Orli"[8]. Zaniewska „Małą ojczyznę" Czykwina utożsamia też ogólnie z pograniczem mówiąc: *Białostoczczyzna z jej wielonarodową i różnowierczą mozaiką stanowi przestrzeń, w której dokonują się skomplikowane procesy wzajemnego oddziaływania różnych wiar i obrzędów. Wszelkie zawęźlenia i skrzyżowania są wielkim bogactwem rzeczywistości pogranicza i swą niepowtarzalną duchowością udzielają się wrażliwości twórców*[9].

Jego twórczość ocenia bardzo wysoko: *Droga kielicha stanowi potwierdzenie wysokiej pozycji, jaką zajmuje w literaturze białoruskiej i polskiej twórczość poetycka Jana Czykwina, o której jeden z krytyków zachodnich napisał, iż autor Jasnego mgnienia włącza poezję białoruską w nurt poezji ogólnoeuropejskiej*[10].

Artykuł poświęcony Nadziei Artymowicz[11] jest natomiast jedynie rzeczową analizą twórczości poetki. Mniej w nim konkretnych elementów, wskazujących na jej białoruskość.

O samej Nadziei Artymowicz czytamy w notce zamieszczonej pod jej wierszami: *Nadzieja Artymowicz jest współczesną poetką białoruską. Urodziła się na Podlasiu i po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Warszawskim, zamieszkała w Bielsku Podlaskim. Jest autorką kilku tomików wierszy, krytycy literatury zaliczają jej twórczość do najwybitniejszych osiągnięć w kulturze białoruskiej. Niekonwencjonalny styl, śmiałe nowatorstwo, a jednocześnie głęboka refleksja filozoficzna – to tylko niektóre określenia twórczości poetki* („Kresy" 1991, nr 6, s. 53).

Opublikowany w „Akcencie" artykuł-wywiad z Janem Czykwinem[12] zawiera też kilka zdań na temat białoruskiego ruchu literackiego „Białowieża". Jan Czykwin na zadane przez Zaniewską pytanie: *Jak pan widzi swoje miejsce w ruchu literackim „Białowieża"*,

jednorodnym narodowościowo, jako poeta ciążący raczej ku uniwersalizmowi?"[13] odpowiada: *Białoruski ruch literacki w Polsce nie jest zupełnie jednorodny. Niemniej można mówić o dużej zwartości tego środowiska. Rzecz przy tym interesująca: od początku istnienia Stowarzyszenie Literackie „Białowieża" nigdy nie ogłosiło żadnego manifestu literacko-artystycznego. Swoista „bezprogramowość" była tu wyrazem nie tylko młodzieńczości „białowieżan", ale także – antycypując ducha demokracji – zdrowej, bo opartej na całkowitej tolerancji i wolności wypowiedzi twórczej, polityki kulturalnej tych kolegów, którzy ów ruch inicjowali i stali na jego czele. Z tego względu nikomu nie było ciasno*"[14].

Sokrat Janowicz na stronicach „Kresów" widzi to natomiast w ten sposób: *Moi znakomici polscy koledzy po piórze z tak zwanego nurtu chłopskiego być może czują do mnie żal, że nie dołączyłem doń ochoczo, tłumacząc ponadto im, że mylnie interpretują moje pisarstwo. Pomimo bezsprzecznego faktu wieśniaczej proweniencji autorów „Białowieży", są oni nie fragmentem zaledwie, lecz całą literaturą białoruską w Polsce*[15].

Obaj pisarze postrzegają swoją twórczość w ścisłym powiązaniu z tradycją polską. Janowicz pisze o pisarzach białorusko-polskich czy polsko-białoruskich,[16] a odpowiedź Czykwina na pytanie Zaniewskiej: *Jaka jest dziś kondycja i sytuacja pisarza białoruskiego w Polsce?*[17] brzmi następująco: *W Polsce, w ostatnim czasie, dotychczasowe miejsce i rola pisarza w ogóle – w hierarchii wartości i potrzeb społecznych – zmieniły się nie do poznania. Przeto także o kondycji literatów białoruskich lepiej nie mówić*[18].

A co lubelskie pisma kulturalno-literackie piszą o mniejszości białoruskiej w Polsce w ogóle? Obszerniej na te tematy traktują cztery artykuły: w „Kamenie" – *Mniejszości narodowe w Polsce* Grzegorza Janusza („Kamena" 1993, nr 1-2, s. 37–40), na łamach „Akcentu" – *Z problemów oświaty białoruskiej w II Rzeczypospolitej* („Akcent" 1992, nr 2-3, s. 66–72) i *Powojenne losy mniejszości białoruskiej w Polsce* („Akcent" 1994, nr 3-4, s. 163–165) – oba autorstwa Waldemara Dagilisa, oraz wspomniany już opublikowany w „Kresach" artykuł Sokrata Janowicza[19].

Trzy pierwsze szkice noszą charakter przede wszystkim historyczny. Waldemar Dagilis mówiąc o powojennych losach mniejszości białoruskiej w Polsce pisze: *O istnieniu i problemach mniejszości narodowych w PRL nie mówiło się i nie pisało, gdyż był to temat nie pasujący do oficjalnej propagandy, która głosiła, że Polska Ludowa jest państwem jednolitym narodowościowo. Nieliczne publikacje o mniejszości białoruskiej, zamieszkałej głównie na Białostocczyźnie, zaczęły się pojawiać po odwilży październikowej 1956* [podaje przykłady pozycji książkowych na ten temat – B. G.] *oraz w latach osiemdziesiątych po odwilży solidarnościowej* [j.w. – B. G.]. *Dopiero po upadku władzy komunistycznej pojawiły się możliwości obiektywnych studiów na temat mniejszości narodowych w Polsce po drugiej wojnie światowej*"[20]. Dalsza część artykułu to recenzja książki Eugeniusza Mironowicza *Białorusini w Polsce 1944–49* (PWN, Warszawa 1993). *Białoruska mniejszość, naprędce odchamiając się* – pisze Sokrat Janowicz – *gremialnie przenosi się na wyparkietowane metraże, co w jej sytuacji oznacza zarazem wolne i nieprzymusowe wynarodowienie. Bohaterowie moich opowiadań i opowieści szli tuż za mną, jak gdyby hurmem opuszczając tysiącletnie mateczniki i zabobonnie plując za siebie, zasiedlili dookolne blokowiska, z okien których pozierając uradowanie, że i oni oto nie są głupsi ode mnie albo i prześcignęli w „załapaniu się" z gorszego na lepsze*"[21]. Kończy swój artykuł optymistycznym akcentem: *Istnienie mniejszości etniczno-narodowych, współanimowa-*

nej przez nie kultury pogranicza, jest nie tylko obiektywną rzeczywistością, z którą należy tak czy inaczej się liczyć, lecz wręcz szczęśliwie zesłanym przez Wielmożną Panią Historię dobrodziejstwem ku pożytkowi wszystkiego obywatelstwa Kraju, mieniącego się europejskim, wprost żywą okazją do kształtowania w nim postaw tolerancji i otwartości[22].

*

W latach 90-tych w lubelskich pismach kulturalno-literackich można zaobserwować wyraźny podział kompetencji. „Kamena" skupia się na problemie tożsamości narodowej Białorusinów w ogóle, „Akcent", „Kresy" i „Kresy Literackie" podejmują tematykę związaną z białoruskim środowiskiem literackim w Polsce i mniejszością białoruską.

„Kamena" współczesna skupia wokół siebie i tłumaczy w dużej mierze autorów związanych z Lublinem, trzy pozostałe pisma – z Białymstokiem.

Białorutenika na stronicach tych periodyków to przede wszystkim artykuły o treści społeczno-kulturalnej, historycznej bądź historycznoliterackiej. Jeśli zaś chodzi o utwory literatury białoruskiej, zdecydowanie przeważa poezja (Maksim Tank, Jan Czykwin, Nadzieja Artymowicz, Janka Kupała, Ryhor Baradulin). Prozę reprezentuje zaledwie jeden fragment powieści (Wasil Bykaw). Brak natomiast jakiegokolwiek przykładu dramatu białoruskiego.

Być może, statystyka ta odwzorowuje ogólne tendencje panujące w polskich polskojęzycznych pismach kulturalno-literackich w ostatnich latach.

Przypisy

[1] O białorutenistycznych zainteresowaniach „Kameny" piszę obszerniej w swojej pracy magisterskiej powstałej pod kierunkiem prof. Ryszarda Łużnego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na Filologii Słowiańskiej: B. Góra, *Białoruś na łamach „Kameny" w latach 1933–1993*, Lublin 1994.

[2] *Kresy mogą być zarzewiem Karabachu lub ciepłym plastrem na obolałe boki społeczeństw* (*Rozmowa z Tadeuszem Konwickim*) – D. Sosnowska, „Kresy" 1993, nr 13, s. 50–55.

[3] T. Zaniewska, *Spalony cień nadziei*, [w:] T. Zaniewska, *Podróż daremna. Szkice o poezji białoruskiej w Polsce*, Białystok 1992, s. 25–35.

[4] T. Zaniewska, *Nie wstąpię drugi raz do tej rzeki...*, [w:] T. Zaniewska, *A dusza jest na wschodzie. Polsko-białoruskie związki literackie*, Białystok 1993, s. 23–24.

[5] J. Czykwin, *Kruhawaja czara*, Białystok 1992.

[6] T. Zaniewska, *Podróż daremna. Krajobraz w poezji Jana Czykwina*, [w:] T. Zaniewska, *Podróż daremna...*, s. 57–74.

[7] Patrz: Bibliografia do książki Teresy Zaniewskiej, *Podróż daremna*, s. 131–133.

[8] T. Zaniewska, *Srebrne nitki naszych godzin*, „Akcent" 1992, nr 2-3, s. 266.

[9] T. Zaniewska, *Świat pogranicza w liryce Jana Czykwina*, „Kresy Literackie" 1993, nr 1–2, s. 52.

[10] T. Zaniewska, *Srebrne nitki...*, s. 265–266.

[11] T. Zaniewska, *Znaki niepewności*, „Kresy" 1992, nr 9-10, s. 212–216.

[12] *Nie wstąpię drugi raz do tej rzeki...* Rozmowa z Janem Czykwinem [Teresa Zaniewska], „Akcent" 1992, nr 2-3, s. 58–65.

[13] Tamże, s. 65.

[14] Tamże, s. 65.

[15] S. Janowicz, *Pisarz pogranicza. Sytuacja białorusko-polska*, „Kresy" 1993, nr 13, s. 206.

[16] Tamże, s. 207.

[17] *Nie wstąpię drugi raz do tej rzeki...*, „Akcent" 1992, nr 2-3, s. 207.

[18] Tamże, s. 58.
[19] S. Janowicz, *Pisarz pogranicza...*, s. 204–208.
[20] W. Dagilis, *Powojenne losy mniejszości białoruskiej w Polsce*, „Akcent" 1994, nr 3–4, s. 163–164.
[21] S. Janowicz, *Pisarz pogranicza...*, s. 206–207.
[22] Tamże, s. 208.

BIBLIOGRAFIA BIAŁORUTENIKÓW W LUBELSKICH PISMACH KULTURALNO-LITERACKICH LAT 1990–1994*

1990

„Kamena"

Nr 1

s. 33–35:

Jan Orłowski, *Hej, Słowianie?* [artykuł]

Nr 2

s. 46:

Jerzy Traczuk, *W sprawie białoruskiego* [list do redakcji]

Mieczysław Buczyński [bez tytułu] [list do redakcji].

1991

„Kamena"

Nr 1

s. 5:

Ryszard Radzik, *Kim są Białorusini?* [artykuł]

s. 9:

Ryhor Baradulin, *Nie ma narodów małych...* [tłum. Tadeusz Chróścielewski; wiersz]

s. 10–12:

Włodzimierz Kazbiaruk, *Ja, Franciszek, syn Skaryny z Połocka* [artykuł]

s. 12:

[Bez podpisu], *Włodzimierz Kazbiaruk* [notka biograficzna]

s. 13–15:

Wasil Bykow, *We mgle* [tłum. Michał Sajewicz; fragment powieści]

s. 15:

[Bez podpisu], *Wasil Bykow* [notka biograficzna]

Nr 3/4

s. 1–2:

Jan Lewandowski, *Między Wschodem i Zachodem. A nas przy tym wcale nie było* [artykuł o kolokwium LTN „Między Wschodem i Zachodem w Lublinie. Temat: Historia Białorusi, Litwy i Polski]

„Kresy"

Nr 6

s. 51–53:

Nadzieja Artymowicz [wiersze]: *Bezmierne zamyślenie mojej ziemi...* [s. 51]; *Po każdym dniu znaków zapytania...* [s. 52]; *Poeci umierają wtedy...* [s. 52]; *Nieoczekiwanie zadudni echo...* [s. 53]; [tłum. Tadeusz Karabowicz]

s. 53:

[Bez podpisu], *Nadzieja Artymowicz* [notka biograficzna]

1992

„Kresy"

Nr 9/10

s. 212–216:

Teresa Zaniewska, *Znaki niepewności (O twórczości Nadziei Artymowicz)* [artykuł]

„Akcent"

Nr 2/3

s. 53–57:

Jan Czykwin, [wiersze]: *Łódka i wiosła. Brzegi całe w kwiatach...* [tłum. Elżbieta Feliksiak] [s. 53]; *Czemu tak wcześnie...* [tłum. Florian Nieuważny] [s. 53]; *Elegia nocy* [tłum. Jerzy Litwiniuk] [s. 54]; *Myszy* [tłum. Elżbieta Feliksiak] [s. 54–55]; *Zielonym płomieniem...* [tłum. Wiktor Woroszylski] [s. 55]; *Dawno ojciec umarł...* [tłum. Marian Jurkowski] [s. 55]; *Fenomen dnia* [tłm. Elżbieta Feliksiak] [s. 55–56]; *Wąsie, wiekami sławny...* [tłum. Elżbieta Feliksiak] [s. 56–57];

s. 57:

[Bez podpisu], *Jan Czykwin* [notka biograficzna]

s. 58–65:

Nie wstąpię drugi raz do tej rzeki... Rozmowa z Janem Czykwinem, poetą piszącym w języku białoruskim [przeprowadzona przez Teresę Zaniewską; artykuł]

s. 66–72:

Waldemar Dagilis, *Z problemów oświaty białoruskiej w II Rzeczypospolitej* [artykuł]

s. 265–268:

Teresa Zaniewska, *Srebrne nitki naszych godzin*, [recenzja: Jan Czykwin, *Krubawaja czara*, Białystok 1992]

1993

„Kamena"

Nr 1/2

s. 25–27:

Walery Bujwoł, *Młode malarstwo białoruskie* [artykuł]

s. 27:

[Bez podpisu], *Walery Bujwoł* [notka biograficzna]

s. 37–40:

Grzegorz Janusz, *Mniejszości narodowe w Polsce* [artykuł]

s. 53:

Walery Bujwoł, *Mastactwa* [artykuł o białoruskim czasopiśmie artystycznym]

Nr 3/4

s. 13:

Janka Kupała, *A kto tam idzie?* [tłum. K. A. Jaworski; wiersz]

s. 14–18:

Adam Maldis, *Białoruski punkt widzenia na wspólne dziedzictwo kulturowe. Z Azją czy z Europą?* [artykuł]

s. 18:

[Bez podpisu], *Adam Maldis* [notka biograficzna]

„Kresy Literackie"

Nr 1/2

s. 52–54:

Teresa Zaniewska, *Świat pogranicza w liryce Jana Czykwina* [artykuł]

„Kresy"

Nr 13

s. 50–55:

Kresy mogą być zarzewiem Karabachu lub ciepłym plastrem na obolałe boki społeczeństw (Rozmowa z Tadeuszem Konwickim) [przeprowadzona przez Danutę Sosnowską; artykuł]

s. 125–130:
Maksim Tank, *Wiersze starego poety* [wiersze; tłum. Wiktor Woroszylski]: *Dzisiaj często sam siebie pytam...* [s. 125]; *Na pogrzeb rzeki* [s. 125–126]; *Tak, jak by zadźwięczała piosenka...* [s. 126]; *O filozofach* [s. 126–127]; *Niegdyś starczało mi...* [s. 127]; *Może trzeba by było...* [s. 127]; *Było to tamtej jesieni...* [s. 128]; *I w mojej Pilkowszczyźnie...* [s. 128–129]; *Odlatując na wyraj...* [s. 129]; *Jak można było w spisie...* [s. 129]; *Idzie niewidomy...*[s. 130];
s. 200–204:
Teresa Zaniewska, *Podróż daremna (Muza krajobrazu w poezji Jana Czykwina)* [artykuł]
s. 204–208:
Sokrat Janowicz, *Pisarz pogranicza. Sytuacja białorusko-polska* [artykuł]

„Sriptores Scolarum"

Nr 1
s. 75–77
Łukasz Galbal, *Nie-sonety Nie-Krymskie, a Białoruskie* (wiersze)

1994

„Akcent"

Nr 3/4
s. 163–165:
Waldemar Dagilis, *Powojenne losy mniejszości białoruskiej w Polsce* [recenzja książki: Eugeniusz Mironowicz, *Białorusini w Polsce 1944–1949*, Warszawa 1993]

Mariusz Pitura

Asar Eppel* – tłumacz, literat, badacz kultury żydowskiej

„Pytacie, dlaczego przyjechałem do Polski? Otóż jest kilka powodów mojej tutaj obecności. Po pierwsze przyjechałem jako tłumacz literatury polskiej na język rosyjski. Po drugie jako Polak z pochodzenia. Moja matka urodziła się właśnie tutaj w Lublinie, a dokładnie w jego centrum w domu przy ulicy Grodzkiej 19. Nawiasem mówiąc chciałbym ofiarować ten dom zaprzyjaźnionemu ze mną Teatrowi NN."

Asar Eppel

Mimo polskiego pochodzenia matki Asar Eppel nie wiedział o Polsce zbyt wiele, a wypowiadane przez nią słowa w języku ojczystym traktował z przymrużeniem oka. Wkrótce miejsce obojętności zajęło zainteresowanie, następnie fascynacja.

Kiedy w Polsce po wydarzeniach czerwca i października 1956 roku do władzy doszedł Władysław Gomułka, rozpoczął się okres „odwilży", liberalizacji władz, obserwowany nie tylko nad Wisłą. Właśnie wtedy w centrum Moskwy przy ulicy Maksima Gorkiego dochodzi do otwarcia pierwszej księgarni z wydawnictwami krajów demo-

* **Asar Eppel** urodził się w Moskwie w roku 1935. Po ukończeniu Instytutu Inżynieryjno-Budowlanego podjął pracę w zawodzie dziennikarza. Wkrótce potem poświęcił się literaturze, głównie dziecięcej, oraz tłumaczeniu z polskiego. Język nasz opanował w dużej mierze dzięki matce, która urodziła się w Lublinie. Eppel tłumaczył przede wszystkim poezję – M. Reja, J. Kochanowskiego, S. Klonowica, M. Sępa-Szarzyńskiego, A. i Z. Morsztynów, Sz. Zimorowica, D. Naborowskiego, I. Potockiego, K. Twardowskiego, T. Zielińskiego i A. Mickiewicza, a także poetów dwudziestowiecznych – L. Staffa, J. Tuwima, J. Iwaszkiewicza, A. Słonimskiego, K. I. Gałczyńskiego, T. Różewicza, W. Szymborską i innych. Przełożył też liczne utwory dla dzieci, przede wszystkim J. Brzechwy i J. Tuwima. Jego translatorskie zainteresowania są bardzo różnorodne. W dziedzinie prozy ma na koncie zarówno pierwszy tom „Ogniem i mieczem" (drugi przetłumaczyła K. Starosielska), jak i felietony Wiecha. Za wybitne osiągnięcia uważany jest jego przekład prozy Brunona Schulza, który ukazał się parę lat temu.

Jako twórca oryginalny dał się poznać stosunkowo niedawno. Duży sukces (także na Broadwayu) zyskał musical „Furman i król", do którego Eppel napisał libretto, oparte na utworach I. Babla. W czasie pierestrojki zaczął publikować opowiadania w czasopismach. Przekładane były na polski, włoski, angielski i francuski. Część z nich autor zebrał w tomie „Trawiasta ulica", uznanym za książkę roku 1994. Tematycznie związane są z okresem młodości pisarza, spędzonej na peryferiach Moskwy, w Ostankinie. Opowiadanie „Lipiec" pochodzi właśnie z tego tomu.

J. Cz.

kracji ludowej. Jak mówi sam Eppel: *...wszyscy odczuli, że w naszym szarym, moskiewskim życiu nastąpił zwrot.* Gdy młody Asar po raz pierwszy przestąpił próg składnicy książek wzrok jego przykuł opasły tom. Podszedł do niego, otworzył i powoli zaczął czytać. Jako że wcześniej pisał wiersze w języku niemieckim, alfabet łaciński nie stanowił dla niego zbytniej trudności. Na okładce księgi widniał napis: Julian Tuwim *Bal w operze*. Tak rozpoczęła się przygoda Asara Eppela z literaturą polską.

W domu, praktycznie z zerową znajomością języka, słowo po słowie rozpoczął żmudną pracę tłumacza. Trud się opłacił. Teraz, jak sam przyznaje, jest to jego najlepsze tłumaczenie, z niemałego przecież dorobku. Z prozy jest to głównie *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza. Natomiast jeśli mowa o poezji, Assar Eppel dokonał translacji praktycznie wszystkich ważniejszych dzieł liryki polskiej, od czasów Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego począwszy, aż na Leopoldzie Staffie skończywszy. Lecz niewątpliwie największą zasługą Eppela dla kultury polskiej jest tłumaczenie opowiadań wybitnego prozaika Bruno Schulza, oraz wydanie ich mimo nieprzychylnego stanowiska władz ówczesnego Związku Radzieckiego. Słów uznania nie można także tutaj odmówić Michałowi Grynburgowi, człowiekowi, który przy Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Moskiewskiego, założył małe wydawnictwo, gdzie ukazało się wiele interesujących pozycji z zakresu kultury żydowskiej, między innymi wspomniane już dzieła Schulza – książka która przyniosła sławę zarówno tłumaczowi jak i jego wydawcy. Nakładem tegoż wydawnictwa ukazała się również inna wartościowa książka, będąca zbiorem ukraińskich pieśni ludowych, oraz tych nielicznych utworów w języku jidisz, które przetrwały drugą wojnę światową i równie krwawe stalinowskie czystki kulturowe.

Asar Eppel będąc aktywnym twórcą nie poprzestał jedynie na tłumaczeniu. Podjął również niebanalne wyzwanie adaptacji dramatu Izaaka Babla *Zmierzch* dla potrzeb musicalu. Sam Babel napisał *Zmierzch* w 1927 roku, a już rok później doprowadził do jego wystawienia. Mimo wspaniałej obsady sztuka dość szybko zeszła z afiszy. Stało się tak głównie przez zarządzenie władz sowieckich, które z osoby Babla uczyniły *persona non grata*. Pierwszym, który po ponad sześćdziesięciu latach nie obawiał się powołać na jego nazwisko był właśnie Eppel. To on przy współudziale renomowanego teatru im. Majakowskiego w Moskwie rozpoczął przygotowania do wystawienia musicalu według Babla. Mimo początkowych nieprzychylnych opinii krytyki sztuka odniosła niespodziewany sukces, tym większy, że została zauważona za oceanem. *Zmierzch* wystawiano w Filadelfii, niestety tylko na poziomie tzw. off-brodway'u. Nie znalazł się prawdziwy mecenas, który mógłby umożliwić wystawienie musicalu na deskach prawdziwego Brodway'u.

Wszyscy znamy Eppela jako pisarza i wybitnego tłumacza. Jednak mało kto wie, że jest również badaczem kultury żydowskiej. To on wraz z ekipą telewizji włoskiej odbył podróż po terenach dawnej, okupacyjnej strefy niemieckiej, gdzie po drugiej wojnie światowej cudem ocalało kilka żydowskich osad z oryginalną zabudową i ludźmi mówiącymi w języku jidisz. Eppel na spotkaniu z lubelską młodzieżą w Teatrze NN, mówiąc o tej wyprawie, skupił się na jednym małym żydowskim miasteczku. Na jego przykładzie pokazał jak niewiele świadomości kulturowej zostało tamtejszym ludziom po okresie władzy sowieckiej. Pokazał jak totalitarny reżim w ślepej pogoni *za rządem dusz* zdołał nawet wymóc na Żydach zaprzestanie praktykowania ich największego święta – Jom

Kippur. Udawało się to przez kilkadziesiąt długich lat. Ludność miasteczka opisywanego przez Eppla wierzyła jednak w zmianę sytuacji. Wreszcie stało się. Do miasteczka przypadkiem przybył młody chasyd z Nowego Jorku. To właśnie on wykupił część pomieszczenia, które kiedyś było Synagogą, przemianowaną następnie decyzją władz na salę gimnastyczną. Tam ku uciesze gminy zorganizowano obchody święta Jom Kippur. Dla jednych pierwsze od wielu lat, dla innych pierwsze w życiu.

Podróż Eppela obejmowała przede wszystkim miejsca, które na stałe zapisały się na kartach historii i wniosły niemały wkład w rozwój kultury międzynarodowej. Eppel odwiedził m.in. miejsca opisywane przez Henryka Sienkiewicza w *Ogniem i mieczem* –Kamieniec Podolski, Chocim, raz rozmawiał z ludźmi, którzy przeżyli straszliwy pogrom atamana Semena Petlury. Odwiedził Międzybórz – rodzinne miasteczko założyciela ruchu chasydzkiego Baal Szem Towa.

Widział imponujących rozmiarów kirkut w miasteczku Satanow. Na cmentarzu tym jest obecnie około czterech tysięcy starych macew, z których każda mogłaby być eksponatem w renomowanym British Museum.

Janusz Kowalczyk

Karpaccy potomkowie Białych Chorwatów

I krążą planety i trwa Łemków niebo
Mocno tkwią w ziemi cerkiewne korzenie
*/*Jerzy Harasymowicz, *Złockie niebo cerkiewne/*

1. Między Sanem a Popradem

Góry zawsze stanowiły naturalną granicę oddzielającą narody i państwa. Karpaty wytyczyły linię rozdzielającą Polaków i Słowaków, Ukraińców i Rumunów. Karpacki łuk wyznaczył niegdyś rubież między Rzeczpospolitą a Hospodarstwem Mołdawii, Księstwem Siedmiogrodu i Królestwem Węgier. Wraz z upływem czasu zmieniały się państwa – granice pozostawały.

Środowisko górskie determinowało kształt kultury, zajęć, obyczajów zamieszkujących je społeczności. Czas płynie tam wolniej: przywiązani do tradycji górale żyją ustalonym od pokoleń rytmem, niechętnie ulegając jakimkolwiek „nowinkom". Trudno dostępne karpackie doliny stały się kolebką pasterskich ludów – Huculów, Bojków, Łemków – do dziś pielęgnujących swe archaiczne kultury.

Łemkowszczyzna to część Karpat Zachodnich obejmująca zachodni skrawek Bieszczadów, Beskid Niski oraz wschodnie połacie Beskidu Sądeckiego. Na południowym stoku karpackiego grzbietu obejmuje zachodni fragment Ukrainy Zakarpackiej i tzw. Preszowszczyznę, czyli środkową i północną część okręgu szaryskiego na Słowacji. Po stronie polskiej rozciąga się od rzek Solinka i San na wschodzie do Popradu na zachodzie.[1]

Mieszkańcy tych terenów pierwotnie określali się jako „Rusnaky"; po raz pierwszy w literaturze nazwa „Łemko" pojawiła się w 1834 r. w wydanej przez Osypa Lewickiego gramatyce języka dla ludności ruskiej w Galicji. Nazwa ta pojawiła się również u Wincentego Pola.[2] Pierwotnie nazwy „Łemko" używali w stosunku do Rusinów zamieszkujących Beskid Niski ich sąsiedzi ze wschodu – Bojkowie. Nazwa miała charakter przezwiskowy, gdyż zapożyczony z języka słowackiego wyraz „łem", znaczący „tylko, jeno" – często używany przez Łemków, a nie znany w innych rusińskich dialektach – raził ich

sąsiadów. Z czasem określenia „Łemko", „Łemkiwszczyna" zostały przyjęte jako własne przez Rusnaków.[3]

Podstawowym źródłem utrzymania Łemków było rolnictwo i pasterstwo. Kamieniste poletka nie przynosiły wielkich plonów a sama uprawa stała na niskim poziomie. Jeszcze na przełomie XIX i XX w. używano drewnianych pługów ciągniętych przez dwie pary wołów. Nieurodzajną górską rolę obsiewano owsem, żytem, jęcznieniem i koniczyną, sadzono też ziemniaki.[4]

Pamięć o swych pasterskich tradycjach przechowują Łemkowie do dziś. Jednak pasterstwo nie miało tu najlepszych warunków rozwoju ze względu na brak naturalnych hal na obszarze całej Łemkowszczyzny. Istniejące polany grzbietowe zostały wykarczowane przez człowieka. Wypalanie połaci lasu w celu pozyskania pastwisk lub terenów uprawnych odnotowywano jeszcze po II wojnie światowej. W dolinach i środkowych partiach stokowych rozwijała się uprawa roli zaś w rejonach grzbietowych oraz na polanach i w lasach odbywał się wypas trzód, głównie owiec i kóz.[5]

Nie jest przypadkiem, że jednym z głównych postulatów organizacji łemkowskich jest obecnie żądanie zwrotu odebranych im przez komunistyczne władze lasów.[6] Były one bowiem istotnym źródłem dochodów. Latem kobiety zbierały w nich jagody i grzyby, sprzedawane następnie w mieście. Mężczyźni zaś trudnili się ścinką i obróbką drewna. W lesie produkowano też smołę oraz wytapiano dziegieć wykorzystywany jako lekarstwo w ludowej medycynie i weterynarii.

Źródłem zarobków było także tzw. maziarstwo. Prof. Roman Reinfuss podaje, że mieszkańcy wsi Łosie handlujący smarami z miejscowych kopanek ropy naftowej docierali przed I wojną światową na Litwę i Łotwę oraz objeżdżali Kongresówkę, Galicję, Węgry, Morawy i Ukrainę.[7]

Przeludnione beskidzkie doliny pozwalały jedynie na bardzo skromne utrzymanie. Dlatego Łemkowie masowo udawali się na sezonowe roboty rolne do posiadłości na nizinach, zarówno po stronie galicyjskiej jak i węgierskiej. Od 1880 r. rozpoczęła się emigracja zarobkowa za Ocean. Poprawy sytuacji szukali górale głównie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.[8]

2. Dziedzictwo świętych Cyryla i Metodego

Co do pochodzenia Łemków formułowane są różne, często przeciwstawne hipotezy. Badacze ukraińscy uważają, że klin ruskiego osadnictwa, sięgający w Karpatach niemal pod Pieniny, stanowi pozostałość z czasów panowania Rusi Kijowskiej, terytorium której sięgało o wiele dalej na zachód i północ niż to się przyjmuje w polskiej historiografii. Według tej teorii, po upadku państwa kijowskiego pod naporem Tatarów w XIII wieku, ludność ruska była wypierana przez polskich kolonistów z atrakcyjnych gospodarczo równin i tylko trudniej dostępne i nieurodzajne karpackie ostępy stały się ostoją dla Rusinów.[9] Jednym z dowodów na istnienie ścisłego związku Łemkowszczyzny z Rusią Kijowską mają być, występujące po obu stokach Karpat, takie nazwy wiosek jak Czernihów, Kijów i Lwów.[10]

Wśród naukowców polskich przeważa teoria migracji wołoskiej, według której pod koniec średniowiecza na bardzo nieliczne osadnictwo polskie w Karpatach nałożyła się

wołosko-ruska fala pasterzy przybywających ze wschodu. Miały to być grupy o mieszanym składzie etnicznym, złożone z bałkańskich nomadów, tzw. Arumunów, z domieszką południowych Słowian, Albańczyków i dużej liczby Rusinów. Zanim wołoscy pasterze dotarli na późniejszą Łemkowszczyznę ich skład został zdominowany w Karpatach Wschodnich przez ludność ruską. Zwolennik tej teorii prof. Reinfuss twierdzi, że Łemkowie stanowią grupę etniczną ukształtowaną w długim procesie historycznym, przez wchłanianie różnych elementów. Jego zdaniem w jedną całość zlało się osadnictwo polskie oraz Arumuni wraz z towarzyszącymi im południowymi Słowianami i Albańczykami. W XV i XVI w. fala osadnictwa ruskiego zasymilowała językowo wszystkie elementy etniczne przyjmując jednocześnie pewne treści kulturowe od swych poprzedników. Świadczyć o tym mają liczne w Beskidach nazwy geograficzne pochodzenia rumuńskiego i albańskiego.[11]

Sami Łemkowie zdecydowanie odrzucają teorię migracji wołoskiej, gdzie indziej doszukując się swych korzeni. W ich świadomości żywy jest przekaz o plemieniu Białych Chorwatów, którzy zamieszkiwali Karpaty już w V wieku po Chrystusie. Słowiańskie plemiona uprawiające rolę nazywano Polanami, żyjące wśród lasów – Drewlanami, mieszkające nad Bugiem – Bużanami, także nazwa Chorwatów wiąże się ze środowiskiem jakie zasiedlali. Chorwaci żyli w górach, w języku ówczesnych Słowian – horach. Z czasem dźwięczna głoska „h" przeszła w bezdźwięczne „ch".[12] Pojawia się jednak pytanie skąd określenie „biali"?

Kolory u dawnych Słowian wykorzystywane były do oznaczania stron świata; barwa biała symbolizowała zachód.[13]. Tak więc sama nazwa Białych Chorwatów wskazuje, iż chodzi o plemię słowiańskie zamieszkujące położone na zachodzie góry.[14]

W wieku VII większość Chorwatów przesiedliła się na Bałkany. Pozostałych w Karpatach podbiła w 885 r. Ruś Kijowska.[15] Mimo, że pokonani przyjęli nazwę „Rusini" czy „Rusnacy", to jednak – jak twierdzi czołowa działaczka łemkowskiego ruchu narodowego Helena Duć-Fajferowa – ślady ich odrębności zauważalne są nadal w językowej i kulturowej swoistości Rusinów Zachodnich.[16] Poeta Pawło Stefanowski z Bielanki pisał o swoich przodkach:

Urodzeni w Karpatach
na skrzydłach Rusi
z pradziada Chorwata.[17]

Innym rozpowszechnionym wśród Łemków poglądem na temat ich etnogenezy jest wiara w fakt chrystianizacji ich przodków przez Apostołów Słowian – świętych Cyryla i Metodego. Nie tak dawno Łemkowie obchodzili tysiącsetną rocznicę chrztu swojej ojczyzny. Nie ma jednak żadnego dokumentu świadczącego w sposób niepodważalny, że Cyryl i Metody przebywali na obszarze Łemkowszczyzny. Ani materiały archeologiczne, ani historyczne nie potwierdzają też ciągłości osadnictwa między ruskimi Chorwatami a Łemkami.[18] Również badania lingwistyczne dostarczają nie budzących wątpliwości dowodów, iż lemkowskie dialekty nie są autochtoniczne.[19] Można w związku z tym wysnuć wniosek, że łemkowski punkt widzenia na własną genezę stanowi zbiór mitów odgrywających, prawdopodobnie, istotną rolę w procesie formowania się odrębności grupowej.

Najbardziej przekonującą, naszym zdaniem, teorię etnogenezy Łemków prezentuje Zofia Szanter, która odrzuciła koncepcję migracji wołoskiej łukiem Karpat. Pokryte dziewiczą puszczą strome zbocza i wąskie doliny stanowiły zbyt trudną do pokonania przeszkodę, nawet dla doświadczonych bałkańskich pasterzy. Zdaniem badaczki ruska kolonizacja dokonała się z południowych stoków. Inni uczeni potwierdzają, że rozległe, czysto słowackie dziś tereny były przed wiekami opanowane przez żywioł wschodniosłowiański. Pogorszenie sytuacji gospodarczej i prześladowania prawosławnych w Królestwie Węgierskim w XV w. oraz rozprzestrzenianie się imperium ottomańskiego na Półwyspie Bałkańskim były czynnikami zmuszającymi Rusinów do opuszczenia swoich siedzib. Równocześnie obserwuje się wzmożony napływ osadników w Beskid Sądecki i Niski.[20] Ścisły związek między sytuacją na Węgrzech a rozwojem osadnictwa w Karpatach zdaje się nie budzić wątpliwości.

3. Kacapy i Mazepińcy

Paradoks historii sprawił, że okres II wojny światowej minął na Łemkowszczyźnie względnie spokojnie i bez większych strat. Dramat nastąpił później.

W roku 1945 Łemkowie, jako ludność ruska, poddawani byli propagandzie zachęcającej do wyjazdu do Związku Sowieckiego. Część z nich dobrowolnie, część zaś ulegając naciskom opuściła rodzinne Beskidy. Jednak wsie rozsiane na północnym stoku karpackiego grzbietu opustoszały całkowicie dopiero dwa lata później, w wyniku tzw. akcji „Wisła", przeprowadzonej przez Państwowy Komitet Bezpieczeństwa i wojsko. Celem oficjalnym akcji było ostateczne rozbicie Ukraińskiej Powstańczej Armii, a polegała ona na wysiedlaniu Ukraińców z obszaru południowo-wschodniej Polski na ziemie odzyskane i północne.[21] Uzasadniony wydaje się pogląd, iż prawdziwym motywem przeprowadzonej przez komunistów czystki etnicznej była chęć pozbycia się ewentualnego problemu mniejszości narodowych.

Jako Ukraińców traktowano wszystkich Łemków, niezależnie od ich narodowego poczucia. W ciągu kilku miesięcy 1947 r. wysiedlono 170 tys. osób.[22] Oblicza się, że w wyniku powojennych przesiedleń Łemkowszczyznę opuściło od 105 do 120 tysięcy jej mieszkańców.[23] Wiele gmin zostało niemal całkowicie wyludnionych. W miejscu dawnych wsi i pól wyrósł las, liczne zabytkowe cerkwie uległy zniszczeniu. Jerzy Harasymowicz tak pisał o łemkowskiej tragedii:

[...]
I pojechał na wygnanie naród z kozą na sznurku
W rozpaczy rozrzucała cerkiew po dolinach swe dzwony
[...].[24]

Dopiero po roku 1956 pojawiła się dla Łemków możliwość powrotu na ojczystą ziemię. Część dawnych mieszkańców wróciło w Beskidy, ale wiele rodzin pozostało w zachodnich i północnych rejonach Polski, gdzie przyszły na świat ich dzieci, gdzie kamienistą ziemię zastąpiły urodzajne gleby, gdzie dla niektórych otworzyły się perspektywy społecznego awansu.

Mimo dramatycznej historii społeczność łemkowska jest nadal podzielona. Aby zrozumieć przyczyny tego rozbicia trzeba się cofnąć o kilka wieków.

Przodkowie Łemków, jak już pisaliśmy, byli wyznawcami prawosławia i mimo, że po zawarciu Unii Brzeskiej w 1596 r. zostali organizacyjnie podporządkowani Kościołowi Katolickiemu, zachowując bizantyjską liturgię i pewną autonomię, to jednak sympatia dla Cerkwi Prawosławnej pozostała żywa.

Dopiero na początku ubiegłego wieku rozpoczął się wśród Rusinów proces budzenia świadomości narodowej, bazującej w znacznym stopniu na poczuciu odrębności religijnej, językowej i kulturowej względem Polaków. Ruch ów, opierający się głównie na duchowieństwie greckokatolickim miał początkowo charakter moskalofilski. Wśród Rusinów rozwinęło się w I połowie XIX w. poczucie przynależności do Rusi, czyli całej Słowiańszczyzny wschodniej. Kierunek ten, nazywany też staroruskim, głosił potrzebę zjednoczenia Słowian wschodnich pod panowaniem cara i propagował prawosławie.[25]

Trend moskalofilski, określany niekiedy mianem „świętojurskiego" został szybko przyjęty w Karpatach. Prorosyjskie sympatie wzmogły się wśród Łemków po roku 1848, kiedy to armia carska przechodziła tędy na Węgry, by pomóc Habsburgom w tłumieniu powstania Kossutha. Rosjanie – bliscy językiem i wyznaniem – uważani byli przez Łemków za bratni lud.

Budząca się w II połowie ubiegłego wieku ukraińska świadomość narodowa, akcentująca odrębność od Rosjan, znalazła dość szybko poparcie Rusinów we wschodniej Galicji. Narodową ideologię ukraińską przyjęła również, początkowo moskalofilska, cerkiew unicka.[26]

Łemkowszczyzna na długo pozostała wierna kierunkowi staroruskiemu. Mimo wysiłków przybywających ze wschodniej Galicji księży greckokatolickich, głoszących idee ukraińskie, mimo ukraińskich inicjatyw kulturalno-oświatowych, jak zakładanie czytelni Towarzystwa „Proswita" czy oddziałów spółdzielni „Silskyj Hospodar" i „Łemkiwskyj Bank", zdecydowana większość Łemków trwała na początku tego wieku przy orientacji prorosyjskiej. Ukraińcy nazywali moskalofilskich Łemków „kacapami" – od bujnych bród noszonych przez rosyjskich chłopów. Rusofile z kolei określali Łemków-Ukraińców mianem „mazepińców" – od nazwiska kozackiego hetmana Iwana Mazepy.[27]

Łemko – przedstawiciel orientacji ukraińskiej tak wspominał w roku 1930: *Łemkowszczyzna [...] była przed wojną tak otumaniona moskalofilstwem, że zdawało się, iż całkowicie przepadła dla idei ukraińskiej.* Dalej stara się wyjaśnić przyczyny tego stanu rzeczy: *Ukraińcy byli na Łemkowszczyźnie bardzo słabo zorganizowani, dlatego też mieli mały wpływ na ludzi.*[28]

Po wybuchu I wojny światowej władze austriackie zaczęły popierać deklarujących lojalność wobec monarchii habsburskiej Ukraińców. Starorusinów z ich prorosyjskimi sympatiami oskarżano o szpiegostwo na rzecz Moskwy. Rozpoczęły się prześladowania. Około 5 tysięcy Łemków trafiło do więzień lub do obozu koncentracyjnego w Thalerhof koło Grazu. Austriacy uwięzili niemal całą łemkowską inteligencję, wielu z represjonowanych straciło życie. Starorusini za winnych uznali przedstawicieli orientacji ukraińskiej, którzy ich zdaniem denuncjowali swoich przeciwników. Wspomnienie tych wydarzeń na wiele lat wykopało przepaść między Łemkami-Ukraińcami i Łemkami-starorusinami. Ponad pół wieku po zakończeniu I wojny światowej Julian Kolesarow pisał

z goryczą: *władze austriackie* wypłacały swojej służbie po 5 koron za każdego *moskalofila*.[29] Opisywane wydarzenia spowodowały, że wielu Łemków stało się bardzo wyczulonymi na wszelkie przejawy ukraińskiej propagandy.

Przyjęcie określonej orientacji narodowej tworzyło często linie ostrych podziałów w społeczności wiejskiej. Iwan Ołenycz z Radoszyc wspomina, że w okresie międzywojennym mieszkańcy jego rodzinnej wsi podzielili się na dwa tabory: w dolnym końcu sioła gospodarowali „kacapy" zaś w górnej części Ukraińcy. Między przedstawicielami obu obozów dochodziło, przy okazji wiejskich uroczystości, do bójek. Podczas jednego z takich zajść – jak podaje Ołenycz – zginął w 1937 roku mieszkaniec dolnego sioła.[30]

W okresie międzywojennym starcie obu opcji wywarło wpływ nawet na życie religijne. „Wojna religijna" polegała tam na masowym przechodzeniu na prawosławie, co stanowiło reakcję na proukraińską agitację unickich księży.[31] Cerkwi Prawosławnej przybyło w tym czasie od 18 do 25 tysięcy wiernych. Częste były przypadki „nawracania się" całych wiosek. Ślady dokonanego podziału można zauważyć w takich wioskach jak Bartne, Bodaki czy Gładyszów, gdzie pozostały po dwie cerkwie: unicka i prawosławna. Echa tej „wojny religijnej" dotarły aż do Watykanu, który w 1933 r. wydzielił z unickiej eparchii (diecezji) 9 dekanatów, tworząc z nich Apostolską Administrację Łemkowszczyzny podlegającą bezpośrednio papieżowi.[32]

4. Łemkowska droga

Do roku 1989 wszyscy Łemkowie byli traktowani przez polską administrację jako Ukraińcy, nie zezwalano na rejestrację łemkowskich stowarzyszeń. Obecnie, gdy mogą się zrzeszać i mówić o sobie własnym głosem, powraca w dyskusjach pytanie o przyszłość Łemkowszczyzny. W walce o „rząd dusz" rywalizują: kierowany przez przedstawicieli orientacji ukraińskiej Związek Łemków oraz Stowarzyszenie Łemków, kontynuujące przedwojenną orientację starorusińską. Przy czym dawny dylemat wyboru orientacji narodowej, między ukraińską a rosyjską, uległ zmianie – nie ma już mowy o „rosyjskiej drodze". Przedstawiciele starorusinów opowiadają się za autonomią kulturową Łemków i choć nie zawsze mówi się o tym wprost, chodzi tu o kreowanie łemkowskiej świadomości narodowej.[33]

Jako deklarację ideową autonomistów można traktować słowa Jarosława Zwolińskiego:

Idź Łemku swoją drogą
niech Cię za rękę już nie prowadzą,
zdobyłeś rozum, dużo mądrości
niech Ci już nikt źle nie doradza.
Ty Łemku stary i Ty młody
w górach Karpatach Wasze korzenie
nie patrz na morze, Dniepra porohy
ani na stepy zielone.
[...]
Gdzie nas prowadzi nieznana droga?
Jedyna droga jaka została

to ta Łemkowska po naszych górach
różne chorągwie, różne proporce, nie nasza sprawa
dość już byliśmy na cudzych dworach.[34]

Kim są więc Łemkowie? Ukraińskimi góralami, czy – jak twierdzą autonomiści – tworzącym się na naszych oczach nowym narodem słowiańskim?[35]

Językoznawcy są zgodni, że mowa łemkowska jest jednym z licznych dialektów ukraińskich.[36] Władze działającego na Ukrainie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego „Łemkiwszczyzna" uważają swe stowarzyszenie za reprezentację przesiedlonych z Karpat ukraińskich górali. Także kierowany przez Iwana Kusznira znany lwowski chór „Łemkowyna" określa się jako ludowy zespół ukraiński.

Wydaje się, że również wśród mieszkających w Polsce Łemków przewagę zdobywa Związek Łemków, będący członkiem wspierającym Związku Ukraińców w Polsce. Dzięki staraniom Związku Łemków języka ukraińskiego nauczano w roku 1993 w 10 szkołach województwa nowosądeckiego, gdy w tym samym czasie separatyści ze Stowarzyszenia Łemków wprowadzili dialekt łemkowski – nazywany przez nich odrębnym językiem – jako nadobowiązkowy przedmiot szkolny w sześciu szkołach w skali całego kraju.[37]

Od roku 1983 odbywa się w Polsce coroczne święto kultury łemkowskiej „Watra". Wśród organizatorów pierwszych imprez dominowali autonomiści. Znamienne, że od kilku lat „Watrę" przygotowuje Związek Łemków, a podczas festiwalu widoczne są liczne akcenty ukraińskie.

Proces formowania się ukraińskiej świadomości narodowej na obszarach peryferyjnych dobiega końca.[38] Naszym zdaniem dotyczy to także Łemkowszczyzny. Wydaje się, że zdecydowana większość Łemków może powtórzyć za Mykołą Muszynką – ukraińskim etnografem i historykiem z Preszowszczyzny: *Moje korzenie w Ukrainie. [...] Jestem Rusinem, moja mowa należy do grupy łemkowskiej, mogę powiedzieć, że jestem Łemkiem [...]. Jestem Rusinem, ale to nie przeszkadza mi być szczerym Ukraińcem.*[39]

Jak więc wyjaśnić istnienie w środowisku łemkowskim grup autonomistów? Zdaniem Bohdana Huka istnieją trzy przesłanki współczesnego separatyzmu: 1) niedokończenie ukraińskiego procesu narodowego w wyniku przesiedlenia 1947 r., 2) brak pod nogami ojczystej ziemi jako przyczyna chwiania się samoświadomości, 3) okres powojenny, który nie sprzyjał rozwijaniu się ukraińskiej świadomości narodowej na Łemkowszczyźnie ze względu na negatywny stereotyp Ukraińca.[40] Naszym zdaniem, do tej listy należy dopisać typowy dla wszystkich ludów górskich, swoisty konserwatyzm oraz izolacjonizm, widoczny np. w rezerwie mieszkańców Zakopanego wobec „ceprów". Również żyjący w USA górale tatrzańscy i ich potomkowie znani są ze swej niechęci wobec amerykańskiej Polonii. Mimo tego nikt rozsądny nie uważa dziś górali podhalańskich za odrębny „Goralenvolk".

Przypisy

[1] I. Olenyez, *Doli Łemkiwszczyny*, Lviv 1992, s. 6.

[2] R. Brykowski, *Łemkowska drewniana architektura cerkiewna w Polsce, na Słowacji i Rusi Zakarpackiej*, Wrocław 1986, s. 13.

[7] R. Reinfuss, *Śladami Łemków*, Warszawa 1990, s. 15.
[8] Ibidem, s. 28 i n.
[9] Ibidem.
[6] O. Duć-Fajfer, *Łemkowie w Polsce. Proces rozwoju świadomości etnicznej*, (w:) „Płaj" 1994, nr 9, s. 24.
[7] R. Reinfuss, op. cit., s. 36.
[8] Ibidem, s. 31 i n.
[9] I. Krasowśkyj, D. Sołynka, *Chto my, Łemky*, Lviv 1991, s. 11–12; W. Barna, *Łemkiwszczyzna – kołyska i doła*, (w:) *Ukrajina. Ludyna, suspilstwo, epocha*, Kyjiv 1990, s. 322.
[11] I. Olenycz, op. cit., s. 6.
[11] R. Reinfuss, op. cit., s. 6–15.
[12] W. Barna, op. cit., 321.
[13] I. Krasowśkyj, D. Sołynka, op. cit., s. 9.
[14] Istnienie plemienia Białych Chorwatów potwierdza ruski kronikarz Nestor w swojej „Powieści minionych lat".
[15] W. Barna, op. cit., s. 322.
[16] H. Duć-Fajfer, *Łemkowie w Polsce*, (w:) „Magury '91", s. 17.
[17] Ibidem, s. 17–18.
[18] R. Reinfuss, op. cit., s. 6.
[19] B. Strumiński, *O pochodzeniu Łemków z punktu widzenia językoznawstwa*, (w:) „Magury '91", s. 87 i n.
[20] Z. Sztaner, *Skąd przybyli przodkowie Łemków? O osadnictwie z południowych stoków Karpat w Beskidzie Niskim i Sądeckim*, „Magury '93", s. 7–20.
[21] T. A. Olszański, *Historia Ukrainy XX w.* (brak miejsca i roku wydania), s. 237–240.
[22] O. Subtelnyj, *Ukrajina, istorija*, Kyjiw 1993, s. 693.
[23] R. Reinfuss, op. cit., s. 129.
[24] J. Harasymowicz, *Wybór wierszy 1955–1973*, Kraków 1975, s. 147.
[25] H. Duć-Fajfer, op. cit., s. 21.
[26] R. Reinfuss, op. cit., s. 120–121.
[27] Ibidem.
[28] Z. Flunt, *Dzwony na Łemkiwszczyni*, „Litopys Czerwonoji Kałyny" 1930, Nr 7–8. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego – J. K.].
[29] J. D. M. Kolesarow, *Ukrajiński nacjonalizem i Rusnaci*, Montreal 1975, s. 27. [Tłumaczenie z dialektu karpatoruskiego – J. K.].
[30] I. Olenycz, op. cit., s. 15. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego – J. K.].
[31] Fedor Goez wspomina, że w Tylawie młody, wychowany w narodowym duchu ukraińskim, ksiądz zmienił podczas niedzielnej Służby Bożej zwrot „wsiech was prawosławnych krestian" na „prawowiernych", co spowodowało gwałtowny protest parafian. Gdy za tydzień sytuacja powtórzyła się, po wyjściu z cerkwi, kobiety zaopatrzone w łaski i kije postanowiły wybić z głowy kapłanowi zmienianie liturgii. Mimo, że ksiądz został szybko odwołany z parafii, mieszkańcy Tylawy niemal w całości przeszli na prawosławie. [Patrz: *Nie żałuję, że zostałem. Wywiad z Fedorem Goczem*, „Magury '93", s. 139].
[32] R. Reinfuss, op. cit., s. 125.
[33] H. Duć-Fajfer, op. cit., s. 27–30.
[34] J. Zwoliński, *Znaki czasu*, Koszalin 1991, s. 19.
[35] Karpatoruscy separatyści zwracają uwagę, że powszechnie uważa się za narody 80-tysięczną społeczność Serbów Łużyckich w Niemczech oraz Romów w Szwajcarii (ok. 50 tys.), a więc grupy mniej liczne aniżeli Łemkowie. [Patrz: P. R. Magocsi, *Rusini Karpaccy – lud nowy czy odrodzony?* „Magury '91", s. 57.
[36] B. Strumiński, *Kiedy powstał i skąd się wziął dialekt łemkowski*, „Magury '93", s. 21–26.
[37] O. Duć-Fajfer, op. cit., s. 22–23.
[38] T. A. Olszański, op. cit., s. 246–247.
[39] I. Krasowśkyj, *Tilky z ridnym narodom... Pro sytuaciju w seredowyszczi Karpatśkych Rusyniw*, Lviv 1992, s. 36. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego – J. K.]
[40] B. Huk, *Ozyrajuczyś za sebe – ukrajinstwo w Połszczi na złomi 1988/1989 rokiw*, „Zustricz" 1989, nr 19, s. 11.

[1] R. Reinfuss, *Śladami Łemków*, Warszawa 1990, s. 15.
[2] Ibidem, s. 28 i n.
[3] Ibidem.
[4] O. Duć-Fajfer, *Łemkowie w Polsce. Proces rozwoju świadomości etnicznej*, (w:) „Płaj" 1994, nr 9, s. 24.
[5] R. Reinfuss, op. cit., s. 36.
[6] Ibidem, s. 31 i n.
[7] I. Krasowśkyj, D. Sobynka, *Chto my, Łemky*, Lviv 1991, s. 11–12; W. Batna, *Łemkowszczyzna – kołyska i dziś*, (w:) *Ukrajina. Ludyna, suspilstwo, epocha*, Kyjiv 1990, s. 322.
[8] I. Oleńycz, op. cit., s. 6.
[9] R. Reinfuss, op. cit., s. 6–15.
[10] W. Batna, op. cit., 321.
[11] I. Krasowśkyj, D. Sobynka, op. cit., s. 9.
[12] Istnienie plemienia Białych Chorwatów potwierdza ruski kronikarz Nestor w swojej „Powieści minionych lat".
[13] W. Batna, op. cit., s. 322.
[14] H. Duć-Fajfer, *Łemkowie w Polsce*, (w:) „Magury '91", s. 17.
[15] Ibidem, s. 17–18.
[16] R. Reinfuss, op. cit., s. 6.
[17] B. Strumiński, *O pochodzeniu Łemków z punktu widzenia językoznawstwa*, (w:) „Magury '91", s. 87 i n.
[18] Z. Sztaner, *Skąd przybyli przodkowie Łemków? O osadnictwie z południowych stoków Karpat w Beskidzie Niskim i Sądeckim*, „Magury '93", s. 7–20.
[19] T. A. Olszański, *Historia Ukrainy XX w.* (brak miejsca i roku wydania), s. 237–240.
[20] O. Subtelnyj, *Ukrajina. Istorija*, Kyjiv 1993, s. 693.
[21] R. Reinfuss, op. cit., s. 129.
[22] J. Harasymowicz, *Wybór wierszy 1955–1971*, Kraków 1975, s. 147.
[23] H. Duć-Fajfer, op. cit., s. 21.
[24] R. Reinfuss, op. cit., s. 120–121.
[25] Ibidem.
[26] Z. Flun, *Dzwony na Łemkowszczyźnie*, „Litopys Czerwonoji Kalyny" 1930, Nr 7–8. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego – J. K.].
[27] J. D. M. Kolesanow, *Ukrajinski nacjonalizym i Rossaci*, Montreal 1975, s. 27. [Tłumaczenie z dialektu karpatoruskiego – J. K.].
[28] I. Oleńycz, op. cit., s. 15. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego – J. K.].
[29] Fedor Gocz wspomina, że w Tylawie młody, wychowany w narodowym duchu ukraińskim, ksiądz zniósł podczas niedzielnej Służby Bożej zwrot „wsiech was prawosławnych krestiian" na „prawowiernych", co spowodowało gwałtowny protest parafian. Gdy za tydzień sytuacja powtórzyła się, po wyjściu z cerkwi, kobiety zaopatrzone w łuski i kije postanowiły wybić z głowy kapłanowi zmienianie liturgii. Mimo, że ksiądz został szybko odwołany z parafii, mieszkańcy Tylawy niemal w całości przeszli na prawosławie. [Patrz: *Nie tuteje, że zostałem. Wywiad z Fedorem Gieczem*, „Magury '93", s. 139]
[30] R. Reinfuss, op. cit., s. 125.
[31] H. Duć-Fajfer, op. cit., s. 27–30.
[32] J. Zwoliński, *Znaki czasu*, Koszalin 1991, s. 19.
[33] Karpatoruscy separatyści zwracają uwagę, że powszechnie uważa się za narody 80-tysięczną społeczność Serbów Łużyckich w Niemczech oraz Romów w Szwajcarii (ok. 50 tys.), a więc grupy mniej liczne aniżeli Łemkowie. [Patrz: P. R. Magocsi, *Rusini Karpaccy – lud nowy czy odrodzony?* „Magury '91", s. 57.
[34] B. Strumiński, *Kiedy powstał i skąd się wziął dialekt łemkowski*, „Magury '93", s. 21–26.
[35] O. Duć-Fajfer, op. cit., s. 22–23.
[36] T. A. Olszański, op. cit., s. 246–247.
[37] I. Krasowśkyj, *Tilky z rulnym narodom... Pro sytuaciju w seredowyszczi Karpatśkych Ruśyniw*, Lviv 1992, s. 36. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego – J. K.]
[38] B. Huk, *Oczyszczyć ze siebie – ukraińskość w Polsce po zimie 1980/1989 roku*, „Zustricz" 1989, nr 19, s. 11.

niepodległościowych. Zabrakło elementarnej dyskusji, rozsądnych argumentów, bowiem poziom emocji i rozbudzonych w ostatnich latach wojny nadziei (w przypadku Ukraińców szczególnie przez przemyślną, perfidną wręcz politykę administracji wiedeńskiej) na uzyskanie upragnionego samodzielnego bytu państwowego, doprowadził do rozstrzygnięć krwawych, trudnych do zapomnienia szczególnie przegranej stronie. Ukraińska pamięć o własnym państwie – ZURL[1], którego realny byt upadł w czasie wojny 1918/19 z Polską, wytworzyła postawy wrogości i niechęci do rządów polskich, zwanych powszechnie „okupacją".

I było w tym niestety wiele prawdy, której nie mogły zmienić słowa Józefa Piłsudskiego skierowane do przeszło pięciomilionowej społeczności: *Ukraińcy w tej dzielnicy* (mowa o Małopolsce Wschodniej – nazwie zresztą konsekwentnie zwalczanej przez ukraińskich działaczy politycznych), *nie mogą mieć warunków gorszych od tych, które mieli pod rządami Austrii*. Jednak mieli, traktowano ich przedmiotowo, źle, nieufnie. Rzeczą oczywistą dla młodego państwa polskiego i ówczesnego układu sił politycznych była niemożliwość wprowadzenia autonomii. Dramat wymuszonego dla Ukraińca współistnienia z administracją cywilną i wpływowymi polskimi osadnikami wojskowymi doprowadził do wypowiedzenia w 1938 roku kolejnych słów, kolejnej pesymistycznej przepowiedni wojewody wołyńskiego (70 % tego obszaru stanowili Ukraińcy) H. Jozewskiego, ostrzegającego polskie władze przed kontynuacją polityki polonizacji i deukrainizacji kresów. Słowa wojewody: *poszczególne momenty tej polityki działać będą ze wzrastającą siłą w kierunku powstania nienawiści do wszystkiego co polskie*, dają wystarczający materiał do odkrycia genezy konfliktu polsko-ukraińskiego z lat 1939–1947 i jego przebiegu. Dwudziestolecie międzywojenne to czas straconych szans na zbliżenie i lata gruntowania przewagi żywiołu i siły polskiej nad ukraińską. Za stracone lata, niewykorzystanie szans odpowiada strona polska. Jest bowiem regułą, iż to silniejszy określa zawsze charakter stosunków łączących społeczeństwa, to on dyktuje warunki, czyli, rozumując logicznie, strona silniejsza ponosi większą odpowiedzialność. Ponieważ to Polacy byli stroną silniejszą – to im łatwiej było czynić zło i szkodę.

Jest też rzeczą zdumiewającą jak naród, bijący się pod sztandarami „Za wolność waszą i naszą" zrobił wszystko, by jego obraz u najbliższego sąsiada był negatywny, nacechowany tylko emocjami. Dlaczego walka o Ojczyznę dla jednych musiała dla drugich oznaczać rezygnację z niej? Czemu ludzie sąsiadujący ze sobą nie dostrzegli, że miejsca jest wystarczająco dużo dla obu słowiańskich braci? Nasza wina!

Mit drugi: *Ukrainiec to niemiecki kolaborant, sojusznik Hitlera, antypolsko nastawiony upowiec, któremu duchowny (prawosławny czy greckokatolicki) święci broń skierowaną przeciwko narodowi polskiemu.*

Wzór taki istnieje, co gorsze, jest nadal podtrzymywany i propagowany w jawnej niezgodzie z coraz to nowymi faktami historycznymi, twierdzącymi zupełnie co innego, wpływającymi – lub przynajmniej mogącymi wpłynąć na zmianę owej matrycy, powszechnie zresztą używanej.

Walcząc na śmierć i życie zapomniano, że byli ludzie szlachetnego serca i wielkiej odwagi, wywodzący się z narodu ukraińskiego.

Mówimy tylko o tym, co nas dzieliło i dzieli nadal, prawie wcale nie słychać głosów zmierzających do uznania czynów godnych i szlachetnych, choć było takich wiele, a ich waga jakościowa może przynajmniej tonować ból i cierpienie po wzajemnie zadanych sobie ranach.

Okres próby, jakim był dla narodów wrzesień 1939 roku, przyniósł deklarację polityczną stronnictw ukraińskich, świadczącą o niesłychanym wręcz wyczuciu i wyczuleniu na wieloaspektowość sytuacji, w jakiej znalazła się Rzeczpospolita. Jest rzeczą bolesną i rażącą wręcz swym brakiem obiektywizmu, wstydliwie ukrywanym czy pomijanym faktem, że godne, bohaterskie postawy Ukraińców z analizowanego czasu są po prostu nie znane!

Czy ktoś bowiem orientuje się, słyszał lub mógł przeczytać o ostatniej sesji Sejmu II RP z 2 IX 1939, na której głos zabrał przedstawiciel Wołynia – poseł S. Skrypnyk oraz przewodniczący UNDO[2], zarazem wicemarszałek sejmu W. Mudryj, składając deklarację lojalności i pomocy Polsce? *...oświadczamy, że obecnie nie czas na wzajemne spory polityczne, i że decyzją powyższą wraz ze społeczeństwem ukraińskim w całej pełni wykonamy i poniesiemy wszystkie ofiary dla obrony Państwa.* Jak można oceniać słowa Mudrego, wypowiedziane świadomie i dobrowolnie w rzeczywistości politycznej – jak się wydawać mogło – bardzo korzystnej dla niepodległościowych dążeń Ukraińców? Pytanie to pozostawiam bez odpowiedzi, sądzę, że historia po części już sama jej udzieliła i odpowiedź owa zweryfikować powinna wzajemne listy pretensji czy żali. Zaskoczeniem i tłem do powyższych wypowiedzi powinna być też opowieść o płk. Pawle Szandruku, oficerze w polskiej wrześniowej armii, który w sytuacji odwrotu, gdzieś pomiędzy Zamościem a Hrubieszowem (tereny zamieszkałe wówczas przez ludność polską i ukraińską) dokonał czynu na miarę Virtuti Militari. Napierane i spychane przez niemieckie wojska pancerne oddziały 29 Brygady Piechoty znalazły się w niemieckiej pułapce. Dowodzący grupą płk Bratro, ciężko chory, nie mógł kontynuować obrony. W jego zastępstwie dowodzenie przejął Szandruk, któremu udało się oderwać od wroga i tocząc ciężkie boje – podczas których sam został ranny – uratować zgrupowanie. Po zakończeniu wojny czyn nagrodził gen. Władysław Anders, osobiście nadając odznaczenie Szandrukowi.

Już pierwsze miesiące okupacji niemieckiej w Polsce rozczarowały część nacjonalistów ukraińskich. Bez echa pozostawały ukraińskie petycje i propozycje kierowane do władz niemieckich. Bez odpowiedzi pozostała przedłożona Niemcom przez Komitet Ukraiński w październiku 1939 roku „rezolucja w sprawie utworzenia państwa ukraińskiego z własną armią i administracją, obejmującego wszystkie ziemie ukraińskie". Okres sojuszu Stalin–Hitler nie przyniósł więc Ukraińcom nic konkretnego prócz coraz to nowych, gorzkich rozczarowań. Kiedy minął czas współpracy, przyszła kolej na decydujące rozstrzygnięcia w kwestii ukraińskiej, z którymi nikt już po stronie niemieckiej się nie krył. Dwie charakterystyczne wypowiedzi z pierwszej połowy 1942 roku nie pozwalają mieć złudzeń co do niemieckich planów: „najlepszą rzeczą byłoby zabicie wszystkich mężczyzn powyżej piętnastu lat na Ukrainie" mówił H. Goering, a E. Koch dodawał: „żadna Ukraina nie istnieje. Musimy pamiętać, że jesteśmy narodem panów" i „gdybym znalazł Ukraińca, który byłby wart zasiąść ze mną przy stole, musiałbym go zabić" – i robiono to – w Buchenwaldzie, Auschwitz, Ravensbruck. Więzienia i obozu

nie uniknęło niepodległościowe przywództwo ukraińskiego ruchu OUN-B[3]. W Sachsenhausen od września 1941 do jesieni więzieni byli: J. Stećko i St. Bandera, a także T. Boroweć (listopad 1941 do końca 1944), R. Ilnyckyj, O. Kondyba (zamordowany), I. Matła (sierpień 1943 – koniec 1944). Represje uderzały również w rodziny aresztowanych oraz rodziny tych osób, których gestapo nie udało się aresztować. W Oświęcimiu przetrzymywany był też L. Rebet (wrzesień 1941 – jesień 1944), zginęli tam także dwaj rodzeni bracia St. Bandery.[4]

Jakże niesprawiedliwe są uogólniane i rozgłaszane sądy o współpracy OUN z Niemcami, o kolaboracji i braterniu się z wrogiem. Oficjalne hasło i dewiza OUN oraz powstałej jesienią 1942 roku Ukraińskiej Powstańczej Armii „ani Hitler ani Stalin", odpowiednio wskazuje, jaki kierunek wybrali Ukraińcy. Przytoczony zaś powyżej los kierownictwa politycznego OUN, wskazuje, że cena, jaką przyszło mu zapłacić za taką a nie inną opcję, była bardzo wysoka. Problem jednak leżał w przeorientowaniu na nowego wroga mas i społeczeństwa i średniego aktywu OUN.

Zmiana dotychczasowej wieloletniej orientacji antypolskiej i antyradzieckiej, zmiana utrzymywanego stanu nadziei, nakierowanego na Rzeszę, wymagała czasu, a tego zaczynało brakować. Wrogiem numer jeden była Rosja, po niej Niemcy, i tak wyrażano się w oficjalnych deklaracjach, lecz rzeczywistość była inna. Dziedzictwo stosunków polsko-ukraińskich i polityka antypolska prowadzona dotychczas przez OUN, nie mogła pozostać bez echa. Nadchodzące wydarzenia (na Wołyniu, w Galicji Wschodniej, a potem Zamojszczyźnie, Chełmszczyźnie i w Bieszczadach) okazały się tego dramatycznym przykładem.

Irracjonalnemu szałowi rozgorzałej polsko-ukraińskiej wojny domowej, mordom ludności, eskalacji zła i siły nie był już w stanie zapobiec głos przywódców politycznych, inteligencji ani nawet duchowieństwa greckokatolickiego. Charyzmatyczny metropolita A. Szeptycki', chcący uczynić z cerkwi instytucję, która pod względem moralnym czy intelektualnym mogłaby wypełnić Ukraińcom brak tak przecież potrzebnego im państwa, człowiek widzący w cerkwi ogromną rolę w procesie tworzenia tego państwa – zdecydowanie potępiał rzezie. Optując za ukraińskim interesem narodowym zdecydowanie przeciwstawiał się agresji i przemocy. 21 XII 1942 dobitnym głosem swego listu pasterskiego „Nie zabijaj" Szeptycki zdecydowanie przeciwstawił się mordom politycznym. Wskazując ich demoralizującą rolę, groził klątwą, żądał separowania się od tych, którzy mordowali i potępienia ich. List polskie podziemie odebrało z wyjątkowym uznaniem, choć wiedziano, że metropolita nigdy nie był propolski. Uznanie zyskał też następny list, „Do duchowieństwa i wiernych", z 10 VIII 1943, o którym prasa polska pisała: *Głos metropolity jest tym charakterystyczniejszy, że nie ogranicza się tylko do potępienia mordów i bezprawia, ale wzywa Ukraińców do obrony życia i mienia ludności zagrożonej aktami terroru.*

Szeptycki nie aprobował też powstania ochotniczej dywizji strzeleckiej SS „Galizien" złożonej z Ukraińców. Postawiony prawdopodobnie przed faktem dokonanym, dał zgodę na kapelanów wojskowych, by ci, jako osoby duchowne, byli w ostatnich chwilach przy ginących. Kościelna dyscyplina utrzymywana wśród duchownych spowodowała, że wyjątkowe wręcz były przypadki błogosławienia przez kapłanów broni i narzędzi „na śmierć"(a tylko jeden jest udokumentowany!). Wydawane przez Szeptyckiego do-

kumenty opowiadają się przeciw sile i przemocy. (Problemem wydaje się zagadnienie dlaczego Metropolita nie znalazł odpowiedniego, szerokiego posłuchu w kręgach społeczeństwa ukraińskiego, choć częściowej odpowiedzi można doszukać się w kwestiach poruszonych i naświetlonych przeze mnie wcześniej.)

Kto wie, czy to właśnie nie wpływ owych przesłań płynących z lwowskiej Katedry św. Jura nie tkwi w istocie meldunku Komendy Okręgowej AK Lublin z powiatu Hrubieszów, datowanego na 23 IV 1944 roku: *Inspirowane przez okupanta walki narodowościowe na terenie obwodu administracyjnego hrubieszowskiego – przyniosły stronie polskiej całkowitą przegraną... Nie dotknięte jeszcze żadną większą akcją są dwie gminy: Horodło, Moniatycze, a to dzięki w głównej mierze tamtejszym wójtom – Ukraińcom, którzy z narażeniem się własnym nie dopuszczają do żadnych konfliktów.*

Mit trzeci: *Dzieje konfliktu to nie kończące się wzajemne ataki, akcje zbrojne, palenie wsi i brak szans na jakikolwiek kompromis, nie mówiąc już o porozumieniu. A winę za taki stan ponoszą Ukraińcy.*

Było ono bardzo trudne, szczególnie dla Polaków, sztywno stojących na gruncie nienaruszalności granic z 1939 roku. Już jednak jesienią 1939, przeprowadzono w rządzie polskim rozmowy dotyczące kwestii ukraińskiej, a 28 IX 1939 Komitet dla Spraw Kraju podjął uchwałę popierającą ideę niepodległej Ukrainy i federację z nią. Ale uchwały tej nie zaaprobował wódz naczelny i premier WI. Sikorski, stąd wszelkie instrukcje wysyłane do kraju wyraźnie przypominały, że „wiążące decyzje należą do wyłącznej kompetencji Rządu". Pierwsze sondażowe rozmowy obu stron, przeprowadzane od sierpnia 1941 do połowy 1943 roku, nie dały żadnego postępu. Stronę polską cechował brak politycznego realizmu w tworzonych koncepcjach, deklaratywność w formułowanych programach polityki narodowościowej – odsuwająca rozwiązania na okres powojenny. Dodatkowo rozmowy były utrudniane i torpedowane od szczebla Okręgu i Obszaru AK, aż po Biuro Wschodnie.

Przełomem był rok 1943, spowodowany klęską niemiecką pod Stalingradem, zerwaniem stosunków polsko-radzieckich, zaognieniem sytuacji na Wołyniu czy niemiecką akcją przeciw Ukrainie. W takim momencie do rozmów i konkretów z nimi związanych dojść musiało. Ze strony polskiej stanowić je miała „Odezwa do narodu ukraińskiego" z 30 VII 1943 roku, wydana przez Krajową Reprezentację Polityczną, w której uznano dążenia Narodu Ukraińskiego do stworzenia Niepodległej Ukrainy ale równocześnie powstała koncepcja o zupełnie nowym, radykalnym charakterze. Były to uchwalone przez cztery polskie partie PPS, SL, SN i SP „Tezy o kwestii ukraińskiej...", których zasadniczym tematem było radykalne rozwiąznie sprawy Ukraińców za pomocą przymusowej wymiany ludności z ziem południowo-wschodnich na Polaków z Rosji. Uzupełnieniem tej akcji miała być kolonizacja i polonizacja tych obszarów. Jeszcze dalej w koncepcjach szli ludowcy z Małopolski, którzy swemu memoriałowi z 6 IX 1943 roku" nadali ostry, narodowy ton, na długo przed akcją „Wisła" stwierdzając, że ludność ukraińską należy wymienić na polską, a pozostałą w kraju (ze wschodnią granicą 1939 roku) rozproszyć po centralnych i zachodnich województwach. Mimo takich „propozycji" uchwalono w Warszawie 12 XII 1943 roku pozytywny „Projekt rezolucji Rady Narodowościowej w sprawie ukraińskiej" i 27 I 1944 wydano dodatkowo „Uchwałę Rady Narodowościowej w spra-

wie ukraińskiej". Szeroka autonomia, dotacje, swobody, kompromis, ale ciągle w granicach ryskich, były dla Ukraińców propozycjami zbyt małymi, zbyt późnymi. To, co zadowoliłoby Ukraińców przed wojną, było w 1944 tylko wstępem do właściwych pertraktacji, które miały miejsce tak naprawdę wtedy, gdy obie strony poczuły zagrożenie ze strony NKWD i Armii Czerwonej, a ta 4 I 1944 przekroczyła granice Polski z 1939.

Strona ukraińska – I. W. Borowycz, w oficjalnym organie OUN „Idea i Czyn" stwierdziła, że powstała sytuacja zmusza do podjęcia racjonalnych kontaktów z Polakami, wręcz przyjacielskich, wobec istnienia trzeciej siły – Moskwy. Widzi jednak obiektywne przeszkody porozumienia: polskie sfery rządzące nie uznające ukraińskiego prawa do posiadania własnego państwa. Kiedy zaś 10 III 1944 dopracowano się wspólnego dokumentu „Protokołu" i stanowiska w nim zawartego, czyli uznania samodzielnych państw Polski i Ukrainy, konieczności wzajemnego poszanowania prawa walki o niezależność obu narodów i kwestii ostatecznej granicy jako sprawy do rozstrzygnięcia przez rządy obu państw, sytuacja ulegnie wręcz pogorszeniu.

Armia Krajowa, współpracująca lokalnie z Armią Czerwoną podczas akcji „Burza", stworzyła zdecydowanie dla walczącej samotnie z Rosjanami (i pośrednio stojącej po stronie państw Osi) Ukraińskiej Powstańczej Armii obraz negatywny. Wizja wspólnego frontu przyszła zbyt późno, okupacja radziecka ziem Ukrainy i wschodniej Polski zmusiła obie strony do zapłacenia kolejnej daniny krwi i nieszczęść. Raz jeszcze zasada „divide et impera" zebrała trujące owoce.

Kontakty i współpraca pomiędzy podziemiem polskim a ukraińskim (AK/WIN – UPA) trwała jeszcze w latach 1945–47. OUN na przełomie 1944/45 postulowała wręcz *za wszelką cenę dojść do porozumienia z polskim podziemiem... uniknąć nieporozumień i wspólnego zwalczania się między obydwoma ugrupowaniami* (tj. WIN i UPA) *oraz nawiązywania współpracy*, do którego doszło na szczeblach lokalnych w dwu ośrodkach: Lubaczów, Tomaszów Lubelski i Przemyśl, Brzozów. Miały miejsce też dwie spektakularne, wspólnie przeprowadzone akcje – opanowanie Hrubieszowa i atak na stację kolejową w Werbkowicach. Obie wywołały znaczny sprzeciw rządu polskiego w Londynie, który nie zgodził się na dalsze podpisywanie porozumień z UPA. Również Komendant Obszaru Południowego, a zarazem prezes Głównego Zarządu WIN, płk F. Niepokólczycki był krytycznie nastawiony do poczynionych kontaktów i porozumień. Choć odmienne było zdanie dowódców niższego stopnia, obowiązywała ich zasada wojskowego posłuszeństwa rozkazom.

O randze nawiązanych kontaktów dla podziemia ukraińskiego świadczyła Instrukcja Krajowego Kierownictwa UPA, dotycząca stosunku do polskiego podziemia z 1947 roku *...w wypadku gdy miejscowe polskie podziemie odnosi się do nas mniej lub więcej nieprzychylnie, równocześnie nie należy wypowiadać wojny, grozić itp. ale wytrwale przedłużać naszą kampanię polityczno-propagandową, aby ten stosunek do nas łagodzić lub zmieniać...*"

Siła ukraińskiego podziemia w latach 1945–47 (do akcji „Wisła"), oraz malejąca liczba ofiar po stronie polskiej – a niestety rosnąca liczba zabitych Ukraińców, głównie spośród ludności cywilnej – świadczy, że ostatni akt dramatu rozgrywał się znów według wzoru silniejszy – słabszy, tym bardziej, że podjęte przez ówczesną Polskę działania militarno-polityczne miały wyraźny charakter represyjny a nie prewencyjny.

A krzywdy jakie wyrządziliśmy tej mniejszości narodowej – musimy naprawić, przynajmniej te, które naprawić jeszcze można.

Nad historią dwu wielkich sąsiadujących ze sobą narodów słowiańskich ciąży klątwa i fatum. Polacy i Ukraińcy nie stworzyli pozytywnego wzajemnego obrazu, nie potrafili rozmawiać, słuchać, oceniać, wywołali najgorsze duchy z przeszłości. Wzajemne dzieje doprowadziły nieraz do masakry, do niewyobrażalnego zła, którego nikt nie jest w stanie zmierzyć, opisać, ocenić – tak jak niewyobrażalnie piękna, dzika, nostalgiczna jest poezja krajobrazu kresów – lokowanych tu, za Sanem, w Bieszczadach ale i na Huculszczyźnie, Podolu czy Wołyniu. Ten cień, zło – to przekleństwo naszej polsko – ukraińskiej historii czyli stereotyp, który po dziś dzień determinuje nasze losy, *czyniąc z nich bezdroża wzajemnego porozumienia.*

Lata osiemdziesiąte prawdopodobnie zamkną okres ponad czterdziestoletniej nieobecności Ukraińców w życiu społeczno-kulturalno-politycznym Polski. Istniejąca dziś 400 tys. mniejszość powoli przełamuje swe dotychczasowe obawy i zamknięcie na oficjalne życie publiczne. Nie jest to jednak proces krótki ani łatwy. Nad stosunkami polsko–ukraińskimi ciąży nadal negatywny stereotyp sąsiada.

Wzajemne winy i krzywdy, nie rozliczone publicznie i rzetelnie, do dziś hamują wzajemne zrozumienie. Postawy nietolerancji, wrogości, braku akceptacji drugiej – innej strony powodowały często podejmowanie przez Ukraińców desperackich aktów. Takim było w 1988 roku wyjechanie do Rzymu z okazji 1000-lecia Chrztu Rusi 200 Ukraińców z Koszalina i pozostanie większości z nich na emigracji w Wiedniu. Tłumaczono tę decyzję brakiem szans na poprawę sytuacji mniejszości ukraińskiej w Polsce i jej dyskryminowanie.

Ukraińcy i Łemkowie – żyjąc w Polsce od kilkuset lat, do dziś zachowywali się tak, jakby ich nie było. W zasadzie sporadycznie traktowani jako ciekawostka etnograficzna, na co dzień nie byli dostrzegani. Temat mniejszości był bowiem w Polsce kwestią drażliwą i wstydliwą. Pamięć narodowa zatrzymała się mechanicznie na granicy lat okupacji i wyzwolenia. Spowodowało to zbiorowe obciążenie Ukraińców winą za zbrodnie popełnione w okresie wojny przez grupy i formacje należące do narodu ukraińskiego i z nim się identyfikujące.

Brak możliwości wyjaśnienia spraw drażliwych skazywał na życie z krzywdzącym piętnem przelanej polskiej krwi.

Mechaniczne przejęcie negatywnych stereotypów starszego pokolenia przez młodsze – świadczy o braku rzetelnej wiedzy historycznej. Proces porozumienia wymaga wysiłku wielu pokoleń – z akcentem i nadzieją pokładanymi przede wszystkim w pokoleniu najmłodszym – współczesnym. Pozbawione bezpośredniego doświadczenia wojny i przeżyć z nią związanych powinno być tą grupą, która pierwsza zrozumie potrzebę porozumienia. Temu pokoleniu dedykuję też niniejszy tekst z myślą i nadzieją, że przynajmniej w jakimś stopniu pozwoli myśleć o Ukraińcach inaczej – lepiej. Wzajemne pojednanie zaczęło się w 1987 roku podczas spotkania Prymasa Polski J. Glempa – będącego dotychczas ordynariuszem dla grekokatolików w naszym kraju, z Arcybiskupem Większym Lwowa, głową Ukraińskiego Kościoła Katolickiego, Kardynał Myrosław Iwan Lubaczywskij powiedział wówczas: *Wyciągamy braterską dłoń do braci Polaków na znak pojednania, przebaczenia i miłości*, prymas Józef Glemp: *Jesteśmy winowajcami wobec Was, bracia*

Ukraińcy (...) A gdzie są winy, tam trzeba mówić Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy, zaś ksiądz biskup Jan Martyniak, ordynariusz greckokatolicki diecezji przemyskiej dodaje dziś: „Trzeba powiedzieć to słowo: braterstwo".

Te wielkie zdania zapoczątkowały nową erę zbliżenia się obu społeczności. Budowaniu pomostu między Polakami i Ukraińcami służyły rozpoczęte w 1987 roku wspólne spotkania. W Lublinie, na KUL-u odbył się pierwszy Tydzień Kultury Ukraińskiej, w Łodzi zorganizowano sesję naukową „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy – przesłanki pojednania."

Rozpoczęte wtedy działania na rzecz zrozumienia (choć nie zyskujące masowego poparcia w obu społeczeństwach) spowodowały, że wreszcie zaczęto ze sobą spokojnie rozmawiać. Zmieniono pryzmat wzajemnego spojrzenia z reminiscencji historycznych, złych wspomnień i przekazów, na spojrzenie w przyszłość. Problem zadośćuczynienia Ukraińcom za krzywdy moralne i materialne, wyrządzone im w 1947 roku jest koniecznym czynnikiem, by owo spojrzenie mogło mieć miejsce i sens.

Analiza przeprowadzonej w 1985 roku ankiety „Opinie Ukraińców w Polsce na temat sytuacji swojej grupy narodowościowej" nie przynosi optymistycznych wniosków dotyczących polityki państwa wobec mniejszości. Powyższa opinia po części jest aktualna do dziś.

„Pragniemy by w tym lesie, oprócz wiejskich, polskich wierzb i lip Kochanowskiego... mogły rosnąć ukraiński jesion i topola, których nie trzeba będzie importować, gdy zajdzie potrzeba odbudowania mozaiki polskiej kultury" – a taka chwila chyba nadeszła.

Zapomnieć, co mi gorzkie serce struło
Znów Dniepr i Wisłę związać pieśni stułą
Wyprostować ścieżki młodym dziejom:
twardo w ziemię wbić zwycięską stopę
pod Kłuszynem i pod Konotopem
i sztandary rozpostrzec...
Niech wieją!

J. Łobodowski *Pieśń o Ukrainie*

Przypisy

[1] ZURL – Zachodnio-Ukraińska Republika Ludowa, proklamowana 9 XI 1918 roku, po ośmiu miesiącach walk z Państwem Polskim rozbita, w nocy z 15/16 XI 1919 władze ZURL z J. Petruszewyczem przez Rumunię udały się na emigrację do Wiednia, nie mogąc dalej legalnie funkcjonować.

[2] UNDO – Ukraińskie Narodowo Demokratyczne Zjednoczenie powstałe w 1925, największa z legalnych i najbardziej wpływowa partia polityczna. Posiadała ogromne wpływy wśród ukraińskich organiacji kulturalnych, oświatowych.

[3] OUN – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów utworzona w 1929 na kongresie w Wiedniu. Hasłami OUN były: rewolucja narodowa, dążenie do utworzenia niepodległej i zjednoczonej Ukrainy. W lutym 1940 roku dokonał się rozłam na OUN – B (Bandery) o charakterze niepodległościowym, rewolucyjnym (znana też jako OUN – R) i OUN – M (Melnyka) zachowawczą i ugodową w stosunku do Niemców mniejszą frakcję.

[4] Patrz biogramy w: R. Torzecki *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993.

[5] Andriej Szeptycki 1865–1944 – zwierzchnik Cerkwi Greckokatolickiej, wnuk (po kądzieli) Aleksandra Fredry, Polak z ojca i matki, rodzony brat Stanisława (1867–1956) generała armii polskiej.

[6] *Jaka powinna być polityka narodowościowa Polski na Kresach Wschodnich po obecnej wojnie. Głosy Małopolan.*

Paweł Bobołowicz

Polsko-Ukraińskie Forum Młodych – sąsiedzi i przyjaciele

Najnowsze stosunki między Polską i Ukrainą są efektem koncepcji polityki zagranicznej jaką przyjęli polscy decydenci po zmianach ustrojowych, których początek nastąpił w 1989 roku. Wieloletnie uzależnienie od Związku Sowieckiego spowodowało „odreagowanie", które objawiło się szukaniem głównego sojusznika w krajach zachodnioeuropejskich, czy USA. Sytuacji tej nie zmienił ani fakt rozpadu ZSRR, ani też brak entuzjazmu ze strony Zachodu co do przyjęcia Polski do struktur zachodnich.

Według decydentów „kurs zachodni" jest konieczny by utrzymać naszą suwerenność. Jednakże, czy nie zapominamy o naszych najbliższych sąsiadach, z którymi łączą nas naprawdę żywotne związki? Takim sąsiadem niewątpliwie jest Ukraina.

Ogłoszenie przez Ukrainę suwerenności w Polsce zostało przyjęte życzliwie, jednakże za deklaracjami nie poszły w ślad żadne konkretne działania. Stosunki między naszymi krajami określa się jako dobre, jednakże przyglądając się im bliżej można je uznać za co najmniej niewystarczające. Tysiącletnie dzieje naszego sąsiada winny zaowocować, w tych nowych okolicznościach, rzeczywistą współpracą. Musimy sobie uświadomić ile nas łączy, ile mamy wspólnych problemów, jak jesteśmy do siebie podobni.

W grudniu 1994 roku grupa studentów UMCS miała możliwość bezpośredniego kontaktu ze swoimi rówieśnikami z Uniwersytetu im. Iwana Franki ze Lwowa. Spotkania te umożliwiły konfrontację poglądów i utwierdzenie się w jak najbardziej przychylnych opiniach o naszym sąsiedzie – Ukrainie. Wspólne problemy, a także poglądy stały się punktem wyjścia do utworzenia organizacji o charakterze integracyjnym. Półroczne konsultacje i prace nad dokumentami programowymi zaowocowały w czerwcu 1995 roku rejestracją Polsko-Ukraińskiego Forum Młodych z siedzibą w Lublinie.

PUFM jest organizacją młodzieżową. Jego twórcy doszli do wniosku, iż taka formuła jest w stanie zapewnić stowarzyszeniu największą otwartość i dynamizm w działaniu na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego. Członkiem zatem może być każdy, kto zgadza się z celami stowarzyszenia, ukończył szesnaście, a nie przekroczył trzydziestu pięciu lat. Statut PUFM przewiduje możliwość nadania członkostwa honorowego osobie szczególnie zasłużonej dla idei stowarzyszenia.

Głównym celem Forum jest inicjowanie i rozwój współpracy środowisk, głównie młodzieżowych, Polski i Ukrainy. Rozumiejąc negatywną rolę stereotypów w stosun-

kach między naszymi krajami stowarzyszenie stara się je zmienić poprzez upowszechnianie wiedzy o kulturze i historii Polski i Ukrainy, o elementach, które w naszym dziedzictwie cywilizacyjnym są wspólne.

Ze względu na wielość tematów, którymi zajmuje się Forum, jego działania toczą się w trzech sekcjach: historycznej, kulturalnej i politologiczno-społecznej.

Celem pierwszej z nich jest obiektywne wyjaśnianie punktów spornych i kontrowersyjnych w naszej historii. Jednocześnie jej członkowie zwracają uwagę na momenty, kiedy nasze państwa i narody współpracowały ze sobą tworząc korzystne prognozy na przyszłość.

Prace sekcji kulturalnej mają służyć poznawaniu kultur naszych narodów, co według „Deklaracji PUFM" umożliwi wzajemne zrozumienie.

Przemiany w Polsce i na Ukrainie mimo wielu różnic mają ten sam charakter. Nasze kraje ugruntowują świeżo odzyskaną niepodległość, budują system demokratyczny i starają się wprowadzać zasady gospodarki wolnorynkowej. Znając wzajemne doświadczenia łatwiej jest nam unikać błędów i pomyłek, a warunkiem tego jest m.in. przepływ informacji np.: poprzez konferencje, dyskusje, wymianę prasy, itp. Jest to też główny przedmiot prac sekcji polityczno-społecznej.

Stowarzyszenie, mimo iż formalnie istnieje zaledwie kilka miesięcy, ma na swoim koncie spory dorobek rzeczywistego działania. Wychodząc z założenia, iż najlepiej wzajemnemu poznaniu, przełamywaniu stereotypów służą bezpośrednie spotkania, PUFM przygotował i przeprowadził kilka wyjazdów turystycznych na Ukrainę – głównie do Lwowa i na Huculszczyznę. Wyjazdom tym zawsze towarzyszą spotkania z młodzieżą ukraińską, środowiskami uniwersyteckimi. Dla młodych Polaków czy Ukraińców jest to często pierwszy kontakt.

PUFM we wrześniu 1995 roku zainicjowało współpracę między lwowskim Prywatnym Liceum Greckokatolickim im. Klimenta Szeptyckiego a lubelskim Prywatnym Liceum Katolickim im. ks. Kazimierza Gostyńskiego. W październiku miała miejsce wizyta we Lwowie lubelskich licealistów, którzy mogli zapoznać się z pracą, tokiem zajęć w szkole ukraińskiej. Wielu absolwentów tej szkoły podejmuje studia na KUL-u w Lublinie, lubelskim seminarium duchownym czy też na lwowskim oddziale KUL-u. W związku z tym faktem wiele osób uczy się języka polskiego. Rozumiejąc problemy ukraińskiego liceum, które nie posiada wystarczającej ilości podręczników polskich, zwłaszcza o tematyce teologicznej, lubelska szkoła zamierza sukcesywnie zakupywać potrzebne pozycje.

W najbliższym czasie licealiści planują organizację sesji z okazji 400-lecia Unii Brzeskiej, a w czasie ferii zimowych strona polska przygotowuje wspólne zimowisko.

Tą współpracą zainteresowane są lwowskie media, które deklarują chęć pomocy, a na bieżąco informują o podjętych inicjatywach.

W październiku 1995 roku PUFM, wspólnie z UMCS zorganizowało konferencję nt. „Stosunki polsko-ukraińskie oczami młodych". Referentami ze strony polskiej byli studenci Wydziału Politologii UMCS, a ze strony ukraińskiej studenci Wydziału Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie. W obradach, które toczyły się w Zarzeczu (woj. przemyskie), honorowo wzięli udział Radca Ambasady Ukrainy w RP Teodozjusz Starak, Konsul Generalny RP we Lwowie Tomasz Leoniuk, przedstawiciele samorządu terytorialnego Zarzecza i Jarosławia, przedstawiciele UMCS z Lublina i UIF ze Lwowa.

Konferencja zakończyła się przyjęciem wspólnego oświadczenia, w którym uczestnicy krytykują polityków Polski i Ukrainy za „kokieterię wobec Europy Zachodniej i strach przed Rosją", jednocześnie wskazując konieczność „poszukiwania trzeciej drogi". Według oświadczenia „istotną rolę w tym procesie może i musi odegrać młodzież".

Konferencja ma charakter cykliczny, podobnie jak i inne imprezy stowarzyszenia: wieczory kultury ukraińskiej – organizowane w Lublinie, czy też spotkania poświęcone historii i bieżącym problemom Ukrainy.

W pierwszej połowie roku 1996 PUFM planuje zorganizowanie:

– konferencji, wraz z Muzeum Krajoznawczym i Uniwersytetem im. Łesi Ukrainki w Łucku, nt. „Ruch konserwatywny w Europie Środkowo-Wschodniej"

– wakacyjnej wymiany młodzieżowej

– pleneru malarskiego na Huculszczyźnie

– serii imprez w Lublinie i woj. chełmskim, o charakterze muzycznym z udziałem wykonawców ukraińskich.

Będą także kontynuowane imprezy o charakterze cyklicznym.

Przy realizacji planów pomocą służą lubelscy parlamentarzyści: Ryszard Faszyński (UP) i Dariusz Wójcik (KPN). Warto podkreślić, że także Ambasada Ukrainy w Polsce wykazuje duże zrozumienie i zainteresowanie pracami Forum.

Członkowie PUFM mają nadzieję, iż ich praca w najbliższej przyszłości przyniesie wymierne efekty w stosunkach polsko-ukraińskich. Przecież to oni – dziś ludzie młodzi – w niedługim czasie będą realnie wpływać na decyzje polityczne lub sami je podejmować – niewątpliwie Ukraina będzie dla nich krajem o wyjątkowym znaczeniu.

Leszek Engelking

Między wiarą a zwątpieniem, słów kilka o poezji Petra Mikeša

PETR MIKEŠ (ur. 19 VIII 1948 w Zlínie) – poeta czeski. Studiował anglistykę na uniwersytecie Františka Palackiego w Ołomuńcu, ale studiów nie dane mu było ukończyć. W Ołomuńcu mieszka do dziś. Imał się różnych zajęć: był stróżem nocnym, bibliotekarzem, uczył języka angielskiego, przez wiele lat przekładał specjalistyczne teksty z dziedziny chemii na potrzeby ołomunieckiego uniwersytetu. Obecnie jest redaktorem „Votobii", największego wydawnictwa na Morawach. W ostatnich latach kilkakrotnie wyjeżdżał jako stypendysta do USA. W 1990 wziął udział w International Writing Program na Iowa University. Od 1982 r. jest stałym współpracownikiem amerykańskiego pisma „Paideuma", poświęconego życiu i twórczości Ezry Pounda, którego utwory przekładał, redagował i analizował w pracach krytycznych. Do grona stałych współpracowników zalicza Mikeša również słowackie pismo „Fragment". Poeta tłumaczył też innych poza Poundem pisarzy angielskiego obszaru językowego, Prerafaelitów, T. S. Eliota, Allena Ginsberga, Jacka Kerouaca, imagistów, Roberta Duncana, by wymienić tylko niektórych, ma także na swym koncie przekłady z francuskiego i rosyjskiego oraz, niestety nieliczne, tłumaczenia z polskiego. Obecnie pracuje nad monografią Pounda oraz antologią poezji Nowej Anglii.

Chorobliwe osobliwości życia kulturalnego w Czechosłowacji po interwencji armii państw Układu Warszawskiego w 1968 r. sprawiły, że Mikešowi długo nie dane było publikować oficjalnie. Wydawał za to swoje utwory w samizdacie. W 1971 r. zaczęło w Ołomuńcu wychodzić coś w rodzaju samizdatowej serii wydawniczej o nazwie „Texty přátel (Teksty przyjaciół). Redagowali ją Jaroslav Erik Frič, Eduard Zacha, Rotislav Valušek i właśnie Mikeš. Poeta debiutował „wydanym" w formie oprawionego maszynopisu tomikiem *Oslovení* (1973, *Olśnienie*). Również kolejne jego książki poetyckie ukazywały się w tej formie, a były nimi: *Křechčí než rosa na podzim* (1974, *Bardziej kruche niż rosa jesienna*), *Drť světla* (1977, *Miazga światła*), *Básně v próze* (1978, *Poematy prozą*), *Práh bolesti* (1979, *Próg bólu*), *Triptych* (1980, *Tryptyk*), *Natalet* (1980), *Stříbrný pták v žluté skříni* (1981, *Srebrny ptak w żółtej szafie*), *Stejný svět* (1982, *Ten sam świat*). Dopiero po przemianach listopadowych 1989 r. możliwe stało się oficjalne wydanie książki niechętnego komunistycznemu reżymowi twórcy, w 1990 ukazał się drukiem tom *Paměť rány* (*Pamięć rany*). Drugi niesamizdatowy tom poezji Mikeša to wybór wierszy *Dům je tam* (1993, *Dom jest tam*).

Nic dziwnego, że przed „aksamitną rewolucją" Mikeš był zapewne lepiej znany za granicą niż w swojej ojczyźnie. W jednym z pism szwajcarskich ukazały się przekłady jego wierszy na język niemiecki. Przede wszystkim jednak utwory Mikeša tłumaczone były na polski. Drukowała je „Literatura na Świecie", „W drodze" (w zeszłym roku zaś lubelskie „Kresy"), zaznajamiało z nimi słuchaczy Polskie Radio (program „Poetyckie Prezentacje"). Wreszcie w roku 1991 krakowskie wydawnictwo „Miniatura" opublikowało polski wybór poezji Mikeša w przekładzie i opracowaniu piszącego te słowa. Książka nosiła tytuł *Dom jest tam*, a więc taki sam, jak wydany ponad dwa lata później wybór czeski. Przed nim ukazał się jeszcze w Stanach Zjednoczonych tomik wierszy wybranych poety w tłumaczeniu na angielski: *In the Tracks of the Dead* (1993, *Śladami umarłych*). W USA jego utwory ukazały się też w kilku czasopismach, a w 1994 wydano tam dwujęzyczną edycję dwunastu jego krótkich liryków, *The Memory of the Wound* (*Pamięć rany*).

Wiersze Mikeša to zapis wzruszeń, przemyśleń, wątpliwości, lęków i poszukiwań współczesnego człowieka, któremu obcy jest ciasny materializm i który otwiera się na metafizyczny wymiar ludzkiej egzystencji, chłonąc go wszystkimi porami duszy. Poeta już jako dorosły człowiek przeszedł na katolicyzm (z protestantyzmu). Konwersja ta jest jednym z kluczowych momentów jego biografii. Wczesnym wierszom Mikeša patronował arcykatolicki brneński poeta, Jiří Kuběna, jeden z największych outsiderów literatury czeskiej. A jednak utworów ołomunieckiego twórcy nie sposób jednoznacznie przypisać do jakże świetnego katolickiego nurtu poezji morawskiej, nie da się ich w ten sposób zaszufladkować. To raczej poezja spirytualna, metafizyczna niż stricte religijna czy tym bardziej katolicka. Raz po raz pojawiają się w niej nuty zwątpienia, trwogi i rozpaczy. Owszem, sąsiadują one z momentami niemal mistycznej pewności i dziecięcej wiary i ufności. Niemniej jednak dopiero świadomość napięcia między wiarą i zwątpieniem pozwala pokusić się o pełniejszą charakterystykę poetyckiego dzieła Mikeša.

Spotkanie z Petrem Mikešem,
poetą czeskim,
prowadzone przez Leszka Engelkinga,
czyli monologi dublowane

Witold Dąbrowski, Teatr NN: Przypada mi radość otwarcia kolejnego spotkania z cyklu „Spotkania Kultur".
Teraz jest zaś szczególnie radosny moment, ponieważ mam radość przedstawienia Państwu jednocześnie dwóch postaci – czeskiego poety oraz polskiego tłumacza, którego przedstawiać nie trzeba.
Tak, aż trudno składnie się wypowiedzieć; w związku z tym, że pan Engelking jest z nami, poproszę Go o wprowadzenie nas w atmosferę Ołomuńca.
Leszek Engelking: Dziękuję bardzo, ale to bardzo serdecznie. My – to znaczy Piotr i ja – pomyśleliśmy o tym spotkaniu, wyobrażając je sobie nieco inaczej. Nie tylko jako o wieczorze autorskim pana Piotra, ale także jako o przedstawieniu Ołomuńca jako centrum kulturowego, i to wcale nie błahego. Chcielibyśmy się pochwalić także czeskim edytorstwem, ponieważ pan Piotr pracuje w jednym z wydawnictw. Jest to wydawnictwo „Vitobia", przyniosłem katalogi – o, właśnie.
Zacznę zatem od wydawnictwa. Oczywiście jest wydawnictwem prywatnym, powstałym właściwie z niczego, a teraz jest jednym z największych w Czechach. JUŻ mogę prosić o uwagę? Dobrze. Zaczynam, uwaga!
Petr Mikeš urodził się w roku 1948 w Zlinie, mieście, które wkrótce po Jego urodzeniu zmieniło nazwę na Gottvaldov (od Klementa Gottwalda, pierwszego sekretarza partii komunistycznej, znanego z wybryków seksualnych), a ostatnio powróciło do starej nazwy i, miejmy nadzieję, przy niej już pozostanie na zawsze, bo to jest bardzo piękna nazwa, a ja trochę czeski znam. Dobrze. Petr jednak rychło przeniósł się do Ołomuńca, i to miasto jest Jego miastem. Tu rozpoczął studia. Studiował filologię angielską, i, jako drugi kierunek, co było wtedy częste, filologię rosyjską, rusycystykę. Pozostał jednak do końca wierny literaturze anglosaskiej, zresztą jest moim kolegą w tłumaczeniu, Petr Mikeš to bardzo wybitny tłumacz, przede wszystkim – poezji.
Wróćmy jednak do studiów. Nie dane Mu było ich dokończyć, bowiem nastąpiła inwazja wojsk Układu Warszaw-

skiego. Po interwencji, po roku 1968, imał się Petr nade rozmaitych zajęć – początkowo, jak bardzo wielu poetów będących w podobnej sytuacji był stróżem nocnym, i, jak mi wielokrotnie opowiadał, ta praca bardzo Mu odpowiadała, bowiem pozostawało dlań bardzo wiele czasu, który mógł spożytkować czytając, pisząc i tłumacząc. Co zresztą innego robią poeci?

Później ponownie związał się ze swoim dawnym uniwersytetem, jako tłumacz, ale – dosyć specyficzny. Tłumaczył bowiem z angielskiego teksty chemiczne dla wydziału przyrodniczego. Pracował także w charakterze tłumacza dorywczo, prowadził bardzo bogate życie, intelektualnie.

Dopiero po „aksamitnej rewolucji" mógł zająć się pracą odpowiednią dla siebie, swojej pozycji intelektualnej. Jednak, jak mi mówił, zabiera Mu to znacznie więcej czasu. I stąd mniej pisze ostatnio, będąc pilnym redaktorem wydawnictwa. Zbyt młody, by zaistnieć na Parnasie przed rokiem 1968, a zbyt niechętny stosunkom po interwencji – był słabo znany jako poeta aż do niedawna, publikował bowiem w samizdacie, będącym nawet nie drugim, a trzecim obiegiem.

Były to bowiem książki wydawane nadzwyczaj starannie, w twardej oprawie, na kosztownym papierze, i na skutek tego – w bardzo małym nakładzie. Powstawały całe serie samizdackie, takie jak „Teksty przyjaciół", gdzie zaistnieli właśnie Petr Mikeš i jego przyjaciele, znani dzisiaj – Vratyslav Baluska, Jaroslav Eric Fritsch, Eduard Zach.

Wydawano całe dzieła zebrane starszych twórców, promowano młodych. Jednak przebijali się tylko najlepsi. Starsi, tacy jak Jakob Demla, moim zdaniem jeden z najciekawszych poetów XX wieku oraz Jan Zachamicek, tak zwany „poeta katolicki" znany i u nas, byli ulubionymi poetami Petra Myikeša. Poezja Piotra jest skomplikowana, w zasadzie nieprzekładalna. Ukułem sobie taką formułę na niego: to barok w wydaniu księdza Baki, przefiltrowany przez świadomość współczesności, modernizmu, takich poetów jak Pound, Eliot, a także późniejszych. Eksperymenty z literaturą jako taką. Jest to ultramontański katolicyzm, ponieważ był on konwertytą, przeszedł z protestantyzmu, w którym się narodził, na katolicyzm, w dojrzałym już wieku. Jest to poezja inspiracji duchowej, zwątpienia, przerażenia i strachu.

Ołomuniec. Bardzo piękne i stare miasto. Uniwersytet tamtejszy młodszy jest tylko od Uniwersytetu Karola w Pradze. Jest to dzisiaj miasto mniejsze od Lublina, stutysięczne, ograniczone murami, ponieważ było w czasach austro-węgierskich twierdzą, zatem jest ogromnie wypiętrzone, ścieśnione; za murami rozciągają się malownicze przedmieścia – na jednym ze wzgórz przedmieść mieszka Petr Mikeš.

Jeśli chodzi o obszar – miasto jest bardzo ograniczone właśnie tymi murami, i bardzo zielone. Tworzy to niepowtarzalną atmosferę.

Już od dawna, jeszcze przed wojną, połowa ludności (ta mniejsza) była niemieckojęzyczna, stąd większość publikacji była dwujęzyczna. Miasto niemiecko-żydowsko-czeskie.

Po wojnie sytuacja się pogorszyła w tym wymiarze. Zamknięto wiele czasopism, a pisma samizdackie pojawiły się dopiero po interwencji w 1968 roku. Wytworzyły się zatem specyficzne wydawnictwa półoficjalne, o bardzo nis-

kim nakładzie. Cenzura właściwie nie wtrącała się do takich publikacji. Przykładem chociażby może być „Archa Pięć". Wydawano to za państwowe pieniądze. Tak było przed przełomem, a dzisiaj ukazuje się tam czasopismo „Scriptum", o bardzo dobrej marce w całej Republice Czeskiej. Ostatnio nawet pisano o nim w „Literatnych Novinach"; czytane jest przez elitę kulturalną Czech. Co ciekawe, jest to pismo, które na ogół wydaje numery tematyczne. Czy Państwo mają coś z tym wspólnego? (śmiech redaktorów „Scriptores Scholarum).

Wydali już numery poświęcone kulturze żydowskiej, kulturze słowackiej, z tekstami w tym języku, bo wszyscy Czesi znają słowacki. Był także numer polski, i jeszcze na pewno będzie.

Petr Mikeš: Co do wydawnictwa, to powstało ono przed czterema laty i jest oczywiście prywatne. Powstało dzięki połączeniu sił starych przyjaciół z samizdatu i ludzi młodszych, i przez te parę lat było jak rakieta. Przecież startowaliśmy z niczego, a teraz konkurujemy z najwybitniejszymi wydawnictwami; stało się to dzięki wspaniałemu zespołowi redakcyjnemu, oraz dzięki wymanewrowaniu wydawnictw zastanych. One bowiem dzięki swojej rutynie po prostu nudne.

Specjalizujemy się w literaturze angloamerykańskiej, przede wszystkim wydajemy autorów New Generation, np. Herriotta (już 4 książki), Henry Millera, Ezra Pounda, którego zresztą przekładam i współpracuję z kwartalnikiem poundowskim.

My mamy edycje esejów i filozofii, co jest rzadkie w Czechach. Mamy także serię biograficzną. I literaturę znacznie bardziej przyziemną – publikacje z takich dziedzin jak zdrowie, New Age, podręczniki.

Liczba tytułów sięga 120 w ciągu roku. Mamy bowiem własną pracownię komputerową, drukarnię, introligatornię i z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że jesteśmy naprawdę niezależnym wydawnictwem, w odróżnieniu od większości wydawnictw. Tak w skrócie...

Leszek Engelking: Ja dopowiem... Mógłbym tu jeszcze dodać, że wydawnictwo to powstało dzięki ofiarności swoich redaktorów, między nimi Petera, którzy własnymi hipotekami gwarantowali pożyczki z banków ołomunieckich. Proszę o pytania...

...A zatem przejdźmy do poezji Mikeša, który w pewnym okresie był bardziej znany za granicą, niż u siebie w domu. Był przecież przekładany na niemiecki, ale przede wszystkim na polski. Przekładała jego poezje „Literatura na Świecie", „W drodze", przekazywało Polskie Radio, później, kiedy wyszedł z podziemia, także publikowały go „Kresy". Parę lat temu wyszedł w wydawnictwie „Miniatura" w moim przekładzie tomik „Dom jest tam" (1991). Ten sam tytuł w wyborze czeskim wyszedł dopiero po kilku latach.

(wiersze)

(po wierszach)

Petr Mikeš: Dziękuję bardzo za przyjęcie.

(huczne oklaski) (okrzyki)

Leszek Engelking: Teraz, jeśli można, to może mają Państwo pytania... ewentualnie do mnie, to proszę, śmiało.

Głos z sali: Ja bym chciał pogratulować poecie takiego tłumacza, wspaniałego, tym bardziej, że sam przekładam, i jakoś tak specjalnie zwracam uwagę na pracę tłumacza. Bezbłędnie! Poetycko...

Petr Mikeš: To tłumacz, który tłumaczy Ezrę Pounda, i takich pisarzy jak Nabokov, i dla niego moje wiersze bardzo proste są, jak, jak to się mówi? niczym zabawka...

Leszek Engelking: Nie, tak być nie może! Każda praca tłumacza jest w swej pracy tak samo trudna co najmniej.

Petr Mikeš: To zawsze jest trudna robota, bo przekład w rzeczywistości jest niemożliwy...

Leszek Engelking: Tak!

Petr Mikeš: ... osadzenie, słowo, sens...

Leszek Engelking: Niemożliwa możliwość.

Petr Mikeš: Ale możliwa.

Leszek Engelking: Powiedziałbym, że to jest możliwa niemożliwość.

Petr Mikeš: Jest to prawdą, że dobry tłumacz nie robi przekładów.

(śmiech na sali)

Leszek Engelking: Myśmy się w ogóle z Piotrem poznali jako tłumacze, bo tłumaczyliśmy owego Ezrę Pounda obaj...

Petr Mikeš: Kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w Ołomuńcu, to ja nie znałem polskiego, ani Leszek czeskiego i mówiliśmy po angielsku.

Leszek Engelking: Angielski był bardziej czynny, to tamte były bierne.

Petr Mikeš: Może pisać po angielsku? Czasami?

Leszek Engelking: To niemożliwe, by nagle powiedzieć sobie „zacznę pisać w obcym języku".

Petr Mikeš: Niektórzy tak jednak robili. Nabokov na przykład. Ja tam będę pisał po angielsku, bo to jest język światowy...

Leszek Engelking: Tu jest zresztą jeden wiersz po angielsku...

Petr Mikeš: To bardzo mój wiersz, dla mojej Mamy, która była bardzo chora.

...

Dziękuję bardzo za miłe przyjęcie tutaj.

(oklaski)

Opracował: **Łukasz Garbal**

Petr Mikeš
przełożył
Leszek Engelking

JEDINÁ VĚTA

Je v poli prostý kříž
a vlastně to střed světa.
Tam s modlitbou svou přicházím
a s ptáky zpívám Bohu blíž,
odměnou mi jediná věta,
v úsměvu květů ji nacházím:

Jen lásky třeba, více nic...
v srdci zní zvon ze zvonic
jiného světa

JEDNO ZDANIE

Stoi gdzieś w polu prosty krzyż
i to jest środek świata.
Z modlitwą tam przychodzę, gdyż
z ptakami śpiewać chcę „o, Panie!" –
w uśmiechu kwiatów jest odpłata,
znajduję w nim to jedno zdanie:

Tylko miłości trzeba, wiesz?...
W sercu brzmi dzwon z kościelnych wież
innego świata.

***

To zrcadlo
na rozcestí čtyř cest
je už dávno slepé.

Jen někdy
se v něm objeví
odlesky řeky,
prudká vůně stromů
hlasitý času smích.

***

To lustro
na rozdrożu czterech dróg
od dawna jest już ślepe.

Tylko niekiedy
zjawiają się w nim
refleksy rzeki,
mocny zapach drzew,
czasu głośny
śmiech.

DOMŮ

Zvedá se hvězda
v kořenech stromů,
jediné přání má:
Domů.

Do krajiny dětství,
tónů stajenych
a věcí zraněnych
pouhym dotekem slova,
jež neuzrálo v květ,
ve snění jež znova
nestvořilo svět.

Ach,
hvězda se zvedá
v kořenech stromů,
jediné má:
Domů.

Domů do krajiny,
kde lije se kov
pro srdce zvonů.

DO DOMU

Gwiazda wschodzi
w korzeniach brzóz i klonów,
jednego tylko pragnie:
do Domu.

Do krainy dzieciństwa,
gdzie skryte muzyki tony,
do przedmiotów zranionych
lekkim dotknięciem słów,
które świata znów
w marzeniu stworzyć nie umiały.

A gwiazda wschodzi
w korzeniach brzóz i klonów
jednego tylko pragnie:
do Domu.

Do Domu, do krainy,
gdzie topi się metal
na serce dzwonu.

Kamila Chwesiuk **Ignacy Chwesiuk**

Münster
(1.07. – 9.07.1995)

Es waren die letzten Junistunden oder vielleicht schon die ersten Minuten im Juli 1995, als einige – mit der polnischen Marke „Jelcz" versehene – Reisebuse die malerische Vorstadt von Münster erreichten.

Die Reisenden, recht müde nach der langen Fahrt, erblickten ihr Ziel mit eigenen Augen. Trotz der späten Stunde pulsierte die Stadt mit dem Leben und die hiesigen Cafés waren gut besucht. Offensichtlich hatten die Bewohner keine Lust, diese schöne Juni – (oder Juli –) Nacht durchzuschafen.

Eben so begann der Aufenthalt mancher Redakteure der Vierteljahresschrift „Scriptores scholarum" in Münsterland. Sie gehörten zur Delegation aus Lublin und sind für den Anfang und – der „deutsch-polnischen Woche" wegen gekommen. Die letzte sollte dazu dienen, sich einander –sowie die Kulturgüter der beiden Partnerstädte kennenzulernen.

Über den „ideologischen" Untergrund dieses Treffens möchte ich mich nicht verbreiten. Im folgenden werde ich nur darlegen, wie es ungefähr aussah.

SAMSTAG

Im Gebäude der Johanniterschule, das zur Zeit eher entvölkert ist, finden wir Unterkunft und Verpflegung. Seinen Wohnsitz nimmt hier, neben den – in der Nacht an-

W ostatnich godzinach czerwca, a może już w pierwszych minutach lipca 1995 roku, kilka autokarów marki „Jelcz" dotarło do malowniczych przedmieść Münster.

Zmęczeni podróżni na własne oczy zobaczyli wreszcie cel wielogodzinnej jazdy. Mimo późnej pory miasto tętniło życiem, a jego mieszkańcy tłumnie oblegający tutejsze kawiarnie najwyraźniej nie mieli ochoty przespać pięknej, czerwcowej (czy też lipcowej) nocy.

W ten właśnie sposób kilku redaktorów „Scriptores scholarum", wchodzących w skład delegacji reprezentującej miasto Lublin, rozpoczęło swoją wizytę w Münsterlandzie. A powodem tej wizyty był rozpoczynający się akurat „Tydzień polsko-niemiecki", poświęcony wzajemnemu poznaniu i prezentacji dorobku kulturalnego obu partnerskich miast.

Żeby nie zanudzać nikogo „podłożem ideowym" tego spotkania, przedstawię po prostu jego przebieg. A wyglądało ono mniej więcej tak:

SOBOTA

Zakwaterowani jesteśmy w Szkole Pierwszej Pomocy. Budynek jest wyludniony i oprócz przybyłych w nocy Polaków zamieszkuje go tylko grupa młodych Niem-

gekommenen Polen, eine Gruppe von jungen Deutschen, die Zivilldienst ableisten.

Heute wird die „deutsch-polnische Woche" offiziell eröffnet werden. Deshalb stehen wir ziemlich früh auf. Auf dem Rathausplatz beginnt „Beziehungenmarkt" und wir wollen natürlich hin.

Auf der Bühne singt und tanzt schon das Volkstanzensamble der Politechnischen Schule Lublin. Es herrscht eine feierliche Stimmung. Auf zahlreichen Ständen werden Erzeugnisse des polnischen Kunsthandwerks ausgelegt. Verschiedene Gesellschaften, Stiftungen und Institutionen bieten ihre Waren an.

Auf einem der Stände breiten wir unsere „Scriptores scholarum" aus. Der Preis ist wohl nicht zu hoch: – 3 DM. Die Zeitschrift erweckt aber kaum Interesse. Die Deutschen kaufen lieber etwas von der Volkskunst oder sehen sich die unbekannten Tänze an. Es sollte nicht wundern. Wir packen unseren Kram zusammen. Für geschäftlichen Mißerfolg entschädigt uns bald das – mit dunklem Bier üppig nachgespülte – Mittagessen.

Einige von uns treten mit den deutschen Familien in Beziehung, die Polen zu Gast nehmen möchten. Gut, da eben solche zwischenmenschliche Kontakte Zweck dieses Treffens bilden.

Den Nachmittag verbringen wir mit Nichtstun und den Abend mit Gesprächen. Wir gehen spät schlafen...

SONNTAG

...und stehen doch ziemlich früh auf, um an der Prozession und Messe auf dem Domplatz teilzunehmen. Nach dem Mittagessen: der Ausflug nach Süden des Münsterlandes mit seinen Wasserschlössern. Wir besuchen ein paar wirklich interessante Sehenswürdigkeiten. Spät am Nachmittag kommen

ców, odbywających tu (swoją) zastępczą służbę wojskową.

Dzisiaj oficjalne otwarcie „Tygodnia...", wstajemy więc dość wcześnie, aby zdążyć na rozpoczynający się na dziedzińcu ratusza „Targ kontaktów".

Tu zastajemy tańczący i śpiewający na scenie Zespół Tańca Ludowego Politechniki Lubelskiej. Panuje atmosfera festynu. Cały plac wypełniają stoiska, na których prezentowane są wyroby polskiego rzemiosła artystycznego. Różne towarzystwa, fundacje, instytucje pokazują to, co mają do zaoferowania.

W jednym z takich kramów rozkładamy się także my, ze swoim „Scriptores scholarum". Cena 3 DM;- a więc chyba niezbyt wygórowana. Większego, a właściwie jakiegokolwiek zainteresowania pismem nie widać. Niemcy wolą kupić coś ze sztuki ludowej i popatrzeć na nieznane im tańce. To chyba normalne. Zwijamy kram. Niepowodzenia handlowe rekompensuje nam wkrótce obiad, suto zakrapiany ciemnym piwem.

Kilkoro z nas nawiązuje kontakt z miejscowymi rodzinami zainteresowanymi przyjęciem Polaków w swoich domach. To dobrze, bo celem tej wizyty jest nawiązanie takich właśnie, zwykłych międzyludzkich kontaktów. Popołudnie upływa na odpoczynku, wieczór na rozmowach. Spać idziemy późno...

NIEDZIELA

...wstajemy jednak wcześnie, ponieważ dzisiejszy dzień rozpocząć ma wielka procesja dla mówiących po polsku katolików oraz msza św. na placu katedralnym. Po obiedzie – wycieczka do pięknych zamków nad wodą na południe Münsterlandu. Zwiedzamy kilka naprawdę ciekawych

wir zurück. Im eigenen Kreis sprechen wir abends über unsere Eindrücke, unterhalten uns...

MONTAG

Seit heute nehmen wir an den sogenannten „Werkstätten der Verständigung" teil. Das Gesprächsthema ist ein Projekt für die Schulen und Jugendlichen, welches das Büro für die Koordinierung der Internationalen Beziehungen organisiert.

Im Paulinum Gymnasium besprechen wir mehr oder weniger interessante Probleme. Zu mittag essen wir in der Mensa, die sich im großen und mit Glas bedeckten Gebäude (drauf steht „LBS") – befindet.

Übrige Zeit nutzen wir für die Stadtbesichtigung aus. Jeder kann sich dabei nach eigenen Wünschen richten.

Zur Wahl steht u.a. die – heute geöffnete – Austellung der Malerei von Krystyna Rudzka-Przychoda aus Lublin und – der Fotografie: „Polonische Landschaften".

An den Hauptstraßen dauert alljährliches Volksfest bis zu später Nacht.

Es ist endlich an der Zeit, zu schlafen.

DIENSTAG

Im Programm für heute lesen wir: „Stadtbesichtigung mit dem Führer; Treffpunkt – Rathaushaupteingang."

Wir verschwenden natürlich keine Zeit, also finden uns zur bestimmten Zeit beim Rathaus ein. Unser Ziel sind die alten Kirchen in Münster. Besonderes Interesse erweckt das Unternehmen doch nicht: anwesend sind ein paar Leute aus unserer Redaktion, ein Führer und Dolmetscher, wie auch eine ältere Dame aus Lublin.

i godnych zobaczenia zabytków. Późnym popołudniem wracamy do miejsc zamieszkania. Wieczór spędzony w swoim gronie, dzielimy się wrażeniami, rozmawiamy...

PONIEDZIAŁEK

Od dziś zaczynamy spotkania na tzw. „Warsztatach porozumienia". Tym razem tematem rozmów jest polsko-niemiecki projekt dla szkół i młodzieży organizowany przez Biuro Koordynacji Stosunków Międzynarodowych.

W Paulinum Gymnasium dyskutujemy na różne, bardziej i mniej ciekawe tematy. Zmieniamy miejsce stołowania – obiad jemy w stołówce wielkiego, oszklonego banku opatrzonego skrótem LBS.

Resztę dnia spędzamy na samodzielnym zwiedzaniu miasta. Każdy może zobaczyć to, co mu się podoba. Kto chce, może też obejrzeć otwartą dziś wystawę fotografii, zatytułowaną „Polskie krajobrazy" oraz obrazy lubelskiej malarki Krystyny Rudzkiej-Przychody.

Na głównych ulicach trwa doroczny festyn – zabawa do późnej nocy.
Wreszcie czas na sen...

WTOREK

W programie na dziś czytamy: *Zwiedzanie miasta z przewodnikiem, miejsce spotkania – główne wejście do ratusza*

Nie tracimy więc czasu i o oznaczonej porze stawiamy się na miejscu. Naszym celem są stare kościoły Münster. Wycieczka ta nie wzbudza zbyt wielkiego zainteresowania – oprócz kilku osób z naszej redakcji, bierze w niej udział jedynie przewodnik, tłumacz i pewna „emerytka" (nazwijmy ją tak umownie) z Lublina.

Es dauert ein paar Stunden, bis wir die schönen Kirchen besichtigt und ihre Geschichte kennengelernt haben. Die – sagen wir – „Ruheständlerin" spielt die Rolle der Chronistin dieser Expedition, indem sie Fotos und Notizen macht.

Wir kommen beinahe zu spät zu Mittag.

Am Nachmittag erholen wir uns vor dem Internationalen Folkloreabend. Heute erwartet uns auch ein Konzert des Chors der Katholischen Universität Lublin.

Der anstrengende Tag endet sich doch.

MITTWOCH

Wieder finden die „Werkstätte der Verständigung" statt, diesmal jedoch in der Fürstin-von-Galitzin Manfred-von-Richthofen-Schule. Alle stellen sich einander vor, sprechen über ihre Hobbys und Pläne. Nach dem offiziellen Treffen laufen wir auf den Schulsportplatz und tragen das Basketballspiel aus. Es ist natürlich fair play. Gewinnt Polen, d.h. ich und Gerard.

Nach dem Mittagessen begeben wir uns nach dem Internationalen Begegnungszentrum: die „Brücke". Hier begegnen wir polnischen Universitätslehrern und Studenten aus der Westfällischen-Wilhelms-Universität. Ein Professor hält Vortrag zum Thema: Polen und die EU, den wir beklatschen. Dann stellen wir „Scriptores..." vor; die Entstehungsgeschichte und Tätigkeit der Redaktion. Beifall. Wir verschenken die neuesten Nummern unserer Zeitschrift. Vorgestellt wird auch „Akzent", welchen Redaktionssekräter Waldemar Michalski vertretet.

Wir kehren zu unseren Zimmern zurück.

Eine der Familien, bei denen sich die Polen aufhalten konnten, lädt uns zum Abendparty ein. Die deutsch-polnischen Beziehungen florieren. Feines Abendbrot,

W parę godzin zwiedzamy kilka pięknych kościołów, słuchamy ich historii, pani „emerytka" pełni rolę fotografa i sekretarza wyprawy. Ledwo zdążamy na obiad.

Popołudnie wykorzystujemy na odpoczynek, bo czeka nas jeszcze „międzynarodowy wieczór folklorystyczny", a potem koncert chóru Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Bardzo męczący dzień, ale na szczęście się kończy.

ŚRODA

Kolejny „warsztat porozumienia", lecz dziś już nie w Paulinum Gymnasium, ale w szkole Fürstin-von-Galitzin Manfred – von Richthafen. Wszyscy się sobie przedstawiają, opowiadają o swoich zainteresowaniach i planach.

Po spotkaniu, już mniej oficjalnie, wybiegamy na szkolne boisko by rozegrać mecz koszykówki. Gra toczy się w atmosferze „Fair play". Wygrywa Polska, czyli ja i Gerard. Po obiedzie udajemy się do Międzynarodowego Centrum Spotkań „Die Brücke" („Most"). Tu odbywa się spotkanie z polskimi naukowcami i studentami Westfalskiego Uniwersytetu im. Wilhelma. Jakiś profesor wygłasza odczyt na aktualny dziś temat „Polska i Unia Europejska". Bijemy brawo. Następnie prezentujemy „Scriptores...", opowiadamy o jego powstaniu i działalności. Brawa. Zainteresowani goście otrzymują najnowsze numery naszego pisma. Oprócz naszego kwartalnika przezentuje się „Akcent". O historii pisma opowiada Waldemar Michalski (sekretarz redakcji).

Rozchodzimy się, każdy do siebie. Na wieczór zaproszeni jesteśmy do jednej z goszczących nas rodzin na przyjęcie. Kontakty niemiecko-polskie kwitną. Wykwint-

erstklassiger Nachtisch und nette Plauderei bei Musik...

Ein gelungener Tag.

DONNERSTAG

Wie gewöhnlich schon, treffen wir uns – für ganzen Vormitag – auf den „Werkstätten der Verständigung". Kurz danach sind wir im Erholungszentrum „Germania-Thermen" zu Besuch. Verschiedene Schwimmbecken, Spielplätze, Sauna und andere Attraktionen stehen uns hier zur Verfügung.

Nach dem „Wasserwahnsinn" – eine kleine Rastpause.

Dann führt uns einer unserer Gastgeber in den Kneipen herum, was uns in gute Stimmung versetzt.

In userem Zimmer setzen wir die Unterhaltung vor. Wir singen und tanzen, bis es sehr spät wird...

FREITAG

Manche von uns können nur schwer aufstehen und die nächsten „Werkstätte..." stehen uns bevor. Wieder die Gespräche und Diskussionen mit den Deutschen. Wieder das Mittagessen in der LBS. Erst die Spritztour an den Aasee, (der im Zentrum der Stadt beinahe liegt), bricht den schematischen Tagesplan. Von den Paddelbooten und Wasserfahrrädern gewinnen wir eine neue Aussicht auf die Stadt. Das ist aber noch nicht alles! Am Abend gehen wir zum Konzert. Kronos-Quartet und Don Byron-Quintet spielen amerikanischen Jazz. Ringsherum ist eine Menschenmenge zu sehen; in der Nähe wird David Cooperfield zaubern.

Beklagt sich jemand über die Langweile, gleich nimmt ihn der Bus zur Disco „Go Go" mit, wo er übermäßige Kräfte verlieren kann.

na kolacja, pyszny deser, na koniec miła pogawędka przy muzyce...

Udany dzień.

CZWARTEK

Tradycyjnie już, spotykamy się na „Warsztacie porozumienia". Tak mija nam czas do południa. Jakiś czas później gościmy w centrum rekreacyjno-wypoczynkowym „Germania Thermen". Tu czeka na nas wiele atrakcji – rozmaite baseny, place gier, sauna... Po tym wodnym szaleństwie odrobina wytchnienia, a następnie wizyta w kilku kawiarniach, po których oprowadza nas jeden z naszych gospodarzy.

Miło spędzony wieczór wprawia nas w dobry nastrój, więc kontynuujemy go w naszym miejscu zamieszkania. Organizujemy małą imprezę, śpiewamy, tańczymy i bawimy się dobrze do późnych nocnych godzin...

PIĄTEK

Niektórzy mają kłopoty ze wstaniem, a przecież czeka na nas kolejny „Warsztat...". I znów przedpołudnie spędzone na rozmowach i dyskusjach z Niemcami. I znów obiad w LBS-ie. Codzienny schemat dnia przełamuje dopiero wypad nad leżące niemal w środku Münster jezioro Aa. Pływamy na kajakach i wodnych rowerach, podziwiamy miasto z innej niż dotychczas perspektywy. Ale to jeszcze nie koniec, gdyż wieczorem idziemy na koncert amerykańskiego jazzu – grają: quartet „Kronos" i quintet „Don byron". Naokoło tłumy ludzi – to w sali obok będzie czarował David Coperfield.

Komu jeszcze mało wrażeń, ten może stracić nadmiar energii w dyskotece „Go Go", do której wszystkich chętnych zabiera autokar.

SAMSTAG

Am Morgen geschieht nichts Besonderes: einer schläft noch, andere schicken sich zum Einkaufen oder Spaziergang an; jeder hat eigene Pläne. Pünktlich am Mittag begeben wir uns nach dem Sitz des Stadtamtes, um verdientes Mahl einzunehmen. Der Nachmittag vergeht mit dem Müßiggang. Vielleicht ist es gut, denn wir brauchen viele Kräfte für den Abend. Während des Internationalen Drachenfestes fließt Bier in Strömen und obwohl es draußen kühl ist, wird die Stimmung immer wärmer. Wunderbare Erlebnisse...

SONNTAG

Alles geht zu Ende, auch die „deutsch-polnische Woche".

An diesem Tag treffen wir Reisevorbereitungen. Die Zeit zieht sich in die Länge. Draußen ist heiß. Wir liegen auf den Betten, trinken ab und zu etwas Kaltes, sehen aus dem Fenster und harren auf die Dämmerung. Es wird langsam dunkel. Wir überwerfen die Rucksäcke und steigen in den Bus ein. Im Bus – ein Mißverständnis: eine Lehrerin aus der Konfektionsschule sucht zitterig die Gepäcke durch und wirft allen Diebstahl vor. Bald wird aber alles ruhig und die „Geschädigte" verstummt. Wir fahren ab. Beim Rathaus halten wir jedoch an, um an dem Treffen mit Andrzej Szczypiorski teilzunehmen. Dann fahren wir wirklich ab – verabschieden uns von den Deutschen, werfen die letzten Blicke auf die Stadt und der unvergessene Aufenthalt in Münsterland wird Vergangenheit.

HEUTE

Heute sind uns die Erinnerungen bloß übriggeblieben...

SOBOTA

Rano nie dzieje się nic szczególnego. Każdy ma jakieś swoje sprawy – jedni śpią, drudzy zwiedzają miasto, jeszcze inni wybierają się na zakupy. W samo południe udajemy się do siedziby Urzędu Miejskiego, by spożyć tam zasłużony posiłek. Popołudnie upływa na lenistwie. Może to i dobrze bo dzień kończy się międzynarodowym festynem latawców, podczas którego potrzebne jest nam dużo sił. Piwo leje się strumieniami, wieczór jest trochę chłodny, ale atmosfera gorąca. Przeżywamy cudowne chwile...

NIEDZIELA

Wszystko ma swój kres, nawet „Tydzień niemiecko-polski". Ten dzień upływa nam na przygotowaniach do wyjazdu. Czas dłuży się strasznie. Na dworze upał. Leżąc na łóżkach popijamy napoje chłodzące, patrzymy to na sufit, to w okna; oczekujemy zmierzchu. Wreszcie nadchodzi. Zarzucamy plecaki na ramiona i wchodzimy do autokaru. Za chwilę – afera. Pewna pani, nauczycielka ze szkoły odzieżowej biega roztrzęsiona i krzyczy, że coś jej ukradziono. Przeszukuje cały autobus, w tym także nasze bagaże. Po jakimś czasie wszystko się uspokaja; kradzieży chyba nie było, bo „poszkodowana" wreszcie milknie. Odjeżdżamy. Po drodze zatrzymujemy się przy ratuszu, by wziąć udział w wieczorze literackim z Andrzejem Szczypiorskim. Spotkanie z pisarzem dobiega końca. Tym razem odjeżdżamy naprawdę – gorące pożegnania z Niemcami, jeszcze ostatnie spojrzenie na miasto i nasz niezapomniany pobyt w Münsterlandzie przechodzi do historii.

DZISIAJ

Dziś zostały nam już tylko wspomnienia...

Dominika Wojtysiak

Nietzsche a muzyka rockowa

Fryderyk Nietzsche urodził się w Röcken w Saksonii w roku 1844 w rodzinie protestanckiej; jego przodkowie byli Polakami. Jako dziecko był głęboko religijny (choć jego koncepcja religijna była bardzo elastyczna), a w wieku młodzieżowym zastanawiał się nawet nad wstąpieniem do klasztoru. Gdy miał 14 lat wysłano go do słynnej Landschule w Pforta, z której wyszli m.in. Novalis, Fichte, Schlegelowie. Uniwersytet dał mu wykształcenie filologa klasycznego, lecz jego zainteresowania bardzo prędko zmieniły się na filozoficzne (zresztą w jego filozofii występowały wątki związane z grecką mitologią). Ich owocem stała się teoria filozoficzna Nietzschego, której refleksy znajdujemy zarówno w dziełach literackich (powieści Gide'a we Francji, d'Annunzia we Włoszech, Przybyszewskiego i Berenta w Polsce), jak i w ideologii polityczno-społecznej Hitlera i Mussoliniego.

Mój artykuł podzieliłam na dwie części. W pierwszej opartej na opracowaniu W. Tatarkiewicza staram się naszkicować zarys filozofii Nietzsche'go i ukazać jej kontrast z życiem prywatnym twórcy. W drugiej natomiast chciałabym zająć się szczegółowo krytyką moralności współczesnej dokonaną przez Nietzschego i znaleźć jej potwierdzenie w twórczości współczesnych idoli muzyki rockowej.

1. Kontrast między życiem a filozofią Fryderyka Nietzchego

Kocham tych wszystkich, co są jako ciężkie krople spadające pojedyńczo z ciemnej chmury zawisłej nad człowiekiem: zwiastują one błyskawicę i jako zwiastuny giną.

Patrzcie, jam jest zwiastunem błyskawicy, jam jest ciężką kroplą z chmury: ta błyskawica zwie się NADCZŁOWIEKIEM.[1]

Nietzsche był z wykształcenia filologiem klasycznym. Zaraz po ukończeniu studiów – w 1869 roku – objął katedrę filologii w Bazylei. Nie przeszkodziło mu to jednak w rozwijaniu zainteresowań filozoficznych, które sprawiły, że stał się po śmierci filozofem cenionym nie tylko w Niemczech, ale i na całym świecie. W Bazylei pracował 10 lat, dopóki stan zdrowia nie zmusił go do zrezygnowania z tego stanowiska. Po opuszczeniu miasta rozpoczął się okres tułaczki. Gnany niepokojem i nękany chorobą zmieniał nieustannie miejsca pobytu. Przebywał we Włoszech i Szwajcarii, błąkał się po hotelach i pensjonatach, stając się coraz bardziej bezdomnym i samotnym. Nigdy się nie ożenił, nigdy nie miał kochanki, nigdy z żadną kobietą nie łączyły go stosunki se-

ksualne (poza przygodną prostytutką). Niewielu ludzi lubiło go i znosiło jego towarzystwo; wielbicieli w ciągu całego życia mógłby policzyć na palcach jednej ręki – nawet oni czasami występowali przeciwko niemu. Był to człowiek o wątłym zdrowiu (pozostałość z okresu służby w wojsku); siedzący tryb życia wpływał na bóle głowy, niestrawność, umysłowe i fizyczne wyczerpanie. Miał duże kłopoty ze wzrokiem. Koniec nastąpił w 1889 roku. Nietzsche popadł w chorobę umysłową, która trwała aż do jego śmierci w 1900 roku. Najnowsze badania potwierdziły pogląd, że jego obłąkanie było następstwem choroby wenerycznej, którą zaraził się od pewnej prostytutki w czasach studenckich.[2]

Zarówno kondycja psychiczna jak i fizyczna nie przeszkodziły Nietzschemu w tworzeniu jego własnej, opierającej się na miłości do sztuki, nauki, życia, siły i indywidualności, teorii filozoficznej. Według W. Tatarkiewicza dla jej powstania inspiracją były dzieła K. Darwina i H. Spencera, którzy dostarczyli najwięcej materiału. Nie bez echa przeszło zapoznanie się Nietzschego z twórczością F. A. Langego, z którym dzielił upodobanie do nauk szczegółowych i empirycznego myślenia. Bliski był mu również M. Stirner, A. Schopenhauer, a także myśliciele starożytności: Heraklit (teoria przyrody), Kallikles i Trazymach opisani przez Platona (idea nadczłowieka), sofiści (teoria człowieka).

Nietzsche, będąc pod wpływem rozwijających się w jego czasach teorii biologicznych, swoją filozofię poznania podporządkował również regułom w biologii panującym, wierząc, że system ten jest właściwy w odniesieniu do homo sapiens – człowieka rozumnego. Doprowadziło to do stwierdzenia, że *wszystkie czynności i wytwory ludzi uwarunkowane są potrzebami życiowymi* (W. Tatarkiewicz). Tę teorię zastosował też w stosunku do poznania, które także służy zadaniom praktycznym. W związku z tym Nietzsche zanegował istnienie prawdy obiektywnej, absolutnej twierdząc, że prawdą jest to, czego wymaga życie, a więc bezwzględna prawda jest tylko złudzeniem. Podobnie jak świat w którym się poruszamy, gdyż jest to świat stworzony przez nasz umysł. Umysł natomiast nigdy nie oddaje wiernie rzeczywistości, ale ją fałszuje. Jest ona bowiem nieustanną zmiennością, chaosem, niewyczerpanym bogactwem i aby ją zużytkować musimy ją zatrzymywać, utrwalać. W tę naszą kreację teraźniejszości wierzymy, uznając ją za prawdziwą, gdy rzeczywistość jest zupełnie odmienna. Prawdą dla nas stają się złudzenia, do których przywykliśmy, tkwimy w nich, żyjemy nimi, nie mogąc zauważyć ich nieautentyczności, nierealności. Relatywistyczna teoria poznania, poprzez zauważenie faktu deformacji rzeczywistości, przez stosowanie pojęć (nadawanie nazw zjawiskom), a więc fałszywe uogólnianie, doprowadziła Nietzsche'ego do stwierdzenia, że najbardziej nieprawdziwe są pojęcia filozoficzne (takie jak absolut, czy substancja), gdyż *nie odpowiada im zupełnie nic, są wyłącznie tylko schematami myśli* (W. Tatarkiewicz).

Nietzsche negując obecność prawdy obiektywnej nie mógł nie zająć się wynikającą z prawdy moralnością. Jego teoria opierała się na negacji wartość obiektywnych, moralności bezwzględnej. Twierdził, że każdy ma taką moralność, jaka mu odpowiada jaka jest mu wygodna. Widział koneksje moralności z naturą, łącząc je w stosunku wprost proporcjonalnym. Różnica między ludźmi miała się natomiast opierać na odmienności natury. Dzielił on ludzi na silnych i słabych (tj. o naturze silnej i słabej), wprowadzając pojęcia dla określenia pierwszych – „panów", a dla określenia drugich – „niewolników". Uważał za naturalne, że „panowie" mają swoją moralność, a „niewolnicy" swoją. Nobi-

litowanych charakteryzowały takie cechy jak dostojność, godność, stanowczość, sprawność, pewność działania, bezwzględność. „Niewolnicy" natomiast posiadali cechy w mniemaniu Nietzschego negatywne, które po ich buncie urosły do rangi wartości: litość, miękkość serca, altruizm, miłość, pokora, łagodność, zaparcie się siebie. Nietzsche ubolewał, że wytycznymi moralności społecznej są te właśnie zasady, stąd więc wynikała jego krytyka tejże moralności. Początkowo chciał on zajmować bezstronne, czysto naukowe, opisowe stanowisko wobec ludzkiej moralności. Ostro przeciwstawiał się jedynie poddawaniu się „panów" moralności „niewolników". Jednakże nie wytrwał w tej obiektywnej postawie. Stopniowo zaczął uznawać moralność „panów" za nieporównywalnie wyższą, lepszą, kreatywną, jako jedynie słuszną i sam chciał zaliczać się do rasy „panów". Nastąpiła więc pewna rewolucja w poglądach Nietzsche'ego: z względnych – *każdy ma taką moralność, jaka mu odpowiada*, na bezwzględne – *jedyną właściwą moralnością jest moralność <panów>*.[3]

Nietzsche twierdził, że moralność współczesna jest moralnością „niewolników". Stała się ona obowiązująca, gdy „niewolnicy", wykorzystując swoją liczebną większość zbuntowali się, pokonali „panów", co doprowadziło do legalizacji ich zasad i wartości. Z racji przekonania Nietzschego o jego przynależności do rasy „panów" wywodziła się jego przenikliwa krytyka moralności współczesnej, opierającej się na trzech podstawowych zasadach: równości, wolności, wartości moralnych. Z negacją tych prawd występował Nietzsche w imię przewartościowania wszystkich wartości – wykazał bezwartościowość tego, co powszechnie za wartościowe uchodziło i w to miejsce postawił wartości wg niego prawdziwe: nierówność – podział na ludzi lepszych i gorszych uwarunkowany zasadą prymatu silniejszego; wolności silnego – wolność należy się tylko temu, kto potrafi ją sobie zapewnić; wartość życia – *jedynie ono ma wartość bezwzględną: z niego rodzi się wszystko inne, co w ogóle wartość posiada*. Nietzsche mówił, że jego filozofia moralności ma być „poza dobrem i złem", co oznacza negację istnienia obiektywnego dobra i zła moralnego: *Zaprawdę ludzie sami nadali sobie wszelkie dobro i zło* [...] *nie spadło im też ono jako głos z nieba*[4]. Był amoralistą, z jednej strony przeciwnikiem wszelkiej moralności, czyli *stawiania ponad życia jakichkolwiek wartości duchowych i podporządkowania im życia* (W. Tatarkiewicz), z drugiej strony twórcą nowej moralności, gdyż jego teoria wartościowała i normowała czynności ludzkie.

2. Obecność filozofii Nietzchego w mentalności współczesnej

Chciałabym teraz przedstawić szczegółowo zasady moralności współczesnej (chrześcijańskiej, obowiązującej) oraz ich krytykę dokonaną przez Nietzschego. Znajduje ona potwierdzenie w dziełach współczesnych twórców np. muzyki rockowej. Wszystkie cytowane zasady zaczerpnięte zostały z *Historii filozofii* Władysława Tatarkiewicza (s. 166–167). Każdej cytowanej zasadzie przeciwstawiam kontrcytat – Nietzscheańską krytykę tej zasady (w omówieniu Tatarkiewicza). Następnie obrazuję tę krytykę cytatem ze współczesności, najczęściej z jakiegoś idola muzyki rockowej. Przy każdym więc punkcie pierwszy cytat to głos Tradycji, drugi – Nietzschego, trzeci – Współczesności. Okazuje się (co wyjaśniają moje komentarze), że głos drugi i trzeci współbrzmią przeciwko pierwszemu.

I. „Zasada sprawiedliwości: każdemu należą się te same prawa i dobra".

Zasada sprawiedliwości jest zła: prawa i dobra należą się dostojnym, dzielnym, silnym, nie zaś słabym, nieudolnym, poronionym tworom natury. Właściwa sprawiedliwość opiera się nie na zasadzie równości, lecz głównie na nierówności: każdemu należy się tyle ile ma zasługi [...].

Nie, kolejny dzień powszedni jeszcze nigdy nie słyszałem tylu cynicznych bredni
Codziennie to samo zakłamanie, gąszczem liter istoty zakrywanie
Tak, żelazne prawo oligarchii kto władzę ma najpierw o nią się martwi
Czasem rzecz łatwa, czasem rzecz trudna każdy chce urwać jeszcze większy
kawał sukna

Ja jeśli ukradnę to idę do więzienia, Wy możecie nawet zabić – nic to nie zmienia
Nie czynicie tego własnymi rękami, zastępują Was oprawcy przez was naganiani
Od kogo to prawo decyzji, za miliony, czerń to tylko inny kolor niźli czerwony
Żelazne prawo oligarchii kto władzę ma najpierw o nią się martwi[3]

Cytat ten potwierdza ogromne różnice socjalne w społeczeństwie. Ci, którzy potrafili sobie zapewnić władzę – silni, mocni, bezwzględni – czerpią z tego profity i wykorzystują swoją uprzywilejowaną sytuację w różnego rodzaju działaniach niezgodnych z prawem. Sprawiedliwość zawsze będzie po ich stronie, gdyż mają oni wystarczające środki, aby wymierzyć ją zgodnie z prywatnym interesem.

II. „Zasada użyteczności: należy postępować tak, by wytwarzać najwięcej dóbr"

Zasada użyteczności jest zła: nie chodzi o produkowanie dóbr, lecz o życie, które jest dobrem największym.

Prawa przyrody, prawa moralne nie podlegają dyskusji. Takim prawem jest jedno z fundamentalnych praw istoty ludzkiej – prawo do życia. Prawo to nie może być przedmiotem referendum, czy innych ludzkich decyzji. Życie jest dobrem najwyższym. Prawo do życia po prostu JEST.[4]

Nietzsche opowiadał się za życiem, podkreślał jego wartość, znamionowało ono bowiem siłę. Bojownicy o życie istot nie narodzonych, jakkolwiek bronią organizmów słabych, w jednym punkcie potwierdzają filozofię Nietzschego – są przekonani, że życie to dobro najwyższe i jako takie powinno podlegać maksymalnej ochronie.

III. „Zasada altruizmu, miłości bliźniego: należy pamiętać także o dobrach innych ludzi"

Zasada altruizmu i miłości jest zła: jeśli ma się własne wielkie cele, to są one ważniejsze od cudzych [...]".

[...] *Obserwuję tę ulicę domy dzień kolejny i ciebie gdy wieczorem wracasz tędy.*
Zawsze idziesz lewą stroną ulicy, zawsze w tej samej czapce i spódnicy [...]
Znam twoją drogę dobrze, nawet za dobrze, na pamięć każdy ruch twój
Wiele spojrzeń poświęciłem, by cię zgnębić, abyś szans nie miała gdy cię dopadnę i gdy będziesz umierała.
Jeszcze mnie nie znasz, a już nie masz żadnych szans, żadna mi nie zbiegła,
gdy wpadnę w trans. Gdy zaczynam to robić to się nie kontroluję, dopiero po godzinie znowu coś czuję.
Jesteś na widoku, mam cię na oku, nie unikniesz wydanego wyroku.[7]

W każdym społeczeństwie żyją ludzie tak zaabsorbowani sobą, swoimi pragnieniami i dążeniami, tak zniewoleni swoimi zachciankami, że swoją „wolnością" ograniczają wolność drugiego człowieka. Do osiągnięcia własnego celu dążą nawet za cenę życia, szczęścia, spokoju innych ludzi.

IV. „Zasada litości: wytwarzając dobra dla innych, należy udostępniać je przede wszystkim potrzebującym pomocy, nieszczęśliwym, słabym".

Zasada litości jest zła: jest marnowaniem energii, poświęcaniem jej dla słabych i zwyrodniałych. Silny powinien mieć <patos dystansu>, czyli poczucie swej pozycji i wyższości.

Rosja narusza w Czeczenii międzynarodowe konwencje[8]
Kontrolowana przez Rosję opozycja czeczeńska przyznała [...], *że rosyjscy żołnierze walczący w Czeczenii grabią i mordują czeczeńskich cywilów*[9]
Wiceprezydent sąsiadującej z Czeczenią Inguszetii potwierdził [...] *istnienie <obozów filtracyjnych>, w których Rosjanie znęcają się nad czeczeńskimi uchodźcami podejrzanymi o sprzyjanie Dżocharowi Dudajewowi*[10]

W Czeczenii zginęło ok. 20 tys. ludzi, a 100 tys. jest bez dachu nad głową. Świat milczy patrząc na tragedię tego małego narodu. Nie widzi bowiem swojego interesu w pomaganiu Czeczeńcom, a boi się konfrontacji z Rosją. Łamiąc więc podstawowe zasady człowieczeństwa, miłości bliźniego i litości, pozwala na zagładę narodu, tylko dlatego, że nie może on zapłacić na przykład ropą za ofiarowaną pomoc.

V. „Zasada prymatu dóbr duchowych: dobra duchowe są wyższe od materialnych i zabiegać należy przede wszystkim o nie".

Zasada prymatu dóbr duchowych jest zła: bo podstawą wszystkiego jest ciało, życie jest przede wszystkim sprawą cielesną, duch jest jedynie nadbudową nad nim.

Dzisiaj rano wynurzyła się spod kołdry pełnej snów. W moje usta wbiła oczy popłynęła rzeka słów. Ja poszedłem kupić coś, gdy wróciłem znowu spała. Wszedłem w nią kilka razy, była ciepła, lekko drżała. Ona zna wszystkie moje kłamstwa. Śpi z kim chce, gdy poczuje

w sobie słodki dreszcz. Ona wie jak najszybciej zadać ból, potem płacze i rozbiera mnie.[11]

Uwielbienie dla ciała i cielesności, fałszywe pojęcie „używania życia", zaniedbanie moralności i wartości duchowych stają się stopniowo podstawowymi wytycznymi naszej kultury i cywilizacji. W imię wolności znieważa się człowieka, w imię niezależności uzależnia, w imię szczęścia unieszczęśliwia. Powoli zaczyna się on przeistaczać w uwikłaną w procesy fizjologiczne zabawkę, której bezwolność pozwala na jej wszechstronne manipulowanie.

VI. „Zasada prymatu ogółu: dobro ogółu jest ważniejsze od dobra jednostki i o nie najwięcej należy zabiegać".

Zasada prymatu ogółu jest zła: tylko wielkie jednostki mają wartość, ogół zaś jeśli ma wartość, to tylko jako kopia wielkich ludzi, jako ich narzędzie lub jako opór, który ich pobudza do działania.

Jim Morrison nie żyje już od ponad 20 lat, zespół <The Doors> nie istnieje prawie tak samo długo, a przecież wydaje się to niemal niemożliwe. Muzyka, poezja, legenda i pamięć o nim przetrwały. Grób artysty w <Zakątku Poetów> na Père la choise [...] stanowi cel pielgrzymek młodych ludzi z różnych stron świata. Mimo różnic kulturowych i językowych rozumieją się bez słów. Recytują jego wiersze, śpiewają piosenki, zapalają znicze, przynoszą kwiaty i oddają się chwilom zadumy. Legenda o Nim jest wciąż tak samo żywa. Nie może być inaczej, bo szaman to jakby pół-bóg. A bogowie nie umierają...[12]

Miarą wielkości Jima Morrisona jest nie tylko muzyka i poezja jaką stworzył, ale też siła jego wpływu na rzesze nastolatków Ameryki przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Swoją postawą ukształtował wiele osobowości, zburzył mur pruderii i strachu przed życiem i młodością. W jego imię nadal łączy się wielu, powstaje i upada wielu, rodzi się i zabija wielu. Mimo ogromnych kontrowersji, jakie wywołał styl jego życia prywatnego dzieło, które powstało jest osadzone na stabilnych fundamentach i jego moc ma dawać moc innym budowlom. Jest on przykładem prymatu jednostki nad ogółem.

VII. „Zasada wychowania: dla dobra tego nie należy szczędzić wysiłku i w dbałości o nie należy wychowywać siebie i innych".

Zasada wychowania jest zła: czego nie ma się w organizmie, w siłach życiowych, w instynktach, tego żadne wychowanie nie zastąpi.

Dziękuję mamie i tacie za opiekę, za ciepło rodzinne i kłótnie przy kolacji
Dziękuję szkole za pierwsze kontakty, za dzikie wakacje i nerwy w ubikacji.
Ojczyznę trzeba kochać i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło
Należy też w coś wierzyć i ufać, ojczyznę kochać i nie pluć na godło
<Cześć gdzie uciekasz, skryj się pod mój parasol, tak strasznie leje i mokro wszędzie>
Ty dziwnie oburzona odpowiadasz <nie trzeba> odchodzisz w swoją stronę
Bo tak cię wychowali

Tak bardzo, bardzo chciałbym, abyśmy zwariowali
Tak bardzo, bardzo chciałbym lecz tak nas wychowali[13]

Najniebezpieczniejsze są relacje, kontakty rodzinne. Instytucja matki, ojca, opiekunów ma bardzo destrukcyjny wpływ na psychikę dziecka. Rodzina jest przykładem najlepszej formy manipulowania człowiekiem. Formy najskuteczniejszej, bo nie rodzącej żadnego podejrzenia w manipulowanym – dziecku. Rodzice faszerują swoje pociechy uprzednio spreparowanymi ideami, wartościami, poglądami nie zważając na rzeczywiste dobro ich dziecka. W miarę jego samodzielnego rozwoju dostrzega ono w swojej osobowości granicę wpływów rdzennych i obcych. Dopiero gdy nastąpi pełne oddzielenie tych niestabilności połączonych przepisów na życie, rozpoczyna się działanie zgodnie z wewnętrzną naturą. Rozszczepienie nastąpić musi, u niektórych wcześniej, u innych później, ale zanim do tego dojdzie bardzo drogo płacimy za niechciany prezent – wychowanie.

VIII. „Zasada nagrody i kary: moralne postępowanie otrzyma nagrodę, jeśli nie w tym życiu, to w przyszłym, a nawet samo nosi w sobie nagrodę w postaci zadowolenia wewnętrznego; a niemoralne otrzyma karę i samo ją w sobie nosi w postaci wyrzutów sumienia.

Zasada nagrody i kary jest zła: bo nagroda i kara nie są ważne: nagrodę rozumie się jako szczęście, karę jako nieszczęście, a od tego by czuć się szczęśliwym ważniejsze jest, by żyć życiem pełnym i dostojnym. Szczęście to także jeden z ideałów moralności panującej, dzieło niewolników, które należy obalić.

Niebieskie dżinsy i słomiane kapelusze / Wodospad słońca, chmur poduchy, złoto pól / Codziennie plecak pełen całkiem nowych / wzruszeń / Królowa życia i król / Na taflach jezior trzepotanie białych żagli / Śnieg zimą w górach, latem lepsza morska sól / Czy dzień, czy noc nic oprócz pragnień ich nie nagli / Królowa życia i król / Dla zdrowia czasem spleen / Patykiem pisanych win / Odtrącaj szyjkę i – „skool" / Królowa życia / Królowa życia / Królowa życia i król /

Zwycięstwa pierwsze i przegranych pierwsza gorycz / Motanie spraw jak rajdy bilardowych kul / Coraz mądrzejsze życia podłapują wzory / Królowa życia i król / Tych najtrudniejszych w życiu rozmów ostre słowa / „Jakoś to załatw"... „Dla higieny weźmy ślub" / Choć trochę głupio było, trudno dopasować / Królowa życia i trup / Na szczęście brak pamięci / Jakoś tam trzeba kręcić / Po prostu we mnie się wtul / Królowa życia / Królowa życia / Królowa życia i król / Pofartowało się zupełnie niesłychanie / Gablota mota na opony wstęgę szos / I skórą kurtek świecą w środku jak marsjanie / Królowa życia i boss / Jak człowiek wygra to dopiero ma coś z życia / Naprawdę czuje jak wariuje w żyłach krew / Układy takie, że no wprost nie do odbicia / Królowa życia i szef / To już na pewno góra i farby i kultura / Nigdy nie wypadną z ról / Królowa życia / Królowa życia / Królowa życia i król / A potem taki czas, że wszystko jest już śliczne / I coraz mniej codziennych zwyczajnych spraw, c'est brulle / Więc admirują Cię, bo to takie romantyczne / Królowa życia i król / Coraz mniej jawy, coraz więcej alkoholi / Oh Borlej-

corn powieki oczom duszy stu / Oboje wiemy jak samotność nocą boli / Królowa życia i król / Wódeczka raz, bo świta / Pod czaszką kac zazgrzyta / Wszystko załatwi ten ból / Królowa życia / Królowa życia / Królowa życia i król[14]

Szczęście wywodzi się z życia pełnego i dostojnego. A życie pełne i dostojne to życie kompletne, z jego przygodami, niespodziankami, upadkami i wzlotami. Trzeba żyć tylko w pełni świadomie i dostrzegać blaski i cienie egzystencji. Nagroda i kara nie są więc istotne. Życie szczęśliwe jest wszystkim.

Czy z powyższego zestawienia nie wynika, że filozofia Nietzschego jest dzisiaj aktualna i pomimo wszystko funkcjonująca w podświadomości ludzkiej? Czy nie potwierdza to hipotezy: że człowiek dąży do samounicestwienia? Czy Nietzsche nie miał racji mówiąc, *że Człowiek jest czemś, co powinno być pokonane*[15]? Czy więc powstanie nadczłowieka będzie spontaniczną konsekwencją ewolucji człowieka?

Przypisy

[1] Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*; druk Anczyca i Spółki, Kraków, s. 11 (reprint: Warszawa 1990).
[2] Colin Wilson, *Outsider*. Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1992.
[3] Zob. Władysław Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, PWN, Warszawa 1978, s. 164–166.
[4] Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, *op. cit.*
[5] Kazik Staszewski, *Odrzuć to* (płyta zespołu „Kazik" pt.: *Spalaj się!*)
[6] Broszura: *Dziecko nie narodzone jest człowiekiem.*
[7] Kazik Staszewski, *Wampir z Bytomia.*
[8] „Gazeta Wyborcza", nr 29/95, str. 7.
[9] „Gazeta Wyborcza", nr 29/95, str. 7.
[10] „Gazeta Wyborcza", nr 29/95, str. 1.
[11] Muniek Staszczyk, *Sarah.*
[12] Piotr Kosiński, *The Doors – czas apokalipsy*, Rock-Serwis, Kraków 1992, okładka.
[13] Muniek Staszczyk, *Wychowanie* (zespół T. Love, „Dzieci Rewolucji").
[14] Staszek Staszewski, *Królowa życia.*
[15] Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, *op. cit.*, s. 39.

Bibliografia:

Helmut Gilner, *Fryderyk Nietzsche*, Warszawa 1995.
Kazik, *Spalaj się!*, Zabrze 1993.
Piotr Kosiński, *The Doors – czas apokalipsy*, Kraków 1992.
Kult, *Tata Kazika*, Warszawa 1993.
Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*; druk Anczyca i Spółki, Kraków.
T. Love, *Pocisk miłości*, Mrozy.
Władysław Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, Warszawa 1978.
Colin Wilson, *Outsider*, Poznań 1992.
Broszura: *Dziecko nie narodzone jest człowiekiem.*
Słownik wyrazów obcych, Warszawa 1959.

Cyprian Norwid*

XX. SPECJALNOŚCI

I
Czemu? ten świat nie – jako Eden;
Czemu – nie Ideałem?
– Słuchaj, **dwóch** ludzi znałem:
Ach! z tych dwóch... cóż byłby za **jeden**!

II
Bo pierwszy z nich, choć zabił dziecię
Niegodnym wychowaniem,
Pił, klął, żył w kości graniem –
„Najlepsze serce miał na świecie!"

III
Bo drugi znów dobrego słowa
Nie był wart – lecz mówiono,
Jak o pierwszym: **„To, pono,**
Najlepsza w świecie głowa!"

IV
Więc – stąd to świat nie jest jak Eden!
Ale będzie... gdy głowy
Wnijdą na swe tułowy.
– Choć nie zawsze z dwóch byłby choć jeden!...

FACHGEBIETE

Warum? diese Welt – nicht wie Eden,
Warum – kein Ideal?
– **Zwei** Menschen kannte ich – hör mal:
Ach, was für **ein**... wären sie Wesen!

* Wiersze na język niemiecki przełożyła Kamila Chwesiuk

Denn dieser erste, Kindlein zwar unwürdig
Zum Tode hat erzogen,
Gezecht, geschimpft, gelebt vom Knobeln –
„Besseres Herz sei nirgendwo ausfindig!"

Der zweite hat erwirkt ebenso guten Effekt
– Nicht gutes Wortes wert – jedoch
Man schätzte ihn wie den ersten hoch.
So: „Er sei wohl purster Intellekt!"

Also – daher, ja, Erde und Eden nicht gleichen!
Sie werden doch... sobald die Köpfe
Besteigen ihre Rümpfe
– Obwohl nicht immer zwei für einen würden reichen!...

XXIV. SIEROCTWO*

1
Mówią, że Postęp nas bogaci co wiek;
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie:
Niestety! co dnia mniej cieszę się ze mnie,
Śmiertelny człowiek!

2
Cywilizacji dwie – widzę ustawnie:
Jedna – chce wszystko **odkrywać** na serio,
Druga – chce wszystko **pokrywać** zabawnie
Świetną liberią!...

3
Odkrywająca?... – wciąż idzie do słońca:
„Czekajcie! – mówiąc pokoleniom – **bowiem,**
Gdy szereg odkryć mych spełnię do końca.
Coś – i wam powiem!..."

* C. Norwid, VADE-MECUM / Lublin 1984, KAW Pracownie Sztuk Plast. [Tekst ustalił i wstępem opatrzył Juliusz W. Gomulicki]

4
Zakrywająca?... cieszy znów inaczej:
Pokaż jej łez zdrój?... ona odpowiada:
„Nie trzeba zważać na to... co? to znaczy!
Może – deszcz pada."

5
Dwie, takie błogie, mając opiekunki,
Ludzkość w sieroctwie zniklaby głębokiem,
Gdyby glob nie był ramieniem piastunki,
Słońce?... jej okiem!...

WAISENSTAND

Jedes Jahrhundert, spricht man, Fortschritt uns bereichert;
Davon läßt sich ganz angenehn lesen.
Damit leider ich – sterbliches Wesen,
Mit jedem Tag weniger fühle mich geschmeichelt!

Von Zivilisationen zwei – seh' ich unaufhörlich:
Die eine – will alles **entdecken** ganz ernst,
Die zweite – **bedecken** possierlich
Mit exzellenter Livree!...

Die Entdeckende?... – greift mit Zaum nach der Sternenherde:
„Wartet Generationen! – ruft sie –auf dies Glück,
Wenn ich alles erforsche, der Reihe nach, bis zum Ende,
Verrate auch euch ein Stück!..."

Die Bedeckende?... macht uns anders Spaß:
Zeigst du ihr Tränenborn?... die gleich erwidert:
„Darauf nicht achten!... was? bedeutet das!
Vielleicht – es regnet.

Mit so zwei Gönnerinen, voller Chärme,
Verwaiste Menschheit wäre bang und siech,
Wäre denn Erdball nicht 'nes Hüters Arm,
Sonne?... sein Augenlicht!...

KRÓLESTWO

1
Na probierczy kamień dość przeszłości;
Było jej dość, by sprawdzić, co? boli –
Więc nie słuchaj, co dziś o **wolności**
Mówią – co dziś mówią o **niewoli**.

2
Kto czyniłby to przez całe życie,
Co sam tylko dla siebie uchwalał,
Nie dopiąłby on nic należycie,
Lecz gryzłby się, jak Neron, i szalał.

3
Kto zaś nigdy nic po woli własnej
Nie spełniłby – nic o własnym skrzydle:
W widnokrążek coraz więcej ciasny
Zakląłby się i spętał, jak bydlę!

4
Lecz ten z wszystkich nieudolny lekarz,
Kto, nie wiedząc, z chorób leczyć którą?
Pomięsza dwie – nie **mędrzec**! – **aptekarz**!
– Prawda? – nie jest **przeciwieństw miksturą**...

5
Orzeł? – nie jest pół-żółwiem, pół-gromem.
Słońce? – nie jest pół-dniem, a pół-nocą.
Spokój? – nie jest pół-trumną, pół-domem.
Łzy? – nie deszcz są, choć jak deszcz wilgocą.

6
Nie niewola ni wolność są w stanie
Uszczęśliwić cię... nie! – tyś osobą:
Udziałem twym – więcej!... **panowanie**
Nad wszystkim na świecie, i nad sobą.

HERRSCHAFT

1
Prüfe alles mit steinerner Vorzeit;
Sie reicht bis zu dem, was? Schmerz bereitet –
Und höre nicht, was sie heute über **Freiheit**
sprechen – was sprechen sie über **Unfreiheit**.

2
Wer tun würde lebenslang und loben,
Was er eigens für sich hat beschlossen,
Grämen müßte sich, wie Neron toben,
Keine Fülle hätte er genossen.

3
Wer hätte doch mit freiem Willen nie,
Was steht in die Luft erreicht flügge:
Hätte sich gefesselt und beschwört wie ein Vieh
In seines Horizonts enger Lüge!

4
Wer Krankheiten nur schwer unterscheidet,
Und zwei vermischt – kein **Weiser**! – **Apotheker**!
Kurpfuschers schlechter Ruf der nicht vermeidet.
– Wahrheit? – ist nicht **Mixtur aus Gegensetzen**...

5
Adel? – ist keine Halb-Schnecke, Halb-Pfeil.
Sonne? – kein Halb-Tag, nicht eine Halb-Nacht.
Ruhe? – ist nicht ein Halb-Sarg, Halb-Heim.
Tränen? – kein Regen, obwohl regensnaß.

6
Nicht mal Freiheit, nicht Gefangenschaft
Dich beglücken... nicht! – ein Mensch bist du:
Und mehr!... – **über alles in Welt die Macht**
Und über eigene Person fällt dir zu.

Powroty Janiny Bauman

Spotkanie z Janiną Bauman odbyło się w zacisznej i kameralnej atmosferze czytelni Teatru NN

Przed spotkaniem w sali panowało duże ożywienie. Oczekujący rozmawiali, przeglądali opublikowane w „Akcencie" opowiadania pisarki, zastanawiali się jaki charakter przyjmie to spotkanie. Wyczuwało się pewne delikatne napięcie, więc gdy autorka weszła do sali zapanowała wymowna cisza pełna oczekiwania.

Milczenie przerwał prowadzący spotkanie

Tadeusz Szkołut: *O opowieściach pani Bauman mogę się wypowiadać tylko jako zwykły czytelnik. Proza ta ujęła mnie swoją bezpretensjonalnością, a ci, którzy ją czytali wiedzą, że o nieprostych ludzkich sprawach pani Bauman potrafi pisać bardzo prostym, komunikatywnym językiem. Jest jakaś magia w tej prozie.*

O jakich sprawach pisze pani Bauman? Wiele mówi się o potrzebie zadomowienia i przynależności. Ta właściwa człowiekowi potrzeba różnie się realizuje. Ludzie starają się budować swoją tożsamość poprzez zakorzenienie we wspólnocie, poprzez samoidentyfikowanie się z taką lub inną ideologią, itd. Taka potrzeba zadomowienia realizuje się także przez Małą Ojczyznę. Dla pani Bauman taką Małą Ojczyzną jest, jak sądzę, przestrzeń budowana między ludźmi, bliskie więzi... To jest ta najpewniejsza ostoja w burzliwym świecie. To nie jest moje odkrycie, ale ja tak odczytuję tę prozę. Podobnie odczytuje ją pani Anna Zeidler-Janiszewska, której szkic wprowadzający do twórczości Janiny Bauman znajdziecie Państwo w „Akcencie".

Anna Zeidler-Janiszewska: *Chciałabym opowiedzieć Państwu – z punktu widzenia zwyczajnego czytelnika o tym, jak ja czytałam książki pani Bauman „Zima o poranku" i „Sen o przynależności", opowiadania, a także książkę „Powroty", którą już znam, a która dopiero zostanie opublikowana.*

Odczytuję te książki jako powieści o problemach tożsamości. Na świecie dzieje się coś takiego, że ta tożsamość jest chwiejna i że częściowo chcemy, by taka była. Życie rysuje się nam jako problem własnego wyboru, tymczasem w filozofii mówi się o przygodności ludzkiej egzystencji w tym kierunku.

Jeden z filozofów cały czas przypomina, że problem przygodności można interpretować jako przygodność losu i przygodność wyboru. To nie jest tak, że przymierzamy naszą tożsamość jak ubrania. Znane powszechnie jest sławne zdanie Maxa Frischa, który mówił, że przymierza historie jak ubrania, ale nie da się jednego ubrania powiesić do szafy, nałożyć drugie i nie pamiętać o tym pierwszym. To, co przypomina, że jest ta przygodność losu to ten kontekst, w którym się urodziliśmy, który określa naszą tożsamość, kontekst tradycji, kontekst zewnętrzny. Czy chcemy czy nie, wpływa on na nasze życie. Próbujemy ten kontekst losu zamienić na kontekst świadomego wyboru, ale tak naprawdę to się nigdy nie udaje. Jeśli uzyskujemy jakąś wolność to uzyskujemy ją refleksyjnie – w trakcie pewnej pracy myślowej, którą dokonujemy w sobie cały czas. Tworzymy problem naszej tożsamości narracyjnie. Opowiadamy sobie samym, opowiadamy innym. Myślę, że wszystkie utwory pani Bauman mówią właśnie o tym. Wydaje mi się, że kluczem do tej twórczości jest powieść wydana w języku angielskim, która ma z punktu widzenia polskiego czytelnika jedną wadę, właściwie nie sposób przetłumaczyć jej tytułu „A Dream of Belonging" („Sen o przynależności"). I ten sen o przynależności wydaje mi się pojęciem kluczowym, gdy chodzi o tę twórczość, gdy chodzi o jej przesłanie... Autorka, pytając jak należeć do świata, szuka tej odpowiedzi w przeszłości. A jak wiemy była to dla niej przeszłość bolesna. Mimo, że wraca do tamtych ciężkich chwil, to paradoksalnie, ten czas przeszły, który się z niej wyłania, wcale nie jest stracony. Jest raczej zapiskiem pewnej nadziei, którą tam znajdujemy. I właśnie ta nadzieja, która emanuje z tej literatury jest przyczynkiem do jej wielkości. Lubimy wchodzić w świat, który ta proza proponuje.

Janina Bauman: Chciałam się trochę przedstawić zanim przeczytam dwa fragmenty z mojej nowej powieści.

Przez długie lata zastanawiałam się jaka jest definicja pisarza, czy pisarzem jest ten, kto pisze, czy też tylko ten, kto pisze i publikuje. Przez większość mojego życia byłam kimś kto tylko pisał. Nie wiem czy to się nazywa pisarz – czy nie. Przez długie lata nawet nie próbowałam publikować.

Potem zaczęłam publikować, najpierw w Anglii i w innych krajach, dopiero potem w Polsce.

Chciałabym opowiedzieć jak to się stało, że zaczęłam pisać w języku angielskim. Przyjechałam do Anglii w wieku lat czterdziestu i za sobą miałam długą historię pracy w filmie polskim. Ta praca nie dałaby się przenieść na żaden inny grunt, bo to była praca przy scenariuszach, wymagająca doskonałej znajomości literatury, kultury, obyczajów kraju, w którym filmy powstają. Stanęłam przed wyborem: zostać gospodynią domową, albo nauczyć się języka tak, aby móc pisać. Zaczęłam więc od nauki języka, miałam pewne podstawy, ale na tyle tylko wystarczające, by czytać łatwe powieści ze słownikiem. Nie chciałam iść na żaden kurs, bo byłam za dorosła na to, tak uważałam. Chodziłam na uniwersytet jako wolny słuchacz i siedząc między studentami pierwszego roku anglistyki po prostu słuchałam wykładów i miałam dostęp do książek z listy lektur obowiązkowych. Skrzętnie czytałam wszystkie, łącząc

w ten sposób naukę języka ze zdobywaniem wiedzy o literaturze angielskiej; w Polsce mieliśmy o niej bardzo małe pojęcie. To był mój własny sposób nauki. Po pewnym czasie mogłam już pisać, natomiast mówić nie mogłam jeszcze przez długi czas. Pierwsze próby mojego angielskiego pisania to były krótkie opowiadania, które bardzo naiwnie wysyłałam do popularnych czasopism, jakich jest w Anglii ogromne mnóstwo. Nie ma tam niestety takich pism jak „Akcent", „Kresy" czy „Odra". Wysyłałam więc te opowiadania do przeróżnych redakcji i dostawałam odrzuty, często z komentarzem, że dobry kawałek pisania, ale dla nas się nie nadaje. Byłam naiwna. Tam trzeba pisać według recepty, która obejmuje temat, charakterystykę postaci, budowę opowiadania, tzn. co ma być na początku, co w środku i co na końcu itd. Ja w ten sposób ani nie umiałam ani nie chciałam pisać.

Pewnego dnia, a było to w dziesięć lat po przyjeździe do Anglii, siedziałam w ogrodzie i pisałam kolejne opowiadanko i... nagle mi to strasznie zbrzydło. Zaczęłam pisać wspomnienia z dzieciństwa. Po angielsku. I to było doświadczenie nieprawdopodobne. Gdy napisałam pierwszą stronę, wspomnienia zaczęły przypływać potężną falą. Jakieś zapomniane miejsca, twarze, fakty, dźwięki, zapachy. I moje własne myśli, moje uczucia z tamtych czasów... Trzeba było dokonać bardzo starannej selekcji, inaczej nie byłoby to do czytania.

Musiałam pisać po angielsku, chociaż bardzo mnie kusiło, żeby pisać po polsku. Nie sądziłam, aby książka mogła być opublikowana. Pisałam dla swojej rodziny i przyjaciół, moi zięciowie, wnuki i nowi przyjaciele brytyjscy nie znali polskiego języka. Kiedy skończyłam tę książkę i kiedy wyszła, miałam już początek następnej. Brzmi to może łatwo, ale trudności były kolosalne. Jedną z takich trudności było opisywanie po angielsku stanów uczuciowych. Język ten jest pod tym względem ubogi. Tak np. „przeżycie" i „doświadczenie" tłumaczy się tym samym słowem „experience". Zaś w wypadku jakichś ujemnych zjawisk, negatywnych odczuć np. strachu – występuje tak niezliczona ilość synonimów, że można się zgubić! Cóż ma więc zrobić nieszczęsny człowiek, który nie wyssał tego języka z mlekiem matki? Jak ma wybrać to właściwe słowo? Musi kierować się intuicją, ale ta intuicja musi być podbudowana przez intensywne czytanie dobrej angielskiej literatury. Były jeszcze inne trudności... Pisałam o Polsce dla angielskich odbiorców, którym trzeba było wszystko tłumaczyć. Wiedziałam, że tłumaczenie negatywnie wpływa na jakość tej prozy. Potem nagle, po trzech latach po ukazaniu się mojej książki, zwrócił się do mnie „Znak", żebym przetłumaczyła książkę na polski. W pierwszej chwili nie zgodziłam się, ale nalegali i powiedziałam: tak.

Jestem szczęśliwa, że się zgodziłam, bo to była najprzyjemniejsza praca w moim życiu. Nagle poczułam się swobodnie, zaczęłam swobodnie pisać, wyrzucając to wszystko co było niepotrzebne dla polskiego czytelnika i dodając różne szczegóły, które nie mówiły nic Anglikowi. Potem stał się następny cud, wszystko się zmieniło, zaczęłam przyjeżdżać do kraju. Zaczęto się interesować tym, co piszę. Pisałam opowiadania po polsku. Prawie wszystkie zostały już opublikowane. Teraz napisałam książkę po

polsku – nazywa się „Powroty". To jest opowieść w czterech częściach. Dotyczy dwóch różnych ludzi, dwóch różnych pokoleń, czasów. Zaczyna się to w kwietniu w 1945 roku. Porucznik Wojska Polskiego wychodzi ze szpitala po wyleczeniu rany poniesionej pod Kołobrzegiem i zostaje przeniesiony do jednostki sztabowej, która stacjonuje w Otwocku pod Warszawą. Gdy tylko tam się urządza, prosi o przepustkę, otrzymuje ją i wyrusza do Warszawy, żeby poszukać śladów swojej zaginionej siostry...

T.Sz.: *Postawiła sobie Pani cel w życiu: pisać po angielsku. Dlaczego nie po polsku?*

Powiedziała Pani też, że gdy zaczęła pisać po polsku to nagle ta proza stała się potoczysta, nagle zniknęła jakaś blokada. Dlaczego więc od samego początku pisała Pani po angielsku?

Janina Bauman: Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę mogła przyjechać do Polski. Nie sądziłam też, iż będę miała możliwość publikować w tym kraju. Przez 20 lat wydawało się to absolutnie niemożliwe. A po polsku pisałam... W czasie wojny pisałam bardzo dużo – pamiętniki, opowiadania o tym, co się działo. Po wojnie odnalazłam te rękopisy, ale ich nigdy nie próbowałam drukować. Czytałam wtedy mnóstwo scenariuszy, pisałam o nich, ale to było coś innego. W Anglii miałam warunki, żeby zacząć pisać na nowo. Ale jeżeli tam, to po angielsku. Kto przeczytałby po polsku? Najwyżej moje córki i mąż.

Sławomir Żurek: *Ja mam właściwie dwa pytania. Pierwsze dotyczy miejsca jakie zajmuje w Pani twórczości Holocaust. Czym jest to doświadczenie dla Pani w jej pisarstwie i na jakie napotkała Pani trudności poruszając tę problematykę w swoich utworach? Chciałbym także zapytać: Czy o zagładzie należy pisać? Jest to przecież tak trudne i przełomowe doświadczenie dla cywilizacji, że właściwie rodzi się pytanie o zasadność, bo przecież tekst literacki jako swój komponent zawiera fikcję.*

Drugie moje pytanie dotyczy antysemityzmu. Jakie – Pani zdaniem – miejsce w kulturze polskiej zajmuje ten problem? Czym jest dla Pani antysemityzm jako zjawisko socjologiczne?

Janina Bauman: Przez czterdzieści lat nie przychodziło mi do głowy, że potrafię opisać moje przeżycia. Jednak cały czas wiedziałam, że powinnam zostawić świadectwo. Miałam nie tylko złe doświadczenia, ale także dobre. O tym trzeba było powiedzieć, bo panowała wtedy na świecie niedobra opinia o Polakach. Czułam, że moim obowiązkiem jest opowiedzieć o ludziach szlachetnych, którzy pomogli mi przetrwać. Opowiadam o tym publicznie do dziś.

Więc nagle coś się we mnie przełamało. Zaczęłam pisać o wydarzeniach z lat wojny. Oczywiście były momenty, gdy chodziłam przygnębiona i było mi naprawdę ciężko.

Czy należy pisać? Należy. Ja także się wściekam czytając książki lub oglądając filmy fikcyjne, robione przez ludzi, którzy nie doświadczyli sami Zagłady.

Zgadzam się, że w każdej autobiografii jest odrobina fikcji. Są wydarzenia, które trzeba łączyć na zasadzie prawdopodobieństwa po to, aby narracja nie rwała. Dialogi w każdej autobiografii są fikcyjne, bo nikt nie może pamiętać ich dokładnie po latach. Uwa-

żam jednak, że należy pisać wspomnienia. Pokolenie, które przeżyło Zagładę wkrótce wymrze, nikt tego potem nie napisze.

S.Ż.: *Czytając tekst „Zima o poranku" odniosłem wrażenie, że Pani stosuje pewien zabieg artystyczny gdy pisze o Holocauście, ja bym to nazwał „oczyma dziecka". Jednak minęło już czterdzieści kilka lat, czy ten zabieg nie jest po prostu mechanizmem obronnym...*

Janina Bauman: Zgadzam się. Nie potrafiłabym inaczej pisać tej książki. Z dzisiejszą wiedzą i dzisiejszą świadomością. Dlaczego? Ponieważ byłoby tam wiele zdarzeń, o których tylko przeczytałam lub usłyszałam później. Ważne było wejść w skórę tej dziewczynki i przekazać dokładnie jej przeżycia.

S.Ż.: *W „Powrotach" ma się wrażenie, że tam motyw antysemityzmu pulsuje rytmicznie.*

Janina Bauman: Bo to mnie boli za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam. Wiem doskonale, że nie wszyscy Polacy są antysemitami i od lat tłumaczę to Anglikom. Ale ten problem jednak w Polsce istnieje i to mnie boli. To samo przeżywa bohater „Powrotów" – Adam. On stoi na rozstaju dróg. Czy wrócić? Czy raczej nie wracać? Jednak nie powiedziałabym, żeby to była książka o antysemityzmie.

Katarzyna Grzybowska: *Ja chciałabym raz jeszcze zapytać o Pani najnowszą książkę „Powroty". Jeden z jej głównych bohaterów, Adam, przyjeżdża do Polski w okresie przemian politycznych. Polska jest wolna. Przyjazd Adama nabiera więc charakteru bardzo symbolicznego. Czy w losie tego bohatera nie kryją się jakieś odniesienia do Pani własnych wspomnień z przyjazdu do Polski?*

Janina Bauman: Oczywiście, że tak. Proszę sobie wyobrazić te drzewa, które przez 20 lat wyrosły i chodniki które popękały... i to poczucie obcości w pierwszej chwili, a potem poczucie wielkiej bliskości.

K.G.: *Moje drugie pytanie dotyczy „Zimy o poranku". Ta książka rozpoczyna się takimi zdaniami:*
„Minęło prawie czterdzieści lat nim poczułam się gotowa po napisania tej książki. W ciągu tych lat rzadko wspominałam przeszłość". Chciałam zapytać: Jak odnajduje się ten moment – gdy człowiek jest gotowy do napisania takiej retrospekcji przeszłości, wspomnienia, które stanowi całe jego życie?

Janina Bauman: To stało się nagle. Gdy o tym wcześniej myślałam czułam, że jeszcze nie czas, że jeszcze nie potrafię. I stało się to nagle. Zaczęłam pisać o dzieciństwie i ta fala pociągnęła mnie i nie mogłam się jej oprzeć.
Bardzo trudno wytłumaczyć dlaczego przez czterdzieści lat nie pisałam. To nie była jakaś świadoma decyzja. Raczej było to usunięte w podświadomość. Gdy byłam z matką lub siostrą nigdy nie rozmawiałyśmy na ten temat. Było tak wiele aktualnych, bieżących spraw.

T.Sz.: *W Pani książce nie ma tak często spotykanej w innych wspomnieniach – goryczy...*

Janina Bauman: Nie ma, ponieważ doświadczyłam wiele dobrego.

Opracowała: **Katarzyna Grzybowska**

„Im więcej wiedzy, tym mniej uprzedzeń..."

Spotkanie redakcji „Słowa Żydowskiego" z redakcją „Scriptores Scholarum" w Żydowskim Instytucie Historycznym

„Scriptores Scholarum": *Jaka jest historia „Dos Jidisze Wort"?*

Włodzimierz Susid (Sekretarz Redakcji): Nasza gazeta jest kontynuacją pisma „Folks Sztyme", które istniało w Polsce od 22.02.1946 roku. Było to pismo o zasięgu ogólnopolskim. Redagowane przez grupę dziennikarzy związanych z ruchem lewicowym, poruszało wszystkie problemy dotyczące środowiska żydowskiego. Dziennik, potem tygodnik przetrwał bez większych zmian do 1991 roku. Wtedy to gazeta ta przekształciła się w „Słowo Żydowskie – Dos Jidisze Wort". Przed wojną środowisko żydowskie w Polsce liczyło około trzech i pół miliona obywateli, dla których wychodziło ponad sto tytułów prasowych. Było to więcej, niż w ogóle gazet polskojęzycznych w całym kraju. Żydzi byli zawsze bardzo przywiązani do słowa pisanego i cenili sobie przekazywanie wiadomości w prasie. Po wojnie została tylko jedna gazeta...

Adam Rok (Redaktor Naczelny): Widzę, że naszą rozmowę muszę zacząć od dyskusji z moim kolegą redakcyjnym. Moi państwo, po wojnie z prasą żydowską było troszkę inaczej. W 1945 roku istniała rzeczywiście jedna gazeta. Ona nazywała się „Nowe życie" (Dos Naja Lebu). To było pismo ogólnokrajowe, organ Centralnego Komitetu Żydów w Polsce. Natomiast „Folks Sztyme" powstała w rok później i dotrwała do 1991 r. Po wojnie, kiedy liczba Żydów wynosiła maksymalnie 250 tys. (to był bardzo krótki okres związany z powrotem Żydów polskich z ZSRR, później większość z nich wyjechała, zwłaszcza po pogromie kieleckim w 1946 r.) Nie wiem, czy uwierzycie mi, ale w Polsce ukazywało się w tym czasie, łącznie z pismami młodzieżowymi: około czterdzieści tytułów gazet i czasopism żydowskich, w języku pol-

skim, w języku żydowskim oraz kilka tytułów w hebrajskim! Niektóre były wspaniale redagowane, pisane pięknym językiem. Ogromnie bogate było powojenne życie środowiska żydowskiego, nie tylko w sensie wydawniczym, ale także ogólnokulturalnym. Był Teatr Żydowski, Instytut Historyczny, szkolnictwo żydowskie, wydawnictwo – „Jidisz Buch", które wydawało bardzo dużo tytułów książek, przede wszystkim z klasyki żydowskiej. Niestety teraz nie ma czytelników dla tych książek...

„Scriptores Scholarum": *Czy dzisiaj używa się w Polsce języka żydowskiego?*

Adam Rok: W Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w województwie warszawskim jest duża biblioteka, z dużym zbiorem książek w języku jidisz. Ostatnio straciliśmy ostatniego czytelnika – wyjechał do Japonii. Tym czytelnikiem był japoński doktorant, który pisał pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Teraz będziemy mieli nową czytelniczkę, młodą osobę, Polkę, która zna język jidisz. Pobierała lekcje języka u prof. Michała Friedmana i ona teraz będzie jedyną czytelniczką żydowskich książek. Jest paradoksem, że nawet to pokolenie, które urodziło się przed wojną, które żyło w getcie żydowskim, w dzielnicach żydowskich, na „ulicach żydowskich", które porozumiewało się na co dzień w języku jidisz, to pokolenie przestaje dzisiaj czytać, odchodzi od języka żydowskiego. Jest to dramat nie tylko języka, ale dramat środowiska. Dziś trwa walka o to, żeby zachować ten język. Walka nie tylko w Polsce, bo w Polsce ten język wcześniej, czy później musi umrzeć, ponieważ naturalny proces biologiczny spowoduje, że nie będzie już ludzi, którzy tym językiem będą się posługiwać. Może dojść do takiego paradoksu, że będzie w Polsce więcej Polaków, którzy znają język jidisz, niż Żydów, którzy go znają. Sytuacja jest więc rzeczywiście dramatyczna. W ubiegłym roku byłem w Kijowie na spotkaniu Światowej Rady do spraw Języka Żydowskiego. Jest to organizacja, która skupia ludzi pochodzenia żydowskiego z różnych krajów świata, a jej celem jest ratowanie właśnie języka jidisz. Organizacja ta próbuje animować kulturę żydowską, literaturę w języku jidisz. Na świecie jest trochę ośrodków, które literaturę i język jidisz promują. Język żyje wówczas, kiedy są ludzie, którzy posługują się nim na co dzień. Dorobek kultury, a zwłaszcza literatury żydowskiej, to nie tylko dorobek literatury hebrajskiej. To przede wszystkim dorobek literatury jidisz, literatury pisanej w języku żydowskim. W Izraelu, jeżeli społeczeństwo chce utrzymać ciągłość kultury narodu żydowskiego, powinno sięgać do ogromnego dorobku literatury jidisz. Dzisiaj może do niego sięgać tylko w przekładzie. Mówię o tym problemie, dlatego, że i moja gazeta jest dwujęzyczna, z jednej strony w jidisz, z drugiej strony po polsku. Część w jidisz stanowi 40 % tekstu. Są ludzie, którzy mówią, żeby zostawić w spokoju te strony jidisz, zrobić gazetę całkowicie po polsku, żeby artykułowała problemy tego środowiska żydowskiego, ale artykułowała je po polsku, ponieważ większość naszych czytelników czyta przede wszystkim w tym języku. Jednak tradycja prasy żydowskiej w Polsce, jest tradycją prasy przede wszystkim w języku jidisz i dlatego nie zrezygnowaliśmy z tej ostatniej nici wiążącej nas z przeszłością, mimo ogromnych

trudności, bo nie mamy dziennikarzy piszących w języku jidisz.

„Scriptores Scholarum": *Jak wygląda zespół „Dos Jidisze Wort"?*

Adam Rok: Nasz zespół składa się w sumie z trzech dziennikarzy i jednego redaktora-tłumacza. Mamy jednak bardzo wielu współpracowników, takich jak prof. Jerzy Tomaszewski, prof. Marian Fuks. Współpracuje z nami spora grupa ludzi ze środowiska polskiego, korespondują i utrzymują z nami przyjazne kontakty. Rzeczywiście jest to bardzo sympatyczna sytuacja, gdy ludzie z nami współpracujący zapraszają nas na imprezy organizowane dla upamiętnienia Żydów.

„Scripores Scholarum": *Kto jest adresatem pisma?*

Adam Rok: Kiedy wspomniałem o tym, że dyskutowaliśmy, jakie ma być to nowe pismo, uznaliśmy, że powinno być ono skierowane do dwóch grup odbiorców: pierwszą, naturalną grupą naszych czytelników są czytelnicy żydowscy, ludzie, którzy funkcjonują w środowisku, należą do organizacji żydowskich, które istnieją w Polsce, a jest tych organizacji kilka, mimo, że całe środowisko liczy najwyżej dziesięć tysięcy osób. Nasza gazeta jest czytana na wszystkich kontynentach i wszędzie tam, gdzie są Żydzi z Polski. Mamy prenumeratorów we Francji, Australii, Izraelu, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Danii, Szwecji, Niemczech itd. Wszędzie tam, gdzie powstały kolonie Żydów z Polski, głównie emigracja z roku 1957 i 1968. Druga grupa, do której zamierzaliśmy skierować „Dos Jidisze Wort", nie wiem na ile nam się to udało, to oczywiście czytelnicy polscy, którzy są zainteresowani problematyką żydowską, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o historii, kulturze, tradycji żydowskiej. W założeniu naszym było, aby to pismo było pomostem do środowisk polskich, aby wyjaśniało nie tylko nasze stanowisko, punkt widzenia na różne sprawy, ale by miało pewną funkcję edukacyjną, co jest, nie ukrywam, bardzo trudne. Dziennikarstwo jest dziedziną, w której raczej powierzchownie traktuje się niektóre rzeczy i to, co my piszemy może być pewnym zarysem różnych problemów. W czasopiśmie mamy działy: tradycja, historia, kultura. Wydaje nam się, że jeżeli nawet z takim programem, z takim założeniem dotrzemy do czytelnika polskiego i on będzie rozumiał, pojmie pewne sprawy, to znikną w mniejszym, czy większym stopniu pewne stereotypy, pewne sposoby patrzenia na społeczność żydowską, na problemy tego środowiska, jego historię, dokonania. Mówimy o naszych sprawach, próbujemy je wyjaśniać i oczekujemy reakcji środowiska polskiego i rzeczywiście są te reakcje. Naszym podstawowym zadaniem jest więc pokazanie środowiska żydowskiego w Polsce i na świecie.

„Scriptores Scholaru": *Wspominali Panowie, że polski odbiorca reaguje na to co piszecie, w jaki sposób?*

Włodzimierz Susid: Generalnie reakcje są pozytywne, chociaż przyznaję szczerze, że nie próbujemy się przymilać. Jest wiele krytycznych artykułów, mimo wszystko musimy przyznać, że bardzo nam zależy na polskim czytelniku. Otrzymujemy listy od ludzi z różnych miejsc. Jest duże zainteresowanie historią żydowską na ziemiach polskich. Jest to zjawisko bardzo ciekawe, im dalej od Holokaustu, im mniej Żydów jest w Polsce, tym bardziej widoczne jest większe zainteresowanie

tradycją żydowską na ziemiach polskich. Ludzie z różnych małych miasteczek piszą do nas całe elaboraty, w których opisują historię Żydów w swoich miejscowościach, kiedy i jak zginęli. Piszą opowiadania. Dwa lata temu był konkurs piosenki o tematyce żydowskiej. Przyjechała młodzież z różnych części kraju, w tym duża grupa młodzieży wiejskiej, która o ile pamiętam, śpiewała psalmy.

„Scriptores Scholarum": *Jak wygląda dzisiaj środowisko żydowskie w Polsce?*

Adam Rok: Żydów praktycznie już nie ma, a będzie coraz mniej, bo taki jest naturalny proces biologiczny: dziewięćdziesiąt procent tego środowiska to są ludzie w wieku 70–80 lat. Młodzież jest bardzo nieliczna.

Włodzimierz Susid: Młodzież jest nieliczna, ale młodzież jest przywiązana do swoich korzeni. To tutaj od razu trzeba powiedzieć. Nie można powiedzieć, że wszyscy Żydzi kładą się dzisiaj i umierają i zostaje gazeta, która wychodzi dla tej garstki... Prawie w każdym większym mieście jest grupa młodzieży żydowskiej, która coś chce robić. Jest to przeważnie młodzież studencka. Istnieje żydowska organizacja studencka, są kluby młodzieżowe, działa klub młodzieżowy przy TSKŻ we Wrocławiu, Łodzi, Warszawie, Krakowie. Tak, więc jakieś życie żydowskie się toczy...

„Scriptores Scholarum": *Czy „Dos Jidisze Wort" może przydać się do czegoś przeciętnemu człowiekowi?*

Adam Rok: Muszę wam powiedzieć, że przychodzą do nas tatusiowie, mamusie dzieci szkolnych, przychodzą z taką prośbą: „Proszę pana moje dziecko ma napisać referat na jakiś tam temat z kultury żydowskiej, i ja nie wiem, gdzie znaleźć takie materiały, czy pan mi może pomóc?" Oczywiście szybko mobilizujemy się i dajemy trochę naszych gazet i różnych materiałów. Robimy kserokopie, jeżeli to jest konieczne i wzbogacamy materiały źródłowe do wypracowań w szkołach. Często to się nie zdarza, ale jednak jest nam bardzo miło, że do nas przychodzą w takich sprawach, i w ogóle miło, że ta tematyka, jak to się mówi „chodzi w szkołach". I to jest dla nas bardzo istotne. Bo jak powiadam im więcej wiedzy, tym mniej uprzedzeń. Ponieważ można się różnić, każdy się różni, ale żeby z tych różnic nie wynikały niechęci, a po prostu zrozumienie i tolerancja dla odmienności. Tak ja to rozumiem i taka jest między innymi rola naszej gazety.

„Scriptores Scholarum": *Co to jest tożsamość żydowska?*

Włodzimierz Susid: Tożsamość żydowska to jest bardzo skomplikowana sprawa w dzisiejszych czasach w Polsce. Moim zdaniem jest to wewnętrzna potrzeba udokumentowania swojego pochodzenia. To się zaczyna bardzo różnie. Po prostu ktoś kiedyś usłyszał, że miał ojca Żyda, czy matkę Żydówkę, a nawet babcię i on stara się czegoś na ten temat dowiedzieć. Pierwsze kroki kieruje właśnie do organizacji żydowskich, starając się wyjaśnić, kto to jest ten Żyd. Bo my w większości przypadków nie mamy już takich typowych rodzin żydowskich, które wychowują dzieci w kulturze żydowskiej od samego początku. Takich rodzin już po wojnie było mało. Takich, które przestrzegały tradycji żydowskiej, świąt. U mnie w domu przestrzegane było tylko święto Jom Kippur, wiedziałem, że wtedy trzeba iść do synagogi. Po 1946 roku,

a jeszcze wcześniej po pogromie kieleckim, kiedy masa ludzi wyemigrowała, ludzie, którzy zostali nie afiszowali się swoim żydowskim pochodzeniem. Rodzice często ukrywali je przed dziećmi. Wiele tragedii zdarzało się w roku 1968, kiedy dzieci dowiadywały się od obcych, że są pochodzenia żydowskiego. Dzisiaj w Polsce są dzieci przeważnie z małżeństw mieszanych, które w jakiś sposób mają silne pragnienie poznania swoich korzeni. Oni zgłaszają się do nas. Więc my wyjaśniamy, co to jest ta tradycja i kultura żydowska. Od 1989 r. nasza gazeta jest również gazetą, z której można się dowiedzieć wiele na temat kultury i religii żydowskiej. Rozbudzamy więc świadomość żydowską. Wielu młodych ludzi akceptuje swoje korzenie i zostaje w środowisku. Są tacy, którzy uczą się języka żydowskiego. My prowadzimy zajęcia, jednak jidisz jest trudny, wolą angielski. Moje dzieci również są z mieszanego małżeństwa: ja jestem Żydem, żona Polką. Dzieci wychowaliśmy zupełnie areligijnie, tłumacząc, że najpierw trzeba poznać religię, a potem zaakceptować i przyjąć jako swoją filozofię życiową. Poznały katolicyzm i judaizm i poszły w stronę judaizmu, to bardziej im odpowiada, ale wewnętrzna potrzeba poznania korzeni koniec końców zmusi człowieka do zapoznania się z tym.

Adam Rok: Tożsamość żydowską w pierwszym okresie powojennym kształtowano przede wszystkim poprzez kulturę żydowską, mniej poprzez religię. Naturalnie każdy, kto czytał żydowskich twórców, musiał czytać o tym, jak żyli Żydzi, jak się modlili oraz jak wyglądały ich święta. Ale była to tożsamość ukształtowana na kulturze, więc ona nie miała charakteru tożsamości religijnej. Natomiast od dłuższego czasu nawet nie od 1989 r., już wcześniej, następował proces szukania tożsamości również na gruncie religijnym. Jest to proces bardzo widoczny przede wszystkim w środowisku młodzieży. Obserwujemy również, że ogromnie zagorzali ateiści na starość zaczynają być ludźmi wierzącymi, chodzą do synagogi regularnie i stają się wierzącymi Żydami.

„Scriptores Scholarum": *Jaki jest stosunek gazety do problemu antysemityzmu? Chcecie się mu przeciwstawiać, czy jedynie go opisywać, czy może coś wyjaśniać?*

Adam Rok: My problemu antysemityzmu nie demonizujemy. Mamy również świadomość, że w znacznym stopniu jest to problem trudny. Proces odchodzenia od antysemickich stereotypów jest procesem długotrwałym. Dlatego patrzymy na to ze spokojem. Często w polityce występuje antysemityzm traktowany instrumentalnie, potrzebny do jakichś celów politycznych, jakiemuś człowiekowi, czy też partii i przeciwko takiemu antysemityzmowi bardzo ostro występujemy. Oczywiście nie prowadzimy cały czas kampanii przeciwko antysemityzmowi, nie widzimy potrzeby takiej kampanii. Jeśli to zjawisko występuje to je opisujemy konkretnie i rzeczowo. Nie uogólniamy przypadków antysemityzmu i nie mówimy, że taka, czy inna część Polaków to antysemici. Po prostu widzimy przejawy antysemityzmu i odnosimy się do nich. Problem antysemityzmu widzimy szeroko, jako spuściznę niedobrej niestety tradycji również religijnej. Proces ten, wydaje mi się od Soboru Watykańskiego II został w Kościele zahamowany. Zwłaszcza za sprawą nowe-

go Katechizmu, który jest dla sprawy stosunków chrześcijańskio-żydowskich ogromnie ważny.

Włodzimierz Susid: Ja powiem krócej, my wychodzimy z założenia, że nikt nie ma obowiązku kochania Żydów i nawet ma prawo ich nie lubić, ale są pewne nieprzekraczalne granice tego nie lubienia, które zamieniają się w obsesje, a to już godzi w nasze środowisko. To wtedy w tej sprawie występujemy, czasami nawet bardzo ostro i muszę Wam powiedzieć, że nasza gazeta jest czytana wszędzie tam, gdzie nawet nas bardzo nie lubią.

„Scriptores Scholarum": *Jak dzisiaj wygląda na świecie proces asymilacji?*

Włodzimierz Susid: Proces asymilacji pewnych środowisk to jest bardzo złożone zjawisko. Młode pokolenie wychowywane jest już w kulturze ogólnoeuropejskiej. W USA większość młodzieży żydowskiej chodzi do szkół anglojęzycznych. W Polsce również były szkoły żydowskie, ale ja już chodziłem do szkoły polskiej, nie uczyłem się języka żydowskiego. U mnie w rodzinie ojciec mówił świetnie po żydowsku, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby nas tego języka nauczyć. Ojciec był dziennikarzem i pisał dla gazety, którą z kolei czytali starzy Żydzi, jak to on określał, pisał również do polskich gazet. Kiedy w dzieciństwie chciałem uczyć się języka żydowskiego on wtedy często mi powtarzał: „Po co Ci żydowski, nikt teraz w nim nie mówi, ucz się lepiej angielskiego, to jest język, który ci się kiedyś przyda!" Wszędzie na świecie, gdzie mieszkają Żydzi, następują procesy asymilacyjne. Ludność przyjmuje kulturę kraju, w którym żyje, gdyż jest ona po prostu bardziej przydatna. Już nie ma gett. Kiedyś, kiedy było getto, gdy społeczność żydowska żyła w dzielnicach zamkniętych, to język żydowski był językiem codziennym, mówiło się nim praktycznie wszędzie. Potem nie było już takiej potrzeby, pozostawała jedynie tradycja wyniesiona z domu, a potem to już nawet i tego nie było... Język w diasporze żydowskiej stopniowo zanikał, bo następował proces przechodzenia na język większości. To samo obserwują inne mniejszości narodowe w Polsce. Żydzi może i chcieliby mówić po żydowsku, ale trzeba się zmobilizować i nauczyć się, a tego im się nie chce. Kiedy ja próbowałem zachęcić syna do nauki języka jidisz, to on owszem chce uczyć się, ale hebrajskiego, bo hebrajski mu się przydaje, kiedy jedzie do Izraela, ale żydowskiego to on uczyć się nie chce. „Po co tato mi żydowski język, jak będę potrzebował to się nauczę niemieckiego, to jest prawie to samo!?"

Adam Rok: Problem asymilacji wiąże się z językiem jidisz, a jest to problem szalenie skomplikowany. Z jednej strony ogromny ośrodek kultury jidisz – Europa Wschodnia, z drugiej strony – USA. Na terenach byłego ZSRR, w latach 30-tych zaczęło się gwałtowne tępienie języka i kultury jidisz. Stalin wymordował prawie całą inteligencję żydowską, prawie wszystkich pisarzy piszących w języku jidisz. W 50-tych latach zostały zamknięte teatry. Za Chruszczowa starano się tam reaktywować teatr żydowski, ale partia komunistyczna zareagowała w ten sposób, że odpisała: „my nie rozumiemy, po co wam teatr żydowski, czy Żydzi nie rozumieją języka rosyjskiego?" W latach 30-tych wsadzano do łagrów nauczycieli, działaczy kulturalnych, dziennikarzy, pisarzy. Jest wreszcie ogromne

środowisko, wielomilionowe społeczeństwo Żydów amerykańskich. Tam jest zjawisko inne, tam nikt nie przeszkadza mówić w jidisz. Żydzi przyjechali do USA z zamiarem absolutnego zintegrowania się ze społeczeństwem amerykańskim. Założenie asymilacji zakładało z góry, że to, co będzie scalało ich z tym społeczeństwem, to dobra znajomość języka angielskiego. Więc oni swoje dzieci, wnuki oraz siebie samych kształcili w języku angielskim. Przykładem tej szalonej amerykanizacji społeczności żydowskiej jest spotkanie, w którym uczestniczyłem niedawno w Pradze. Społeczeństwo żydowskie w Ameryce jest już mało żydowskie, lecz po prostu amerykańskie. W tej chwili przeciętnie ok. 50 % żydowskich małżeństw w Stanach Zjednoczonych to małżeństwa mieszane, a w ostatnim okresie procent małżeństw mieszanych dochodzi już do osiemdziesięciu. W Ameryce widoczne jest zjawisko gwałtownego odchodzenie Żydów od środowiska żydowskiego. Jeżeli coś jeszcze łączy to społeczeństwo, to nie język, to przede wszystkim przywiązanie do synagogi. Tą część, która nie jest jeszcze religijnie indeferentna, łączy więź religijna. Oni po prostu raz do roku, czy dwa razy do roku chodzą w święta do synagogi. Natomiast tradycja, kultura i język żydowski prawie w ogóle ich nie interesują.

„Scriptores Scholarum": *Czy dzisiaj młodzież żydowska w Polsce jest w jakiś sposób dyskryminowana?*

Włodzimierz Susid: Mój syn chodzi do szkoły, w której są trzy osoby mające coś wspólnego z żydowstwem. Mój syn nie ukrywa tego, że jest Żydem. Nikt go jeszcze z tego powodu nie zaczepił, nie miał z tym żadnego problemu. Moja córka na uniwersytecie również nie miała najmniejszych problemów, w szkole średniej też, chociaż w pewnym okresie przesadzała z tymi swoimi medalikami i innymi akcesoriami (gwiazda Dawida, Tablice Mojżeszowe), jak to dziewczyna. Wiem jednak, że istnieje grupa osób, które boją się ujawniać swoje żydowskie pochodzenie. Powiedzmy inaczej: słowo „Żyd" w tradycji polskiej ma w świadomości ogólnospołecznej negatywny wydźwięk, ma bo tak się jakoś złożyło, tak się utarło, a jest to wynik właśnie tego, o czym mówił Adam Rok – chrześcijańskiego antysemityzmu, który był niejako wpisany w katechizm i w nauczanie o Żydach. I to ma taki wydźwięk, że część ludzi się wstydzi swojego pochodzenia. Mój brat ma syna, też z mieszanego małżeństwa i wysłał go na kolonie organizowane przez TSKŻ. Chłopak miał wtedy chyba 8 lat. Wrócił z tych kolonii i mówi tak do mnie: „Wiesz co wujku, ja to wolę być hipisem niż Żydem." „Ja też, ale możesz być Żydem-hipisem" odpowiedziałem mu wtedy. On się raczej nie afiszuje tym, że jest Żydem, ale jest u niego widoczna reakcja na te wszystkie ataki, które słyszy. On należy do Inicjatywy Anarchistycznej. Jest anarchistą z przekonania. Jest oczywiście jakaś grupa młodzieży, która woli nie ujawniać swojej tożsamości narodowej. Czują się zagrożeni. Czują się zagrożeni również tym, że w Warszawie na Nowym Świecie przez dwa, czy trzy lata w oknie była wystawiona swastyka i nikt na tę swastykę nie reagował, mimo, że pisano listy, petycje...

Materiał przygotował do druku: **Paweł Furmanek**
Opracował: **Sławomir Żurek**

Łukasz Garbal

„Dzieje Żydów w Polsce" – zupełnie koszerne

Oto młody Czytelniku Seria Edukacyjna „Dzieje Żydów w Polsce" opracowana przez naukowców z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Zeszytów jest pięć, i dotyczą prawie tysiąca lat wzajemnych kontaktów polsko-żydowskich na ziemiach Rzeczpospolitej. Niektórzy spośród autorów zaopatrzyli poszczególne zeszyty w słowniczek, pozwalający odnaleźć dane zagadnienie w świecie, jak by nie było obcej i nieznanej kultury. Korzystając z wiadomości zawartych w serii ŻIH masz więc szansę poznać dzieje Żydów w naszej ojczyźnie w stopniu, co najmniej bardzo dobrym. Źródła umieszczone w *Dziejach* pozwolą Ci, młody Czytelniku, na podróżowanie po świecie żydowskim na własną rękę, co wydaje się chyba najbardziej nowoczesnym i twórczym zamysłem edukacyjnym autorów serii. Kalendarium, opracowane Jakubowym wysiłkiem przez Rafała Żebrowskiego jest bez precedensu, bo umożliwia spojrzenie na Polskę innymi oczyma, oczyma Żydów. Masz więc szansę Drogi Czytelniku, dzięki połączonym wysiłkom Zofii Borzymińskiej, Rafała Żebrowskiego, Pawła Fijałkowskiego i Andrzeja Żbikowskiego wejść bez większego trudu w hermetyczny dla wielu pokoleń świat Żydów polskich. Poznajesz w ten sposób kulturę żydowską i dzieje Rzeczpospolitej jednocześnie.

Pracownicy Żydowskiego Instytutu Historycznego tworząc serię edukacyjną włożyli w nią wiele swojej pracy i serca. Co zatem Uczeń szkoły średniej, czy nawet Student uniwersytetu może znaleźć ważnego dla swojej edukacji w tomikach *Dzieje Żydów w Polsce*? Trudno oddzielić splecione losy Żydów i Polaków. Czytając serię ŻIH-u dowiesz się więc, jak szczególne miejsce zajmowali Żydzi w historii Rzeczpospolitej, których udział w życiu kulturalnym i społecznym był naprawdę znaczący. W pracach prezentowane są przede wszystkim fakty, autorzy podjęli również próbę osadzenia przytaczanych faktów w szerszym kontekście historycznym.

Jedną z nielicznych wad serii edukacyjnej jest nadużywanie terminów wartościujących jednoznacznie postawy poszczególnych osób. Tekst jest więc pełen epitetów typu: „najwybitniejszy", „największy", „najgorszy". Nie każdy musi zgodzić się z poglądem, że na przykład Morris Schwartz był *najwybitniejszym aktorem żydowskim scen amerykańskich* (Rafał Żebrowski, *Wybór tekstów źródłowych 1918–1939*, s. 131) Niepotrzebne jest także nazywanie kogoś w adnotacji „żydożercą", czy używanie takich określeń jak „opis antysemicki" (Andrzej Żbikowski, *Ideologia antysemicka 1848–1914*, s. 87). Inteligentny czytelnik pojmie bez trudu sam, nawet uczniowi nie trzeba wszystkiego tłuma-

czyć. Natomiast miejsce na określenia wartościujące można by ustalić w esejach, komentujących teksty źródłowe. Niestety oprócz zazwyczaj krótkich wprowadzeń (koncentrujących się głównie wokół historii społecznej) nie ma właściwie komentarzy do prezentowanych źródeł, przybliżających Czytelnikom ówczesną problematykę. Wprawdzie nie znam planów na przyszłość autorów serii, tym niemniej uważam, że warto by było pomyśleć o zamieszczeniu kilku konkurujących ze sobą opinii – esejów, jako głosę do tekstów źródłowych – w moim odczuciu adnotacje to za mało, jeśli mówimy o syntezie. Na koniec warto jeszcze zwrócić uwagę na doskonałą szatę graficzną serii, a także jej wysoki poziom edytorski.

Seria Edukacyjna Żydowskiego Instytutu Historycznego: Paweł Fijałkowski, *Wybór tekstów źródłowych XI–XVIII wiek*, Warszawa 1993; Zofia Borzymińska, *Wybór tekstów źródłowych XIX wiek*, Warszawa 1994; Rafał Żebrowski, *Wybór tekstów źródłowych 1918–1939*, Warszawa 1993; Andrzej Żbikowski, *Ideologia antysemicka 1848–1914. Wybór tekstów źródłowych*, Warszawa 1994; Rafał Żebrowski, *Kalendarium*, Warszawa 1993.

Katarzyna Świerszcz

„Moja Kozłówka" *

Spaceruję jedną z licznych alejek znajdujących się w parku Kozłowieckim. Pod stopami szeleszczą różnobarwne jesienne liście, świeci złote słońce a na gałęziach drzew i krzewów powiewają nitki babiego lata.

Taki spacer po pięknym parku, zaprojektowanym na wzór francuski, to prawdziwa przyjemność, możliwość zaczerpnięcia świeżego powietrza i podziwiania pięknych widoków.

XVIII-wieczny pałac, będący własnością początkowo rodziny Bielińskich a następnie Zamoyskich, jest najpiękniejszą i najważniejszą atrakcją Kozłówki.

Pałac z zewnątrz przedstawia się okazale, choć trudno mi orzec, w jakim stylu go wybudowano. Najbardziej zbliżony jest do baroku. Od strony bramy wjazdowej, przez którą wcześniej weszłam na teren Muzeum Zamoyskich, budynek ma na środku rodzaj portyku na arkadach. Pod arkadami jest wejście do pałacu, a nad arkadami na piętrze mieści się olbrzymi ganek z balustradą. Po lewej stronie pałacu jest wieża z zegarem.

O wiele piękniej wygląda, a raczej wyglądał kiedyś pałac od strony parku, w którym obecnie się znajduję. Kiedyś, co widziałam na licznych starych przedwojennych zdjęciach, był on ozdobiony wspaniałymi schodami, wiodącymi na podobny do frontowego ganek. Niestety, schody te zostały zlikwidowane ponieważ obawiano się, że grzyb, który powstał na nich przeniesie się na ściany budynku.

Po wschodniej stronie pałacu, przed samym budynkiem stoi okazała fontanna w formie igrających puttów.

Po obu stronach pałacu, pod kątem prostym, wznoszą się dwa duże piętrowe budynki. Całość stanowi – bardzo charakterystyczną dla ówczesnej Polski – rezydencję wiejską.

Wszystko to widziałam już tyle razy. Mój ojciec od kilkunastu lat pracuje z Muzeum Zamoyskich i dlatego też przychodzę tu często i znam wiele ciekawych miejsc. Sam pałac zwiedzałam już co najmniej kilkunastokrotnie.

O urządzeniu wnętrz pałacu Kozłowieckiego pisze i mówi się, że jest najwspanialsze ze wszystkich pańskich rezydencji w Polsce. Nawet Zamek Królewski w stolicy, czy też pałac Łazienkowski ustępuje mu palmę pierwszeństwa.

Zawsze na nowo urzeka mnie smak połączony z bogactwem i kultem dla arcydzieł sztuki. Do najpiękniejszych pomieszczeń muzeum należą: sala assamblowa (cóż za piękk-

* Praca nagrodzona (trzecie miejsce) w konkursie „Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego"

nie brzmiąca nazwa), pokój pani Zamoyskiej i pana Zamoyskiego, sala jadalna, trzy salony i biblioteka.

Zawsze, ilekroć jestem w pałacu Kozłowieckim, szczególną uwagę zwracam na „Salon Czerwony", a właściwie na znajdujące się w nim lustra, które odbijając się w sobie nawzajem, tworzą wrażenie nieskończoności pomieszczenia. Dlatego „Salon Czerwony" nazywam najdłuższym salonem na świecie.

W muzeum znajdują się również bardzo liczne zbiory obrazów i portretów. Najcenniejszymi z nich są: „Bitwa pod Byczyną" Jana Matejki, „Król Stanisław" Bacciarellego, „Książę Józef Poniatowski" Lompi'ego i wiele innych, przedstawiających między innymi różne sceny historyczne. Zawsze pomagały mi one w nauce historii.

W dużej sali zwanej assumblową, stoi przepiękne biurko z brązami i zegarem, wierna kopia własności Ludwika XVI-go, króla Francji. Ciekawostką jest fakt, że podobieństwo jest tak dokładne, że nawet kluczyk od szuflad, posiada w swym uszku kształt trefla jak biurko Bourbońskie.

Takich biur jest na świecie trzy: oryginalne w Luwrze w Paryżu, kopia w Pałacu Zimowym w Petersburgu i trzecia właśnie w Kozłówce.

Od dziecka, będąc w muzeum zachwycam się porcelanowymi chińczykami, które poruszają główkami i rękami i pokazują języki. Do innych znanych eksponatów muzealnych należą szafy gdańskie, a do ciekawszych zaliczyć należy również pianolę, do której swego czasu Konstanty Zamoyski zgromadził ogromną ilość wałków z perforowaną taśmą z zapisem najpiękniejszych utworów muzycznych.

Gdy już nasłuchałam się do woli dźwięków wydobywających się z pianoli, ciszę i ukojenie, a także chłód, zwłaszcza podczas letnich spacerów, zawsze mogłam odnaleźć w kaplicy pałacowej. Kaplica ta wybudowana została na wzór wersalski, cała z białego marmuru, zdobna w sztukaterię i brązy.

Ołtarz marmurowy w brązach, z prześlicznym witrażem (zamiast obrazu) wyobrażającym Zwiastowanie, jest również wierną kopią wersalskiego. Między filarami, po lewej stronie kaplicy, jest piękny pomnik z białego marmuru, wystawiony ku czci Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej, babki i prababki wszystkich żyjących dziś Zamoyskich.

Pomnik dłuta Bartoliniego jest wierną kopią jej pomnika w kościele Santa Croce we Florencji.

O kaplicy kozłowieckiej zachował się nawet wiersz napisany przez „Jagienkę spod Lublina" – lubartowską działaczkę kulturalną z lat dwudziestych posiadającą pewne aspiracje literackie. Wiersz ten udało mi się znaleźć w książeczce *Ziemia Lubartowska*. Szkic monograficzny ilustrowany autorstwa Wandy Jagienki Śliwiny, właśnie tej „Jagienki spod Lublina", i Ferdynanda Trocza. Brzmi on następująco:

Kaplica"

W pałacu prawem skrzydle
święta, jasna biała,
Jakby w sennym manidle
Z tęczy bajki powstała –
ludzkie oczy zachwyca
Przecudowna Kaplica

Wersalski jej początek
Wykuto ją w marmurze
W brązach każdy zakątek,
A klęczniki w purpurze
I – zacnym prochom w dani
Cud – pomnik księżnej pani!
Marmurowe filary,
Artystyczne witraże –
A wszystko hrabia stary
Rodowi swemu w darze
gromadził aż do trumny
Samotny wciąż i dumny.

Zawsze, odkąd pamiętam, intrygowały mnie, podobnie jak większość ludzi, różne ciekawostki, historie mrożące krew w żyłach i niezliczone tajemnice związane z pałacem.

Tajemnic i takich ciekawych historii Kozłówka ma wiele. Jedna z legend, często wspominana przez przewodników, jest związana z powstaniem herbu Zamoyskich – którym są Jelita. Według tej legendy, w bitwie pod Płowcami ranny został w brzuch trzema włóczniami krzyżackimi protoplasta Zamoyskich – Florian Szary. Objeżdżając pole bitewne, król Władysław Łokietek zapytał go, czy bardzo cierpi. Florian odpowiedział, że mniej to boli niż rany zadane ojczyźnie. Odtąd Zamoyscy pieczętowali się herbem Jelita – trzy złote kopie na czerwonym polu, a ich dewizą rodową jest „to mniej boli", które to słowa widnieją nad bramą wjazdową, prowadzącą na teren muzeum.

Wśród okolicznych mieszkańców krążą różne opowieści, jedne prawdziwe, potwierdzone naukowo, inne być może zmyślone. Gdy byłam dzieckiem, kilka z nich opowiedziała mi moja babcia, która była córką lokaja rodziny Zamoyskich – Józefa Krajewskiego.

Jedną z takich historii była, od stu lat krążąca po okolicy przerażająca opowieść, budząca grozę wśród słuchaczy. „Czarna Dama" z Kozłówki była ukochaną żoną ordynata Aleksandra, pana na Zamościu. Umierając w rok zaledwie po ślubie, ordynat zapisał Annie dobra kozłowieckie wraz ze wspaniałą rezydencją.

Wdowa wyszła później za właściciela niedalekiego Lubartowa, księcia Lubomirskiego. Zmarła w Wiedniu w latach 40-tych ubiegłego stulecia. Trumnę z jej szczątkami sprowadzono do położonej niedaleko Kozłówki – Kamionki i złożono w podkościelnej krypcie.

Po pewnym czasie, podczas przebudowy krypty, dokonano makabrycznego odkrycia: Anna Lubomirska-Zamoyska (jak świadczyło położenie zwłok) musiała obudzić się z letargu i próbowała wydostać się z trumny.

Historię Anny z Granowskich zawarła w swoim wierszu pt.: *Dumanie przed portretem* wspomniana wcześniej „Jagienka spod Lublina":

[...] *Wreszcie się smutna przepaść otwarła*
I uwielbiona księżna umarła [...]
I oto przeminęło kilkanaście lat,
Zanim o strasznej tragedii dowiedział się świat.
Bo gdy trumnę otwarto – poruszona cała

Księżna Anna z rękoma nad głową leżała
Jakby pragnąc odwalić wieko, co ją siłą –
W złudnym śnie letargicznym na śmierć przywaliło.

Również zachowaną w tajemnicy pozostawała podczas okupacji działalność Aleksandra – starszego syna i spadkobiercy Adama Zamoyskiego. O nim także wspominała mi babcia, rówieśniczka Aleksandra.

Rotmistrz Aleksander hrabia Zamoyski był ułanem krechowieckim i uczestniczył w działaniach grupy operacyjnej gen. Kleeberga. Walczył pod Kockiem – w ostatniej bitwie kampanii wrześniowej. Po podpisaniu kapitulacji nie dostał się do niewoli, ale wraz z grupą swoich podkomendnych przedarł się do Kozłówki. Tu „zamelinował" ich jako pracowników ordynaryjnej służby leśnej, a także powierzył im funkcje stangretów i koniuszych. To właśnie oni stali się później trzonem organizacji podziemnej, a następnie przystąpili do AK.

Do końca okupacji Kozłówka była silnym ośrodkiem AK. Niestety, sam Aleksander Zamoyski został w 1940 roku aresztowany przez Niemców, umieszczony w oświęcimskim obozie koncentracyjnym, a następnie w Dachau. Nie pomogły nawet interwencje w sprawie jego uwolnienia, podjęte przez włoskiego ministra spraw zagranicznych, zięcia Mussoliniego, hrabiego Ciano.

W Kozłówce na przełomie lat 1940 i 1941 przez kilka miesięcy Jadwiga Zamoyska, żona ordynata, ukrywała przyszłego Prymasa Tysiąclecia ks. Stanisława Wyszyńskiego, poszukiwanego przez Niemców.

W końcu lipca 1944 roku, o czym informuje tablica znajdująca się przy wejściu do muzeum, w Kozłówce kwaterował przez trzy dni sztab 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, która wyzwoliła m.in. Lubartów oraz Kock. Stąd następnie oficerowie na czele swych oddziałów wyruszyli w drogę do oddalonego o kilka kilometrów Skrobowa. Tam 27 Wołyńska Dywizja została podstępnie okrążona i rozbrojona przez wojska radzieckie.

Inną, nie wyjaśnioną do tej pory tajemnicą Kozłówki, jest historia zaliczana do najbardziej makabrycznych, którą pamięta już mój ojciec. Chodzi mi tu o okoliczności śmierci jednego z kolejnych kustoszy Jerzego Derynga. Otóż pod koniec lat 60-tych, naszego wieku oczywiście, w noc wigilijną wieloletni kierownik muzeum – Jerzy Deryng, nagle zniknął. W trakcie poszukiwań zauważono, że drzwi do pałacowego skarbca są zamknięte od wewnątrz. Gdy specjalistom udało się sforsować zamki, we wnętrzu pomieszczenia znaleziono martwego kustosza. Leżał w kałuży krwi, z poderżniętym gardłem. Obok leżała brzytwa...

Do dziś nie udało się ustalić, co było przyczyną samobójstwa Derynga. Dlaczego stało się to akurat w wigilię i dlaczego akurat w skarbcu. Chyba nigdy nie udzieli się odpowiedzi na te pytania, podobnie jak nie odpowie się na pytanie, gdzie znajdują się, skradzione w owym czasie organy z kaplicy pałacowej.

Do tej pory w pałacu w Kozłówce dzieją się różne rzeczy. Dowiaduję się o nich od mojego ojca, który jest dowódcą warty w Muzeum Zamoyskich. Opowiadał mi on o różnych wydarzeniach, m.in. o niespodziewanie pękających rurach, nocnych nawoływaniach.

Nie wiem, na ile to jest prawdą, a na ile – wybujałą fantazją lub po prostu grą wyobraźni zaostrzającą się o północy w okolicach grobu Zamoyskich. W tej usypanej mogi-

le, na której stoi jedynie prosty brzozowy krzyż, spoczywają Adam i Maria Zamoyscy – drugi z kolei ordynat kozłowiecki i jego żona. U nas się po prostu mówi o niej: „grób hrabiny".

Takie są tajemnice pałacu w Kozłówce. Są pewnie i inne, może mniej znane i mniej prawdopodobne, jak np. wiara w istnienie podziemnych lochów, podziemnego przejścia łączącego pałac Zamoyskich z pałacem Sanguszków znajdujący się w Lubartowie.

Ale dość o tym. Wstaję z ławki i rozprostowuję kości. Patrzę na niebo: „Chmurzy się. Czas chyba najwyższy pozostawić tajemnice pałacu Zamoyskich nie naruszonymi. Za chwilę po raz kolejny, zmoczy je deszcz a zimą przykryje śnieg."

Kończę swój spacer po Kozłowieckim parku. Spoglądam jeszcze raz na napis znajdujący się nad bramą wjazdową: „To mniey boli." Za mną cicho zamyka się żelazna brama. Na razie...

Informacje o autorach

JANINA BAUMAN – pisarka; na stałe zamieszkuje w Leeds w Wielkiej Brytanii.

PAWEŁ BOBOŁOWICZ – student piątego roku politologii UMCS; prezes Polsko-ukraińskiego Forum Młodych.

EWA BUSSE – informatyk, pracownik Akademii Medycznej i poetka.

ZBIGNIEW CHARYTANOWICZ – absolwent UMCS, nauczyciel języka polskiego w LO im. ks. Adama Czartoryskiego w Puławach.

IGNACY CHWESIUK – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

KAMILA CHWESIUK – absolwentka KUL, germanista; pracownik Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

JERZY CZECH – tłumacz lit. rosyjskiej.

LESZEK ENGELKING – poeta, prozaik, tłumacz, krytyk literacki.

ASAR EPPEL – tłumacz, pisarz rosyjski, badacz kultury żydowskiej.

PAWEŁ FURMANEK – uczeń trzeciej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

JAN GAŁKOWSKI – uczeń pierwszej klasy LSpoLO im. Jana III Sobieskiego.

ŁUKASZ GARBAL – absolwent PK LO im. ks. K. Gostyńskiego, student pierwszego roku filologii polskiej KUL.

KATARZYNA GRZYBOWSKA – absolwentka SLO im. A. Stanowskiego studentka pierwszego roku prawa KUL.

BARBARA GÓRA – absolwentka KUL, asystent w Zakładzie Języka Rosyjskiego Instytutu Filologii Słowiańskiej UMCS.

MARIA DOROTA JASTRZĘBSKA – studentka pierwszego roku filologii polskiej KUL.

JANUSZ KOWALCZYK – student piątego roku politologii UMCS; nauczyciel wiedzy o społeczeństwie w PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

STANISŁAW KRAJEWSKI – doktor, pracownik naukowy Isntytutu Matematyki Polskiej Akademii Nauk, członek warszawskiej gminy żydowskiej, zaangażowany w dialog chrześcijańsko-żydowski.

ADRIAN LESIAKOWSKI – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

GRZEGORZ LINKOWSKI – scenarzysta, reżyser filmów dokumentalnych, pracownik Teatru NN.

JACEK MAJ – uczeń trzeciej klasy Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie.

PETR MIKEŠ – poeta czeski, redaktor „Uotobii", tłumacz.

CYPRIAN NORWID – poeta, dramatopisarz, prozaik, artysta malarz; żył w latach 1821–1883.

TOMASZ PANEK – nauczyciel historii w LO im. ks. Adama Czartoryskiego w Puławach.

HENRYK PAPROCKI – doktor teologii. Wykładowca w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

MARIUSZ PITURA – absolwent PK LO im. ks. K. Gostyńskiego, student pierwszego roku politologii UMCS.

PAWEŁ SKRZYDLEWSKI – absolwent KUL, nauczyciel filozofii w PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie; doktorant na Wydziale Filozofii Teoretycznej KUL.

GERARD STANIECKI – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

MICHAŁ ŚWIDZIŃSKI – absolwent KUL, nauczyciel filozofii i matematyki w SLO im. św. Pierre Giorgio Frassatti w Niedźwicy Kościelnej k/Lublina.

KATARZYNA ŚWIERSZCZ – uczennica trzeciej klasy LO w Lubartowie.

ŁUKASZ TURCZYŃSKI – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

AGNIESZKA WALKO – absolwentka SLO im. A. Stanowskiego, studentka pierwszego roku historii KUL.

PRZEMYSŁAW WIĘCZKOWSKI – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie; wielokrotny uczestnik olimpiady polonistycznej i filozoficznej.

DOMINIKA WOJTYSIAK – uczennica czwartej klasy LSLO im. Jana III Sobieskiego; laureatka drugiego etapu olimpiady języka francuskiego 1994/95. Dotychczas publikowała w „Gazecie Młodych Sił" (młodzieżowym dodatku „Gazety Wyborczej w Lublinie").

JACEK WOJTYSIAK – absolwent KUL, asystent w Katedrze Teorii Poznania KUL. Prowadzi zajęcia m. in. z dydaktyki i metodyki nauczania filozofii. Na stałe współpracuje z PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

IRENEUSZ ZIEMIŃSKI – absolwent KUL., doktor filozofii, adiunkt w Zakładzie Filozofii i Socjologii Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy. Stypendysta Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w roku 1995; współpracuje ze „Znakiem" i „Edukacją Filozoficzną"

STANISŁAW K. ŻEBROWSKI – uczeń czwartej klasy PK LO im. K. Gostyńskiego w Lublinie.

SŁAWOMIR ŻUREK – absolwent KUL, doktorant w Instytucie Filologii Polskiej UJ. Na stałe współpracuje z PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie i Teatrem NN.

Następny zeszyt kwartalnika

„Scriptores Scholarum" wiosna 1996 – Zeszyt teatralny – „Dramat w szkole"

- Rozmow akademickie: z **prof. Ireną Sławińską**, prof. Jerzym Stuhrem, prof. Bożeną Chrząstkowską.
- Programy edukacyjne klas artystyczno-teatralnych.
- Materiały metodyczne dla nauczycieli (konspekty lekcji oraz szkice interpretacyjne).
- Akademia Teatralna w Teatrze NN – spotkanie z **Tadeuszem Nyczkiem i Jerzym Koenigiem**.
- **Debata o teatrze** – spotkanie z dyrektorami lubelskich teatrów nierepertuarowych.
- Grupy Teatralne Lublina. Scena Plastyczna KUL, Grupa Chwilowa, Teatr NN, Panopticum, Teatr Gardzienice.
- **Tomasz Kitliński**, Teatry alternatywne Lublina.
- Jak napisać recenzję teatralną?
- **Wojciech Kaczmarek**, Recenzja teatralna jako dokument przedstawienia teatralnego.
- Recenzje uczniowskie.
- Spotkania z Ludźmi Teatru: Mikołaj Grabowski, Henryk Sobiechart.
- Materiały z sesji teatrologicznej (Kraków 13.02–15.02.1996)
- „Dramat w szkole" – materiały dotyczące oświaty i reformy szkolnictwa.
- Debiuty.

W najbliższych zeszytach kwartalnika „Scriptores Scholarum":

Przedsiębiorczość – Business – Marketing – Reklama – lato' 96

Zeszyt Samorządowy (Wybory i decyzje' 95/96) – jesień' 96

Zeszyt „Emigracja – Młodzi" – zima' 97

Zeszyt Integracyjny – wiosna' 97

Podziękowania:

- **Ministerstwu Edukacji Narodowej** za przyznanie Redakcji „Scriptores Scholarum" Nagrody Specjalnej MEN.
- Pani prof. **Bożenie Chrząstowskiej** oraz całej Redakcji **„Polonistyki"** za zauważenie „Scriptores Scholarum" oraz umożliwienie wzięcia udziału w kolegium redakcyjnym „Polonistyki".
- Panu redaktorowi **Jerzemu Giedroyciowi** i całej Redakcji **„Kultury"** paryskiej za nadesłane zeszyty „Kultury" 1995 nr 6–12 oraz 1996, nr 1–2; oraz stały, życzliwy kontakt z Redakcją „Scriptores Scholarum".
- Pani dr **Gertrudzie Wichary** oraz całej Redakcji **„Warsztatów Polonistycznych"** za nadesłane zeszyty „Warsztatów" (1994–1995) i opublikowanie recenzji Zeszytu Norwidowskiego 1994, nr 2, „Scriptores Scholarum", pióra prof. Mieczysława Inglota.
- Panu redaktorowi **Jerzemu Bojarskiemu** oraz całej Redakcji gazetki parafialnej **„Ku Świętej Rodzinie"** za nadesłany pierwszy numer pisma.
- Panu **Antoniemu Dudkowi** na nadesłanie książki Sary Kraus-Kolkowicz, *Dziewczynka z ulicy Miłej albo świadectwo czasu Holokaustu*, Lublin 1995. Obiecujemy napisać recenzję!
- Panom **Waldemarowi Michalskiemu** i **Bogusławowi Wróblewskiemu** za życzliwe potraktowanie naszego kwartalnika na łamach **„Akcentu"**.
- Panu dr **Wojciechowi Chudemu** za stałą współpracę i recenzję zamieszczoną na łamach **„Etosu"**.
- Fundacji **„Pogranicze"** z Sejn za nadesłane książki.

Errata Zeszytu Ekologicznego „Scriptores Scholarum"

Z powodów niezależnych od Redakcji ostatni numer „Scriptores Scholarum" został wydrukowany z wielką ilością błędów, zarówno korektorskich, jak i rzeczowych. Stało się to m.in. na skutek niewykonania ostatniej korekty przez firmę poprzednio prowadzącą skład komputerowy naszego pisma.

Uważając ten stan rzeczy za zły, Redakcja postanowiła sporządzić erratę najbardziej wyraźnych błędów rzeczowych, którą to erratę publikujemy poniżej.

Jest	Winno być	Strona, wers od góry
Ośrodek „Brama Grodzka" Teatr NN	Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" Stowarzyszenie „Brama Grodzka"	I strona okładki, 2, 17.
© Copyright by Teatr NN and Scriptores Scholarum	© Copyright by Teatr NN	2, 23
Marzena Maleszyk	Marzena A. Maleszyk	3, 17.
Jan Kuśmierzak	Janusz Kuśmierczyk	4, 26
N.P.K. oraz NPK	Nadwieprzański Park Krajobrazowy	48, 23; 49, 13 i 39; 50, 6
drzewa oliwne	drzewa oliwki	50, 20
(c.d.n.)	(c.d.n.)?	64, 9
zwycięzką	zwycięską	72, 6–7
Roztoczańskiego PN	Roztoczańskiego Parku Narodowego	75, 22
[tabele: s. 100–102]	[tabele: s. 99–101]	–
JA-JA-JA	Ja-Ja-Ja	114, 2
dosiada nas	dosiada do nas	114, 16
km	klm	116, 4
conajmniej	co najmniej	121, 1 od dołu
MY	My	122, 21
Modlitwa:	Modlitwa po wypróżnieniu:	124, 19
Gombrowicz	Gombowicz	126, 14
antre	autre	127, 2 od dołu
Jan Kuśmierzak	Janusz Kuśmierczyk	165, 1
elastyczne	etastyczne	166,22
Paleniem	Polesiem	168,2
Ano	A no	194, 3
tenis	tennis	217, 2
prof.	profesora	221, 25
dla redakcji	dla szkoły	227, 19
WITOLD GOMBROWICZ – powieściopisarz, dramaturg, eseista (1904-1969).	WITOLD GOMBROWICZ – student IV roku prawa UW w 1925 r.	232, 8
Marzena Maleszyk	Marzena A. Maleszyk	233, 6
student drugiego roku ATK	student trzeciego roku ATK	234, 6

Prócz tego, wiersze, drukowane na stronach: 16, 24, 74 (*Przeklęstwo*), 155, 162 (obydwa), 181 (III), 190, 212, 234, powinny być wydrukowane w porządku podanym w „Zielniku poetycko-refleksyjnym" (do wierszy Marty Kuszewskiej włącznie) przed Listami do Redakcji. Pozostałe miały być umieszczone wewnątrz numeru, ale w innej sekwencji. Błędnie też wkomponowano je w liście i niepotrzebnie umieszczone zostały one w ramkach. Prócz tego nie został wydrukowany „Zielnik poetycko-refleksyjny" w opracowaniu Jana Gałkowskiego – jego fragmenty są rozrzucone po całym numerze w postaci sentencji, w nekrologach.

Przepraszamy Panią Doktor Ewę Baszak za umieszczenie tabelek wewnątrz rozmowy. Ponadto szczególnie przepraszamy Pana Janusza Kuśmierczyka za błędny zapis Jego nazwiska.

Przepraszamy także Mirosława Kasprzaka za wydrukowanie Jego notki biograficznej bez zamieszczenia tekstu, którego był autorem.

Nadto wydrukowano dwie noty biograficzne Magdaleny Łodygowskiej.

To – zdaje się – wszystko.

Za wszystko przepraszamy i żywimy nadzieję, że sytuacja podobna już się nie zdarzy.

Łukasz Garbal sekretarz Redakcji